

yl. Wolszmann

KSIEŻNICZKA



Helenka objęła ojca za szyję.

Herby Wahlm. aut. w. w.

22/12. 1912. r.

KU CZCI Ś. P. PAULINY KRAKOWOWEJ

20

ZOFIA URBANOWSKA

KSIEŻNICZKA

POWIEŚĆ □ UWIEŃCZONA
NAGRODĄ KONKURSOWĄ.
□ WYDANIE CZWARTE □

Z 12-TU RYSUNKAMI



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.

1911



Zb. S.

K-1299

821.162.1-3

kwk



Przełożone prywatnych zakładów naukowych żeńskich w Warszawie, pragnąc uczcić pamięć zgasłej w dniu 16-go lutego 1882 r. *Fauliny Krakowowej*, powzięły myśl wydawnictwa jej imienia, mającego przynieść pożytek uczącej się młodzieży. Za jedno z potrzebniejszych uznano dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiającego obraz dziewczęcia i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagań zdrowia pojmowanego postępu. Szło o okazanie dodatnich i ujemnych stron życia społecznego, wypowiedzenie pragnień, zawodów, przedstawienie walki z okolicznościami i z samą sobą, o wzruszenie i rozgrzanie, zatem zbudzenie zapomocą uczucia, szlachetnych dążeń i postanowień. Kobieta przedstawioną być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, a osoby wchodzące do dziełka winny były należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa polskiego, będącej najlepszym przedstawicielem bytu narodowego, do której też należy głównie młodzież żeńska, dziełko żądane czytać mająca. Bohaterka powieści czy pamiętnika miała mieć wady i ułomności bądź wrodzone, bądź z wychowania, bądź ze szkodliwych wpływów wynikające; ale idąc przez życie nie wyjątkowe lecz powszednie, znajdując się w okolicznościach

i warunkach powszechnie spotykanych, winna uczyć się jak pojmować obowiązki swoje względem Boga, kraju, bliższego i dalszego otoczenia; jak pielęgnować cześć dla ideału narodowego i domowego życia; jak pojąć znaczenie cichej a wytrwałej pracy i nauczyć się spełniać cnoty, których świat słusznie od kobiet się domaga. Do cnót czy przymiotów miało należeć także i męstwo, umiejące poddać się okolicznościom, ale nie upadające pod ich naciskiem; zdolne natchnąć kobietę odwagą i przy świadomości spraw świata, wytworzyć w niej siłę, skutecznie mającą wspierać ją samą i innych.

Taki był program do konkursu ogłoszonego w Tygodniku Illustrowanym z d. 6-go maja 1882 r. Autor czy autorka nie byli obowiązani wypełnić wszystkich szczegółów programu; dosyć, by szerzej rozwinęli te z nich, które za najodpowiedniejsze dla swego pomysłu uznają i gdy dziełko duchem innych będzie przeniknięte.

Termin konkursu naznaczony był na 29-go czerwca 1883 roku. Nadesłane na ten termin prace okazały się nie dostatecznymi i z tego powodu ogłoszony został drugi konkurs, z terminem na 1-go stycznia 1885 r.

Do dnia tego nadesłano pięć rękopisów, z pomiędzy których komitet konkursowy złożony z pań: Maryi Illickiej i Jadwigi Sikorskiej, panów: ks. Zygmunta Chełmickiego, Piotra Chmielowskiego i Floryana Łagowskiego, w d. 18-go marca 1885 r. uznał powieść p. t. »Księżniczka« za odpowiadającą warunkom konkursowym. Po otworzeniu koperty okazało się, że autorką nagrodzonej powieści jest p. *Zofia Urbanowska*.

W DOMU



I.

Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu Domu handlowo-komisowego rolników nadw...skich, w celu wyswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy, przez dawanie im taniego kredytu na zboże — między kupcami tamiecznymi, w rękach których dotąd koncentrował się handel zbożem w całej okolicy, objawił się niemały popłoch, a obrady giełdowe odbywające się regularnie codzień zrana na środku rynku zwanego żydowskim, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek. Z giestykulacyi rąk, z rozplómienionych twarzy, z częstego przesuwania czapek futrzanych na tył głowy i z tyłu na przód, widać było, że wieść ta niespodziana wstrząsnęła kupców do głębi. Ale gdy w ślad za pierwszą wieścią przyszła wkrótce na giełdę druga, o urządzeniu filii Domu w M. i mianowaniu agentem pana Marcina Oreckiego, barometr usposobienia moralnego miejscowych Rotszyldów, spadły już bardzo nisko, podniósł się w jednej chwili; dziwowano się tylko wielce, jak Dom, na którego czele stawali ludzie znani zaszczytnie w przemyśle krajowym, mógł wybrać na reprezentanta firmy człowieka, niemającego żadnego o handlu wyobrażenia — a stary doświadczony Hersz przepowiadał nawet prędkie upadki filii.

Gdyby do składu nowo powstającej instytucyi należeli sami tylko ludzie fachowi, to posada agenta pewnie dostałaby

się komu innemu — ale połowę członków stanowili ziemianie, a ci użyli swego prawa głosu dla zaprotegowania krewnych i znajomych, czemu przecie dziwić się nie można. Jednym z protegowanych był znany z prawości charakteru pan Marcin Orecki, niegdyś zamożny obywatel ziemski. Burza wstrząsająca do gruntu całym krajem, pozbawiła go dziedzicznej własności — został mu jednakże kapitał, z którym osiadł w miasteczku, kupiwszy sobie dom z ogrodem. Powolny, łagodny, uprzejmy, serce a często i kieszeń otwarte miał dla każdego — i pomimo sześćdziesięciu lat wieku idącego z latami doświadczenia, pomimo że nieraz bywał ofiarą własnej łatwowierności — nie pozbył się jej i ufał każdemu z rzadką naiwnością. Wszyscy dla niego byli uczciwymi ludźmi; a jeśli kto zbyt jawnie przeciwko zasadom uczciwości wykroczył, pan Marcin najprzód wierzyć nie chciał, a potem litował się nad nim i tysiączne dowody wynajdywał na jego usprawiedliwienie.

Tytuł kupca pierwszej gildyi, jaki panu Marcinowi dostał się wraz z posadą ajenta, sprawił mu niemałą przyjemność. Kazał oprawić patent za szkło w ozdobne złoczone ramy, i powiesił w kantorze nad biurkiem. Cieszyło go to, że on, szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesady szlacheckie, przyczyniał się do postępu i brał udział w reformie kraju, szukającego nowych dróg do powiększenia ogólnej zamożności — a przekonanie to podnosiło go we własnych oczach. Każdemu, kto do niego przyszedł, pokazywał patent i objaśniał jego znaczenie, przyczem mówił dużo o postępie posługując się całymi okresami wyjętymi z mowy, jaką przy otwarciu nowej instytucyi miał jeden z członków Domu, noszący historyczne nazwisko — mowy obfitej w piękne frazesy i efekty oratorskie, a którą pan Marcin wyczytawszy w gazetach, tak sobie upodobał, że większą część umiał prawie na pamięć. Przejęty ważnością swego stanowiska, gorliwie się zabrał do zaopatrzenia kantoru w odpowiednie jego

przeznaczeniu sprzęty i nie mógł się dość nacieszyć kasą ogniotrwałą i jej sztucznym zamkiem, otwierającym się tylko za właściwem nastawieniem liter — oraz, choć jeszcze nie było wiadomo jaki będzie ruch interesów, przyjął sobie dwóch pomocników, którym pensyą wyznaczył z własnej kieszeni.

Jakoż, wbrew przepowiedni Hersza, odrazu w kantorze pana Marcina objawił się ruch wielki: bracia szlachta chętni do korzystania z taniego kredytu, cisnęli się po zaliczki i nie raz w kantorze było tłumno jak w kościele. Jak zresztą nie miało być tłumno, kiedy prawie nikt stamtąd nie odszedł niezadowolony, jak to bywało u Hersza lub Arona? Pan Marcin miał dobre serce i nie lubił ludziom robić trudności, przytem był człowiekiem towarzyskim, gościnnym i znał cały powiat. Załatwiwszy jak najspieszniej interes, gawędził chętnie z interesantami o urodzajach, polowaniu, polityce, i codzień prawie przyprowadzał żonie gości na śniadanie lub obiad, nie pytając czy była na to przygotowana, czy nie. Gdy młocka się skończyła, cała ulica, przy której stał dom pana Marcina, tak była zapchana furmankami z odstawą, że trudno się było przez nią przedostać. Przez całą zimę pan agent i jego pomocnicy zaledwie sobie dali radę z przyjmowaniem odstaw, ważeniem zboża i ładowaniem go na statki mające popłynąć do Gdańska. Rzeka, jak okiem dojrzeć, pokryta była lasem masztów ozdobionych różnokolorowemi chorągiewkami, które niby las bagnetów, miały walczyć w imię postępu i wywalczyć krajowi nieznaną dotąd pomyślność i bogactwo. Statki kolejno zarzucały kotwice w małej przystani należącej do posesyi pana Marcina, gdzie brzeg wzmocniony był drewnianem bulwarkiem i gdzie stał śpichrz, z którego odbywało się ładowanie.

Jeżeli kto przypuszcza, że miejscowi handlarze spiskowali przeciwko panu agentowi, to bardzo się myli. Nic podobnego nie było. Hersz i Aron, wobec tej procesyi furmanek, zachowywali się obojętnie a nawet przyjacielsko. Przy-

chodzili do kantoru, gawędzili z panem Marcinem o cenach zboża, brali w rękę próbki, nieśli je do okna, oglądali, ważyli, przesypywali z dłoni na dłoń, szwargotali z sobą półgłosem, kiwali głowami, ale też na tem był koniec.

Zboże w Gdańsku sprzedane zostało kupcom angielskim z takim zyskiem, że to w członkach Domu handlowego najświetniejsze obudziło nadzieje; wyglądana era dla handlu i rolnictwa, zdawała się już być blisko. Członek Domu noszący historyczne nazwisko, wypowiedział na Ogólnem Zebraniu mowę jeszcze piękniejszą niż przy otwarciu tej instytucji, a gazety powtórzyły ją *urbi et orbi*.

To też istotnie trudnem było do zrozumienia, dlaczego w roku następnym ruch w kantorze pana Marcina zmniejszył się — a znaczna część tych, co korzystali z dobrodziejstwa taniego kredytu, zwróciła się napowrót do droższego kredytu żydowskiego, i chociaż nie miała zboża na odstawienie Domowi handlowemu, odstawiała je jednak bocznemi ulicami swoim dawnym kredytorom. Pan Marcin, gdy mu o tem doniesiono, powiedział najprzód, że »to nie może być« — a następnie, że »to są ludzie porządni, i z pewnością oddadzą co winni«. Dla tej samej przyczyny nie chciał korzystać z paragrafu ustawy, pozwalającego mu poszukiwać sądownie niesummiennych dłużników — czem ośmieleni, nie szukali już bocznych dróg, mniej dogodnych bądź co bądź, dla koni idących z ciężarami, ale przed oknami kantoru przejeżdżali z furami wiozącemi zboże dla Hersza i Arona. Raz zeszedłszy się z takim dłużnikiem oko w oko na ulicy, pan Marcin zaczął mu robić wyrzuty; ale tamten potrafił mu w tak posępnych kolo-rach przedstawić swoje położenie, że wzruszony jego niedolą, pożyczył mu jeszcze pięćdziesiąt rubli z własnej kieszeni.

Ustawa wymagała, aby każdy biorący zaliczkę, stawiał za sobą dwóch poręczycieli gotowych odpowiedzieć własnym majątkiem, w razie gdyby się nie uiścił z długu; byli jednakże tacy, którzy poręczycieli, mimo usilnych starań, znaleźć nie

mogli a pieniędzy potrzebowali koniecznie — i ci znając miękkie serce pana Marcina, dopóty go prosili, dopóki ich nie wyratował z kłopotu własnem poręczeniem. Że zaś takie wypadki powtarzały się od czasu do czasu, i wytworzyły już dość pokaźną sumę, więc pomocnik pana Marcina, człowiek szczerze rodzinie jego życzliwy, ostrzegł o tem poufnie panią Orecką, o której wpływie na męża wiedział. Na czynione sobie przedstawienia i wyrzuty, że przez swą nieopatrzność może pozbawić chleba na przyszłość jedyne dziecko, pan Marcin odpowiedział z niezachwianą ufnością:

— Ale oni oddadzą! jak cię kocham, tak oddadzą; to są porządni ludzie. Gdybym ich nie znał, to co innego, ale ja ich znam. Chociażby ten Tecki: Towarzystwa nie miał czem zapłacić, i byliby mu wystawili wieś na subhastę. Trzeba go było ratować — jakże! Dzieci pięcioro; z torbami przecie nie pójdą. Imość tobyś chciała, żeby nikomu nic nie dać. O la Boga, la Boga! Jak trzeba, to trzeba, trudna rada!

Wyrzuty miały ten skutek, że następne poręczenia pan Marcin uskuteczniał w sekrecie przed swoim pomocnikiem — pani Orecka zaś pomimo zapewnień męża o uczciwości dłużników, zaczęła uczuwać obawę o przyszłość, czas bowiem mijał, a oni nie oddawali ani pieniędzy ani zboża.

Gdy tak sprawy stały w kantorze, w śpichrzu działały się także różne dziwne rzeczy. W pierwszym roku był pewien nadmiar zboża, w następnym już go nie było, a później okazał się nawet niedobór, który pan Marcin rokrocznie dopełniać musiał z własnej kieszeni. Zachodził on w głowę, co to być mogło, bo przecież dostawy odbierano pod miarą i wagą. A gdy mu pomocnik powiedział raz, że widział jak ludzie arfujący pszenicę, sypali ją garściami za cholewy, uczuł do niego niechęć, i spotkawszy jednego z robotników, o których była mowa, zagadnął go temi słowy:

— Słyszysz, ty, prawda to, co mi pan Antoni powiada, że wy sypiecie za cholewy pszenicę? he?

— E, wielmożny Panie, gdzieby zaś była prawda: — mówił zagadnięty, kłaniając mu się do kolan — raz ino wzio-nem kwaterkę pośladu dla kurcząt, i tyła.

Więc pan Marcin machnął ręką i na tem się skończyło — do pomocnika zaś powiedział:

— Franciszek mówi, że tylko raz wziął garść pośladu dla kurcząt, a pan zaraz zrobiłeś z tego wielkie rzeczy. Co też za człowiek z pana! O la Boga, la Boga!

Musiał to być jednak poślad bardzo pożywny, i rozmnażający się cudownie, jak ów chleb ewangeliczny, bo wszyscy robotnicy pracujący w śpichrzu, trzymali kury wyglądające lepiej od kur ich pryncypała i przynosili je nawet do niego na sprzedaż a on je kupował, nie domyślając się nawet, że na jego pszenicy zostały wypasione.

Tak rzeczy stały kilka lat, z tą różnicą, że ruch w kantorze zmniejszał się coraz bardziej, a większa część statków przeniosła się na drugą stronę rzeki, gdzie stały śpichrze Her-sza i Arona, i tam zarzucała kotwice. Walka w imię postępu słabła widocznie i groziła zupełną przegraną. Dom handlowy przysłał swemu agentowi instrukcje obostrzające dawanie zaliczeń, i zażądał ściągnięcia długów w jak najkrótszym czasie.

Były to ciężkie chwile dla pana Marcina; widział się bowiem jako poręczyciel w konieczności zapłacenia za tych, którym niegdyś dopomógł, przez co kapitał mający być posagiem jego ukochanej córki, zmniejszył się do minimum — i gdyby nie pensya, którą pobierał jako agent, a która obecnie stanowiła główną podstawę utrzymania domu, to procent od kapitału nie starczyłby nawet na codzienne potrzeby. Pocieszał się wprawdzie nadzieją, że odbierze swoje pieniądze z czasem, ale mimo to chudł, mizerniał i starzał się coraz bardziej. Tymczasem nadchodziły niepokojące wiadomości o obniżaniu się cen zboża na rynkach europejskich, z powodu zasypania ich pszenicą amerykańską, i przebąkiwano, że Dom handlowy zechce pewnie zwinąć w mieście M. filię, której

utrzymanie było dość kosztowne, a od paru lat żadnych nie przynosiło korzyści. Pan Marcin po całych dniach siedział w pustym kantorze, gdzie już nie było jego pomocników, przy biurku, i patrząc bezmyślnie na rzekę, wybijał palcami marsza na zielonem suknie. Jedna tylko córka miała przywilej rozweselania ojca; słuchając jej szczebiotu, uśmiechał się i ożywiał jak dawniej, ale skoro tylko odeszła, wpadał znów w poprzednie zamyślenie i bębnił dalej swojego marsza.

Przez okno kantoru widać było także dziedziniec, łączący się z nim ogród i mały nowy domek z pruskiego muru, otoczony niewielkimi gospodarskimi budynkami, a oddzielony tylko parkanem od posesyi pana Marcina. Należał on do Niemca Ofmana, właściciela jednej z największych berlinek, wożących zboże do Gdańska. Jakim sposobem ubogi człowiek do majątku przyszedł, nie naszą jest rzeczą badać, ale byli tacy co pamiętali jak przywędrował z kijem w jednej, a szczupłym węzełkiem w drugiej ręce — które to szczegóły, w zestawieniu z obecnem położeniem Ofmana, przynosiły mu tylko zaszczyt, jako dowodzące niezmiernej jego wyższości nad krajowcami, wielkiej wytrwałości i energii w walce o byt. Już sam sposób pozyskania gruntu pod budowę wart był zanotowania w kronice miasta, jako dowód rozumu przybysza i umiejętności tworzenia czegoś z niczego, którato umiejętność jest narodowym przymiotem Niemców.

Za parkanem ogrodu pana Marcina, był kawałek cuchnącego bagna, zalewanego od czasu do czasu przez wodę rzeczną. Ofman nabył to bagno od miasta za kilkanaście talarów, z powodu któregoś to interesu, pan burmistrz aż boki zrywał ze śmiechu i drwił z biednego Niemca ilekroć go spotkał, nazywając go »jaśnie wielmożnym dziedzicem«. Nowy obywatel miasta jednak znosił spokojnie te drwinki, i postępowaniem swoim dowiódł, że mądrze czyni ten kto się śmieje na ostatku. Zaczął od porozumienia się ze służbą policyjną i furmanami, których zadaniem było wywożenie śmieci

z ulic, i za poczęstunek oraz kilka pudełek zagranicznych cygar, skierował wywózkę na własne terytoryum. Tak załatwiwszy interes, postarał się o miejsce szypra na berlince, i co roku wracając z Gdańska ze statkiem po ładunek, wioził głęboko schowane w kajucie cygara i widział z pociechą jak grunt jego rósł coraz wyżej, wyżej, aż zrównał się poziomem z posesyą pana Marcina. Wtedy Ofman uznał, że już więcej cygar z za granicy przywozić nie ma potrzeby, i wyjąwszy ze skórzanego woreczka pieniądze zebrane kilkoletnią pracą, oszczędnością i przemysłem, ogroził grunt i wystawił na nim mały parterowy domek, podług planu, jaki sam sobie obmyślił. W drugim roku stanęły budynki gospodarskie, w trzecim przybyła ozdobna facyatka na domu mieszkalnym, w czwartym weranda przed domem i ogródek mały wprowadzie, ale zdaleka nęcący oko barwnością kwiatów i starannem utrzymaniem — a całość posesyi przybrała charakter miniaturowego holenderskiego folwarczku. Każdy szczegół mówił o wzrastającej zamożności posiadacza. Zamożność ta stała się jeszcze widoczniejszą, od czasu gdy się Ofman ożenił z wdową po właścicielu berlinki, na której poprzednio pełnił służbę szypra. Burmistrz już przestał śmiać się z niego, a pan Marcin wzruszający z początku tylko ramionami, zaczął przypatrywać się tej fortunie rosnącej pod jego boki, z pewną ciekawością. Co parę dni bowiem można tam było zobaczyć coś nowego: to ganeczek, którego dawniej nie było, to sztachetki, to drzewka świeżo zasadzone, to altankę! a między tem wszystkiem, od świtu do nocy chodził sam właściciel, krzątając się z trudną do zrozumienia dla szlachcica wytrwałością. A zawsze coś trzymał w ręku: to młotek, to szpadel, to nóż, to świder, — ciągle coś robił, przybijał, sam uskuteczniał każdą naprawę. Wkrótce też urządził porządną bulwark, regulujący brzeg rzeki w tem miejscu; statki przy nim zarzucały kotwice, a nawet zimowały za pewną opłatą, której żądać nie przyszło nigdy do głowy jego sąsiadowi — a co

wiosna stawały tam tratwy zbite z drzewa budulcowego. Miał już bowiem Ofman swój własny las w okolicy, i powoli go wyrąbywał.

Obok tych zabudowań, uderzających mile oko ładem i czystością, smutnie odbijała obszerna posesya pana Marcina. Parkan gnijący od spodu i grożący upadkiem, popodpierany był tu i ówdzie drągami; ze ścian domu tynk poodpadał w wielu miejscach, a drzewo wystawione na działanie powietrza i wilgoci, pokrywało się pleśnią. Dach na śpichrzu od roku potrzebował naprawy. Ze wszystkich kątów wyglądała zbliżająca się powoli ruina. Pan Marcin ruiny tej bynajmniej nie pragnął, ale miał jedną małą wadę: lubił wszystko odkładać na jutro. Gdy dach zaczął zaciekać, a pomocnik, zwróciwszy mu na to uwagę, chciał zaraz posyłać po rzemieślnika, odpowiadał, że »jest w gorącej wodzie kąpany« i że »niema nic pilnego«. Tym sposobem uszkodzenia zrazu małe i drobnymi kwotami dające się usunąć, zwiększały się i coraz znaczniejszych wymagały kosztów — że zaś wskutek nieszczęśliwego obrotu interesów, fundusze pana Marcina zmniejszyły się bardzo, więc ani można już było myśleć o większych reparacyach.

Jeżeli pan Marcin z okien swego kantoru widział co się działo u Ofmana, to Ofman widział równie dobrze, a może nawet lepiej, co się działo u niego — czego najlepszym dowodem było, że w chwili bardzo krytycznej dla pana Marcina zaproponował mu sprzedaż domu i ogrodu. Ale pan Marcin, choć flegmatyczny z natury, zsiniał aż z gniewu, i nawymyślał mu po szlachecku. Niemiec zniósł obelgi z tak zimną krwią, jak niegdyś drwinki burmistrza i pomyślał sobie prawdopodobnie, że i na niego przyjdzie kiedyś kolej wymyślać, tylko trzeba czekać cierpliwie.

Odtąd pan Marcin czuł do sąsiada dziwną, niewytłomaczoną niechęć, a ta wzmogła się jeszcze od czasu, gdy ten sam obywatel Tecki, którego niegdyś uratował od subhasta

cyi, dla oddania należności domowi handlowemu, pożyczył od Ofmana pieniędzy i wymógł znów poręczenie na słabo opierającym się panu Marcinie. Spisano umowę u Ofmana, żeby przypadkiem pani Orecka nie domyśliła się, o co idzie, poczem pan Marcin poszedł do domu naprzód, dla niepoznaki, a Tecki miał w kwadrans potem przyjść do niego z pieniędzmi. Ale minął kwadrans jeden, drugi, trzeci, mijały godziny i wieczór nadszedł, a Teckiego jak nie było, tak nie było.

— Przyjdzie jutro; — powiedział sobie pan Marcin, nie uczuwając najmniejszego niepokoju — musiało go coś w mieście zatrzymać.

Ale nazajutrz napróżno Teckiego i pieniędzy cały dzień wyglądał: dopiero wieczorem zjawił się posłaniec z listem, w którym pan Tecki tłumaczył mu, że nagły interes zmusił go wczoraj do natychmiastowego powrotu do domu, i przepraszał, że zwrot należnej Domowi handlowemu sumy musi jeszcze na sześć miesięcy odłożyć — ale zdrowie jego żony jest tak nadwerężone, że doktor kazał bezzwłocznie wysłać ją do wód — czemu on, pragnący ratować życie matki kilkorga dzieci, sprzeciwiać się nie może.

Nagły strach ogarnął pana Marcina po przeczytaniu tego listu, ale uspokoił się wkrótce argumentem, że Tecki jest przecież uczciwym człowiekiem, że go zna; że odda pieniądze niezawodnie za sześć miesięcy, kiedy tak mówi; że wreszcie nie można mu się dziwić, iż chce ratować żonę! Czyż on sam, Marcin Orecki, nie oddałby wszystkiego, co posiada, dla ratowania swojej? Onby duszę zastawił!

Mimo takich i tym podobnych, samemu sobie czynionych perswazyj, stracił apetyt i humor, chudł coraz bardziej, a włosy jego niedawno jeszcze szpakowate, zupełnie prawie pobielały. Po upływie zapowiedzianych sześciu miesięcy, podczas których Tecki systematycznie unikał wszelkiego z panem Marcinem spotkania, ten ostatni zdecydował się na krok energiczny, to jest, postanowił sam się upomnieć o pieniądze,

i zmyśliwszy jakiś niespodziany interes przed żoną, pojechał do niego. Przez całą drogę układał sobie szereg ostrych wyrzutów, jakimi go miał przywitać — ale gdy ten, dla kogo były przygotowane, przyjął go z otwartymi ramionami, nie miał odwagi wypowiedzieć ich tak obcesowo, jak sobie był zamierzył, i uczynił to w jak najłagodniejszej formie. Gospodarz naturalnie ani myślał zaprzeczać, przyznawał się do winy, przepraszał, i solennie obiecał przywieźć pieniądze w jak najkrótszym czasie.

Ugoszczony, wyściskany, wycałowany, obdarowany olbrzymim szczupakiem, pół tuzinem kuropatw i dwoma zajacami, pan Marcin odjechał z dobrą myślą, i mocniej niż kiedykolwiek przekonany, że Tecki jest porządnym człowiekiem. Zresztą, termin zawartej z Ofmanem ugody, obowiązywał dopiero za rok pana Marcina. Tylko tego Niemca coraz bardziej nie znosił.

Zauważył, że od jakiegoś czasu Ofman bacznie przyglądał się jego posesyi, jakby notował sobie wszystkie uszkodzenia i obliczał koszt ich naprawy, albo układał w myśli plany na przyszłość — i na sam widok jego kaftana niebieskiego włóczkowego i fajeczki porcelanowej, łagodny ten człowiek uczuwał napady głuchej, bezsilnej wściekłości, a po niej bolesne ściśnienie serca, podobne temu, jakie czuć musi niezawodnie drobna muszka, zaplątana w sieć pajęczyny, na widok spuszczonego się ku niej pajaka. Świat należy do energicznych, powiadają, a Niemiec dodaje pocichu, że i do cierpliwych...

Dla uzupełnienia portretu Ofmana dodać musimy, że rozumny ten człowiek, umiejący pokonywać wszelkie trudności, jednej nie zdołał pokonać: oto że choć dość długo mieszkał w M., nie mógł jednakże nauczyć się po polsku. Obejście jego z panem Marcinem, w miarę zmiany stanowiska, ulegało też niejednokrotnej przemianie. Gdy kupił bagno za swoje kilkanaście talarów, kłaniał mu się nisko, zdaleka już zdej-

mując czapkę; zostawszy właścicielem lasów i dwóch statków, ograniczył się na uchylaniu czapki, z giestem umiarkowanie grzecznym; a od czasu, jak miał w szufladzie jego podpis, nie zdejmował czapki wcale, tylko kiwał głową.

II.

Urządzenie domu pana Marcina miało wszelkie cechy pańskości i bogactwa: były tam aksamity na meblach, były zwierciadła, dywany, obrazy, bronzы i kryształы, a wszystko składało się na całość imponującą zdaleka, a uderzającą smakiem estetycznym i wytwornością; dopiero przy bliższem rozpatrzeniu widać było, że te dywany i aksamity, resztki dawnej świetności, były bardzo zniszczone i spłowiałe. Służba chodziła w wytartej liberyi, ozdobionej dużymi herbowymi guzikami, i liczniejsza niż potrzeba: było to jedno z długiego szeregu ich dawnych szlacheckich nawyknień, jakich pomimo utraty dziedzicznego majątku i kilkoletniego mieszkania w mieście, pozbyć się nie umieli. Pan prędzej może byłby się przerobił na mieszczanina, ale pani, córka magnata, wychowana w atmosferze zbytku, nie mogła przywyknąć do zmiany stanowiska, choć z konieczności zgodzić się z niem musiała. Doświadczenie, będące zwykle najlepszą szkołą życia, w tym przynajmniej względzie nie wywarło na nią swego wpływu: nic bowiem nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Im większa przestrzeń czasu oddzielała ją od tej minionej niepowrotnie przeszłości, tem z większą trudnością znosiła ciężar obecnej egzystencji — a jeszcze nieopatrzność męża nabawiła ją śmiertelnej trwogi o przyszłość.

Chwilami w duszy jej powstawał gwałtowny bunt przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Wówczas czyniła mężowi

gorzkie wyrzuty i dostawała płaczu nerwowego, po którym następowała zawsze długa bezsilność i apatyczna rezygnacya. Znekany jej umysł potrzebował koniecznie rozrywki, zmiany miejsca, a wątle jej zdrowie cieplejszego klimatu — o tem wszystkim jednakże myśleć nawet nie było można. Coraz bardziej pogorszący się stan interesów wymagał znacznych ograniczeń w trybie życia, ale możliwość takiej zmiany nawet przez myśl pani Oreckiej nie przeszła: Komfort był tej kobiecie tak potrzebnym do życia, jak powietrze do oddychania. Zdawało się, że po niewoskowanej posadzce nie umiałaby chodzić, a potrawy podane na porcelanie lub srebrze, miały dla niej inny smak, niż na fajansie lub glinie. Ubiór jej chociaż skromny, zrobiony był zawsze z wyborowego materiału i odznaczał się wytwornością formy. Twarz, nosząca ślady wielkiej piękności, miała wyraz troski i zmęczenia, do czego może przyczyniło się kilkoletnie cierpienie nerwowe, podkopujące zwolna cały organizm. Co tylko miało jakąkolwiek bądź własność wzmacniającą, wszelkie ekstrakty, esencye, wina stare, wszystko to sprowadzał dla żony pan Marcin, ale bez żadnego skutku, nie domyślając się, że on to właśnie swoją nieprzezornością zatruwał jej spokój i rujnował jej zdrowie, i że zmiana położenia materialnego na lepsze, odrazu postawiłaby ją na nogi. Po całych dniach leżała na kanapie z oczyma utkwionemi w sufit, albo z książką, której nie czytała — nie mając ani siły, ani ochoty do zajęcia się gospodarstwem, ani potrzeby wreszcie, bo cóżby w takim razie robiła panna służąca? Mimo to, wątle, delikatna dłoń pani Marcinowej, trzymała rządy mocno: czuli to wszyscy i ulegali jej, zaczawszy od pana Marcina, mówiącego żonie wszystko, wyjąwszy tego, co mogło jej się niepodobać.

Jedyna córka państwa Oreckich, Helenka, miała w sobie potrosze z charakteru obojga rodziców. Z ojca wzięła nieograniczoną wiarę w ludzi i serce pełne współczucia dla ludzkiej niedoli; z matki wytworność, wrażliwość nerwową niemal

i wstręt do wszelkiego trudu. Jakże zresztą mogła zasmakować w pracy, kiedy od dzieciństwa odsuwano od niej trud wszelki? Nie знаła prawie, co to chodzić piechotą, bo w stajni stały konie, gotowe w każdej chwili na rozkazy; nie wiedziała, co ubrać się samej lub rozebrać, bo to był obowiązek panny służącej, a po delikatnych paluszkach znać było, że rzadko kiedy spotykały się z igłą. Wdzięczna jej postać uderzała wybujałością wzrostu i delikatną budową; to też oboje rodzice drżeli o swoją jedynaczkę i wmawiali w nią słabe zdrowie, co słysząc ciągle dokoła siebie powtarzane, panienka nie tylko uwierzyła że jest zagrożoną, ale w przesadzonej obawie o siebie, unikała wszystkiego, co ją męczyło.

Całem jej zajęciem aż do siedmnastego roku życia, było uczyć się lub bawić; a od chwili, gdy miss Mary i mademoiselle Madeleine opuściły ją, to jest od kilku tygodni, nie wiedziała co robić z czasem — i jeżeli matka jej nie potrzebowała, spędzała dni przy fortepianie. Jedna z guwernantek Helenki wpłynęła na jej postępy w graniu, ale po swojemu, po kobiecemu, płytko i jednostronnie. Co było świetnością i błyskotką, to z pod jej palców dobrze wychodziło, ale każda rzecz głębsza stawiała się raczej zagmatwaniem, niż rozkryciem skarbów. Szopena lubiła bardzo, szczególnie mniejsze jego utwory, jak nokturna, walce, ale odziewała je przesadną sentymentalnością, od której jej samej rozstrajały się nerwy, ale którą właśnie matka w niej uwielbiała, mniemając, że córka wydobywa z siebie najtkliwsze kobiece uczucia, że zatem jest zachwycającą, jak mało która z grających. Wiele też godzin pochłaniało jej czytanie książek w kilku językach, nie wyjmując ojczystego, i marzenia, których przedmiotem była jej własna przyszłość, podobna do przyszłości bohaterów wszystkich kończących się szczęśliwie powieści.

Zajęcia te, niemogące być w żaden sposób nazwanymi pracą, jako nieobowiązkowe ani w systematyczny ład ujęte, nie wypełniały życia dziewczęcia — to też często przy nich

poziwała, a ładna jej twarzyczka pozbawiona była głębszego wyrazu. Z tego wszystkiego widać, że wychowaniu Helenki brakowało zupełnie gruntu realnego. Wielkie jej zdolności rozwinięte były tylko jednostronnie: kształcono ją głównie w językach i talentach, czyniących kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennem — i tylko własnemu pragnieniu wiedzy była winna, że umiała trochę więcej, niż ją starano się nauczyć. Umysł przebywający ciągle w krainach fantazyi, nie rozumiał warunków życia rzeczywistego, a wrodzona bystrość i inteligencya przytępione były beczynnością. Jaką dziewczynka ta w przyszłości stanie się kobietą, nie można było wiedzieć. W duszy jej drzemały siły ukryte, które życie tylko mogło rozbudzić, albo uśpić zupełnie: były tam zarody energii, była gotowość do poświęceń, odwaga i zapał — szlachetne kruszce, potrzebujące koniecznie próby ognia dla nabrania wartości i blasku.

Helenka widziała stopniowy upadek filii Domu handlowego, ale nie przypuszczała, aby upadek ten tak blisko dotykał jej ojca — miała mu też za złe, że tak te sprawy brał do serca. Ojciec w jej przekonaniu był zamożnym kapitalistą; a choć o cyfrę jego kapitałów nie pytała nigdy, bo miała wrodzony wstręt do cyfr, sam fakt, że istniały, wystarczał jej. O interesach nie mówiono z nią nigdy, przyszłość więc nie przestraszała jej bynajmniej, choć z różnych rzeczy miarkowała, że nie wszystko idzie jak należy. Były to jednak w jej mniemaniu drobnostki, dające się łatwo usunąć, i niewarte, żeby ojciec dla nich tracił apetyt. Patrzyła na świat oczyma młodości, i widziała wszystko w różowych barwach. Od kilku tygodni zajmowała ją myśl o balu, mającym się odbyć u jej stryja pana Bartłomieja, zamożnego obywatela, na którejto zabawie Helenka miała po raz pierwszy ukazać się jako panna dorosła, i niby rycerz świeżo pasowany, zamiast szpady, otrzymać długą suknię. Napisano po suknię do Warszawy, a sama Helenka nakreśliła plan tego arcydzieła

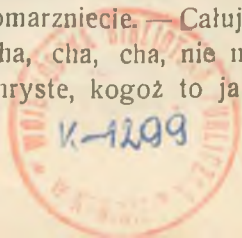
kunsztu niewieściego. Tymczasem liczyła niecierpliwie dnie, przedzielające ją od balu i marzyła o nim na jawie i we śnie. Zdawało jej się, że będzie to początek poematu jej życia i wkrótce zaraz po tym początku, jak w bajce, przyjedzie do niej piękny królewicz i złoży u jej stóp serce i majątek.

III.

Stary dwór gorzał światłem; sanki, bryczki, powozy wjeżdżały przez wrota na dziedziniec i kolejno ustępowały sobie miejsca przed gankiem. Odgłosy muzyki mieszały się ze szczekaniem psów i wołaniem stangretów. Na dworze było ciemno mimo śniegu pokrywającego ziemię, a dwie latarnie, zawieszone wysoko na słupach przede dworem, zaledwie na kilkanaście kroków dokoła oświecały przestrzeń.

W ganku ugarniowanym sopłami lodu stoi w baraniej czapce sam pan Bartłomiej i przyjmuje gości, choć mróz na dworze trzaskający. Byłoby komu zastąpić go, co prawda, bo ma synów, ale pan Bartłomiej jest człowiekiem starej daty, i po staremu obowiązki gospodarza pojmuje — słynie też z gościnności w okolicy szeroko i daleko. Światło latarni pada wprost na tę wysoką, barczystą postać, z gęstą siwą czupryną i wąsem zawieszystym, ożywioną wyrazem jowialnej, rubasznej wesołości

— Jak się macie? — wołał jędrnym głosem — niech wam Bóg da zdrowie, żeście przyjechali! Kochany radca! Uniżony sługa pani radczyni dobrodziejki! Ach, panna Anastazy! Serdecznie dziękuję, odsłużę się na weselu. Spieszcie się państwo z wysiadaniem, bo pomarzniecie. — Całuję rączki pani sędzinie, gdzież mężulek? Cha, cha, cha, nie może się wygramolić nieborak! — Jezu Chryste, kogoż to ja widzę?



prezesa? A niechże cię uściskam! a tośmy się kopę lat nie widzieli! Moje uszanowanie pani prezesowej.

Takie i tym podobne wykrzykniki trwały dopóty, dopóki powozy nie rozjechały się powoli ku stajniom. Na samym końcu podsunęła się pod ganek kareta na saniach, z dużą walizą z tyłu, zaprzężona w cztery konie.

— A wy skąd? — krzyknął pan Bartłomiej na stan-greta — czy nie z M.?

— Z M. wielmożny panie — odrzekł zagadnięty, zeskakując z kozła i otwierając drzwiczki.

Z karety wyskoczyła zakapturzona postać niewieścia. Z lekkości tego skoku można było odrazu zgadnąć, że to jest coś młodego, a dwoje wielkich oczu, błyszczących jak dwa ognie przy świetle latarni, pozwalało się domyślać, że to jest także coś ładnego. Pan Bartłomiej otworzył ramiona i porwał tę postać w objęcia.

— Jesteś przecie, robaczku, chwała Bogu! Myślałem, że już nie przyjedziecie. Jak się masz, robaczku? jak się masz? A to ci zmarł buziaczek, no! Kto też to widział tak późno przyjeżdżać, kiedy tylu ładnych chłopców czeka! Doprawdy, że to nie do darowania! A matka jest?

— Jest, stryjaszku, a jakże! jest i ojczulek!

Kto późno chodzi, sam sobie szkodzi, mówi przysłowie, i prawdę mówi. Zanim przybyłe panie w przygotowanym dla nich pokoju ogrzały się i rozgościły, zanim młodzietka synowica pana Bartłomieja zdołała uwolnić się z uścisków kuzynek i odpowiedzieć na wszystkie pytania: jak? co? dlaczego? zanim panna służąca rozpakowała rzeczy i ubrała najprzód panią, a potem panienkę, upłynęła długa godzina. Pan Bartłomiej na dobre się niecierpliwił. Pukał co chwila do drzwi, pytając: »A czy już? a czy jeszcze? a czemu tak długo?« Narzekał na kobiety, że się ze wszystkim guzdrzą. Trudno, gniewaj się jak chcesz, panie stryju, panienkę ubrać trzeba, bo to nie wieczór bylejaki, ale bal całą gębą, bal, na który

zjechała się cała okolica. Trzeba na nią włożyć blado-różową powłóczystą sukienkę z gazy tak lekkiej i przezroczystej, że jest obawa, aby się za dotknięciem nie rozwiała jak mgła poranna; trzeba tę sukienkę przybrać pierwiosnkami, stokrotkami i innymi jeszcze kwiatkami, które przynosi z sobą wiosna. Trzeba panienki białe ramiona troszeczkę odsłonić, i otoczyć je tymi samymi kwiatami, aby przy ich żywych barwach wydawały się jeszcze bielsze; trzeba nakoniec we włosy jasne wpiąć parę kwiatków. Pani Orecka, siedząc w fotelu, dawała rozkazy i wskazówki pannie służącej, a potem jeszcze poprawiała wszystko własną ręką. Zrobiła ona ofiarę dla córki ze swego zdrowia, przybywając na ten bal — ale chciała ją sama po raz pierwszy w świat wprowadzić i być świadkiem jej powodzenia, o którym nie wątpiła.

Helenka, napatrzywszy się do syta w zwierciadło, zwróciła całą uwagę na ogon tak dla niej upragniony, a pasujący ją odtąd na dorosłą pannę, gdy wszedł zniecierpliwiony pan Bartłomiej, prowadząc z sobą pana Marcina, któremu kazał dać admonicyę kobietom za guzdranie się. Wszedł i stanął zdumiony. Odkąd znał swoją synowicę, nigdy jeszcze nie widział jej tak piękną, nigdy jeszcze delikatny owal twarzy nie wydał mu się tak szlachetnym, ani rysy tak regularnymi; nigdy jej cera delikatna nie była tak przejrzystą, jak w tej chwili, gdy ją rumieniec szczęścia na widok podziwu stryja oblewał; ani oczy tak pełnymi uroku, jak teraz, gdy błyszczała w nich zarazem radość i obawa, ciekawość i pragnienie poznania tego świata, do którego się rwała całą duszą.

Panu Bartłomiejowi aż się żal zrobiło, że żadna z jego córek nie mogła jej urodą dorównać.

— Co za śliczna dziewczyna! — przemówił, ochłonawszy ze zdziwienia — niech mnie dyabli porwą, jeżeli dziś wszystkim chłopcom nie zawrócisz głowy! — I podając ramię bratowej, dodał: — No, Marcinie, prowadź swoją córkę.

Gdy panna Helena weszła do sali wsparta na ramieniu



Helenka napatrzywszy się do syta w zwierciadło, zwróciła uwagę na ogon, tak dla niej upragniony.

ojca, rozszedł się szmer i dały się słyszeć szepty. Pan Bartłomiej nie mógł się opędzić prośbom o prezentowanie i zanim panienska miała czas oswoić się z olśniewającym blaskiem światła i rozejrzeć w tłumie, już w tańcu okrążała salę. Ledwie ją pierwszy tancerz posadził, już ją zamawiał drugi; nie było ani chwili czasu do namysłu. Wiedziała tylko, że tańczyła, z kim, nie wiedziała; żadnemu ze swych tancerzy nie miała czasu się przypatrzyć — a jak się który nazywał, nie wiedziała, choć stryj wszystkie nazwiska jej wymieniał. Ktoby zresztą tyle nazwisk spaamiętał!

Nareszcie mogła trochę odetchnąć, rozpatrzeć się i myśli zebrać, jeżeli zebranie myśli możliwem jest na balu. Orkiestra zaczęła grać kujawiaka, tańce na chwilę ustały, ale za to w sali zrobiło się gwarniej. Z miejsca, jakie Helenka sobie do chwilowego odpoczynku wybrała, dochodziły ją urywki rozmów różnych i przepływały mimo jej uszu, jak muzyka z oderwanych dźwięków złożona, nie zostawiająca po sobie śladu. Jeden przecież głos wyróżniła — było głos jej stryja.

— Pan nie tańczysz, panie Stefanie? — mówił pan Bartłomiej — wstydź się waszmość. Taki tęgi chłopiec i pozwala nogom próżnować! Za moich czasów inna była młodość. Jabym teraz jeszcze was wszystkich przeskoczył!

— Ależ tańczyłem, szanowny panie, tańczyłem kontredansa i walca.

— Zamiast gadać, zawiń się waść koło której panny i wyskocz. Wszakże cię prezentowałem mojej synowicy?

— Nie, panie.

— Nie? — powtórzył, jakby zdziwiony, — a to chodźże, chodź.

— Chętnie, szanowny panie, ale słyszałem, że jest już zamówiona do wszystkich tańców.

Pan Bartłomiej roześmiał się na całe gardło.

— No, no, nie troszcz się, wyproszę dla ciebie jednego. Helenka podniosła oczy i ciekawie spojrzała na tego,

którego jej stryj prowadził. Byłto bardzo piękny młodzieniec; czoło jak z marmuru wykute, otoczone było bogatymi pierścieniami ciemno-kasztanowatych włosów; oczy patrzyły śmiało a nawet wyzywająco; nos kształtny, prosty, nadawał twarzy charakter umiarkowanej stanowczości, a usta napół schowane pod wąsem miały już pewien wyraz znużenia i bajronizmu. Wzrost piękny, obejście znamionujące człowieka światowego, frak najświeższej mody i szapoklak trzymany z pewnym niedbałym wdziękiem, dopełniały tej postaci młodzieńczej, będącej celem spojrzeń i skrytych westchnień wszystkich panien.

— Pan Stefan Jerski — rzekł pan Bartłomiej, prezentując.

— Szanowny gospodarz obiecał mi w imieniu pani kujawiaka — rzekł, usuwając barykadę z krzesełek i składając jej ukłon głęboki — wolnoż mi odwołać się do tej obietnicy?

— I owszem — odrzekła powstając — obietnicę stryja przyjdzie mi wypełnić tem chętniej, że lubię ten taniec.

— Chłopskiego! — krzyknął na muzykę pan Bartłomiej, i wnet skrzypki jakby posłyszały zaklęcie, zrobiły się smętniejsze, basetla jęła rażniej basować, od ucha, jak to mówią, a za nimi we wszystkich instrumentach inne ozwało się życie; a było instrumentów kilkanaście, bo muzykę sprowadzono aż z miasta. Nie był to już ów salonowy, z niemieckim walcem pobratany taniec, ale kujawiak prawdziwy, w całej swojej oryginalnej poezyi i prostocie.

Stefan jedną ręką objął swoją tancerkę, drugą z kapeluszem podniósł w górę i puścił się przez salę.

Kto kujawiaków tańczących nie widział, ten o charakterze tego tańca nie może mieć dokładnego pojęcia. Już sam początek jest owacyą dla tej, która została wybraną. Tancerz zdaje się mówić: patrzcie i zazdroście mi! Potem ujmuje drugą rękę towarzyszki i zaczyna z nią krążyć zwolna, z namysłem, jakby się broniąc owładającemu nim urokowi, aż

zwyciężony i wciąż przejęty, zgina przed nią kolano, a ona wzruszona chyli się w jego objęcia. Tu już taniec staje się iście wichrowatym. On się zrywa jak burza i porywa ją z sobą, żeby znowu za chwilę paść przed nią na kolana — i tak jest coraz częściej, nareszcie co zwrot, a tempo coraz szybsze, staje się w końcu szalonym. Rzadko też która tancerka nie dostanie zawrotu głowy i wytrwa do końca. Helenka tańczyła lekko i zręcznie, nie dotykając prawie ziemi; Stefan jak wicher, który gałązkę kwiatu porwał z sobą.

Gdy skończyli nareszcie, posypały się rzęsiste oklaski. Panowie trochę już podchmieleni bili brawo i wołali o wino na wiwat. Zrobił się hałas i wrzawa; jedni brząkając kielichami wołali: »Niech żyją Kujawy!« — inni gwałtem chcieli urządzić kujawiakom owacyę przez obniesienie ich tryumfalnie po sali. Pan Bartłomiej zaniepokojony o całość swojej synowicy, biegał od jednych do drugich, perswadował — nie mógł nikogo przekrzyczeć, lecz udało mu się wreszcie zalać winem całą sprawę. Przy brzęku kielichów i wśród wiwatów, ogłoszono pannę Helenę królową balu.

Serce matki uderzyło radością i dumą. Wobec tryumfów córki, pani Marcinowa zapomniała o swoich nerwach — a liczne towarzystwo, widok świetnych toalet, muzyka, wreszcie przerwa w monotonnem i odosobnionem życiu, jakie wiodła od lat kilku, podziałały na nią skuteczniej i lepiej, niż wszystkie krople. Błada jej i zawsze zmęczona twarz ożywiła się lekkim rumieńcem i przybrała pozory zdrowia, a wyraz gniożącej troski ustąpił miejsca wyrazowi macierzyńskiej dumy i zadowolenia.

Stefan stojący ciągle za krzesłem Helenki niepokoił panną Orecką. Skinęła wachlarzem na pana Bartłomieja i spytała go wprost, co to za jeden i jaki jest jego stan majątkowy.

— Bądź siostra spokojna, — odrzekł zapytany — wioskę ma ładną, a druga mu się dostanie po najdłuższem życiu rodziców. Gospodarz nie tęgi, ale się wprawi powoli; myśliwy

zawołany: ptactwo strzela w lot, a do zająca trafia o zakład. Dalibóg! W karty gra, ale szczęśliwie, i taką, powiadam siostrze, szelma ma zimną krew, że ani drgnie. Od kieliszka nie stroni, przytem chłopiec gładki, wie, jak trzeba skakać koło panien; miele językiem tak, że ani się zająknie, lepiej niż nasz proboszcz na kazaniu, jak siostrę kocham! Był w Paryżu... co siostra chcesz, skończony kawaler!

Pani Marcinowa kiwnęła głową na znak, że jej to objaśnienie wystarcza, i pomyślała sobie:

— Nie jest to wprawdzie dosyć świetna partya dla mojej córki, bo ze swoją pięknoscią i rozumem może ona zrobić lepszą karierę, ale tymczasem nie trzeba odstręczać tego młodzieńca.

Pan Marcin zapomniiał także na chwilę o swoich troskach, a powodzenie córki nappełniło go, równie jak jego żonę, świetnemi co do jej przyszłości nadziejami. Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł pomiędzy gośćmi brata wielu swoich dłużników. Ten i ów w pierwszej chwili miał ochotę schować się na jego widok, ale Tecki pierwszy postąpił ku niemu z wyciągniętymi rękami.

— Drogi, kochany Marcin! Jak się masz, bracie?

Za Teckim i inni nabrawszy otuchy witali go ściskając i całując, i wzięwszy pod ręce poprowadzili do gabinetu obok, gdzie stały butelki starego, wytrawnego węgryzyna.

— Panowie, — odezwał się Tecki — wypijmy zdrowie naszego kochanego Marcina, człowieka rzadkiej w dzisiejszych czasach dobroci i zasłużonego krajowi obywatela. Niech nam żyje sto lat!

— Oby się tacy na kamieniu rodzili — wtrącił drugi.

— Wypijmy, wypijmy! — powtórzyli inni — niech nam żyje!

— Takich nie sieją, — szepnął ktoś półgłosem — sami wschodzą.

Pan Marcin zaatakowany w stronę swojej obywatelskiej

zasługi, będącą u niego stroną najsłabszą — zapomniał o powziętym w pierwszej chwili zamiarze skorzystania ze sposobności dla upomnienia się o swoją należność. A wypiwszy kilka kieliszków, do których go gwałtem zmuszono, tak się rozrzewnił, że wszystkich po kolei uściskał.

Stefan prowadził Helenkę do wieczery, i siedząc przy niej cały czas, zabawiał ją rozmową — a tak się nią zajął wyłącznie, że nawet nie słyszał, co do niego mówiła siedząca z drugiej strony panna sędzianka. Rozmowa była wdzięcznem a lekkim potpourri, którego nikt nie byłby w stanie powtórzyć, a tem mniej streścić, z tak różnorodnych składało się motywów. Mówiono o balu i modach; o Wenecyi, Rzymie i Neapolu; o Bajronie, poezyi i romantyczności wieków średnich; o muzyce, miłości, kwiatach i blasku księżycy — słowem o wszystkim i o niczem. Stefan był mistrzem w tego rodzaju konwersacyi salonowej, i z niepospolitą zręcznością przechodził od przedmiotu do przedmiotu, ślizgając się po wszystkich, a nie dotykając głębiej żadnego. O czemkolwiek bądź mówił, oczy jego spoczywające prawie bezustannie na twarzy towarzyszki mówiły jej, że jest czarującą, że podbiła jego serce — a ta mowa bez słów upajała ją więcej, niż najpiękniejsza muzyka. Dorodny młodzieniec podobał się bardzo Helence: zachwycala ją jego elegancya, jego wytworne maniere, jego ujmująca powierzchowność, a najwięcej może jego dla niej uwielbienie; a chociaż w tej długiej rozmowie nie usłyszała od niego nic takiego, coby dawało miarę jego wewnętrznej wartości — dopowiedziała to sobie sama. W jej przekonaniu, musiał być ideałem męczyzny, i serce dziewczęcia uderzyło dla niego jakimś nowem nieznanem dotąd uczuciem. Poemat jej życia zaczął się od tej chwili. Była zakochana, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Tańce przeciągnęły się do rana. Pan Bartłomiej nie każał otwierać okienic, aż dopiero gdy już słońce było wysoko, a w sali jadalnej na stole ustawiono dymiące półmiski z bi-

gosem, wazy z barszczem, poncz i inne ostre a orzeźwiające posiłki. Śniadanie było dla wielu osób hasłem do odjazdu. Stefan odjechał, unosząc z sobą obietnicę Helenki, że będzie się znajdowała na balu kostyumowym u barona i przetańczy z nim pierwszego kontredansa.

Przy pożegnaniu powiedzieli sobie wiele rzeczy błahych dla obojętnych ludzi, a dla nich mających znaczenie głębokich, im tylko wiadomych tajemnic.

IV.

Rozgłos o tym balu, a z nim razem rozgłos o piękności panny Oreckiej rozszedł się po całej okolicy. W kilka dni potem poszedł do Warszawy pod adresem modniarki gruby list, z dokładnymi instrukcjami tyczącymi się nowej toalety. Dla lepszego zaś zrozumienia instrukcyi dołączony był do listu, jako komentarz, rysunek powleczoney wodnemi farbami, a wykonany ręką Helenki. Miał to być kostyum leśnej bogini — suknia przybrana bluszczem błyszczącym od rosy, paprociami, mchem i porostami drzewnymi — pomysł nowy i całkiem oryginalny.

Pan Marcin, gdy się o tym drugim balu dowiedział, sposepniał bardzo, bo przeczuwał, że mu on sporą sumę pieniędzy z kieszeni wyciągnie — ale żona wytłumaczyła mu, że gdy się ma córkę dorosłą, nie można jej chować przed ludźmi. Westchnął więc tylko i zamilkł.

Pani Orecka źle bardzo spała tej nocy. Obudziły ją jakieś biegania po ulicy, hałasy, nawoływania — co wszystko razem, dając pole najrozmaitszym przypuszczeniom i domysłom, straszniejszym jeden od drugiego, nabawiło ją bicia serca. Posłana na wywiady służąca przyniosła wiadomość, że

na przedmieściu pali się dom starej Mośkowej, ale państwo nie mają się czego obawiać, bo to daleko stąd, a zresztą już ogień ugasili. Wiadomość ta uspokoiła panią. Poleciała służącej obejść ze świecą cały dom, dla przekonania się, czy niema gdzie ognia zaproszonego, zażyła anodyn na cukrze, kropli laurowych na wodzie i usnęła. Pan Marcin zaś, który dotąd spał smacznie, po usłyszeniu sprawozdania służącej, jak zaczął się na łóżku przewracać, poprawiać i wzdychać, tak się poprawiał, przewracał i wzdychał do samego rana, nie zmrzywszy oka ani na chwilę.

Jedna tylko Helenka miała niczem niezakłócony spoczynek, bo do jej pokoiku na górze, jako położonego od strony rzeki, hałasy uliczne nie dochodziły tak wyraźnie.

Nazajutrz rano w kuchni opowiadano sobie różne szczegóły o pożarze. Mośkową znali wszyscy, bo roznosiła po mieście zapalki i przynajmniej raz w tydzień zjawiała się w każdym domu. Stangret Józef i lokaj Antoni byli nawet na miejscu katastrofy i mówili, że z domu Mośkowej została się tylko kupa gruzów i parę niedopalonych desek — i że gdyby się ta chałupa nie była spaliła, to pierwszy lepszy wichur pewnieby ją przewrócił, bo się już bardzo na jedną stronę pochyliła. Dalej mówili, że biedna stara zaledwie zdążyła uciec ze swymi wnukami, zostawiwszy w ogniu pościel, towaru za dwa ruble, i jeden trzyrublowy papierek, bo drzewo spróchniałe spłonęło w jednej chwili jak zapalka. Wypowiadziawszy to wszystko, Józef dodał, że »Żyda niema czego żałować, bo oszukaństwem żyje« — a Antoni powtórzył, że »tak jest, do wszystkich dyabłów!«

W tym samym przedmiocie rozmowa toczyła się w pokoju jadalnym. Pani, siedząc przy stole w eleganckim negliżu opowiadała córce o niespokojnej nocy, jaką miała z tego powodu, i o biciu serca, które do tej pory jeszcze niezupełnie się uspokoiło.

— Ale czemu to ojca niema przy śniadaniu? — spy-

tała po chwili przerywając opowiadanie — czy posyłałaś, Helenko, Antoniego do kantoru?

— Ojciec wyszedł od godziny, mateczko, — odpowiedziała — widziałam sama, jak wychodził.

Pani Orecka zdziwiła się.

— Wyszedł bez śniadania, — szepnęła — to coś nadzwyczajnego. Ciekawam, gdzie też mógł iść!

— Może ojciec poszedł na rynek dowiedzieć się o cenach zboża; dziś jest dzień targowy.

— Co ojca obchodzą ceny, gdy śpichrz stoi pustkami; — odrzekła z westchnieniem — toć w tym roku ani jeden statek Domu handlowego nie płynie do Gdańska! Zresztą, nie wyszedłby nigdy bez śniadania. Coś w tem być musi. Nalej mi, Helenko, herbaty, tylko słabej; tak, dobra. A teraz dolej śmietanki do pełnego i podaj mi biszkopty. A to co znowu? — zawołała nagle, spojrzawszy w okno — Helenko, czy widzisz?

Środkiem ulicy szedł pan Marcin w szubie niedźwiedziej i niósł pod futrem jakiś duży przedmiot, któremu widać było tylko rudą, kędzierzawą głowę i dwoje dużych, niespokojnie biegających oczu. Za nim szła stara Moškowa bez peruki i rwała sobie włosy z głowy, głośno lamentując; dwoje malców wrzeszczących i zabrudzonych dreptało przy niej, trzymając się jej spódnicy, a za Moškową postępowała poważnie koza z opaloną brodą i beczała. Całemu temu orszakowi towarzyszyła gromada uliczników, naśladujących beczenie kozy na różne sposoby.

— Że też ojciec musiał koniecznie zrobić ze siebie widowisko — rzekła pani Orecka, czerwieniąc się — i sprowadza nam tu Żydów na kark. Co my z nimi pocniemy?

— Moja imość, każ dać zaraz tym biedakom jeść; — wołał pan Marcin, wchodząc do pokoju i rzucając czapkę na krzesło — oni jeszcze dziś nic w ustach nie mieli! Kazałem

im się tymczasem ogrzać w kuchni. Ale też zimno na dworze, aż strach! Dajno herbaty, dziewczuszko, bom zmarzł.

— Mój Marcinie, jakże też można było tutaj całą familię sprowadzać? — przemówiła z wyrzutem pani, podczas gdy Helenka pomagała ojcu zdjąć futro. — Gdzież ja ich pomieszczę? Dać im było coś w rękę i na tem skończyć.

— Moja imość, ino się nie gniewaj. Ady tam taka bieda, że niech ręka Boska bronil! Wszystko się spaliło. Siedziało to biedactwo na bruku i płakało; jakże ich miałem tak zostawić? Że też imości wszystki: o się nie podoba! O la Boga, la Boga!

— Alboż to Moškowa nie ma tutaj krewnych? Markus to jej szwagier przecie i pewnie nie byłby jej opuścił. Żydzi się trzymają między sobą.

Pan Marcin poskrobał się w głowę.

— Ano prawda, że to jej szwagier, — odrzekł — nie przyszło mi to do głowy. Ino już nie marudź, moja imość, bom głodny.

Pani Orecka spojrzała na męża z politowaniem i wyszła.

Uczestowano pogorzalców wyborną polewką z kartoflami i jeszcze dano każdemu po kawale chleba, który jedli, ocierając łzy. Łzy te nieustająco kapały z oczu starej Moškowej, i nic dziwnego, straciła całe mienie! Patrząc na tę twarz pargaminową, wyschłą, spaloną od słońca, nacechowaną w tej chwili wyrazem rozdzierającej boleści, myślało się o słowach psalmisty: »Chleb mój mieszałem z płaczem, a kości moje jako skwarki wyschły«.

Cała służba zbiegła się do kuchni, żeby przypatrzeć się aktorom dramatu i zapytać o szczegóły wiadome dokładnie wszystkim, i po sto razy już opowiadane. Józef, twierdzący niedawno, że Żyda niema czego żałować, przyniósł ze stajni swoją starą czapkę i podarował Josielkowi — a lokaj Antoni, który ich wysyłał do wszystkich dyabłów, wcisnął Ryfce w rękę dziesiątkę.

Podczas gdy matka i córka zajęte były przeglądaniem bielizny, żeby wybrać z niej coś dla pogorzalców, pan Marcin jadł śniadanie z apetytem, jakiego już nie miał oddawna. Zainteresowanie się biedną rodziną zajęło na chwilę jego przygnębiony umysł i odsunęło na bok myśli dręczące go jak zmora. Jedząc, wstawał raz po raz od stołu i zaglądał do kuchni. To nasmarował kilka bułek masłem i zaniósł, to wziął garść cukru i dał dzieciom, to znowu nakładał na talerz biszkoptów i potraktował malców. Tak spacerując ciągle z pokoju do kuchni i z kuchni do pokoju, spostrzegł porzucone na oknie klucze; uradowany z tego odkrycia, otworzył kredens, napakował jabłkami kieszenie, śpiesząc się z dokonaniem tej operacyi, zanim żona powróci, i już miał je nieść do kuchni, gdy wszedł Antoni i podał mu na tacy listy i gazety.

Pan Marcin odłożył na bok gazety, a wziął się do listów. Jeden był pisany stylem płacziwym z prośbą o wsparcie dla jakiejś biednej wdowy, która co parę tygodni przypominała się w ten sposób panu Oreckiemu, powołując się na swoje szlacheckie pochodzenie, a drugi z firmą Domu handlowego na kopercie. Widok tego ostatniego zdziwił przyjemnie pana Marcina. Tak rzadkie od pewnego czasu bywały między nim a Domem korespondencye, że gdy nareszcie jakaś się zdarzyła, było to dla niego prawdziwą uroczystością. Czuł się znowu agentem, a przed oczyma jego wyobraźni stawały szeregi cyfry i zdawało mu się, że słyszy znowu turkot wozów, zajeżdżających z odstawami, wołania robotników i odbijanie statków od brzegu.

Rozezrznął kopertę i przeczytał co następuje:

»Szanowny Panie!

Ponieważ od dwóch lat ruch interesów filii naszej w M. jest prawie żaden, i niema widoków powiększenia się na przyszłość — a dalsze utrzymywanie agentury

w tem mieście naraziłoby tylko Dom nasz na straty, przeto Rada Nadzorcza na posiedzeniu z dnia 3-go bieżącego miesiąca postanowiła zwinąć agenturę, której szanowny pan do tej pory przewodniczyć raczyłeś, i wydelegować jednego z pomiędzy siebie dla odebrania od pana ksiąg handlowych, rejestrów i zupełnego zlikwidowania interesów. Delegowany nasz wyjeżdża dzisiaj. Racz pan przyjąć...«

Pan Marcin przeczytawszy ten list, zbladł straszliwie, a przed oczami zaczęły mu biegać różne koła, czerwone, niebieskie, żółte...

— Ojczulku, co to jest! — krzyknęła Helenka, wchodząca w tej chwili do pokoju — czy ojczulek chory? czy też stało się jakie nieszczęście?

Pan Marcin spojrzał na córkę błędnym wzrokiem i szepnął głosem zmienionym:

— Wszystko się skończyło! Nie chcą mnie już... Dają mi dymisyę!

Obejrzał się i poszukawszy poręczy krzesła, osunął się w nie, bo już nie mógł dłużej utrzymać się na nogach.

Helenka objęła ojca za szyję.

— Drogi, kochany ojczulku — mówiła, głaszcząc pieszczotliwie jego rzadkie, siwe włosy — utrata posady, to jeszcze nie nieszczęście. Nie jesteśmy przecież biedni; mamy dom, a oprócz tego jeszcze coś...

— Otóż to właśnie, że nic nie mamy prócz domu, który nie przynosi nam żadnego dochodu, a od którego jeszcze podatki płacić trzeba! — wybuchnął. — Miałem majątek, ale większa jego część przepadła u ludzi, a i reszta pewnie przepadnie! Prawda, byłem nieopatrzny, ale chciałem ratować innych. Bóg widział. Nie będziesz miała posagu, moje dziecko, twój ojciec go strwoził! Czy mu to kiedy przebaczysz?

Zapłakał biedny starzec.

— Ojcze, ojczy, nie mów tak do mnie, — prosiła płacząc — ja ci nie mam nic do przebaczenia. Chciałeś dobrze, ojczulku, miałeś zawsze złote serce! Obejdę się bez posagu... Czyż ja już jestem taka zła i brzydka, — dodała, zaglądając mu w oczy z uśmiechem — że mnie bez pieniędzy nie zechce żaden chłopiec?

Pan Marcin popatrzył na nią z rozrzewnieniem.

— Ubogie panny z trudnością wychodzą za mąż, moje dziecko, — rzekł z westchnieniem — zresztą dalekie to rzeczy jeszcze, a tymczasem nie mamy z czego żyć!

Helenka zamyśliła się bardzo nad temi słowami.

— Zobaczy ojczulek, że poradzimy sobie jakoś — rzekła obcierając sobie oczy — będziemy oszczędzać...

— Oszczędzać! — powtórzył z goryczą — alboż wy obie z matką umiecie oszczędzać? Alboż ja to sam potrafię? Czy które z nas kiedy myślało o oszczędności?

W przyległym pokoju dały się słyszeć kroki.

— Słuchaj, Helenko, — powiedział prędko pan Marcin, spoglądając na drzwi — nie mów nic o tem matce, boby się zaraz rozchorowała.

— Mówiłam ci już tyle razy, Marcinie, że Antoniemu koniecznie trzeba sprawić nową liberyę — mówiła pani Orecka, wchodząc do pokoju z pakietem bielizny, którą panna służąca miała przerobić dla wnuków Moşkowej. — Doprawdy, że aż wstyd, jak on chodzi; a ile razy wejdzie do pokoju przy gościach, to aż mi się coś robi!

Ojciec i córka zamienili z sobą spojrzenia.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pani Marcinowa popatrzyła na oboje i zaraz zmiarkowała, że jest coś niedobrego; a choć pan Marcin spuszczał oczy zapewniał, że »nie wie o niczem«, choć się zaklinał na swoją miłość dla niej i coraz słabszym głosem prosił, żeby mu dała pokój, mówiąc, że »nie wie czego imość chce« — żona wydobyła



Kupcie sobie towaru za to.

z niego tajemnicę, bo też trudno było ukryć cośkolwiek przed bystrym wzrokiem pani Marcinowej.

Wiadomość wyczytana w liście sprawiła na niej wrażenie uderzenia gromu, i byłaby się niezawodnie rozchorowała natychmiast, jak tego mąż jej się obawiał, gdyby nie łączący się z utratą posady męża fakt przybycia delegowanego Rady Nadzorczej, którego należało przyjąć jak gościa, a gościnność leżała już we krwi pani Oreckiej. Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zapomniała o obowiązkach gospodyni — i dla spełnienia ich odpowiedniego honorowi domu, gotowa była ponieść wszelkie ofiary. Potrzeba przygotowania przyjęcia była dla niej w tej chwili prezerwatywą od choroby i opóźniła jej wybuch, jeżeli nawet nie osłabiła go.

— Musisz mi dać pieniędzy, Marcinie, bo ja już dziś ostatnie wydałam, — rzekła po chwili — a niema w domu ani wina, ani likierów. Trzeba też będzie kupić ryb i z jednego zajęcia.

Pan Marcin zwrócił znowu na córkę oczy nacechowane wyrazem takiego cierpienia, że w dziewczęciu serce się ścisnęło. Wstał jednak posłuszny i wolnym krokiem poszedł do kantoru, gdzie stała ulubiona jego kasa ogniotrwała, niegdyś tak pełna pieniędzy, a dziś tak pusta... Wyjął kilkanaście banknotów i chowając je do kieszeni, szepnął z boleścią:

— Ostatnia pensya!

Wracając z kantoru spotkał w sieni siedzącą na progu Mołskową, patrzącą przed siebie wzrokiem osłupiałym. Przystanął na chwilę, popatrzył i na twarzy jego odbiło się pewne wahanie. Nareszcie sięgnął do kieszeni i oddzieliwszy z sumy stanowiącej jego ostatnią pensję, trzyrublowy papiererek, wetknął go w rękę starej, oglądając się, czy kto nie widzi.

— Kupcie sobie towaru za to i handlujcie, jak dawniej — powiedział prędko i odszedł.

W kilka minut potem znowu skrzypnęły drzwi od sieni, i pani, oglądając się, czy czasem nie widzi mąż, który teraz

miął wszelkie prawo wymagać od niej oszczędności, wsunęła w rękę Mośkowej rubla. Ledwie się oddaliła, ktoś drobnymi krokami zbiegł szybko ze schodów i znowu w rękę staruszki wpadł pieniądz. Był to złoty, błyszczący dukat. Mośkowa ujrzała się nagle bogatszą, niż była przed pożarem.

Odwróciła głowę i długo patrzyła na drzwi, za którymi zniknęli wszyscy troje, z których ani jedno nie znało wartości pieniędzy, i łzy puściły jej się z oczu.

Takie były pierwsze oszczędności w tym domu.

V.

Pan Radlicz, delegowany Rady Nadzorczej, przyjechał wieczorem i przyjęty był nie tylko gościnnie, ale nawet wystawnie. Na stole nie brakowało ani ryb, ani zwierzyny, ani kosztownych przekąsek, ani starego, omszałego węgryna — co wszystko razem, przy cienkim holenderskim obrusie i za stawie składającej się ze srebra, kryształów i porcelany serwiskiej, pochodzącej jeszcze z wyprawy pani, świadczyło pozornie o zamożności domu. Antoni w swej wytartej liberyi prezentował się też nienajgorzej, dzięki starannie kredą wyczyszczonym guzikom i białemu krawatowi.

Pan Radlicz przyjeżdżając w charakterze urzędnika, chciał się w nim utrzymać, ale to było niepodobnem wobec szlachcica, przywykłego przez całe życie widzieć gościa w każdym, ktokolwiek przestąpił próg jego domu. Zresztą gość niczem urzędnika nie krępował, bo pani Orecka, mieszkająca się niekiedy do rozmowy, odzywała się z prawdziwie pańską nie dbałością o posadzie, jaką mąż jej miał utracić. Jedną tylko Helenką wiedziała, ile kosztowała matkę ta niedbałość i miłą uprzejmość, jaką miała dla gościa. Ona sama tak była nie-

spodzianie zaskoczona wypadkami dnia tego, że nie pomyślała nawet o żadnej roli dla siebie; była jak ten, komu nie spodzianie grunt się z pod nóg usuwa, i nie wie, gdzie znaleźć dla siebie i swoich ukochanych oparcie. Zwykle wymowna wobec obcych, dziś w milczeniu słuchała rozmowy ojca z gościem o stosunkach ekonomicznych i handlowych miasta i okolicy — w której to rozmowie pan Radlicz był stroną wypytującą, a ojciec objaśniającą, przyczem często plątał się w odpowiedziach, jakby myślał o czem innem.

Po wieczerzy, naprężone siły gospodarstwa tak się wyczerpały, że rozmowa, przez samego już tylko gościa podtrzymywana, rwała się co chwila. Pani zdawała się pilnie liczyć nitki holenderskiego obrusa, pan Marcin, zapatrzonej w talerz, bębnił palcami marsza na stole i nie słyszał, co do niego mówiono. Spostrzegł to gość i przypisawszy ogólne roztargnienie przyzwyczajeniu obojga gospodarstwa do wczesnego spoczynku, spojrzął na zegarek, i choć jeszcze godzina nie była późna, powiedział dobranoc i oddalił się do przeznaczonego dla siebie pokoju.

Pani Orecka nie spała wcale tej nocy, pomimo silnej dozy opium, jaką zażyła; pan Marcin przewracał się z boku na bok i także nie zmrużył oka — a Helenka długo siedziała w swoim pokoiku na górze bez ruchu i bez światła. Wypadki dnia upłynionego wprawiły ją w pewien rodzaj osłupienia, które jej dotąd jeszcze nie opuściło. Póki była z rodzicami, spełniała różne drobne czynności, pomagała matce w urządzeniu przyjęcia dla gościa, rozmawiała i obracała się machinalnie; ale teraz, gdy została sama i nie potrzebowała udawać spokoju, którego nie miała, rzuciła się na krzesło zmęczona i puściła wolny bieg myślom.

Po raz pierwszy dopiero życie dało jej uczuć swoją prozę i to ze strony najdotkliwszej, z troski o chleb powszedni... A więc to nie sen, ale najprawdziwsza prawda, że majątek, w którego istnienie wierzyła, już nie istnieje!... I to

także prawda, że ojciec wziął z kasy ostatnią pensję, i że gdy ona się wyczerpie, nie będą mieli z czego żyć... O Boże, Boże! Miesiąc egzystencji jest zabezpieczony, a potem co? Pożyczać u ludzi? tak, to najłatwiej — ale z czego potem oddać? Lepiej już pozbyć się zbytkownych przedmiotów, choć ciężko będzie następnie żyć bez nich; jest powóz, są konie, srebra, porcelana, zwierciadła... Ale jak tu sobie wyobrazić matkę chodzącą piechotą i obywatelką się bez tych wszystkich rzeczy, którym codzienne nawyknienie odebrało charakter zbytku, a przeobraziło je w potrzeby codzienne! Ciężko będzie odwyknąć od nich, ale już lepsza ta ostateczność, niż śmierć z głodu. Wszystkiego tego jednak zaledwie na rok utrzymania wystarczy, a po roku?... Jest jeszcze dom, ale ojciec powiada, że domy w małych miasteczkach małą mają wartość i nie znajdują chętnych nabywców. Przypuśćmy wreszcie, że się znajdzie nabywca: to fundusz ze sprzedaży domu wyczerpie się w parę lat tak samo, jak ostatnia pensja i fundusz ze sprzedaży zbytkownych przedmiotów. A potem... potem co się stanie, gdy już nie będzie co sprzedawać? Co z sobą zrobią, gdzie pójdą, znękany wiekiem i nieszczęściami starzec, i chora, potrzebująca drobiazgowej troskliwości kobieta?

Na zegarze miejskim wybiła dwunasta, i w tejże chwili z dwóch stron przeciwnych dało się słyszeć grzechotanie stróżów nocnych, obchodzących ulice co godzina. Odgłos ten wyrwał Helenkę z zamyślenia. Przetarła ręką czoło, i teraz dopiero zobaczyła, że noc była piękna, a księżyc oświecał środek pokoju. Smuga światła posuwała się powoli ale ciągle, coraz dalej i dalej — a Helence patrzącej na to przyszło na myśl, że nędza i głód takim samym wolnym, ale nieustającym krokiem do domu ich przybliżać się będą. Zimne dreszcze wstrząsnęły jej delikatnem, rozpieszczonem ciałem, a w głowie uczuła pewien ból. Umysł nieprzyzwyczajony do praktycznego myślenia ani jakiegokolwiekbądź obrachowywania,

pierwszy raz odbywający tę pracę z musu, znużony był nad wszelki wyraz.

Wstała i zbliżyła się do okna. Widać z niego było cały ogród, folwark Ofmana, rzekę i statki zimujące wzdłuż brzegu, z poopuszczanymi masztami, a zatem wszystkim kawał pola, wioskę i las rozpostarty na wzgórzu. Woda była ścięta lodem, a promienie księżyca ślizgały się po nim i drżały; biedne dziewczę, patrzące dziś na wszystko przez posępne tło swego usposobienia, pomyślało sobie znowu, że one taksamo drżą jak jej serce wobec widma niedostatku, z którym nie wiedziała jak walczyć...

Całe miasto spało — tylko w kajucie statku stojącego najbliżej błyszczało jeszcze światelko, a po cieniu zasłaniającym okienko w regularnych, szybko po sobie idących odstępach, można się było domyśleć, że tam ktoś jeszcze szyje pracowicie. Dawniej wpatrując się tak w blaski księżyca, Helenka dumiała o nieszczęściach Maryi Stuart, o Balladynie, albo o dzielnym Rob Royu — a dzisiaj śledząc ruch cienia w okienku, zastanawiała się nad tem, jak się to dzieje, że ludzie czuwający do późna w nocy przy pracy, żyjący w ciasnych mieszkaniach i obywający się bez wielu potrzeb, uważanych przez nią i jej rodziców za niezbędne, mają jednak dobry humor i są zadowoleni ze swego losu! Co im daje ten humor i to zadowolenie? Skąd się bierze siła czyniąca z ludźmi takie cuda? Gdzie jej szukać i jak się ona nazywa?

Głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że to praca, która dając trud we dnie, słodkim czyni spoczynek w nocy; że ona to hartuje serca, drżące przed niedostatkiem, a przygnębionym umysłem przywraca jasność i pogodę... Przypomniwała sobie, jak kilka tygodni temu, gdy przez ciekawość poszła obejrzeć jeden statek, żona właściciela oprowadzająca ją po nim, pokazywała jej z dumą kolorową bawełnianą serwetę, kupioną w Gdańsku, dodając, że jest owocem oszczędności z całego kwartału — a duża pucłowata jej twarz promie-

niała przytem radością. Wówczas wydało się to zabawnem, niemal śmiesznem Helence, ale dziś przypomniawszy to sobie, westchnęła tylko. Zrozumiała, że rozpromienienia tego źródłem była praca, dająca zarobek i oszczędność, pozwalającą gromadzić. Z czego powstała fortuna Ofmana, jeżeli nie z pracy i oszczędności? A upadku fortuny jej ojca co było powodem? Ach, nietylko chęć pomagania drugim, ale i nieogłędność w wydatkach, ale życie nad stan — czuła to dobrze w tej chwili.

Gdy grzechotka stróża nocnego odezwała się powtórnie, światło w kajucie zgasło, a Helenka zapytywała siebie, czy w tej sile właśnie, która daje majątki ludziom ubogim a wytrwałym, ona nie mogłaby znaleźć środka ratunku dla rodziców? Nie należą przecież jeszcze do najbiedniejszych; nie jeden na ich miejscu uważałby się za bogacza! Więc zamiast rozpaczać, należy raczej podziękować Bogu, że im zostawił dach nad głową i wynaleźć pracę, mogącą wystarczyć na chleb powszedni. Tak, ale kto będzie pracował? Czy ojciec znękany wiekiem i złamany nieszczęściem, czy matka chora, potrzebująca wygod i do żadnej pracy niezdolna? Jedna jest tylko w domu istota, która może i powinna pracować...

Serce dziewczęcia mocniej uderzyło; w umyśle jej mętnym i odrętwiałym zaczęły świtać niewyraźne blaski, a w duszy budzić się siły, które tam leżały głęboko uśpione. Dziwiła się tylko, że na myśl tak dobrą nie wpadła odrazu, ale doszła do niej dopiero po długiem rozumowaniu i wstyd jej było siebie samej.

— Czy jestem taką egoistką? — myślała z żalem.

Gdzie szukać pracy, za której pomocą chciała zabezpieczyć byt rodzicom, nad tem nie namyślała się długo. Powzięła ona pewien zamiar, zdający się jej łatwym do wykonania. Była jeszcze zbyt młodą i niedoświadczoną, aby zastanawiać się nad mogącemi stanąć jej na drodze przeszkodami i trudnościami.

Teraz dopiero, gdy mniemała, że znalazła środki ratunku, uczuła potrzebę spoczynku. Zapaliła świecę i gdy łagodne światło rozświeciło pokój, można było widzieć dokładnie jego wytworne urządzenie. Znać tu było, że rodzice chcieli zadowolnić wszystkie nietylko upodobania, ale nawet kaprysy jedynaczki. Ściany wyklejone papierem bladoróżowym w srebrne arabeski, zastosowane były barwą do tkaniny pokrywającej meble z dębu czarnego, naśladowującego heban, i do firanek przysłaniających weneckie okno. Surową powagę tego okna łagodziły białe, muslinowe fałbanki, wyglądające z pod różowych draperyj. Łóżeczko osłaniała muslinowa kotara, podpięta różowymi kokardami, a obok łóżka z jednej strony stał stolik z lustrem w posrebrzanych ramach, a z drugiej umywalnik wyłożony marmurem i zastawiony porcelaną, dobiebraną widocznie do tonu barw panujących w pokoju. Pod oknem stało śliczne dębowe biurczko, a pod ścianą miękka kozetka ze stolikiem do roboty i dwoma fotelikami. Była tam jeszcze i szafka oszklona, pełna książek ładnie oprawnych, i różne drobne, kosztowne a niepożyteczne graczki, i wzorzysty kobierzec wyścielający część posadzki, i ozdobna lampa, zwieszająca się od sufitu w kształcie kielicha kwiatu. Co zaś tu było najpiękniejsze, to obraz wiszący nad łóżkiem: z bogatych ram złożonych wychylało się słodkie oblicze Małki Boskiej, wyborna kopia z obrazu Carlo Dolce.

Helenka trzymając świecę w rękę, przypatrywała się swemu pokoikowi z taką uwagą, jakby go widziała dopiero po raz pierwszy. Nigdy jeszcze nie wydał jej się tak pięknym, miłym i wygodnym, jak teraz, gdy wiedziała że wkrótce będzie go musiała opuścić.. Tyle lat swobodnych i szczęśliwych przepędziła tutaj, a z każdym niemal sprzętem wiązało się jakieś wspomnienie. Przed tym obrazem, będącym pamiętką rodzinną, modliła się zawsze; to biurko dostała na imieniny od ojca; tę szafkę matka jej ofiarowała niedawno; ten kobierzec przyniosła jej gwiazdka. Wszystkie otaczające ją

sprzęty, byli to dobrzy jej znajomi i przyjaciele, przed którymi nie miała tajemnic: każdy miałby coś ciekawego do powiedzenia o swej pani, gdyby tylko umiał mówić — a najwięcej może biórko, na którym rysowała szkice do owego wymarzonego kostyumu leśnej bogini.

Przypomnienie balu wstrząsnęło Helenkę jak iskra elektryczna i obudziło w duszy głuchy bunt przeciw powziętym przed chwilą dobrym zamiarom. Ach, ten bal! ona o nim tyle marzyła, tyle z nim związała nadziei, a teraz ma go się wyrzec? Nieraz słyszała we śnie dźwięki muzyki, gwar rozmów, widziała jarzący blask światła i siebie wspartą na ramieniu Stefana, unoszoną wirem tańca wobec powszechnego szmeru podziwu i uwielbienia. A gdyby też pogodzić z sobą dwie rzeczy: być na balu i po nim dopiero o pracy pomyśleć? Suknia już i tak obstalowana, więc w każdym razie zapłacić za nią trzeba... Co zresztą powiedziałyby Stefan, któremu dała słowo, że będzie; Stefan, który ją do pierwszego tańca zamówił?

Długą chwilę trwała w duszy dziewczęcia walka egoizmu młodości z dobrymi zamiarami i te ostatnie zwyciężyły. Helenka nie była złą, ani zbyt lekkomyślną; miała dobre serce i szczerze pragnęła ratować rodziców. Wrodzona jej szlachetność odepchnęła pokusę z oburzeniem.

— Nie godzi się nawet myśleć o tem; — rzekła do siebie — Stefan jeżeli zechce, potrafi mnie wszędzie znaleźć.

I siadwszy przy biurku, napisała do modniarki list cofający obstalunek — ale gdy go włożyła w kopertę i zapieczętowała, popłynęły jej z oczu łzy żalu za przyjemnością, którą dobrowolnie poświęciła, i za marzeniami, których się wyrzekała. Poemat jej życia przerwał się na samym początku.

Łzy te oczyściły ją z grzechu egoizmu i w końcu zmieniły się w słodkie łzy rozrzewnienia na myśl, że czyni to dla rodziców, którymi od tej chwili będzie się opiekowała. Była to pierwsza ofiara i pierwsze nad sobą zwycięstwo.

Gdy stróż nocny z grzechotką przechodził koło domu pana Marcina, na zegarze miejskim wybiła godzina druga, ale Helenka już tego nie słyszała. Spała snem twardym. Z całej rodziny, ona jedna tylko spała tej nocy.

VI.

Pan Radlicz był już człowiekiem niemłodym, lecz starym nie można go było jeszcze nazwać, pomimo pięćdziesięciu przeszło lat. Wprawdzie włosy i faworyty miał siwe, twarz porysowaną zmarszczkami, ale oczy pełne były życia, a w ruchach, w głosie, przebijała się sprężystość i energia. Rysy były dość pospolite, ale miały wybitnie indywidualny charakter, którego wyrazem była siła i stanowczość; czoło przecinały ostre linie, a w zagięciu ust było coś nieubłagane. Na pierwszy rzut oka nie był to człowiek sympatyczny, bo nie wzbudający innego uczucia, oprócz obawy i poszanowania; ale gdy z pod brwi gęstych i krzaczastych popatrzył na kogo przez szkła okularów wzrokiem pełnym rozumu i dobroci, wzbudzał natychmiast nieograniczoną do siebie ufność i wiarę. Tak go też osądziła Helenka podczas wczorajszego wieczora.

Państwo Oreccy wstawali zwykle późno, a ruch prawdziwy w ich domu rozpoczynał się dopiero o dziewiątej. Delegowany Rady Nadzorczej jednakże inny miał widać obyczaj, bo o ósmej już był w kantorze zajęty przeglądaniem ksiąg i obliczaniem długich szeregów cyfr. W całym domu panowała jeszcze cisza, służba tylko co powstawała i zaczynała się krzątać leniwie po pokojach, chodząc na palcach i poziewając głośno.

Czoło pana Radlicza fałdowało się często przy tej czyn-

ności: z każdej niemal karty wyglądał brak praktycznej podstawy w obrotach pieniężnych pana Marcina i jego dyletan-tyzm — a znajdowały się pozycje, wprowadzające go w głę-
bokie zdumienie. Zatopiony w pracy, nie słyszał drobnych
kroków, zbliżających się do drzwi kantoru i nieśmiałego pu-
kania — dopiero gdy po chwili powtórzyło się nieco gło-
śniej, usłyszał je.

— Proszę wejść — odezwał się, nie podnosząc głowy
od papierów, nad którymi był pochylony.

Drzwi otworzyły się i zamknęły napowrót z delikatną
ostrożnością i drobne kroki zbliżyły się do stołu, przy któ-
rym pracował delegowany. Pan Radlicz, mniemający zrazu
że to służąca, podniósł nagle głowę i zdziwił się, gdy ujrzał
przed sobą córkę gospodarza domu. Powitawszy ją uprzej-
mie, wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie spodziewała
się zastać tu ojca zamiast niego.

— Nie, panie, — odrzekła — ojciec mój nie wstaje
tak rano, więc wiedziałam, że go nie zastanę w kantorze.
Chciałam pomówić z panem bez świadków i dlatego tu przy-
szłam; jestto jedyna pora, w której nam nikt nie przeszkodzi.

Wypowiedziawszy te słowa, odetchnęła głęboko; pierw-
szy ten krok na drodze samodzielności dużo ją kosztował.
Zanim tu przyszła, musiała stoczyć niejedną walkę z waha-
niem się na nowo ją ogarniającem, z fałszywym wstydem
i tysiącznemi uczuciami, jakie ją po przebudzeniu się opano-
wały. Teraz, gdy wyrzekła pierwsze wyrazy, wszystko już
było skończone; nie mogła się cofnąć. Zdziwienie pana Ra-
dlicza wzrosło jeszcze bardziej, ale nie dał tego poznać po
sobie. Podał jej krzesło i rzekł, siadając także:

— Słucham panią.

— Pewnie się to panu wydaje dziwnem, a nawet nie-
właściwem, że człowiekowi obcemu, widzianemu po raz pierw-
szy w życiu, przychodzić czynić zwierzenie... ale bardzo wa-
żne powody skłaniają mnie do tego. Proszę pana o trochę

tylko cierpliwości. Niech mnie pan wysłucha, a potem mnie pan osądzi.

Przerwała na chwilę, jakby dla nabrania odwagi, zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej:

— Ojciec mój wskutek różnych nieprzyjaznych okoliczności stracił majątek, a dymisya z posady ajenta odbiera mu jedyny środek utrzymania.

Pan Radlicz poruszył się na krześle.

— Przykro mi niezmiernie, — powiedział — że na mnie spadł obowiązek wykonawcy tej smutnej dla państwa zmiany, ale nie przybyłem tu z własnej wyłącznie woli, i nie powinniście państwo mieć o to do mnie urazy.

— O, bynajmniej, — odpowiedziała z pośpiechem — rozumiemy wszyscy, że pan jest tylko reprezentantem instytucji.

— To, co słyszę od pani, — mówił, zapalając cygaro — dziwi mnie niewymownie: sposób bowiem życia państwa i stopa, na jakiej dom trzymacie, prowadzi do innych wniosków, a pani Orecka wczoraj nawet powtórzyła dwukrotnie, że rada jest, iż mąż jej pozbędzie się kłopotu z agenturą.

Helenka zarumieniała się lekko.

— Mama jest dumną — wyszeptała — i ma wstręt do budzenia w ludziach litości...

Pan Radlicz pomyślał, że duma mogła się była inaczej objawić, niekoniecznie w ten sposób, ale zachował tę uwagę przy sobie, powiedział tylko:

— Zdaje mi się, że zgadłem powód obecności pani tutaj i z góry żałuję, że muszę rozwiązać pani złudzenie. Dymisji ojca pani nie wywołały względy prywatnej natury, więc cofniętą być nie może. Dalsze utrzymywanie agentury w M. naraziłoby dom handlowy na straty.

— Pojmuję to, — odpowiedziała — i omylił się pan przypuszczając, że przyszedłem tu żądać rzeczy niemożliwych. Zamiary moje są inne: wiem, że co się stało, odstać się już

nie może; ale położenie moich rodziców, nieznających dotąd, co to jest troszczyć się o jutro, jest więcej niż smutne. Otóż... pragnę los ich, o ile to jest możliwe, złagodzić. Jednem słowem, chciałabym pracować. Tyle kobiet w moim wieku zarabia na swoje utrzymanie, a nawet pomaga rodzinie...

Pan Radlicz, słuchający dotąd z grzeczną obojętnością, spojrzał z większem nieco zajęciem na mówiącą.

— Myśl bardzo dobra — zauważył, nie zgadując jednakże, dlaczego mu ona to wszystko mówi.

— Nie mam nikogo, coby mi w tem przedsięwzięciu umiał lub chciał poradzić. Moi rodzice nic jeszcze o tem nie wiedzą i będę miała niemałe z nimi trudności, zanim oswoją się z tą myślą... a wszyscy moi znajomi i przyjaciele mają dawne pojęcia o kobiecie, i jedynie działalność w obrębie domowego ogniska uważają dla niej za właściwą, zwłaszcza jeżeli należy do mojej sfery.

Lekki uśmiech przebiegł po ustach pana Radlicza.

— Chciałabym się dostać do Warszawy, gdzie, jak czytam i słyszę, istnieją rozliczne sposoby zarobkowania dla kobiet, ale nie wiem, jak się do tego wziąć. Niech mi pan nie bierze za złe mej śmiałości, ale pański wiek, pańska twarz, choć surowa, budzi we mnie zaufanie i nadzieję, że pan nie odmówi mi swojej rady. Mam dopiero lat siedmnaście, nie znam świata...

Podniosła nań oczy pełne gorącej, acz nieśmiałej prośby, oczy podobne do gwiazd, w których znać było, że nigdy nie patrzyły na ziemię zbliżka.

Pan Radlicz w milczeniu spoglądał przez chwilę na delikatną twarzyczkę dziewczęcia, po której przemykały odbłaski różnorodnych myśli i wrażeń; na wytworny układ włosów przepiętych złotą przepaską, na ubiór ściśle zastosowany do ostatnich wymagań mody, na ręce uderzające niezwykłą małością i ozdobione pierścionkami; na całą postać tchnącą wdziękiem słabości, przyzwyczajonej, jak się zdawało, widzieć

spełnionemi natychmiast wszystkie zachcenia, — patrzył i rozważał, nareszcie rzucił jej krótkie pytanie:

— Cóż pani umiesz?

Pytania tego, streszczającego kwestyę w dwóch słowach, najmniej się spodziewała Helenka. Na twarzy jej odmalowało się zakłopotanie.

— Uczono mnie wszystkiego potrosze; — rzekła po chwili — umiem mówić dosyć biegle po francusku, po niemiecku, po angielsku, grać, śpiewać, rysować z natury.

— Szkoda. Wolałbym, abyś pani umiała mniej, a dobrze. Czy przecież posiadasz pani choć jeden przedmiot gruntownie, to jest tak, że mogłabyś się podjąć go wykładać?

— Niestety, nie, ale od czegoś są książki?

— Metoda zadawania dzieciom lekcyi z książek minęła już niepowrotnie; — odparł pan Radlicz poważnie — pedagogika dzisiaj posługuje się innymi środkami. Nauczający przedewszystkiem musi sam umieć dobrze to, czego chce uczyć.

Helenka posmutniała.

— Zdaje mi się, że znam nieźle muzykę — rzekła z mniejszą niż wprzód pewnością.

— Nauczycieli muzyki mamy w Warszawie więcej, niż potrzeba, z uczennicami konserwatorium nie wytrzyma pani konkurencyi. Ludzie oddadzą zawsze pierwszeństwo tym, którzy swojej umiejętności będą mogli dowieść patentem.

— To może mogłabym dostać miejsce nauczycielki prywatnej? Tyle jest nauczycielek, umiających mniej odemnie...

Pan Radlicz popatrzył na nią z politowaniem.

— Warszawa mało potrzebuje nauczycielek prywatnych — powiedział. — Przy wzrastającej drożyźnie mieszkań i artykułów spożywczych, utrzymanie nauczycieli jest kosztownym zbytkiem. Zresztą, najlepsza nawet nauczycielka nie może posiadać wszystkich przedmiotów, ani zastąpić szkoły. Rodzice więc posyłają dzieci do którego z zakładów, gdzie nauka jest tańszą i lepszą. Ludzie bogaci wprowadzie pozwalają so-

bie zbytku utrzymywania kilku nauczycielek razem i dobrze im płacą, ale na to trzeba choć jeden przedmiot znać doskonale. Dlaczego pani jednakże szuka miejsca koniecznie w Warszawie? Czyż nie łatwiej bez porównania byłoby pani znaleźć je tutaj, jeżeli nie w samym mieście, to w okolicy, gdzie pani musisz mieć stosunki, znajomości?

— O, nie! — przerwała z mocnym rumieńcem — za nic w świecie nie zgodziłabym się przyjąć obowiązku płatnego w domu, w którym mnie dotąd przyjmowano jako gościa i odpowiednimi względami otaczano. Różnica stanowiska wobec tych samych osób, byłaby dla mnie nazbyt przykrą. Ciągła obawa, aby mi tego uczuć nie dano, zrobiłaby mnie drażliwą na każde słowo, każde spojrzenie, i upatrywałabym chęć upokorzenia mnie tam nawet, gdzieby jej nie było. Nie, nie! pragnę opuścić te strony i między obcymi ludźmi nowe rozpocząć życie.

— Zdaniem mojem, jestto wstyd fałszywy; — zauważył spokojnie — nikt nie powinien się wstydzić brać pieniędzy, zarobionych uczciwie.

Helenka nic nie odpowiedziała.

— Dobrze władam obcymi językami, zwłaszcza francuskim, — odezwała się po chwili — czy więc nie mogłabym dawać lekcyi konwersacyi?

— Każdy woli rodowitą Francuzkę, łaskawa pani, na zasadzie, że nauka obcego języka pewniejsza jest z pierwszej ręki niż z drugiej. Polki za konwersacyę otrzymują bardzo nędzne wynagrodzenie, a i ono jeszcze nie łatwe jest do zdobycia. Należy wprzód dać się poznać, wyrobić sobie stosunki, a na to potrzeba czasu.

Ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi Helenki.

Najkorzystniej byłoby nauczyć się jakiego rzemiosła, dostępnego dla kobiet, ale pani i do tego wydajesz mi się niezdolną; a szkoda, bo na tej drodze najprędzej można sobie zapewnić byt niezależny. Jestem ojcem trzech córek: każda

z nich oprócz wyższego naukowego ukształcenia, posiada jeszcze specjalne ukształcenie fachowe, dające zarobek; każda nie tylko utrzymuje się z własnej pracy, ale ma jeszcze po kilkaset rubli zaoszczędzonych.

Uczucie zazdrości obudziło się w sercu Helenki. Gdyby ona miała kilkaset rubli, rodzice na kilka miesięcy mieliby zapewniony spokój!

— Ta droga jest dla mnie niemożliwą; — rzekła — dla nauczania się rzemiosła trzeba czasu, a ja potrzebuję zaraz zarabiać. Mój ojciec wczoraj wziął ostatnią pensję!...

— I mimo to, daliście wystawną kolację — pomyślał pan Radlicz nie bez oburzenia. — Na Boga, ci ludzie nie mają najmniejszego pojęcia o rachunku!

— Słyszałam, — mówiła dalej niepewnym głosem Helenka — że Polki, posiadające obce języki, bywają użyteczne na pensjach.

— Ma pani słuszość: sędzę, że pani mogłaby robić tłumaczenia z uczennicami klas niższych i objaśniać im znaczenie wyrazów. Znam przełożoną, która wspominała mi właśnie, że takiej osoby potrzebuje.

— Ach, panie! — zawołała z błyskiem nadziei w oczach — niech mi pan pomoże uzyskać to miejsce.

— Chętnie, ale czy pani jesteś mocna w języku rosyjskim?

Helenka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie znam go wcale, ale cóż to ma do rzeczy?

Z kolei pan Radlicz spojrzał ze zdziwieniem na Helenkę.

— Więc pani nic o tem nie wiesz, że wykłady na pensjach muszą się odbywać po rosyjsku? — zapytał — że polski język może się używać tylko jako pomocniczy?

Helenka zbladła.

— Jakto! — spytała głosem drżącym, w którym czuć

było niedowierzanie — więc obcy język wyklada się w innym, obcym także dla dzieci języku?

— Polski to język uważa się za obcy, łaskawa pani — odpowiedział z goryczą — i jako taki wyklada się po rosyjsku.

Źrenice dziewczęcia rozszerzyły się dziwnie; na twarzy odmalował się przestrah.

— Jakże sobie radzą z tem cudzoziemki? — pytała dalej.

— Uczą się po rosyjsku.

— A dzieci?

— Z początku nic nie rozumieją... z czasem przyzwyczajają się.

Zapanowało milczenie. Pan Radlicz rzucił niedopalone cygaro, podniósł się i zaczął chodzić po pokoju z założonymi w tył rękami.

— Nie powinniśmy jednakże dlatego rąk opuszczać, — rzekł, zatrzymując się przed nią — przeciwnie, w tych właśnie warunkach, jakie są, pomimo wszelkich trudności, należy starać się spełnić obowiązek. Naucz się pani po rosyjsku, tak, żebyś mogła zdać z tego języka egzamin, a postaram się wyrobić ci miejsce na pensyi.

— Ależ ja nie mogę czekać! — zawołała prawie z rozpaczą — nie mogę! Mówiłam już panu, że nie mam czasu do stracenia.

— Nic więc pani nie mogę poradzić.

Nastąpiło znowu milczenie. Helenka patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.

— Możebym chociaż mogła uczyć kaligrafii i przytem być użyteczną przełożonej pensyi w jaki inny sposób? — wyszeptwała głosem, wychodzącym ze ściśniętego gardła, głosem, w którym czuć było, że ostatnia struna była wyprężoną, jakby lada chwila miała pęknąć.

Pan Radlicz rozśmiał się przykrym, ostrym śmiechem.

— O święta naiwności! Czy pani uczyć będziesz kali-

grafii, czy robót, zawsze musisz mieć patent z języka rosyjskiego. Jakże państwo czytacie gazety, że wszystkie te rzeczy są dla was nowe!

Struna, zbyt mocno wyprężona, pękła. Helenka wybuchnęła płaczem; siły jej moralne wyczerpały się w tej rozmowie do ostatka. Wczoraj myślała, że dość jej będzie objawić chęć do pracy, żeby ta praca sama weszła w jej ręce i przyniosła obfite korzyści, a tu napotykała trudności niezwalczone. W powieściach angielskich, które czytywała ze szczególnem upodobaniem, bywały piękne ustępy o pracy — a bohaterki, biorące się do niej, po mniej więcej niewielkich trudnościach, zarabiały dużo pieniędzy i wychodziły za mąż. Myślała, że i z nią tak będzie; tymczasem przekonywała się, że życie w powieści, a życie rzeczywiste, to dwie rzeczy bardzo różne. Za każdym słowem delegowanego, odwaga jej słabła — i tylko przez ambycję nie dała tego poznać po sobie. Walczyła z sobą mężnie do ostatniej chwili, ale teraz siły opuściły ją zupełnie. Kaligrafii czepiła się, jak tonący deski ocalenia, i to ją zawiodło. Tak była dumna ze swego ukształcenia, a dowodzenia pana Radlicza obróciły tę dumę w niwecz. Była upokorzona i złamana.

— Odebrał mi pan ostatnią nadzieję! — wyszeptała łkając.

Boleść ta wzruszyła głęboko pana Radlicza. Chodził zamysłony po pokoju i zatrzymał się znowu.

— Biedne dziecię! — przemówił ze współczuciem — wychowano cię na kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennem. Ukształcenie powierzchowne zrobiło cię bezbronną wobec walki o chleb powszedni. Ale uspokój się pani, może jeszcze potrafimy coś wynaleźć.

Helenka pochwyciła obie jego ręce.

— Ach, panie! — zawołała, podnosząc ku niemu oczy łzami zalane, — jeżeli tylko pan może, pomóż mi pan, na miłosierdzie Boskie!

— Przestań pani płakać — powtórzył — i wysłuchaj mnie spokojnie. Wspomniałaś mi pani o kaligrafii; wnoszę stąd, że piszesz nieźle. Siadaj pani na mojem miejscu i pisz, co ci podyktuję.

Helenka obtarła łzy batystową chusteczką i spełniła czego od niej żądano. Pan Radlicz wziął w rękę jej pismo i przez chwilę uważnie mu się przypatrywał; litery były wyraźne, charakter piękny i wprawny.

— Egzamin wypadł nie źle; — rzekł z uśmiechem — połóż pani teraz pióro i posłuchaj mnie uważnie. Jestem właścicielem składu nasion w Warszawie i mógłbym pani dać u siebie zajęcie w ekspedycji. Obowiązkiem pani byłoby przepisywać rachunki i przygotowywać obstałunki. Ofiarowałbym pani za to piętnaście rubli pensyi miesięcznie, na początek, wraz z całkowitem utrzymaniem. Czy chcesz się pani tego podjąć?

— Czy chcę! — zawołała z wybuchem radości — alboż mnie trzeba o to pytać?

— Ostrzegam panią, że jestem surowy i wymagający, i nie znoszę nieakuratności, ani najmniejszego lekceważenia przyjętych na siebie obowiązków. W razie, gdybyś je pani zaniedbywała, będę zmuszony objawić pani moje niezadowolenie. Nie będę wówczas zważał, kto pani jesteś, ani ubierać słów moich w wytworne formy salonowej grzeczności, ale postąpię tak, jakbym postąpił z każdym z moich podwładnych. Namyśl się pani dobrze...

Helenka milczała przez chwilę.

— Miałabym w beczynności wyczekiwać aż zjawi się konkurent i za cenę mej ręki wyratuje nas wszystkich z biedy? — myślała. — Nie, to za ryzykowne i nazbyt upokarzające. Wolę pracować. To co pan mówi nie zniechęca mnie — rzekła z mocą — postanowienie moje jest niecofnione; wyboru nie mam...

— Brawo! — zawołał pan Radlicz — wychowano pa-

nią niepraktycznie, ale nie zdołano zepsuć dobrego materyału, jaki w duszy pani złożyła natura. Podaj mi pani rękę: jest ona wprawdzie zamała i zanadto wypieszczona, ale zasługuje na to, żeby ją uścisnąć z szacunkiem. Czy tylko pani wy trwasz? Brak wytrwałości jest naszą narodową wadą.

To powiedziawszy, spojrział na zegarek.

— Przepraszam panią, że muszę zakończyć naszą rozmowę, ale już dziewiąta, a ja mam jeszcze niemało papierów do przejrzania, bo dziś wyjeżdżam. Ale będę tu znowu za dwa tygodnie dla ostatecznego ukończenia sprawy, to mógłbym panią zabrać. Pomów pani tymczasem z rodzicami. Żegnaj panią.

Podał jej rękę i zagłębił się znowu w rachunkach.

U LUDZI

VII.

Nie małe miała trudności Helenka, zanim przygotowała rodziców do swoich zamiarów. Z początku ani słuchać nie chcieli o zmianie mającej nastąpić w ich domu. Ojciec płakał i wyrzucał sobie, że to z jego winy córka chce iść wycierać obce kąty; matka dostała ataku nerwowego i wyrzucała córce, że powzięła myśl szaloną, bo poco ma tam gdzieś szukać pracy nieodpowiedniej dla panny tak starannie jak ona wychowanej, kiedy może iść tutaj za męża bogato. Dość będzie sprawić parę nowych sukien, pokazać się na kilku wieczorach, żeby cel zamierzony osiągnąć. Mówiła, że się dziewczynie przewróciło w głowie, że »co powie na to świat«, że wreszcie »nie ma prawdziwego przywiązania do rodziców, kiedy jej tak łatwo przychodzi opuścić ich teraz właśnie, gdy spadło na nich nieszczęście«.

Helenka w milczeniu znosiła te wszystkie zarzuty, nie próbując się nawet usprawiedliwić, ale stała przy swoim. Ulegała matce dotąd zawsze we wszystkim, to też pani Orecka zdziwiona była i rozgniewana tą nagłą stanowczością, jakiej w córce dotąd nie podejrzывała. Okoliczności też wkrótce bardzo Helence do uskutecznienia zamiaru dopomogły. Ostatnia pensja wyczerpała się w połowie miesiąca i trzeba było żyć na kredyt. Postanowiono wprawdzie sprzedać konie, ale nie spieszono się z tem, bo zbyt ni pośpiech

w sprzedaży rozniósłby zaraz po mieście i okolicy, wieść o ruinie majątkowej pana Marcina — a tego właśnie pani Marcinowa nie życzyła sobie.

Gdy delegowany Rady Nadzorczej powtórnie przyjechał, nikt się już nie sprzeciwiał wyjazdowi Helenki. Ojciec tylko stał się jeszcze więcej milczącym, wzdychał ciężiej i po całych dniach wybijał swojego marsza, nie mogąc się zdobyć na żadne inne zajęcie; matka po cichu płakała i zażywała krople uspakajające, ale rzeczy były już zapakowane. Dziwiła się bardzo pani Orecka, że żaden z kawalerów, którzy się o jej córkę dobijali na balu, nie przyjechał dotąd złożyć wizyty, ale pocieszała się nadzieją, że Helenka może w Warszawie lepiej jeszcze pójdzie za mąż. Żeby zaś świat nie robił żadnych niepotrzebnych domysłów, zapowiedziało się znajomym, że jedynaczka jedzie do stolicy na karnawał.

Z ciężkiem sercem opuszczało dziewczę dom rodzicielski, a gdy przyszła chwila pożegnania i zrozpaczeni rodzice, poleciwszy córkę kilkakrotnie opiece pana Radlicza i otrzymawszy od niego przyrzeczenie, że będzie nad nią czuwał jak nad własną córką, wzajemnie ją sobie z objęć wyrwali; gdy słudzy rzucili się do nóg i rąk panienki, a pies, nieodstępny jej dotąd towarzysz i przyjaciel, jakby coś przeczuwając, zaczął dokoła niej biegać i skomleć; gdy nareszcie ulubiona jej klaczka, na której codziennie jeździła, wybiegła ze stajni dopominając się chleba, otrzymywanego zawsze z rąk Helenki o tej porze — zesłało serce w biednej dziewczynie. Zawahała się na chwilę i wielkim tylko wysiłkiem woli zdołała się przewyciężyć. Wyrwała się prawie przymocą swoim kochanym i wskoczyła szybko do powozu.

Ofman, oparty łokciami na parkanie, przypatrywał się całej scenie i dziwił go trochę ten smutny wyjazd na wesołą zabawę, a ponieważ był człowiekiem przewidującym i wiedział już, że państwo Oreccy zaczęli brać to i owo na kredyt, ponieważ w przybliżeniu wiedział także, ile to stroje

damskie pochłaniają pieniędzy, więc przez błękitne dymy swojej fajeczki, niby przez mgłę przeźroczystą widział się już w niedalekiej przyszłości posiadaczem posesyi pana Marcina.

Gdy konie ruszyły z miejsca, z oczu Helenki wstrzymującej się dotąd mężnie od płaczu, trysnęły łzy obfite. Teraz gdy już zostawiła za sobą wszystko, co jej było drogiem i przecięła sobie drogę do odwrotu, odstąpiła ją cała odwaga. Ogarnął ją żal bezmierny za tem co zostawiła i obawa tego co ją czekało. Pan Radlicz nie przeszkadzał jej płakać, ani usiłował nawiązać z nią rozmowę. Znał on dobrze życie i wiedział, że łzy przynoszą ulgę, a kilka godzin milczącego wpatrywania się w głąb własnej duszy może wyjść tylko na zdrowie osobie, która na świat patrzyła powierzchownie, a w siebie prawdopodobnie nigdy jeszcze uważnie nie spojrzała.

Większą część drogi przebyli w zupełnem milczeniu, potem jednakże Helenka ożywiła się bardzo, i nie tylko nie unikała rozmowy, ale ją nawet podtrzymywała; dopiero gdy pociąg zbliżał się do Warszawy i z daleka ukazało się tysiące światła migocących wśród nocy, sposepniała bardzo na myśl, że wkrótce znajdzie się w obcym domu. Pan Radlicz zgadując jej myśli, powiedział:

— Bądź pani spokojna, znajdziesz osoby chętne i życzliwe. My wszyscy pracujemy, więc umiemy zrozumieć i uszanować każdego kto pracuje. Żona moja jest zacna i rozumna, dziewczęta poczciwe i wesołe, syn chłopiec dzielny i pracowity; powinno ci z nimi być dobrze. Salonów pańskich wprawdzie u nas niema, zbytku nie znamy, ale jest za to dostatek, ład i oszczędność.

Pociąg się zatrzymał i wysiedli. Tłum gęsty zalegał platformę; zewsząd słychać było okrzyki radości i powitania, zmieszane z wołaniem posługaczy i służących hotelowych.

Pan Radlicz podał Helence ramię i przeprowadził ją przez tłum na drugą stronę dworca.

— Nie kazałem nikomu czekać na siebie — rzekł do niej — bom nie mógł na pewno dnia powrotu oznaczyć, a nie lubię gdy ludzie tracą czas nadaremnie. Dom mój jest niedaleko stąd, pójdziemy więc pieszo a potem przyślemy po rzeczy.

— Czyż czas służących jest tak drogocenny? — myślała Helenka. — Cóż wielkiego, gdyby lokaj pana Radlicza przyszedł tu kilka razy napróżno!

Przeszli między szeregami dorożek i skierowali się w aleję. Noc była ciemna, ale latarnie oświecały drogę. Powiew mroźnego wiatru orzeźwiająco podziałał na nią: w głowie zrobiło jej się jakoś jaśniej, w duszy raźniej, i wdzięczną była swemu opiekunowi za tę przechadzkę. Przed dużym, piętrowym domem zatrzymał się i rzekł:

— Jesteśmy już na miejscu.

W bramie, pod samą latarnią na ławie siedział stróż i czytał Kuryera. Ujrawszy swego pana, powitał go z widoczną radością i otworzył drzwi szklane prowadzące na schody. Weszli na pierwsze piętro, i zaledwie pan Radlicz pociągnął za dzwonek, gwar dwóch głosów dał się słyszeć w przedpokoju, jakby dwie osoby biegły na wyscigi drzwi otwierać, a w gwarze tym można było dokładnie rozróżnić te wyrazy:

— To ojciec, to pewno ojciec!

Nareszcie drzwi otworzyły się i pan Radlicz został obskoczony przez dwoje młodych dziewcząt, które zaczęły go ścisnąć, całować, zarzucać pytaniami, zciągać z niego futro, a z całego powitania widać było, jak bardzo był kochanym ten rozumny ojciec. Helenka stojąca na boku patrzyła na tę scenę rodzinną z sercem ściśniętem, a przed oczyma jej stanął obraz rodziców samotnych i strapionych. Oswobodzwszy się z objęć córek, pan Radlicz obejrzał się za swoją towarzyszką i wzięwszy ją za rękę powiedział:

— Moje dzieci, oto jest panna Orecka, o której wam pisałem; zapoznajcie się z nią i postarajcie się, żeby jej u nas było dobrze.

Obie panny Radliczówny wyciągnęły ręce życzliwie do nowoprzybyłej, a ona ujęła ich pełną prostoty uprzejmością, każdą z rąk sobie podanych uściśnęła serdecznie. Była w obcym domu, daleka od wszystkiego co kochała, i bardzo potrzebowała życzliwości. Gdy zdjęty z niej aksamitne, lisami podbite futerko, pan Radlicz rzekł wesoło:

— Żebyś pani wiedziała z jak dostojnymi osobami będziesz odtąd przestawać, wymienię pani ich tytuły: to jest Andzia, moja starsza córka, bardzo rozmiłowana w swoim fachu kwiaciarka, prawdziwa artystka w układaniu bukietów, za które na Wystawie ogrodniczej otrzymała medal.

— Ach, ojcie, bo się zarumienię — przerwała śmiejąc się Anna.

— To Elżunia, rokiem od niej młodsza, zajmująca się malowaniem na porcelanie; powiada ona, że nie pragnie medalu, bo go sama sobie namalować potrafi.

Ogólny śmiech był odpowiedzią na te słowa.

— Najstarszej mojej córki nie mogę pani pokazać, bo mieszka na wsi z dziadkiem; — mówił dalej pan Radlicz, a twarz jego przy tem sposępniała — prowadzi ona gospodarstwo kobiece, a głównie zajmuje się fabrykacją konfektów na podobieństwo kijowskich. Ta także nie ma jeszcze medalu ale go dostanie z pewnością, bo wyroby jej znalazły wielkie w handlu uznanie. A teraz kiedyś się pani dowiedziała, że będziesz żyła w gronie samych znakomitości, pójdziemy dalej. Andziu, gdzie jest matka?

— Mama jest w jadalnym pokoju z Andrzejem, proszę ojca; pewnie nie słyszeli dzwonka.

— To dobrze, chodźmy do nich, zrobimy im niespodziankę.

Pani Radliczowa siedziała w dużem krześle przy stole

i cerowała starannie skarpetkę. Przed nią leżały dwa stosy tych skarpetek: jedne były już pocerowane, porządnie wyciągnięte i złożone, drugie jeszcze wcale nieruszone. Obok tych stosów leżał duży kłębek bawełny, paczka tasiemek i nożyczki. Lampa spuszczająca się od sufitu rzucała światło wprost na jej głowę pochyloną nad robotą, na czarny tiulowy czeppek; na wysuwające się z pod czepka włosy, gładko przyczesane na skroniach, a tak czarne, że aż wpadały w odcień błękitnawy; na czoło porysowane licznymi podłużnymi i poprzecznymi liniami; na brwi szerokie i gęste, na nos orli i koniec brody, której kształty nieco ostre, znamionowały wytrwałość i energię. Cera ciemno oliwkowa podnosiła jeszcze charakter energiczny tej twarzy tak bardzo już charakterystycznej.

Syn siedział naprzeciw matki po drugiej stronie stołu i czytał głośno gazetę, a pani Radliczowa od czasu do czasu podnosiła na niego duże, wypukłe oczy, w których malowało się głębokie skupienie myśli i rozwaga — jakby w twarzy syna szukała rozwiązania faktów uderzających jej umysł — a podniesiona igła zatrzymywała się na chwilę w powietrzu, poczem poruszała się w jej rękach z większą jeszcze szybkością.

Czy była piękną kiedy lub nie, tego napewne wiedzieć nie było można, ale to pewna, że rysy jej musiały być łagodniejszymi w młodości, i tylko życie wśród ciężkich okoliczności zaostrzyło ich kontury tak bardzo, że aż odebrało im delikatniejsze cechy kobiecości. Nie była to głowa piękna, ale każdy malarz byłby ją chętnie umieścił na swem płótnie, przypominała bowiem typy dawnych rzymianek z najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej. Tak niezawodnie wyglądać musiała matka Gracchów.

Kto widział razem oboje państwa Radliczów, ten musiał być uderzony dziwnem między nimi podobieństwem — podobieństwem zasadzającym się nie na rysach, bo te były bardzo od siebie różne, ale na ogólnym wyrazie. Śnać dwoje

tych ludzi musiało się wzajem dobrze rozumieć, snąć musieli iść z sobą zgodnie, ręka w rękę, przez życie, skoro wędrówka ta napiętnowała ich twarze jednakowym wyrazem.

Andrzej był bardzo podobny do ojca: te same miał rysy nieregularne, te same oczy błyszczące inteligencją i przenikające do głębi, nawet te same dwie fałdy idące wzdłuż czoła. Tylko kolorem cery i włosów przypominał matkę. Włosy te krótko przyszczyżone i zaczesane do góry, sterczały na głowie jak szczotka, a krótka amerykańska broda dopełniała charakteru tej twarzy wyrazistej, która na pierwszy rzut oka wydawała się brzydką. Broda czyniła Andrzeja znacznie starszym niż był, wyglądał bowiem na lat czterdzieści, a miał dopiero trzydzieści dwa.

Gdy pan Radlicz, przywitawszy się z żoną, przedstawił jej Helenkę, pani zdjęła okulary i przez chwilę przypatrywała się jej delikatnej twarzyczce i eleganckiemu podróżnemu ubiorowi, poczem podniosła na męża wzrok, który zdawał się mówić:

— Nie wiele będziemy mieli pociechy z tej pracownicy.

Pan Radlicz zrozumiał znaczenie tego wzroku i rzekł głośno:

— Panna Helena nie otrzymała tak praktycznego wychowania, jak nasze dziewczęta, ale szczerze pragnie nauczyć się pracować; dała tego dowód, doprowadziwszy swój zamiar do skutku, pomimo przeszkód jakie miała do zwalczania ze strony rodziców. Miejmy nadzieję, że wytrwa.

— Daj Boże — odpowiedziała pani Radliczowa nieco przyjaźniejszym tonem — z całego serca życzę tego pannie Oreckiej.

I podawszy jej rękę, wskazała krzesło obok siebie. Helenka ze swej strony w milczącym podziwieniu przypatrywała się tej kobiecie, tak bardzo różniącej się od jej matki nie tylko twarzą, obejściem i głosem, brzmącym niskimi tonami, ale nawet wszystkimi szczegółami ubioru, którego nad-

zwyczajna prostota biła w oczy. Tamta była skończonym typem wielkiej damy, delikatnej, nerwowej i wiecznie potrzebującej opieki — ta kobiety czynnej, energicznej i zdrowej, a szerokie jej ramiona i silna budowa pokazywały, że sama potrafi dużo znieść i jeszcze innych wesprzeć i obronić. Tamta była uosobieniem wdzięku słabości, ta siły moralnej i fizycznej.

— Jestto niewątpliwie osoba wzbudzająca wielki szacunek — myślała sobie Helenka — ale jest w niej także coś, co jej się bać każe. Nie wiem czy kiedy potrafię ją pokochać. Ale jak też może sama cerować tę szkaradną pończochę! Czy nie mogłaby tego kazać zrobić służącej?

— To jeszcze jedna znakomitość: — odezwał się pan Radlicz, przedstawiając Helence swego syna — ogrodnik z zawodu, gorliwy mój pomocnik w handlu i przyszyły wspólnik. Firma »Radlicz« zmieni wkrótce tytuł i będzie nosić nazwę: »Radlicz i Syn«.

Andrzej ukłonił się z chłodną grzecznością. Piękność Helenki zrobiła na nim wrażenie, ale byłoto wrażenie innego zupełnie rodzaju, niż te do jakich ona była przyzwyczajoną; nie objawiało się widocznym zachwytem, ale wyrazem ciekawości i idącej za nią chwilowej obserwacji.

— Ach jakież brzydki! — pomyślała — czy też znajdzie się kiedy kobieta, co się odważy go zaślubić?

Podano herbatę i Helenka dziwiła się w duchu, że zastawa była tak skromną; składały ją: bułki, chleb, masło, ser i szynka — co zaś najwięcej dziwiło, to że pan Radlicz smakował widocznie więcej w tym skromnym posiłku, niż w owej sutej wieczerzy, jaką go w M. przyjmowali jej rodzice. Ona sama nie jadła nic, choć ją uprzejmie częstowano — przyjęła tylko szklankę herbaty z rąk pani Radliczowej, a i ta wydawała się jej cierpką i niesmaczną, może z powodu, że ją podano w szklankach z grubego nieszlifowanego szkła, a nie we filiżankach z francuskiej porcelany, jak to było zwy-

czajem w domu, gdzie nie dawano także nejzylbrowych łyżeczek. Jużto srebra na stole nie było nawet na lekarstwo, a bielizna stołowa nie odznaczała się bynajmniej cienkością i miała pospolity deseń.

Podczas gdy ojciec jadł, Andrzej zdawał mu sprawę z interesów, jakie zostały dokonane pod jego nieobecność, a gdy skończył, siostry prześcigały się w opowiadaniu różnych drobnych faktów, zaprawiając opowiadanie humorem. Wybuchy śmiechu, żarty, dowcipy, niby błyskawice krzyżowały się ponad stołem; gwarno było i wesoło. Śmiał się ojciec, śmiał syn, nawet matka uśmiechała się i wtrącała od czasu do czasu jakieś słowo, nie przestając ani na chwilę cerować swoich skarpetek. Na Helenkę nikt nie zważał; zostawiono ją samej sobie, jakby jej umyślnie chciano dać czas i sposobność do oswojenia się z nowem miejscem i otoczeniem. Dla niej wszystko tu było nowe, nawet ta atmosfera zdrowia moralnego, tryskającego z każdej twarzy, i ta rzeźwość umysłów i to poprzesztawanie na małym, wystarczające widocznie wszystkim — i te niewinne źródła humoru, wywołujące ogólną wesołość. Wychowanie i życie dotychczasowe nie dały jej tych pierwiastków. Czuła, że trudno jej będzie dostroić się do tonu panującego tutaj, i smutno jej się zrobiło. To co im wystarczyło, jej wystarczyć nie mogło — co ich rozweselało, jejby nie mogło rozśmieszyć.

Obie panny Radliczówny były przystojne: rysy ojca i matki łączyły się w nich z mniejszą lub większą przewagą na korzyść jednego lub drugiego z rodziców, ale obie tak były do siebie podobne ze świeżości cery, pogody spojrzenia i rozwinięcia kształtów, że na pierwszy rzut oka niełatwo było jedną od drugiej odróżnić i umiało się to dopiero po dłuższem na nie patrzeniu. Wówczas dostrzegało się różnice nawet znaczne. Obie miały suknie z taniego wełnianego materiału, skrojone i uszyte z istic spartańską prostotą, bez kosztownych ozdób, jak to było u Helenki. Wyglądała ona

między niemi jak osoba z innego świata, jak wąta cieplarniana roślinka wśród świeżych kwiatów polnych, zahartowanych na wietrze i słońcu. Musiał sobie podobną zrobić uwagę pan Radlicz, bo spoglądał na nią i na swoje córki, jakby je z sobą porównywał.

Podróż całodzienna i zbytek nowych wrażeń tak zmęczyły Helenkę, że z upragnieniem oczekiwała chwili wstania od stołu i rozejścia się towarzystwa. Zauważyła to pani Radliczowa i zaproponowała jej, aby wcześniej udała się na spoczynek.

— Elżunia zaprowadzi panią do pokoju dla pani przeznaczonego; — powiedziała — wszystko tam jest przygotowane na pani przyjęcie i łóżko już posłane.

Helenka natychmiast skorzystała z tego pozwolenia i to była jedyna chwila, w której oczy jej żywszym zajaśniały blaskiem.

— Panno Heleno, — rzekł pan Radlicz, gdy opuszczała pokój — obowiązki pani rozpoczną się dopiero pojutrze, jutro jest dzień świąteczny. Nie potrzebujesz pani zrywać się bardzo rano; wypocznij sobie dobrze.

— Będzie pani miała śliczny pokoik — mówiła Elżunia prowadząc ją ze świecą po schodach na wyższe piętro — duży, słoneczny, z widokiem na ogród. Jestem pewna, że się pani spodoba.

Otworzyła drzwi, podniosła świecę do góry i puszczając nowoprzybyłą przed sobą, zawołała wesoło:

— A co! czy nie milutkie mieszkanko?

Ale Helenka nie zdobyła się na odpowiedź. Zdziwionym wzrokiem wodziła po ścianach świeżo wybielonych, po podłodze nie froterowanej, ale białej i czystej, po skromnych sprzętach i milczała. Składały się one z łóżka żelaznego, szafy jesionowej do rzeczy, stołu do pisania, dwóch wyplatanych krzesełek i umywalnika żelaznego także, na trzech nogach, z garniturem fajansowym. Elżunia, przypisująca milczenie He-



Ładny pokoik, prawda?

lenki przyjemnemu zdziwieniu, a nie mogąca się doczekać odpowiedzi, spytała powtórnie:

— Ładny pokoik, prawda?

— Tak, bardzo ładny — odpowiedziała machinalnie.

Było w tonie tej odpowiedzi coś, co uderzyło pannę Radliczównę. Spojrzała z uwagą w oczy nowej towarzyszki, ale oczy te wydały się zagadkowemi, jak oczy sfinksa. Delikatność nie pozwalała zadawać więcej pytań — zwłaszcza, iż zdawało się Elzuni, że panna Orecka pragnie jak najprędzej zostać samą. Postawiła więc świecę na stole, powiedziała jej dobranoc i odeszła.

— I ona to nazywa »ładnym pokoikiem«! — rzekła śmiejąc się sucho Helenka, gdy się drzwi za wychodzącą zamknęły — ładny, ani słowa! Panna służąca mojej matki ma trochę lepszy, bo przynajmniej wytapetowany i nigdy jeszcze nie myła się tem obrzydliwym prostem mydłem, którego sama woń przykra już może przyprowadzić o mdłości.

Nie wiele myśląc otworzyła lufcik i wyrzuciła mydło z irytacją za okno. Spostrzegła przy tej czynności szarą płócienną roletę i spuściła ją, wzruszywszy ramionami z politowaniem na widok skromnego wyszycia z białej taśmy, które miało stanowić ozdobę, a w jej pojęciu było równie ordynarnem jak firanka z białego perkalu w duże niebieskie kwiaty. Cóż to był za kontrast z prześlicznym, różowym pokoikiem, jaki miała w domu! Nie było tu ani jednego sprzętu wyścielanego, nic takiego, coby miało jakiegokolwiek podobieństwo z fotelem lub kanapą, na czemby można usiąść wygodnie, oprzeć się lub położyć. Łóżko stało przy ścianie niczem nieosłoniętej, a na podłodze leżał mały wołokowy dywanik.

— Ach! — jęknęła Helenka — bez wszystkiego obejść się można, ale jak tu żyć bez kanapy!

Świeca paląca się w mosiężnym lichtarzu i leżąca przy niej papierowa paczka zapalek, raziły jej smak estetyczny — jak również stół czarno lakierowany i prosty szklany kała-

marz. Kto inny na jej miejscu byłby zadowolony z pokoju czystego, ciepłego i zaopatrzonego we wszystkie potrzeby, ale ona upatrywała w nim podobieństwo do celi więziennej i czuła się bardzo pokrzywdzoną. Pozbawiona komfortu, do którego przywykła od dzieciństwa, traciła ochotę do walki z losem na pierwszym zaraz kroku. Ogarnęła ją żalność nie już nad rodzicami i ich osamotnieniem, ale nad sobą samą. Ciężka ich dola zbladła w jej oczach wobec wielkości własnego poświęcenia — a obrazy tego wszystkiego, czego się dla nich wyrzekła, przesunęły się kolejno przed oczyma jej duszy w barwach więcej uroczych niż kiedykolwiek.

Do serca czystego dotąd przystąpił szatan pychy, i to co było tylko obowiązkiem, przedstawił jej jako olbrzymią podziwienią godną ofiarę.

Na łóżku leżała wełniana, grubo watowana kołdra w kolorowe kraty, i duża ciężka poduszka w perkalowej poszewce. Spojrzała na jedno i drugie z posępną rezygnacją, ale gdy odwinąwszy kołdrę spróbowała pośłania i poczuła pod ręką materac z trawy morskiej, w którym nic miękkiego, ani elastycznego nie było — brakło jej odwagi do położenia się.

Szybkim, nerwowym krokiem chodziła po pokoju, czekając na służącą, która zdaniem jej powinna była przyjść rozpakować jej rzeczy; ale służąca nie przychodziła. Chciała zadzwonić, ale taśmy od dzwonka nie było nigdzie — wołać zaś nie chciała i nie mogła, bo nie wiedziała, w której stronie domu służba ma pomieszczenie. Mogłaby jeszcze zabłądzić w tym ogromnym budynku, pełnym długich a wązkich korytarzy i ciasnych zaułków, przypominających klasztor i napełniających ją obawą.

Minęło tak pół godziny, a nikt nie przychodził. Czując niezmierne znużenie a nie chcąc czekać dłużej, Helenka z westchnieniem zabrała się sama do otwierania swoich kufrów — a przyszło jej to z większą łatwością niż przypuszczała. Na wierzchu zaraz leżała różowa atlasowa kołdra, podpięta we-

bowem prześcieradłem, bogato haftowanem po brzegach, i jedwabna puchowa poduszka, obleczone w batystową poszewkę. Z radością pochwyciła te dwa przedmioty tak żywo uprzymniające jej ulubiony różowy pokoik, i odrzuciwszy z pogardą kraciastą kołdrę i ciężką pierzaną poduszkę, zastąpiła je swoją elegancką pościelą.

Klękała do pacierza, ale słowa modlitwy przeplatanej gorącemi łzami, urywały się co chwila, lub wydobywały bezładnie. Usta je tylko wymawiały, nie serce przepętnione goryczą.

Mimo wielkiego znużenia i senności, długo przewracała się na materacu z morskiej trawy, której żdźbło każde urażało ją, zanim wreszcie przyszedł sen dobroczynny i przyniósł jej zapomnienie.

VIII.

Nazajutrz obudziło ją wejście służącej: była to nie młoda kobieta z dużą, pocziwą, ale poważną twarzą. Ubiór jej uderzał nadzwyczajną czystością, a biały starannie wyrurkowany czepek leżał na głowie jak ulany i noszony był z godnością.

— Pani kazała mi się dowiedzieć, czy panna przyjdzie na śniadanie? Państwo już siedzą przy stole i tylko na pannę czekają.

Słowa te powiedziane grubym i niezbyt słodkim głosem, odrazu przypomniały Helence nowe położenie, w jakim się znajdowała od wczoraj. Przetarła oczy, i siadając na łóżku rzekła:

— Moja dobra kobieto, przeproś bardzo państwa i po-

wiedz, że nie przyjdę. Tylko co się obudziłam i nie zdołam ubrać się tak prędko.

»Dobra kobieta« nie śpieszyła się z zanieśieniem państwu tej odpowiedzi; patrzyła na batystowy kaftanik »panny« i przybierające go falbanki, na poszewkę i prześcieradło, zdobne delikatnymi haftami, zmierzyła ciekawymi oczyma oba kufry i wyszła mrucząc z niezadowoleniem.

— To dopiero będzie zawrót głowy z praniem i prasowaniem dla tej księżniczki. Potrzebnie też to pan przywiózł takie paniątko? Tylko trzeba będzie temu ciągle usługiwać! Ciekawam czy też ona zarobi to co zje?

Helenka dosłyszała tylko pierwsze wyrazy, dalsze bowiem wymówione już były za drzwiami i na schodach, ale to co słyszała, zdziwiło ją niesłychanie. U rodziców służące nigdy nie narzekały na pranie i prasowanie; wszystko im było jedno co robiły i zawsze były zadowolone.

Drzwi otworzyły się znowu i służąca wniosła na tacce szklankę herbaty i dwie bułki nasmarowane masłem. Helenka rzuciła okiem przelotnie na ten posiłek, który jej się wydał mniej niż skromnym, i widząc, że służąca zabiera się znowu do odejścia, rzekła:

— Moja dobra kobieto..

— Nazywam się Kunegunda — przerwała służąca z godnością.

— Moja dobra Kunegundo, proszę cię, przyjdź za kwadrans to mnie uczeszesz.

Kunegunda kładąca już rękę na klamce, odwróciła się na te słowa i sądząc że się przesłyszała tylko, spytała:

— Co panna każe?

— Proszę cię, żebyś mnie przysła uczesać — powtórzyła wymawiając głośno i dobitnie każdy wyraz.

Na twarzy Kunegundy odmalowało się prawdziwe zdumienie.

— Przepraszam pannę — rzekła po chwili milczenia —

ale nie służyłam nigdy za garderobianę, i nie umiem czesać nikogo, tylko siebie.

— Więc przyślij mi kogo innego do uczesania!

— Ciekawam kogo, proszę panny? Jest nas wszystkich kobiet tylko trzy: ja, praczka i kucharka, i one obie poszły do kościoła. A choćby i były w domu, to wiem, że takiej delikatnej rzeczy nie potrafią, bo mają ręce bardzo grube i narobione. Z przeproszeniem panny, ale to pewnie był tylko żart? Gdzieby zaś panna uczesać się nawet nie umiała! Nasze panienki mają bardzo ładne włosy, a nikt ich nie czesze...

Kunegunda nazywająca ją ciągle poprostu »panną« — miała jednak pieszczotliwsze nazwanie dla swoich »panienek«. Helenka doskonale odczuła tę różnicę.

— Nie omyliłaś się, moja dobra Kunegundo — rzekła po namyśle, przygryzając usta — istotnie żartowałam tylko.

— Ja też to zaraz zmiarkowałam — odpowiedziała i wyszła wzruszywszy ramionami.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Helenka załamana ręce.

— A to dopiero historia! — zawołała — co ja teraz pocznę? Nigdy sama nie próbowałam się czesać! Nasza Julka była taka zręczna...

Kłopot ten odebrał jej apetyt. Wypiła czystą herbatę i odsunęła tackę.

— Niema rady! trzeba samej spróbować — rzekła z westchnieniem i zaczęła wstawać.

Ale cała godzina upłynęła, zanim po kilkakrotnem splataniu i rozplataniu, upinaniu i rozpinaniu, zdołała jakotako ułożyć włosy, których obfitość i długość przedstawiała istotną trudność dla osoby mającej pierwszy raz z nimi do czynienia. Dodać trzeba, że coraz to szło gorzej, i że w miarę niepowodzenia rosła niecierpliwość, a w miarę wzrostu niecierpliwości, coraz więcej włosów pozostawało na grzebieniu — a doprawdy było czego żałować, bo gęste te włosy miały kolor jasno popielaty rzadkiej piękności, a miękkość i połysk

jedwabiu. Gdy się tak męczyła, zapukano zlekka do drzwi i ukazała się w nich postać pani Radliczowej.

Jeżeli Helenka wczoraj przestąpiwszy progi swego nowego mieszkania była skromnością jego zdziwiona, to niewątpliwie więcej dziś była zdziwioną pani Radliczowa na widok zmian jakie w nim znalazła. Bystre jej oczy chodziły kolejno od wykwintnej pościeli do otwartych kufrów, z których wyglądające przedmioty poprzewracane były w najwyższym nieładzie; od kufrów do torebki podróżnej ze złoczonej skóry, przewieszanej przez poręcz krzesła; od torebki do cienkiego ręcznika, ozdobionego dużym monogramem z koroną; od ręcznika do srebrnego kubka z cyframi, stojącego obok miednicy; od kubka do leżącego na stole puzderka, wybitego zewnątrz skórą, a wewnątrz wysłanego czerwonym aksamitem. Na jego tle ładnie odbijały szyldkretowe grzebienie i kryształowe flakony, z których wydobywały się jakieś subtelne delikatne zapachy. Ukończywszy podróż naokoło pokoju, oczy pani Radliczowej ze szczególną uwagą zatrzymały się na właścicielce tych wszystkich przedmiotów, i poczynawszy od kaftanika ozdobionego różowemi kokardami, przesunęły się aż do jej stóp, obutych w niebieskie aksamitne pantofelki, haftowane srebrem.

— Helenka niemiłego doznała uczucia wobec tych szczegółowych oględzin przedmiotów do siebie należących i swojej osoby. Czuła że ją badają, krytykują, że ją sądzą — choć nie pojmowała, co w niej być mogło wykraczającego przeciw panującym w tym domu przepisom.

— Patrząc na panią, niktby nie uwierzył, żeś tu przybyła zarabiać na chleb powszedni; — przemówiła nareszcie pani Radliczowa — wyglądasz jak księżniczka, która przypadkiem tylko zabłądziła do ubogiego mieszczańskiego domu.

Słowa te, a więcej jeszcze ton, dotknęły Helenkę.

— Nie mam zamiaru grać tu żadnej roli — odrzekła podnosząc dumnie głowę — co zaś do mej powierzchowności,

to nie moja w tem wina, jeżeli nie mam szczęścia podobać się pani.

— Nie chciałam pani obrazić — powiedziała pani Radliczowa łagodniej — powierzchowności pani nic nie zarzucam, wyjąwszy tego, że jest nazbyt pańską. Znać to, żeś pani przywykła rozkazywać i budzi się we mnie wątpliwość, czy potrafisz żyć w zależności i ulegać woli innych. Pozwól mi pani dokończyć — mówiła, spostrzegając że Heleka chce coś odpowiedzieć. — Jeżeli panią nazwałam księżniczką, to głównie z powodu tych wszystkich kosztownych a niepożytecznych drobnostek i fatałaszków, jakich tu pełno widzę. Dziwią panią moje słowa? Jużto pani pewnie spostrzegłaś, że dyplomatką nie jestem i mówię poprostu co myślę, bez obwijania w bawełnę. Powiem więc jeszcze, że te wielkie kuфry wprawiają mnie w zdumienie. Poco pani przywiozłaś z sobą takie mnóstwo rzeczy? My tu żyjemy skromnie, bywamy bardzo mało i tylko u ludzi jak my, pracujących; bałów też nie wydajemy. Strojów pani nikt nie zobaczy. Będziesz pani miała z nimi tylko kłopot, bo to trzeba raz po raz przewietrzać i trzepać, żeby się nie zleżało. I samej się tem trzeba zająć, bo służące nic dobrze nie robią, jeżeli się ich nie pilnuje.

— Na żadne zabawy u państwa nie liczyłam — rzekła Helenka, która się znowu poczuła dotkniętą — tylko na pracę, dla której wyłącznie tu przyjechałam. W kufrach moich niema ani jednej sukni bałowej, jest tylko parę wizytowych, codziennych i bielizna. Wszystkiego razem niewiele.

— Można by w nie zmieścić dwie wyprawy, i jeszcze by się coś miejsca zostało — powtórzyła pani Radliczowa obstając przy swoim. — Pani niezawodnie innego jesteś zdania, i nie dziwię się temu. Wzrosłaś w atmosferze zbytku i nie masz pojęcia o przestawaniu na małym — a jednakże ono czyni ludzi szczęśliwsiymi, bo im daje większą swobodę. Człowiek nie mogący się obejść bez wielu rzeczy, staje się

rzeczywiście ich niewolnikiem. Im więcej potrzeb, tem większa niewola.

Logika tych słów o mało nie rozśmieszyła Helenki. Ale bo też to była logika dziwna! Wszystko co służy do wygody, czyni przecież życie łatwiejszem i przyjemniejszym — tak przynajmniej ona sama i wszyscy w domu zapatrywali się na tę sprawę. Patrząc na nią z punktu widzenia pani Radliczowej, nikomu nie przyszło do głowy.

— Czy pani wiesz o tem, że te wszystkie przedmioty jakie tu widzę porozkładane, przedstawiają niemałą wartość pieniężną, i że za sumę, jaką niegdyś kosztowały, mogłaby żyć pół roku rodzina z kilku osób złożona?

— Czy być może? — wyszeptała — nie przyszło mi to nigdy na myśl.

— Pewnie pani także nigdy nie pytała się, ile co kosztuje. Nieprawdaż?

— Istotnie, mało mnie to obchodziło.

— Żałuję pani bardzo.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mąż mój opowiadał mi wiele o domu rodziców pani i o powodach, jakie cię skłoniły do szukania pracy — mówiła dalej pani Radliczowa siadając na krześle, co pozwalało wnosić, że nie zaraz myśli odejść. — Powiada on, że w pani są bogate materyały, które praca samodzielna na jaw wydobędzie i rozwinie. I ja tak myślę, ale obawiam się, że pani będziesz musiała dużo przecierpieć zanim dostroisz się do naszych warunków życia i naszego porządku domowego. Przyzwyczajenie bowiem drugą jest naturą.

— Wiem o tem — rzekła posępnie Helenka — ale cokolwiekby miałoby mnie to kosztować, nie cofnę się.

— Roztropniej byłoby nie ręczyć za siebie, a wytrwałości w postanowieniu dowieść czynem. Ale już chwilę z sobą rozmawiamy, a nie powiedziałam pani jeszcze, po co tu przyszłam. Wyglądałaś pani wczoraj wieczorem tak blado, że gdy

dzisiaj rano nie zjawiłaś się przy śniadaniu, przypuszczaliśmy wszyscy, że jesteś niezdrową. Nic łatwiejszego jak przeziębienie się w drodze, zwłaszcza gdy się podróż odbywa w styczniu. Przyszedłam więc sama zobaczyć, jak się pani masz, i powiedzieć pani dzień dobry.

Były to pierwsze cieplejsze słowa, jakie Helenka usłyszała z ust pani Radliczowej, to też uczuła żywą za nie wdzięczność.

— Dziękuję pani bardzo — odpowiedziała — jestem zdrowa, tylko długo wczoraj zasnąć nie mogłam, i dlatego obudziłam się tak późno.

— Pewnie pani było niewygodnie spać? Przyznaj się pani.

Komu innemu na podobne zapytanie, Helenka zaprzęczyłaby w najgrzeczniejszy sposób — ale wobec osoby, «nie lubiącej nic obwijać w bawełnę» i gardzącej wszelką dyplomacją, prawdomówność zdawała się być najwłaściwszą.

— Jeżeli mam być szczerą, to tak — odpowiedziała — było mi cokolwiek zatwardo; ale powoli przyzwyczaję się pewnie do tego.

— Moje córki śpią tak zawsze i mówią, że im jest doskonale. A gdy raz w gościnie posłano im na puchowej pościeli, nie mogły, tak jak pani wczoraj długo zasnąć, i na-jutrz skarżyły się na ból głowy. Do wszystkiego przyzwyczaić się można. Staralam się moje dziewczęta hartować, przyzwyczajałam do trudów i niewygód, i dzięki tej metodzie wychowania wyrosły na kobiety zdrowe, silne, nie chorujące prawie nigdy. I jestto rzecz bardzo naturalna: ciało rozpieszczone zbyt miękkim wychowaniem, nie posiada w sobie żadnej siły odpornej, wrażliwsze jest na szkodliwe wpływy zewnętrzne i przystępniejsze dla chorób. Pani jesteś bardzo wątłą i delikatną, ale gdy pożyjesz z nami czas jakiś, nabierzesz niezawodnie lepszej cery.

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, oczy jej nie spo-

czywały ani na chwilę. Biegały po różnych przedmiotach, i coraz to odkryły coś nowego, czego nie dostrzegły przy pierwszej podróży naokoło pokoju. Kołdra kraciasta rzucona niedbale na krzesło wraz z poduszką, razila jej zmysł porządku. Wstała i złożyła ją starannie; to samo zrobiła z grubym płóciennym ręcznikiem, którego Helenka nie użyła, a który spadłszy z łóżka, leżał sobie spokojnie na podłodze. Widząc ją podnoszącą go z ziemi, składającą ze szczególną uwagą na równość brzegów, i wygładzającą rękami złożenie, Helenka czuła zakłopotanie i ogarniający ją strach przed tym porządkiem, panującym widocznie w tym domu wszechwładnie i usiłującym wszystko i wszystkich podciągnąć pod swoje prawa.

Na fajansowej miseczce obok miednicy leżało wonne, migdałowe mydélko. Bystry wzrok pani Radliczowej musiał z kolei spocząć i na niem.

— Widzę, że pani nie lubisz mydła prostego — zauważyła spokojnie. — Mojem zdaniem, czyści ono skórę lepiej od wszystkich innych, a jest bezwarunkowo higieniczniejsze, bo nie zawiera przeróżnych, a zdradliwych często mieszanin. Ma też i tę wielką nad nimi wyższość, że jest tańsze o dziewięćdziesiąt procentów; lecz skoro nie chcesz go używać, może pozwolisz żebym je zabrała. Gdzież ono jest?

Helenka zmieszała się. Czuła teraz, że to co z mydłem zrobiła, wyda się nagannem pani Radliczowej — ale, niestety, nie można już było tego odrobić.

— Wyrzuciłam je za okno, — odpowiedziała — nie mogłam znieść jego przykrej woni.

— Jak pani mogłaś to zrobić! — zawołała z oburzeniem — czy pani wiesz, że to kosztuje pieniądze?

— Zdawało mi się, — szepnęła Helenka, zmieszana jeszcze bardziej — że kawałek prostego mydła nie może kosztować więcej nad parę groszy...

— Więc grosze mają u pani tak małą wartość, że można je wyrzucać za okno? Z groszy składają się złotówki, moja pani! Czyż pani o tem nikt nie powiedział?

— Uczyniłam to pod wpływem chwilowego wrażenia — tłumaczyła się — nad konsekwencyami mego czynu nie zastanawiałam się bynajmniej. Nie przypuszczałam też ani na chwilę, że kto zwróci uwagę na taki drobiazg...

— Niema rzeczy tak drobnych, nad którymi nie byłoby warto się zastanowić — naucz się pani tej prawdy. Marnowanie lekkomyślne tego, co się może zdać na jakikolwiek bądź użytek, jest grzechem. Czy przedmiot ma większą czy mniejszą wartość, czy kosztuje dukata czy grosz, to wszystko jedno; tak czy owak, jest on owocem pracy ludzkiej, ludzkiego potu i wysiłku. Poniewierać więc nim, choćby to był tylko kawałek prostego mydła, jestto poniewierać życiem ludzkim.

Słowa pani Radliczowej padły na rolę niedostatecznie jeszcze do ich przyjęcia przygotowaną, to też sprawiły zupełnie inne wrażenie, niż chciała mówiąca — podrażniły tylko Helenkę. Zaczęła żałować, że się usprawiedliwiała, i podnosząc dumnie głowę, rzekła z głęboką urazą w głosie:

— Sądziłam, że z tem co było dla mnie przeznaczone, mogę robić co mi się podoba, i że nikt nie zażąda z tego odemnie rachunku. Widzę jednak jak bardzo się omyliłam, i że moją nierozwagą znaczną wyrządziłam państwu szkodę. To też gdybym się nie obawiała pani obrazić...

Przy tych słowach wzrok jej pobiegł w kierunku stołu, na którym leżała jedwabna sakiewka.

— Tobys mi pani zwróciła pieniądze za mydło, nieprawdaż? — odrzekła z ironią pani domu, zauważywszy to spojrzenie — nicbyś pani jednak nie naprawiła. Cała sakiewka pani nie powróci rzeczy zmarnowanej, a ja z zasady potępiam marnotrawstwo, czy ono wielkich czy małych rzeczy dotyczy. Pani dziś tego nie rozumiesz, bo nie znasz wartości

pieniędzy, ale gdy sama zaczniesz pracować, nauczysz się je szanować. Firma »Radlicz« stoi dziś w rzędzie zamożnych instytucji tego miasta i rozwija się coraz bardziej, i zdziwisz się pani pewnie, gdy powiem, że wszystkiego co posiadamy dorobiliśmy się własną pracą. Ale praca obróciłaby się w niwecz, gdyby jej nie towarzyszyła oszczędność i gospodarność. Drobiazgów nie lekceważyliśmy; szanowaliśmy grosze i dlatego rozporządzamy dziś setkami tysięcy. Z nich one powstały. Widok marnotrawstwa, będącego chroniczną chorobą naszego kraju, boli mnie, w niem bowiem widzę źródło naszych politycznych i ekonomicznych nieszczęść. Zaczynało się zawsze od drobiazgów, a że jednostek tak jak pani myślących było wiele, więc z tych drobiazgów rosły olbrzymie sumy, które dla bogactwa narodowego ginęły. Każdy grosz nietylko jednostce, ale przez nią i ogółowi przynosi korzyść; gdy więc przepada, to razem z ową jednostką i ogół ponosi stratę. Kto więc nie bogaci kraju, ten go uboży, a kto go uboży, ten jest złym patriotą. Mój mąż powiada, że pani dużo czytałaś i pracowałaś nad sobą; musi ci więc być wiadome zdanie francuskiego publicysty, Say'a: »Narody nieumiejące pracować i oszczędzać, muszą zniknąć z powierzchni ziemi«.

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, niewielka jej, choć barczysta postać zdawała się rosnąć, rysy przybrały jeszcze surowszy wyraz, a duże wypukłe oczy jaśniały siłą głębokiego przekonania. Na Helence czyniła ona dziwne wrażenie: dotąd na ideał kobiety, w jej pojęciu, składała się słabość pełna wdzięku i dobroć — teraz spotkała się z siłą, której szorstkie formy raziły ją, ale kazały się podziwiać. W czarnej, wełnianej sukni, bez żadnych ozdób, z wązkim, płóciennym kołnierzykiem u szyi, w czarnym czepku tiulowym pani Radliczowa przywiodła jej na myśl kobiety sekty kwaków, których głównymi prawidłami była prostota, surowość obyczajów i wstrzemięźliwość.

— Zawiele może powiedziałam pani rzeczy nieprzyje-

mnych, jak na pierwszy raz; — rzekła po chwili — musiałam panią bardzo do siebie zrazić, ale mówiłam pani z góry zaraz, że dyplomacyi nie lubię. Z czasem, jak pani nabierzesz więcej doświadczenia, i zobaczysz niejedno co ja widzę, przyznasz mi słuszność. Im prędzej się to stanie, tem lepiej dla pani i otoczenia, w jakim żyć będziesz. Słowa moje może jeszcze nieraz dotkną panią, ale nie miej ich za złe starej. Zna ona świat i życie lepiej od pani, i dlatego pozwala sobie czasem bez skrupułu młodemu powiedzieć prawdę. Nie będę pani przeszkadzała dłużej; dokończ się ubierać i urządz w tem pokoju jak możesz najlepiej. Jeżeli to pani dogodniej, możesz dziś nie schodzić na dół wcześniej jak na obiad, bo do kościoła już i tak nie zdążysz. Moje dziewczęta dawno poszły. Jadamy o drugiej i lubimy punktualność we wszystkim. Spodziewam się, że pani nie każesz czekać na siebie. Do widzenia.

Zabrała z sobą ręcznik, i kładąc rękę na klamce odezwała się jeszcze:

— Na miłość Boską, otwórz pani okno jak będziesz stąd wychodzić: tak tu duszno od perfum i wszelkiego rodzaju zapachów toaletowych, że aż ciężko oddychać. Czy to może być nawet zdrowo siedzieć w takiej aptece!

Po jej wyjściu Helenka długo była jakby oszołomiona: nawał nowych myśli, pojęć i wrażeń tłoczył się do jej umysłu, i nie znajdował tam miejsca dla siebie. Wszystko ją dziwiło w tej kobiecie, począwszy od jej ubioru, aż do jej prawdomównej szorstkości, będącej w oczach dziewczęcia brakiem delikatności.

— Dziwny dom: — rzekła nakoniec do siebie — pan nie każe po sobie przychodzić na kolej, żeby nie fatygować służącego; pani prawi godzinne kazanie z powodu kawałka prostego mydła, i nie czuje jego przykrej woni, a zapachu fijołków parmeńskich znieść nie może i każe go oknem wypuszczać. Ciekawam jaka przy bliższem poznaniu okaże się

reszta rodziny. Przewiduję, że ciężko mi tu będzie oddychać. Kiedy składała ręcznik, pilnie zważając, żeby brzeg równał się z brzegiem, zdawało mi się, że to ja jestem tym ręcznikiem i że mnie tak samo będą chcieli złożyć, wyrównać i wygładzić.

IX.

Druga godzina dochodziła na zegarze w jadalnym po koju, gdy Helenka schodziła ze schodów, ubrana w niebieską jedwabną suknię, przybraną aksamitem. U szyi i rąk były obszycia pajęczej delikatności, dodające tej toalecie elegancji lekkiej a wytwornej, podczas gdy długi ogon dodawał jej powagi. Była to suknia otrzymana w podarunku od matki jednocześnie z balową, aby pasowana na dorosłą pannę jedynaczką, miała na publiczne występy galowy mundur od powiedni swej nowej godności. Trzeba przyznać, że w sukni tej, w której mówiąc nawiasem, mogłaby śmiało ukazać się na tańczącym wieczorze, było jej bardzo ładnie. Barwa niebieska odbijała dobrze od przeźroczystej cery, a rzucając na twarz pewien odcień niebieskawy, podnosiła jeszcze jej idealny charakter.

Na zakręcie schodów posłyszała głosy dwóch osób rozmawiających na dole, i wydało jej się, że słyszy wymówione swoje nazwisko. Wiedziona iście kobiecą ciekawością, zatrzymała się, wychyliła się za poręcz i zobaczyła kawałek sukni kobiecej, oraz czarną głowę, pokrytą krótko przyszyżonymi włosami, sterczącymi jak szczotka.

— Jakże ci się podoba panna Orecka? — pytał głos, należący, jak się zdawało, do Elżuni.

— Ładna laleczka — odrzekł z lekceważeniem Andrzej.

— Tylko tyle?

— Cóż chcesz, żeby powiedzieć więcej o osobie, którą się raz tylko przez godzinę widziało? Zdaje mi się, że nasz ojciec zawiele sobie po niej obiecuje. Zamiast pomocy będziemy z niej mieli zawadę w kantorze; wygląda na osobę żyjącą tylko fantazją i lubiącą marzyć o niebieskich migdałach, a o pracy porządnej i systematycznej niemającą najmniejszego pojęcia.

— Mój drogi, uprzedzasz się. Samo to, że przyjechała do nas, mówi o niej zupełnie co innego. Dla mnie jest ona sympatyczną: piękna, dystygowana, delikatna, i wygląda na dobrą.

— Przymioty to bardzo powierzchowne, siostrzyczko. Oprócz piękności, delikatności i dystynkcyi, szukamy jeszcze czegoś więcej w kobiecie, bo i dobroć sama, jeżeli nie jest rozumnie pojętą, może być szkodliwą. Zresztą panna Orecka pokaże sama wkrótce, czym jest. Przyznam ci się, że razi mnie zbyteczna elegancya w jej ubiorze. Żadna z was na wizytę nie ustroiła się jeszcze w tyle świecideł, co ona na podróż.

— To prawda! — zauważyła Elżunia.

— Widocznie ilością złota chce podnieść wartość swej osoby, a już ta grzywka, którą nosi, okazuje jawną pretensję — mówił dalej. — Trzeba nie mieć za grosz smaku estetycznego, żeby zakrywać czoło, tę najszlachetniejszą część twarzy, będącą siedliskiem myśli. Najpiękniejsza twarzyczka szpeci się tym sposobem, bo przybiera kształt nieforemnego trójkąta i przypomina kudłate pieski pokojowe z rasy pinczerów. Gdy widzę kobietę z czołem przysłoniętem, z góry mam o niej niekorzystne wyobrażenie: przypuszczam, że chce coś ukryć i obawia się, aby jej myśli nie wyczytano. Dlaczego wy grzywek nie nosicie? bo jesteście dziewczęta rozumne. Wasz ubiór jest skromny, ale pełen smaku; wasze czoła są tak jasne i pogodne, jak wasze myśli.

— Ach, ty pochlebco!

Mówili jeszcze coś, ale Helenka miała dosyć tego co słyszała. Zdziwienie, oburzenie, gniew, napełniały ją kolejno. Więc to o niej odzywano się w ten sposób? o niej? To nie do uwierzenia! Ją, której piękność zwracała powszechną uwagę, gdziekolwiekby się ukazała; ją, którą dwa tygodnie temu jednogłośnie obwołano królową balu, porównano w tej chwili do kudłatego pinczera?... I śmiał to uczynić człowiek brzydki, jak grzech śmiertelny! Było to niepojęte zuchwalstwo!... Czyż w ciągu dwóch dni tak zbrzydła, że nie jest do siebie podobną, czy też Warszawa wyznaje inne zasady piękna, niż M. i cały powiat tego nazwiska? Nie, tak nie jest, tylko ludzie tutaj zamykają oczy na piękność, a szukają w kobiecie czegoś dziwnego, niepojętego, niezrozumiałego dla niej — skoro podług słów Andrzeja dobroć nawet nie wystarcza... Ale jeżeli dobroć i piękność nic nie znaczą, to cóż będzie mieć wartość i znaczenie? Chyba świat się przewraca do góry nogami? »Ładna laleczka...« z jakim to lekceważeniem było powiedziane. Ach! pomawiał ją o brak smaku, ją, będącą wzorem dobrego smaku i wytworności dla całego miasta... Czy słyszał kto co podobnego? On to, on nie ma smaku, kiedy się na niej nie poznał.

— Boją się, żebym im nie zawadzała, zamiast pomagać — myślała z goryczą — dobra zachęta do pracy na samym początku. Co za twarde, niemiłosierne wyrazy!...

Zdawało się Helence, że przestąpiwszy próg tego domu podbije serca wszystkich swoim wdziękiem i dobrocią, jak podbijała w M.; tymczasem na samym wstępie spotykały ją niepowodzenia. Po raz to drugi już dzisiaj słyszała surowy sąd o sobie. Czuła się boleśnie zawiedziona.

Nie mając ochoty dowiadywać się więcej nieprzyjemnych rzeczy, zeszła szybko po schodach, mniemając, że nagle ukazaniem się swoim zmiesza i zawstydzi tego, który przed chwilą tak zuchwałe o niej wypowiedział zdanie. Omyliła się

jednak; Andrzej nie doznał żadnego wrażenia na jej widok. Skłonił się chłodno, i co było rzeczą niepojętą, nie patrzył wcale na jej twarz, tylko na jej ogon, a lekki ironiczny uśmiech zarysował się przytem na jego ustach.

— Bardzo nieprzyjemny człowiek — rzekła do siebie, przygryzając wargi i podniosła oczy na Elżunię; ale spostrzegła, że i ona także przygląda się jej sukni z nieukrywanem zdziwieniem, i że równocześnie brat i siostra skrzyżowali ze sobą spojrzenia szybkie jak błyskawice.

Zmieszana, zatrzymała się, nie wiedząc czy się cofnąć, czy postąpić dalej; ale Elżunia wyciągnęła do niej rękę, i witając uprzejmie, zaczęła rozpytywać jak noc przepędziła i czy nie czuje utrudzenia po wczorajszej podróży. Helenka odpowiadała półsłówkami, myśląc ciągle, co w niej mogło dać powód do ironicznego uśmiechu Andrzejowi i do zdziwienia jego siostrze, a także co znaczyło ich porozumienie się oczyma — a czoło jej przytem sfałdowało się lekko. Wszyscy troje szli do sali jadalnej: panny naprzód, a Andrzej za nimi. Młodzieniec nie mógł wziąć udziału w rozmowie, ani się do panien zbliżyć, bo korytarz, którym szli był wązki, a ogon niebieskiej sukni, wlokący się poważnie i kołyszący ciągle na prawo i na lewo, trzymał go w przyzwoitej odległości. Wspinały ten ogon zmiatał gruntownie z podłogi wszystek pył białą muślinową falbanką, którą był podszyty.

Pan Rądlisz chodził wzdłuż jadalnego pokoju z rękami w tył założonymi, rozmawiając z żoną i starszą córką, które już siedziały przy stole. Zobaczywszy Helenkę, powitał ją z odcieniem jawnej życzliwości.

— No, jakże mi się pani masz? — zapytał wyciągając do niej rękę — dobrze?

— Dobrze, — odrzekła, westchnąwszy lekko — dziękuję panu.

Pan Rądlisz popatrzył na nią badawczo.

— Wyglądasz pani jakby wzruszona. Czy się pani przytrafiło co przykrego?

— Nie, — odpowiedziała, a delikatne jej lica mocniej szym zafarbowwały się rumieńcem — tylko obawiam się, czy zamiast być panu pomocną w kantorze, nie będę panu »zawadą«, i to mnie niepokoi.

Powiedziawszy te słowa, spojrzała na Andrzeja; ale on wytrzymał jej wzrok spokojnie, tak spokojnie, jakby się nie domyślał nawet, że były pod jego adresem posłane.

— Pierwszym warunkiem powodzenia każdego przedsięwzięcia jest, żeby o niem nie wątpić — odrzekł pan Radlicz poważnie. Trzeba koniecznie mieć wiarę w to, co się robić zamierza; inaczej, lepiej wcale nie zaczynać. Pani dowiodłaś już, że ci ani pocziwych chęci, ani pewnego zasobu sił moralnych nie brakuje: trochę tylko wytrwałości, a będzie dobrze.

Gdy ojciec to mówił, ona patrzyła na syna uparcie, jakby go spytać chciała, czy słyszy — ale na ustach Andrzeja zarysował się znowu lekki, zaledwie dostrzegalny uśmiech. Nieprzyjemny ten człowiek widocznie nie wierzył, że ona cokolwiekbądź potrafi.

— Ach, jakżeś się pani wystroiła! — mówił dalej pan Radlicz, spoglądając na jej ubiór, a w głosie jego czuć było niezadowolenie. — Czy się pani wybierasz gdzie na wieczór?

— Nie mam wcale znajomych w Warszawie — odpowiedziała — nigdzie więc wybierać się nie mogę.

Nie patrzyła w tej chwili na Andrzeja, czuła jednak, że jego oczy spoczywały na niej, i że ów poprzednio zaledwie dostrzegalny uśmiech zarysował się teraz bardzo wyraźnie. Pani Radliczowa, panny, nawet służący, który wniósł wazę, wszyscy się potrosze uśmiechali.

— Zdaje mi się, — rzekła, rumieniąc się coraz bardziej — że dałabym dowód zupełnej nieznajomości zwyczajów światowych i braku szacunku dla państwa, gdybym pierwszego

zaraz dnia ubrała się po codziennemu. Wyglądałoby to tak, jakbym sobie nic z nikogo nie robiła...

— Moje dziecko, — odrzekł pan Radlicz, potrząsając głową — najlepszy dasz dowód szacunku dla nas, jeżeli się będziesz stosowała do naszych zwyczajów domowych. Wszyscy, jak nas tu widzisz, jesteśmy ludzie niewykwintni i nie lubimy zbytku. Przypatrz się moim córkom.

Helenka spojrzała po pannach i zobaczyła, że miały na sobie suknie wełniane, zrobione skromnie i ze smakiem; a choć nie było na nich żadnych kosztownych dodatków, przecież wyglądały bardzo dobrze. Gdy porównała te ich suknie z własną toaletą, czuła że istotnie nazbyt jaskrawo od nich odbijała — i że pojęcia o tem, co wypada, a co nie wypada, nie mogą być ogólne, ale ulegać muszą pewnym zmianom, względnie do okoliczności i otoczenia, w jakim się żyje. To co w domu jej rodziców uważano za właściwe a nawet konieczne, tu było poprostu śmiesznem.

W niewesołym usposobieniu siadła do stołu pomiędzy Anną i Elżunią. Obie czyniły wszelkie usiłowania, żeby zatrzeć niemiłe wrażenie, wywołane kwestyą ubrania — ale nie tak to łatwo jest odzyskać humor komuś, kto zawsze uważał się za doskonałość i nagle spostrzegł, że się z niego śmieją. »Śmieszność zabija« — powiadają; Helenka wprawdzie nie była zabita, ale straciła coś, czego dotąd nigdy jej nie brakowało — pewność siebie.

Pani Radliczowa sama nalewała zupę, a służący roznosił kolejno talerze: był to rosół z makaronem. Helenka, niewielka amatorka rosółów, zjadła zaledwie kilka łyżek. Po rosole dano sztukę mięsa z sosem cebulowym. Sztuki mięsa nie jadano nigdy u państwa Oreckich; uważano ją za mięso niepożywne, jako już wygotowane i nie podawano wcale na stół — do cebuli zaś Helenka czuła wrodzoną antypatyę, nie wzięła więc ani jednego ani drugiego, czekając na pieczyste. Ale widocznie był to dla niej dzień feralny. Pieczystego nie

było, tylko kielbasa z kapustą kwaszoną, której znosić nie mogła z powodu jej zapachu, nie przypominającego w niczem zapachu fijołków parmeńskich — wstyd ją był jednakże odsyłać półmisek: wzięła więc kawałek kielbasy, i zaledwie skosztowawszy, odłożyła widelec. Nie mogło to ujść powszechnej uwagi, i zarzucono ją pytaniami, dlaczego nie je. Nie mając odwagi powiedzieć prawdy, tłumaczyła się brakiem apetytu. Uwierzono temu na pozór i zostawiono ją w spokoju; tylko gospodyni domu »niełubiąca nic obwiać w bawelnę«, nie mogła wytrzymać, żeby nie powiedzieć głośno, iż »panna Orecka widocznie do lepszych obiadów jest przyzwyczajona i dlatego jej nic nie smakuje«. Widziała ona dobrze każdy ruch swego gościa, choć niby na niego nie patrzyła — a że sama jadła zawsze wszystko i nie znosiła żadnych wybredzań, więc nazwała ją w duchu grymaśnicą.

Wszyscy inni za to jedli kielbasę z takim apetytem, jakby to była najwyborniejsza zwierzyna. Helenka, patrząc na to, mówiła sobie, że rodzina Radliczów nie jest wcale wybredna. Najwięcej drażnił ją widok siedzącego naprzeciw Andrzeja. Człowiek ten nałożywszy sobie pełen talerz, dawał prawdziwy koncert i tak był tą czynnością zajęty, że zapomniał zupełnie o swoim pięknem vis-a-vis. Ze zdziwieniem i pewną odrazą patrzyła na ten młodzieńczy apetyt, a Andrzej wydał się jej człowiekiem tak poziomym, że w żaden sposób nie mogła go sobie wyobrazić jako bohatera najprostszego choćby romansu. Kielbasa i kapusta miały widocznie więcej uroku dla niego, niż piękne szafirowe oczy. Odkrywała w nim coraz więcej niedostatków; twarz jego była, jej zdaniem, poprostu gminna, jak jego apetyt; ani jeden rys nie nadawał się do bohaterstwa. Surowy, milczący, poważny, z tym pożerczym apetytem i najeżonymi włosami, wyglądał chyba na czarny charakter, na typ Sinobrodego, który po mordowawszy swoje żony, urządziłby z nich ucztę Kannibala.

Takie i tym podobne myśli przebiegały jej przez głowę,

podczas gdy oczy rzucały przelotne spojrzenia ku drzwiom, w których spodziewała się ujrzeć niesiony deser, coś słodkiego: jaką delikatną leguminę, konfitury, ciastka lub owoce — ale deseru nie było widać, a pani Radliczowa dała znak wstania od stołu. Helenka uczuła nietylko zawód, ale i urazę, że ją tak lekceważono, że chociaż na pierwszy dzień jej pobytu w tym domu nie przygotowano lepszego obiadu. Czy takby postąpili jej rodzice? Widziała, że tu nic nie znaczy, i przekonanie to nappełniło ją goryczą.

— Obawiam się, że pani umrzesz u nas z głodu, kochana panno Heleno, — rzekła do niej Anna po obiedzie — bo wszystkie nasze obiady są do dzisiejszego podobne. Dla nas to wystarcza i nie potrzebujemy lepszych, dzięki mamie, która nas przyzwyczaiła do prostych potraw; ale widzę, że pani dużo ucierpisz, zanim przywykniesz do naszej kuchni.

— »Wszystkie obiady podobne do dzisiejszego« — powtórzyła sobie Helenka z przerażeniem — ładna perspektywa! — Ale że była dumną i nie chciała się wydać z tem co się w niej działo, więc choć jej się zbierało na płacz, zdołała się na uśmiech i odparła: — O, to drobiazg!

Gdy wszyscy wstali od stołu, pani domu wyjęła z kredensu biały płócienny woreczek, i obchodząc stół dokoła, zbierała kawałki chleba pozostawione przy talerzach i kładła do woreczka. Helenka stanęła zdumiona na ten widok.

— Co za szkaradne skąpstwo, — pomyślała, żeby też nie pozwolić nawet służbie tego sprzątnąć!

Oszczędność posunięta aż do zbierania niedojedzonych kawałków chleba oburzała ją poprostu. Ciekawa, co pani Radliczowa robi z woreczkiem, pół uchem tylko słuchała, co do niej mówiono, i zobaczyła, że woreczek został starannie zawiązany, schowany napowrót do kredensu i zamknięty na klucz, jakby skarb jaki. Wydało jej się to tak zabawnem, że o mało nie parsknęła śmiechem. Ale nie koniec był na tem: zobaczyła jeszcze coś. Pani Radliczowa wzięła we jedną rękę

serwetkę, w drugą szczoteczkę i zmiotła najstaranniej ze stołu wszystkie okruchy; potem otworzyła lufcik i wysypała je na zewnętrzną platformę okna. Jakby na dany znak, zleciała się gromada wróbli i skwapliwie zaczęła wyrzucone okruchy zjadać, zwijając się z niepojętą szybkością i bijąc się o większe kaski. Pani Radliczowa patrzyła na to i uśmiechała się, a Helenka, widząc jak uśmiech ten rozjaśnił i złagodził jej rysy, dziwiła się znowu, że ta twarz surowa może być tak sympatyczną.

Wiedziała już teraz, że okruchy były dla wróbli, ale jakie przeznaczenie miały owe kawałki chleba, spoczywające w płóciennym woreczku pod kluczem, w głowę zachodziła. Zaczynała teraz pojmować oburzenie tej kobiety na wiadomość o wyrzuceniu mydła za okno. Kto nie chce zmarnować nawet drobnych okruszków chleba, temu czyn jej musiał się wydać występny. Dom ten przygniatał ją siłą, której dotąd nie знаła, a która ją dziwiła i przestraszała — siłą porządku i oszczędności. Co chwila zapytywała siebie, jak ona żyć potrafi w tem otoczeniu, tak bardzo różnem od tego, w jakim żyła dotąd.

Po obiedzie całe towarzystwo przeszło do salonu i tam nareszcie Helenka znalazła meble wyściełane, których od wczoraj napróżno wszędzie upatrywała. Z przyjemnością zagłębiła się w fotelu, i oparłszy ręce na poręczach, myślała z westchnieniem o twardości krzeseł, jakie miała w swoim pokoju.

Salon państwa Radliczów był obszerny, oświecony trzema oknami, umeblowany ze smakiem, ale i z prostotą, cechującą wszystko i wszystkich w tym domu. Meble dębowe pokryte były wełnianą brokatelą, na podłodze leżał duży dywan; między oknami stały w dębowej oprawie wielkie lustra, w których można się było przejrzeć od góry do dołu; ściany zawieszane były sztychami, a oprawa ich stosowała się ściśle do mebli barwą i gatunkiem drzewa. Zresztą żadnych cacek

kosztownych lub ozdób, żadnych marmurów, kryształów lub bronzów, nic coby mogło oko popieścić żywością i delikatnością barw, filigranowością artystyczną kształtów — nic, coby usposabiało do długich, słodkich dumań i czyniło spoczynek ponętnym. Poważny styl tego pokoju budził raczej z zadumy i nawoływał do trzeźwości. Miętkość nie znajdowała tu wcale miejsca, bo nawet draperye firanek układały się w surowe linie. Znajdowało się tam wszystko, co może być potrzebne do wygody i rozrywki, bo był nawet przepyszny fortepian — ale nic nadto, żadnego zbytku.

Staranność w utrzymaniu porządku, tu, jak wszędzie, była uderzającą: podłoga błyszczała jak zwierciadło, okna pomimo pory zimowej, utrudniającej utrzymanie ich w czystości, miały przeźroczystość kryształu, a najbystrzejsze oko nigdzie ani odrobiny pyłku dostrzedz nie mogło. »Pokaż mi jak mieszkasz, powiem ci kim jesteś« — powiedział któryś z psychologów — mieszkanie państwa Radliczów sprawdzało w zupełności to przysłowie.

Rodzina pracująca niezmordowanie cały tydzień, oddawała się w niedzielę bez przeszkody umysłowym rozrywkom, na które w dnie powszednie niewiele miała czasu. Niedziela dzień dla Helenki zupełnie obojętny — bo nie mając żadnych obowiązkowych zajęć w domu, świętowała we wszystkie dnie tygodnia — tutaj bywała oczekiwana z radosną niecierpliwością. Po sześciu dniach pracy był to dzień wytchnienia i rozrywki, przybierający charakter uroczystości rodzinnej. Zgromadzano się w tym pokoju największym i najwygodniejszym z całego domu, czytano, grano, śpiewano, dyskutowano o sprawach społecznych i rodzinnych, układano plany na przyszłość, a w poniedziałek rano stawano znów do pracy z umysłem odświeżonym i wypoczętym. Niedziela była jakby rezerwoarem świeżości, z którego wszyscy czerpali chętnie. Wprawdzie i w dnie powszednie bywały godziny odpoczynku, zwłaszcza wieczorem po herbacie — ale były to godziny

krótkie, które połowa osób wołała przepędzać w ciszy własnego pokoju. Niedziela tylko, dająca dłuższy wypoczynek, gromadziła wszystkich bez wyjątku.

Na stole leżało kilkanaście dzieł, świeżo wyszłych z druku, ilustrowane pisma i gazety. Helenka wzięła jeden z dzienników, i dziwiąc się trochę, że się nią nikt nie zajmuje, przysłuchiwała się ożywionej rozmowie, w której wszyscy brali udział prócz niej — bo kwestye ekonomiczne, interesujące całe towarzystwo, były jej zupełnie obce. Gdyby mówiono o arcydziełach literatury swojskiej lub obcej, miałyby niejedno do powiedzenia; ale co ją, na przykład, obchodzić mogły reformy sądowe, albo projekt założenia banku włościańskiego? I ona, co umiała w domu zabawić najliczniejsze towarzystwo, ona, słynąca w M. talentem krasomówczym i erudycją, musiała siedzieć cały czas milcząca, jakby trzech zliczyć nie umiała i nudzić się.

Nareszcie skończyły się te nudy: Andrzej zaproponował spacer po ogrodzie, dla skorzystania z reszty dnia pogodnego choć mroźnego i przyjęto z ochotą jego projekt. Panny poszły po ciepłe okrycia, — każda dla siebie — tylko państwo Radliczowie pozostali w salonie, bo nie brali udziału w spacerze.

Wchodząc do siebie, Helenka niemile została uderzona widokiem niesprzątniętego pokoju: wszystko znalazła tak jak zostawiła, to jest w najwyższym nieładzie — co po wzorowym porządku panującym na dole, jeszcze więcej raziło. Elżunia mająca swój pokój zaraz obok i idąca z nią razem, zauważyła to wrażenie i tonem objaśnienia rzekła:

— Kunegunda nie uprzątnęła u pani, bo póki pani tu była, nie mogła tego zrobić, a po południu wyszła. Dzisiaj jest jej dzień wolny.

Helenka spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co chciała powiedzieć.

— Dzień wolny, — powtórzyła — co to znaczy?

— To znaczy, — odpowiedziała Elżunia, dziwiąc się, że potrzebuje to pannie Oreckiej tłómaczyć — że służąca może rozporządzać swoim czasem, jak chce; wolno jej iść na spacer, na wizytę, do teatru, gdzie jej się podoba, i nie wracać, aż wieczorem. Gdyby zaś wolała zostać w domu, nie ma żadnego obowiązku usługiwać; może sobie przyjmować gości, lub spać jeżeli ma ochotę. Każda służąca bywa wolna co drugą niedzielę.

— Więc w dniu wolne pokoje nie bywają wcale sprzątane?

— Przeciwnie, ale sprzątanie odbywa się zrana, zanim nadejdzie czas pójścia na nabożeństwo. Jeżeli która z nas chce spać dłużej, sama potem sprząta.

— Znaczy to mniej więcej, że ja dziś muszę spełnić czynność pokojówki, ponieważ zadługo spałam; ładna perspektywa — myślała Helenka, marszcząc brwi lekko i spytała z odcieniem ironii w głosie: — Więc żeby słudzy mogli wypocząć, państwo ich wyręczają w robocie?

— Niech to pani nie dziwi; — odpowiedziała Elżunia, której się ten ton nie podobał — słudzy są także ludźmi, i mają prawo do odpoczynku tak samo jak my. Po ciężkiej dwutygodniowej pracy należy im się ten dzień odpoczynku. I oni mają swoje stosunki rodzinne i towarzyskie, swoje radości i smutki, pragnienia i upodobania, które potrzebują też z kimś podzielić, a nie mogą sobie na to pozwolić żadnego innego dnia. Zresztą jest to jedyny dzień, w którym mogą używać najdroższego skarbu każdego człowieka — swobody. Odbierać im ją dla zadowolenia naszych kaprysów byłoby rzeczą niehumaną. Dzięki Bogu, minęły już czasy, gdy sługa był uważany za bydlę pociągowe.

— U nas — odezwała się Helenka — służące nie miały nigdy dni wolnych, a mimo to służyły po kilka lat i chwaliły, że im dobrze.

— Ileż u państwa jest służby?

— Pięcioro: stangret, lokaj, kucharka, pokojówka i panna służąca — mówiła, wyliczając nie bez pewnego przyjemnego uczucia, długi szereg służby.

— Pięcioro sług do trzech osób! — zawołała zdumiona Elżunia — a toć oni próżnują od rana do wieczora, więc niema potrzeby oddzielnie jeszcze wolnych dni im wyznaczać. My się trzymamy innej metody pod tym względem. Nie chcemy żeby nasze sługi miały czas próżnować, bo próżniactwo jest matką złych myśli i najuczciwszych ludzi na złą drogę wprowadza — trzymamy więc służby tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, ale płacimy im podwójnie i jesteśmy podwójnie z siebie zadowoleni. Jeżeli której z nas zdarzy się kiedy własnoręcznie uprzątnąć swój pokój, nie uważamy się bynajmniej za nieszczęśliwe. I tak codziennie ścieramy sobie łóżko, ściemy kurze.

— Panie to same robicie? Ależ w takim razie od czego są słudzy?

— Od tego, żeby nam pomagali w pracy i odrabiali wszelką grubszą robotę, na którą żałujemy czasu, mogąc go w inny sposób lepiej spożytkować. Umiemy jednak potrosze i grubsze roboty, Andzia i ja, i od biedy potrafiłybyśmy być niezłemi służącymi.

Helenka nieznacznie wzruszyła ramionami. Chłuba z posiadania takiej umiejętności wydała jej się bardzo naiwną. Myśl, że będzie musiała sama ślać swoje łóżko i ścierać kurze, nie uśmiechała jej się wcale.

— Już trzy kazania dziś słyszałam: — rzekła do siebie — jedno było o oszczędności, drugie o strojach, trzecie o sługach. A to kaznodziejska rodzina! Zamiast sprzedawać nasiona, powinni by wszyscy, wzięwszy biblie pod pachy, jechać do Indyj Wschodnich lub do Australii. Widzę, że ja tu gram rolę jednego z dzikich i że mnie chcą nawrócić!..

— Czy pani nie zmieni sukni? — pytała Elżunia, widząc, że Helenka na swoją elegancką toaletę nakłada futro.

— Nie chce mi się przebierać; — odrzekła z pańską niedbałością — ta zresztą czy inna, wszystko jedno.

— Nie będzie pani mogła swobodnie iść z tym ogonem, a ciągle trzymanie go w ręku robi pani tylko ambaras.

— Jestem do tego przyzwyczajona — odrzekła, zarzucając go na lewą rękę, co jednakże nie było prawdą. Ogon był dla niej nowością i dlatego nie chciała się z nim rozstać.

Czuła, że istotnie rozsądniej byłoby zmienić suknię, ale pod wpływem uwag i nauk, jakie ciągle słyszała, zaczął się w niej budzić duch sprzecznosci i oporu. Postanowiła nie poddawać się. Zresztą Andrzej, który jej strojność ganił i wiedział, że słowa jego słyszała, gotówby teraz pomyśleć, że zrobiła to, chcąc zasłużyć na jego pochwałę.

Schodząc ze schodów, Elżunia i Helenka zobaczyła Andrzeja ze starszą siostrą, czekających już na nich przy ostatnim stopniu. We wzroku obojga, zwróconym na niebieską suknię, Helenka wyczytała naganę. Anna milczała jednak, Andrzej zaś powiedział tonem nieco szyderskim:

— Brakuje pani pazia.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem i wydał jej się jeszcze brzydszym i nieprzyjemniejszym niż rano. Gdy mijali korytarz, Anna, idąca obok niej, pokazała jej drzwi znajdujące się na prawo i rzekła:

— Tutaj pani będzie przepędzała większą część dnia, począwszy od jutra.

Helenka podniosła głowę i przeczytała napis ułożony z dużych mosiężnych liter: K a n t o r.

— Aha! — rzekła do siebie z goryczą — tutaj to zacząnę »zawadzać« od jutra.

Wyszedszy na dziedziniec, minęli budynki cieplarniane i skierowali się prosto do ogrodu, którego furtkę Andrzej kluczem wyjętym z kieszeni otworzył. Był to wielki obszar gruntu, zasadzony grupami drzew i drzewek, których większa część poobwijana była słomą, co im nadawało podobieństwo

do ludzkich postaci w białych koszulach. Altany i szpalery wyglądały jak góry śniegowe, bo śnieg pokrywał ogród na półtora łokcia wysoko. Helenka bez ustanku poprawiała swoją suknię, podciągając ją coraz wyżej.

W samym środku ogrodu była duża sadzawka, a z niej wypływało kilka wązkich kanałów, przerzynających ogród w kilku kierunkach; na kanałach rzucone były mostki z poręczami. Teraz woda wszędzie ścięta była lodem, a śnieg starannie był odmieciony i błyszcząca powierzchnia pokazywała że tu używano ślizgawki.

— Czy pani lubi się ślizgać? — zapytał Andrzej, gdy stanęli nad sadzawką.

— O, bardzo lubię — odpowiedziała, zapomniawszy o swoim gniewie. Urodzona i wychowana nad wodą, lubiła namiętnie wszystko, cokolwiek z wodą miało związek, a więc ślizgawkę, jeżdżenie łódką, łowienie ryb.

— Więc służę pani — powiedział, wyjmując z kieszeni parę malutkich łyżew.

Helenka wyciągnęła rękę uradowana, ale opuściła ją w tejże chwili — czyż podobna bowiem ślizgać się w sukni z ogonem?

— Dziękuję panu, — rzekła obojętnie — nie mam dzisiaj ochoty.

— Suknię możnaby jeszcze zmienić — powiedział, odgadując jej myśl.

Ale kwestya sukni, dzisiaj szczególnie, była dla niej drażliwą.

— Dziękuję panu, — powtórzyła z pewnem rozdrażnieniem — nie będę się ślizgała.

— Szkoda, — odpowiedział — to dobra gimnastyka dla ciała. Wyrabia siłę i zręczność. — I nie zajmując się nią więcej, usiadł na ziemi i zaczął sobie łyżwy przypinać.

Z mostu zwieszonego półkolisto nad ujściem wody z sadzawki do kanału, przypatrywała się Helenka zręcznym obro-



Patrzyła na nie błyszczącemi oczyma.

tom trojga rodzeństwa wymijającym się z nadzwyczajną szybkością, pewnością i wprawą. Panny Radliczówny ślizgały się bardzo dobrze, a krótkie suknie dawały ich ruchom zupełną swobodę. Patrzyła na nie z błyszczącymi oczyma, zazdroszcząc tej tak ulubionej sobie rozrywki, i złorzeczając ogonowi, od trzymania którego już zaczynała ją ręka boleć. Po pół godzinie takiej zabawy, podczas której stojąc na miejscu dobrze zziębła, przyszło jej do głowy przejść przez środek sadzawki na drugą stronę i usiąść na grupie kamieni ułożonych nad brzegiem. Łatwiej bez porównania byłoby obejść naokoło, choć trochę dalej, ale czuła niepowściągniętą ochotę dotknięcia nogami twardej powierzchni lodu. Zeszła z mostku, i pomimo odradzania wszystkich puściła się przez sadzawkę. Andrzej wołał na nią, żeby się nie zbliżała do brzegu z lewej strony, bo tam był świeżo zrobiony przeręb dla ryb; ale czy go nie słyszała, czy też usłyszała za późno, dość że dochodząc już do brzegu, pośliznęła się i upadła — a choć podniosła się natychmiast bez żadnego szwanku, ogon szwank poniósł i na wspaniałości bardzo stracił, bo w czasie upadku wysunął się z rąk i w przeręblu umaczał.

Wszystko troje, Andzia, Elżunia i Andrzej wyciągali go razem z wody niby wieloryba, bo przybiegli na pomoc Hелence — a że jej już nie potrzebowała, ratowali chociaż ogon, znajdujący się po tej zimnej kąpieli w bardzo smutnym stanie. A byli wszyscy bardzo pomartwieni i wyrażali głośne dla biedaka współczucie. Wrócono mu, że kataru dostanie i każdy inne lekarstwo radził. Właścicielka ogona okazała w tym wypadku godność prawdziwie książęcą i zadziwiająco zimną krew — może nawet za zimną, bo dziękowała za ratunek oziębłe — i tylko oczy świecące fosforycznym blaskiem mówiły, że ta oziębłość jest udaną. Los sukni mało ją obchodził, ale zirytowała mocno przygoda, stawiająca ją w śmiesznem świetle, i stwierdzająca niedorzeczność jej oporu,

wobec dobrych rad. Gdyby ich była posłuchała, nie byłoby tego wszystkiego.

Słońce zaszło, a z niem zmrok szybko zapadać zaczął. Wracano do domu, ale że sadzawka znajdowała się w samym środku ogrodu; więc mieli dosyć duży kawał drogi do przebycia. Ogon, choć wyciśnięty z wody, tężał na powietrzu coraz bardziej, aż stał się nareszcie twardym jak drewno; właścicielce wydawał się tak ciężkim, że ledwie go mogła udźwignąć. Widząc to panny Radliczówny ulitowały się nad nią i ofiarowały swoją pomoc, a choć się temu zrazu bardzo opierała, Elżunia i Andzia wzięły go w ręce i rozpostarłszy, żeby lepiej wysychał, niosły tak razem. Dziwny ten orszak postępował w milczeniu, bo Helenka wyglądająca teraz jak prawdziwa księżniczka, której nie brakowało paziów, nie okazywała żadnej ochoty do rozmowy — a myśląc o eskortującym ją grenadyerze, połykała łyzy gorzkie.

Było już prawie ciemno, gdy wchodzili do domu i tylko Kunegunda wracająca z wizyty przeżegnała się na ten widok. Całe szczęście, że na niej się skończyło, bo Helenka ucierpiałaby bardzo na tem, gdyby jej pochod wyglądający na tryumfalny, miał być liczniejszych świadków. Szybko wbiegła po schodach na górę, a ogon nawskróś przemarznięty i stwardniały, uderzał niby taran w deski schodowe, Przełękniona i zawstydzona tym łoskotem, przybierającym w jej uszach kolosalne rozmiary, dopadła drzwi swego pokoju i rzuciwszy się na krzesło zakryła twarz rękami.

Ale trzeba było przebrać się nareszcie i stawić w jadalnym pokoju na herbatę. Zapaliła świecę, włożyła inną suknię, poprawiła włosy, a spieszyła się z tem wszystkiem bardzo, bo przechadzka na świeżem powietrzu obudziła w niej szalony apetyt. Młody żołądek ma swoje prawa, których zmartwienie nawet nie usuwa. Po dniach, przez które nic prawie w ustach nie miała prócz herbaty, z jakąż ochotą zja-

dłaby kawałek zimnego pasztetu lub kurczęcia, przekąsiwszy wprzód odrobiną kawioru lub łososia!

Gdy się zjawiała w sali jadalnej, zastała całą rodzinę siedzącą już przy stole, a chociaż obrus był tak biały, że mógł śmiało sprzeczać się ze śniegiem o pierwszeństwo, przecież nie było na nim ani kurczęcia, ani pasztetu, ani nawet łososia lub kawioru — tylko jakaś pieczeń na zimno, chleb, masło i sucharki. Na ten widok zrobiło się Helence na sercu dziwnie miękko i ogarnęła ją taka melancholia, że świat i wszystko co jest na nim, wydało się jej bezcelowem. Nie tknęła tego wieczora już nic prócz szklanki herbaty, co Andrzej i jego siostry przypisały wrażeniu z powodu przygody z ogonem.

Tak się skończył dzień drugi pobytu jej w obcym domu, dzień, w którym uważano ją jeszcze w połowie za gościa. Nazajutrz miała się stawić do pracy.

— Pamiętaj pani się nie spóźnić — powiedział pan Radlicz, podając jej rękę na dobranoc. — Otwieramy kantor o godzinie ósmej, a mamy jutro dużo paczek do wysłania.

Wróciwszy do siebie zastała świecę zgaszoną; zdziwiło ją to, ponieważ pamiętała, że ją umyślnie palącą się zostawiła, żeby mieć widno w pokoju, gdy powróci. Długo macała tu i owdzie, zanim natrafiła na zapałki, bo nie pamiętała wcale, gdzie je położyła. Nareszcie upragnione światło zabłyśło, a z niem wyszedł na jaw i cały nieład pokoju. Ogon niebieskiej sukni w temperaturze pokojowej rozstajał i prosto z niego płynęła ciemnoszafirowa struga. Widząc to wszystko Helenka załamała rękę.

I ja to mam sama porządkować! — jęknęła — o Boże na jakież mnie próby wystawiasz! Nie, niech się dzieje co chce! ani myślę!

Było już późno, czuła się zmęczoną i położyła się zaraz. Usnęła nadspodziewanie prędko — co też po nocy wczorajszej, w połowie bezsennie spędzonej, było zupełnie natu-

ralne. I idealnej tej istocie co z odrazą patrzyła przy obiedzie na jedzącego Andrzeja, tej istocie eterycznej, której marzenia bywały zawsze utkane ze mgły i słońca, śniły się rzeczy tak prozaiczne, jak stoły zastawione jedzeniem. Ale jedzenie to składało się z najpyszniejszych potraw: więc w licznym orszaku defilowały przed nią smakowite przekąski, ryby wspaniale przystrojone, zwierzyna, drób, owoce, lody, wina, słowem wszystko, co było podane na balu u stryja Bartłomieja, a woń delikatna tych potraw łechtała podniebienie.

X.

Gdy Helenka nazajutrz zjawiała się w sali jadalnej, nie znalazła ani śladu śniadania: widocznie przyszła zbyt wcześnie, albo zbyt późno — jedno z dwojga. Zapomniała wieczorem nakręcić zegarka, więc stanął, i nie wiedziała wcale która godzina, ale zdawało jej się, że nie musi być późno. Niepewna czy ma odejść czy zostać, stała chwilę na środku pokoju namyślając się co zrobić. Gdyby to było w M., pociągnęłaby tylko za taśmę od dzwonka, i kazałaby służącej przynieść sobie śniadanie — ale w tym dziwnym domu, gdzie ludzie inaczej żyli i myśleli, nie wiedziała jak postąpić, żeby nie ściągnąć na siebie niezadowolenia. Na szczęście ukazała się we drzwiach Kunegunda ze ściereczką w rękę; od tej można się było przecież czegoś dowiedzieć.

— Moja dobra Kunegundo — spytała głosem jak mogła najgrzeczniejszym — czy śniadanie już było?

Służąca spojrzała na nią z pod oka.

— To się rozumie, — mruknęła — pewniebyśmy czekali za panną do południa!

I najobojętniej w świecie zaczęła wycierać krzesła z kurzu. Z oczu Helenki strzeliły błyskawice gniewu.

— Jak śmiesz odzywać się tak do mnie? — zawołała podnosząc głos.

— A cóż tak złego powiedziałam? — spytała hardo — mówię to co jest prawda. Kto chce jeść śniadanie, niech wstaje rano, a kto lubi długo spać, musi się kontentować apetytem. Nasi państwo jadają o siódmej, a o ósmej już jest sprzątnięte ze stołu. Tu niema czasu dla jednej osoby dziesięć godzin dmuchać w samowar, żeby nie wystygł. Każdy ma swoją robotę.

— Moja Kunegundo, powściągnij swój język; — odezwiała się pani Radliczowa, która wchodząc w tej chwili do pokoju, słyszała ostatnie wyrazy — nie do ciebie należy robić uwagi pannie Oreckiej. Idź przynieś śniadanie; kazałam żeby samowar był gorący.

Kunegunda wyszła mrucząc niechętnie, a Helenka dosłyszała w tem mruczeniu, że ją nazwała »księżniczką«. Druga to już osoba dawała jej ten tytuł.

— Jestto kobieta rzadkiej uczciwości i pracowitości, mówiła pani po wyjściu Kunegundy — ale ma jedną wadę, ostry język, i nie umie go utrzymać na wodzy. Wybaczamy jej jednak tę wadę przez wzgląd na jej wielkie do nas przywiązanie. Trzydzieści lat już służy w naszym domu i dzieliła z nami zarówno złą i dobrą dolę; nie uważa się też za służącą, ale za członka rodziny, i we wszystkim co nas obchodzi, żywy bierze udział. To co powiedziała pani przed chwilą, wypłynęło nie z jej złej woli, ale z temperamentu.

— Miły temperament — wtrąciła Helenka.

— Zresztą, słowa jej nie były pozbawione słuszności — mówiła dalej pani Radliczowa. — Służba nasza ma tak wiele zajęć, że gdyby musiała każdemu z osobna usługiwać, nie dałaby sobie rady. Tylko poddaniem się dobrowolnie przytemu rygorowi osiągamy w gospodarstwie ład, z którego

wszyscy korzystamy, i gdybyśmy się chcieli z niego wyłamać, wszystkoby się powoli rozprzęgło; bo gospodarstwo choćby najmniejsze, porównać można do maszyny, w której każdy domownik gra rolę kółka. Jedno kółko nieprawidłowo idące, może całą maszynę zatrzymać. Godzin przeznaczonych na posiłek pilnujemy się wszyscy bez wyjątku, i jeżeli się kto spóźni, najczęściej nie je, dla nienaruszenia porządku domowego.

— A więc i ja nie powinnam jeść — rzekła Helenka z pozornym spokojem, choć wszystko się w niej burzyło. — Przepraszam panią bardzo za moje spóźnienie się, ale nie uczyniłam tego rozmyślnie. Zegarek mi stanął i nie wiedziałam która godzina.

Ukloniła się, zwróciła ku drzwiom, a choć pani domu usiłowała ją koniecznie nakłonić, żeby wprzód zjadła śniadanie, podziękowała mówiąc, że chce dać dowód szacunku dla zasady.

— Ta dziewczyna umrze z głodu: — rzekła do siebie pani Radliczowa po jej wyjściu — już trzeci dzień nic nie je. A z jaką to ona powiedziała godnością, z jakim chłodem! Księżniczka!...

Sam ten wyraz »rygor«, napętniał wstrętem Helenkę, a myśl, że będzie zmuszona odgrywać rolę kółka w maszynie, burzyła w niej wszystką krew. Kto wie, czy jakie chęci buntownicze nie byłyby jej przysły do głowy, gdyby nie odgłos zegara bijącego poważnie godzinę dziesiątą. Porachowała uderzenia i zdziwiła się, że tak już późno. Stanąwszy przed drzwiami kantoru, które pokazała jej wczoraj Anna, przycisnęła ręką serce poruszające się w piersiach żywiej na myśl, że spotka się poraz pierwszy z czemś, czego jeszcze nigdy nie знаła, a z czem miała odtąd żyć ciągle — z pracą. Ciekawość, niepokój, obawa, przepełniały jej duszę, a wczorajsze słowa Andrzeja, przychodzące jej w tej chwili na myśl, nie przyczyniły się wcale do złagodzenia tych uczuć. Prze-

żegnała się i nacisnęła klamkę. Znalazła się w obszernym pokoju, zawieszonym od góry do dołu kolorowemi rycinami, przedstawiającemi w naturalnej wielkości kwiaty, owoce, warzywa, pomiędzy którymi na honorowem miejscu wisiały dyplomy nagród i medali, otrzymanych za nasiona na rozmaitych wystawach. Dwie wielkie szafy pełne były książek, a na samym środku stał duży stół, założony książkami rachunkowemi, papierami i próbkami nasion w słoikach i kapsułkach. Przy tym stole siedział przedstawiciel firmy i pisał coś na dużym blankiecie, zaglądając co chwila do książki notatkowej. Na odgłos otwarcia drzwi sprawiony nie podniósł wcale głowy. Helenka zbliżyła się do niego, i podając mu rękę, przemówiła głosem, w którym się przebijała cała do niego ufność.

— Dzień dobry panu. Przyszłam na swoje stanowisko. Pan Radlicz nie przerywał pisania.

— Zapóźno trochę — odezwał się nareszcie, nie odpowiadając wprost na powitanie. — Prosiłem panią, żebyś się stawiała o ósmej, a teraz jest dziesiąta... Mówiłem, że mamy pilną robotę, pani jednak nie przyszłaś. Zdawało mi się, że mogę na panią liczyć i omyliłem się. Przykro mi to bardzo.

Wyciągnięta rączka opadła.

— Nie moja w tem wina: — rzekła z pomieszaniem — zegarek mi stanął.

— Nic pani nie tłómaczy; — wyrzekł surowo — poczucie obowiązku powinno było panią obudzić. Miałaś pani wczoraj dosyć czasu do wyspania się i wypoczęcia po podróży; dzisiaj należało się pilnować.

Helenka patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. Nikt jeszcze nigdy w życiu nie przemawiał do niej takim tonem. Co to miało znaczyć? Byłże to sen przykry, czy też istotna rzeczywistość?

— Czegoż ja się mogę nadal po pani spodziewać. —

mówił dalej pan Radlicz — jeżeli początek jest tak niefortunny?

— To tylko początek, — szepnęła — dalej będzie lepiej.

— Jaki początek, taki bywa koniec. Człowiek pokazuje swoją wartość w każdym swoim czynie, i z jednego można wróżyć o innych. Pani w pierwszym dniu swojej służby okazałaś się niesłużbistą, niedbałą; dałaś dowód lekceważenia mnie samego i spraw mających pani być powierzonymi.

— Ależ ja nie chciałam tego, niech mi pan wierzy. Proszę o przebaczenie...

— Przebaczenie rzeczy nie naprawia. Wszystko mi jedno czyś pani chciała, czy nie; ja na rezultaty patrzę. Potrzebuję pracownicy pilnej, energicznej i wytrwałej, mówiłem to pani jeszcze w M... Powinnaś pani była wprzód dobrze się zastanowić i obliczyć z własnymi siłami, zanim zgodziłaś sięjechać ze mną. Mówiłem pani, że jestem surowy i wymagający. I powtarzam pani jeszcze raz: jeżeli się nie czujesz na siłach, jeżeli przyjęte obowiązki wydają się pani nazbyt ciężkimi, możesz się jeszcze cofnąć.

Gdyby kto inny mówił to wszystko Helence, niezawodnie obrażona duma i wrodzona drażliwość podyktowałaby jej niejedną ostrą i dobitną odpowiedź. Ale że te słowa karzące pochodziły od człowieka będącego w wieku jej ojca, w którym spodziewała się tutaj drugiego ojca znaleźć; od człowieka, w którego życzliwość dla siebie wierzyła do tej chwili — więc zabolęło ją serce, że okazał się dla niej tak srogim i niemiłosiernym i uczuła się w tym domu obcym, gdzie wszystko na każdym kroku raziło ją dotkliwie — samą, bez pomocy, bez opieki i bez obrony.

Dwie wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Pan wie, — rzekła cicho — że ja nie mogę się cofać. Zna pan moje położenie.

Pan Radlicz, który śledził wyraz jej twarzy i zdawał się na niej czytać, odezwał się tonem nieco łagodniejszym:

— Moje dziecko, wydałem ci się człowiekiem twardym, ale wiedz, że nie byłem innym dla moich własnych dzieci, i z siebie dawałem im przykład. Zapytaj moich dziewcząt, niech ci powiedzą. Nieubłagany jestem, gdy widzę niespełniony obowiązek — bo w tem to leżała przyczyna naszych politycznych nieszczęść, naszego narodowego upadku — i tylko z pełnienia go skrupulatnie, może powstać odrodzenie. Lekceważenie obowiązku w małych rzeczach, prowadzi do lekceważenia go w wielkich; wierz memu doświadczeniu. Gdybym chciał pani pobłażać, musiałbym także pobłażać innym i wkra-
dłoby się do zakładu mego rozprzężenie. Jestem akuratny i musi u mnie iść wszystko jak w zegarku. Na porządku świat stoi, nieporządkiem upadają narody i społeczeństwa.

Helence przypomniało się w tej chwili, że słowa bardzo podobne tym słyszała wczoraj rano od pani Radliczowej z powodu wyrzuconego kawałka mydła, i uderzyło ją nie ich podobieństwo, ale znaczenie, jakie ci ludzie przypisywali drobiazgom. Czyżby one istotnie tak wiele ważyć miały w życiu społeczeństw? Czy jej dzisiejsze spóźnienie się do kantoru, rzecz, szczerze mówiąc, tak podrzędna, a do tak wielkich przez pana Radlicza podniesiona rozmiarów, istotnie mogło dać powód do wniosku, że na nią nie można liczyć — i czy naprawdę istnieje w świecie ta nieubłagana logika faktów, która czyn jeden czyni zależnym od drugiego; wedle której, jeden czyn wywołuje cały, nieprzerwany łańcuch czynów podobnych? Z tej strony nikt jeszcze nie pokazywał jej życia... Bo też i ludzi takich nie spotykała: znała dobrodusznych jak ojciec, jowialnych jak stryj Bartłomiej, eleganckich jak Stefan — ale takich twarzy surowych i poważnych nie widywała, ani słyszała słów, co padały niby uderzenia żelaza, ostre, głębokie i nieodwołalne jak przeznaczenie.

— Postaram się opóźnienie moje wynagrodzić — rzekła po długim milczeniu.

— Nic pani nie wynagrodzisz — odpowiedział pose

pnie. — Godziny upłynione nie powracają nigdy, pamiętaj pani o tem. Andrzeju, — zawołał na syna pracującego w drugim pokoju — chodźno tutaj.

Młody Radlicz wszedł i uklonił się Helence — ona jednak nie widziała tego ukłonu. Spuściła oczy, żeby nie poznać, że płakały.

— Obznajmij pannę Orecką z jej obowiązkami i daj zaraz jaką robotę.

— Dobrze, ojcie — odrzekł, i zwróciwszy się do Helenki, dodał: — służę pani.

Z kantoru widać było w perspektywie cały szereg dalszych pokoi. Były one zastawione szafami, a szafy te od góry do dołu miały rzędy szuflad większych i mniejszych, opatrzone numerami i napisami w dwóch językach, polskim i łacińskim. Przy tych szufladach, których większa część była do połowy wysunięta, kręciło się kilka osób, mężczyzn i kobiet; jedni z kartkami w rękach wybierali z nich małe papierowe torebki z nasionami, inni przynosili je stosami z drugiej izby, gdzie nasiona ważono i nasypywano przy wielkich stołach, i napełniali niemi szufladki. We wszystkich pokojach panował bezustanny ruch ludzi zajętych pracą, nietracących ani chwili na próżno, a nad tym ruchem górował jednostajny stuk ręcznej maszynki drukarskiej, wybijającej napisy na papierowych torebkach. Helenka jednym rzutem oka objęła to wszystko, ciekawa jakie też zajęcie będzie jej przeznaczone, gdy Andrzej wskazał jej niewielki stół pod oknem, gdzie były wszystkie przybory do pisania, i pokazawszy blankiety zaopatrzone firmą zakładu, prosił o przepisanie kilku rachunków z notatek, które przed nią położył — poczem oddalił się.

Pracownicy pana Radlicza, widząc młodą damę wykwintnie ubraną, inniemali, że przysłała tylko zwiedzić zakład; ale gdy zajęła miejsce przy stoliku, niektórzy z nich, zwłaszcza kobiety, okazali jawne choć milczące zdziwienie. Do

strzegła to Helenka i ciemny rumieniec pokrył jej lica. Nie oswoiła się ona jeszcze z myślą, że musi na chleb zarabiać i kosztowało ją to. Spuściła oczy na papiery leżące przed nią, ale litery skakały jej przed oczyma. Jeszcze nie zaczęła pracować, a tyle już ją spotkało rzeczy bolesnych i ciężkich do zniesienia, że straciła ochotę do wszystkiego. A jednak to był dopiero wstęp... Podniosła oczy w niebo, jakby opuszczona do wszystkich, tam chciała szukać wsparcia i pomocy — ale nieba zaledwie wązki kawałek było widać, bo je zasłaniała poprzeczna oficyna. Oczy dziewczęcia przyzwyczajone do szerokich przestrzeni, do widoku łąk, lasów i rzeki malowniczo przybranej szeregami statków żaglowych, uczuły się jakby w więzieniu. Nie ceniła tych rzeczy, dopóki je posiadała; ale teraz, gdy marzące jej oczy daremnie chciały przebić tę zaporę z wysokiego muru, zasłaniającą jej świat, odbiło się w nich uczucie bolesnej za tem wszystkim tęsknoty.

Odgłos maszynki drukarskiej przypomniał jej, że nie było to miejsce właściwe do żalów i tęsknot, ale miejsce pracy; to też gdy Andrzej w pół godziny potem przyszedł zobaczyć i zabrać co było gotowego, podała mu kilka rachunków przepisanych. Przebiegł je oczyma i kładąc napowrót przed nią, powiedział:

— Pismo bardzo wyraźne i ładne, tylko cyfry nie stoją równo, jedne pod drugimi. Pani będzie łaskawa przepisać to jeszcze raz.

Pot wystąpił jej na czoło; spojrzała na niego wzrokiem ptaszyny śmiertelnie zmęczonej, i nie wyrzekłszy ani słowa, nanowo pisać zaczęła. Cóż miała odpowiedzieć? Wiedziała, że jeżeli po raz drugi wywiąże się źle z polecenia, okaże się, że zamiast pomagać, »zawadza« tylko w kantorze. A nie chciała za nic w świecie dopuścić, żeby Andrzej miał słuszość pod tym względem — przeciwnie, pokaże mu, że nie

wolno jej tak lekceważyć. Jakoż istotnie, rachunkom powtórnie napisanym, nie było już nic do zarzucenia.

Dnia tego siadła do obiadu z uczuciem silnego głodu i zjadła wszystek rosół z talerza — ale do mięsa gotowanego razem z jarzyną nie mogła się przekonać. Uprzątnęła zato wszystek swój chleb z taką dokładnością, że nic z niego nie zostało nawet dla wróbli. Spartański ten posiłek rozjaśnił trochę jej pogląd na świat. Powiedziała sobie, że może z czasem przyzwyczai się do tego domu i do tych ludzi — ale w pół godziny potem zmieniła zdanie, usłyszawszy przypadek rozmowę Kunegundy z lokajem przy drzwiach swego pokoju, gdzie stojący szaflik z wodą i szczotka kazały się domyślać, że go świeżo umyło.

— Licho przyniosło tę księżniczkę; — mówiła Kunegunda — człowiek ma dosyć roboty ze swoimi, jeszcze ta pupka przyjechała, i trzeba koło niej tańcować. Nastawiaj dla niej osobno samowar, dmuchaj w niego dziesięć godzin, sprzątaj po niej co chwila! A jaka nieporządna! Kiedy powiadam panu Franciszkowi, że nic jak się należy nie złoży! a jej rzezy, to po wszystkich kątach porozrzucane i pomieszane jak groch z kapustą. Musi tam być i w głowie taki sam bigos.

— Ahm! — potwierdził Franciszek.

— W sobotę rano umyłam tak ślicznie ten pokój, że aż pachniało. Myślałam sobie: będzie na jakie dwa tygodnie, a już dzisiaj musiałam go myć znowu. Poszła wczoraj do ogrodu na spacer i nie chciało jej się zakasać, więc tak za szargała sobie ogon, że jak suknię ze siebie zdjęła, to z niej ze dwie kwarty wody wyciekło na podłogę. Porobiły się od tego takie plamy, że musiałam je aż szarem mydłem szorować, bo nie chciały puścić. Skaranie Boskie, doprawdy! Ale sukni nie myślę czyścić, o nie! Kto mi każe? Schowałam ją do szafy tak jak jest. Niech sobie sama czyści!

Parsknęli śmiechem oboje, a Kunegunda mówiła dalej:

— Dobrze jej tak. Niech spróbuje co to jest za robota,

czyszczenie. Jak ona to sama będzie musiała zrobić, to jej się odechce stroić w takie długie suknie jak król Herod, co go na Boże Narodzenie w szopce pokazują.

Roześmieli się znowu.

— Nasze panienki to ogonisko wczoraj niosły, jakby jaki rarytas. A żeby pan Franciszek wiedział, jak to zabawnie wyglądało! tom się tak śmiała, że aż się trzymałam za boki, bo myślałam, że co we mnie pęknie. Widziałam, że i panu Andrzejowi śmiać się chciało, bo ino wąsami ruszał. Co też to za sens w tej głowie, żeby ze sukni robić miotłę!

— To ona zamiotła nam wczoraj schody i sień, ta księżniczka?

— A! zamiotła.

— O, niechże tak robi codzień, mogłaby ją pani Kungunda od nas poprosić!

Nowy wybuch śmiechu przerwał rozmowę.

— A co to ona za tłomok nosi z tyłu? — pytał Franciszek.

— Ii, pan Franciszek to się też nic na modzie nie zna: to jest taka maszyna, co się nazywa tiurniura i kładzie się pod suknię, żeby udawała tęgość.

— Tfu! — splunął Franciszek — żeby moja baba włożyła taką maszynę, tobym jej w tem samem miejscu skórę tak kijem wygrzmocił, żeby pamiętała ruski miesiąc. To jest z przeproszeniem, nieprzyzwoitość i obraza Boska.

Helenka aż zbladła z gniewu, słysząc te słowa, ale jak ich miała za to ukarać? Gdyby to było w M., wypędziłaby natychmiast oboje — ale w obcym domu nie wolno jej było w niczem się rozporządzać. Iść na skargę do pani domu? Ależ to upokarzałoby ją i nie przydałoby się na nic. Pani Radliczowa nie odprawi sługi, która służy jej wiernie lat trzydzieści. Jeden był tylko środek wyjścia z honorem z tej sprawy: zachować się tak, jak gdyby nic nie słyszała. Tak też zrobiła, bo nie mogła wymyśleć nic lepszego.

— Słyszałam dziś trzy kazania, — rzekła do siebie — a wczoraj trzy, to sześć.

Franciszek dając w prostocie ducha, tak energiczny wyraz swemu przeciwko Helence oburzeniu, zapomniał pocziwiec, że tradycja krynoliny, w której niewiasta z trudnością tylko mogła się we drzwiach zmieścić, żyła jeszcze w pamięci współczesnych i jego własnej. Nie wiedział, że moda, to pani tak potężna, iż rzadko kto ma odwagę wyłamać się z pod jej władzy — i że kobieta woli dziwacznie wyglądać, niż być niemodnie ubraną. Tylko w domu Radliczów nie pozwalano kaprysom mody brać góry nad zdrowym rozsądkiem. Umiano tam szczęśliwie unikać ekscentryczności tej wszechwładnej pani — i biorąc coś z jej ogólnych zarysów, zachowywano właściwą miarę. Stwarzano zawsze estetyczną całość, nie pozbawioną szlachetnej prostoty.

XI.

Trzeci to już raz kładła się na spoczynek pod obcym dachem, a żaden dzień nie był dla niej tak ciężkim, jak ten trzeci dzień właśnie. Sen też nie zaraz skleił jej powieki, bo dzieje dnia całego, począwszy od fatalnego spóźnienia się na śniadanie, stanęły przed nią z całą wyrazistą dokładnością i uprzytomniły raz jeszcze scenę bolesnego upokorzenia w kantorze, gdzie musiała usłyszeć, że jej zarzucano brak poczucia obowiązku.

To też gdy naprawdę zasnęła, poczucie obowiązku budziło ją co chwila. Zrywała się, siadała na łóżku, zapalała świecę, ale czas włókł się powoli i noc ciągle jeszcze trwała — a Helence zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. W krótkich odstępach między jednym przebudzeniem a dru-

giem, podniecona wyobraźnia przesuwiała przed jej oczyma różne obrazy z nadzwyczajną szybkością: rodzice, miasteczko, bal u stryja, Stefan, konik ulubiony, pies przyjaciel, różowy pokój, wszystkie osoby rodziny Radliczów, nawet ryciny wiszące w kantorze z łacińskimi pod nimi podpisami — a mnogość tych obrazów sprawiała, że noc po każdym przebudzeniu stawała się jeszcze dłuższą. Nareszcie wydało jej się, że tuż przy sobie słyszy surowy głos swego pryncypała: »Nic pani nie tłumaczy, poczucie obowiązku powinno było panią obudzić« — a ogórek *Noa himmalajski*, kapusta *Graczewa*, burak *Victoria*, olbrzymi pomidor *Garfield*, dynia *Kantalupa paryska*, zaczęły się ruszać w swoich ramach i wołały: »Obudź się, obudź!«

Zerwała się po raz niewiadomo już który, przetarła oczy i spojrzała w okno. W oknie było ciemno, ale ranki zimowe zawsze ciemne bywają. Zapaliła świecę i zobaczyła, że zegarek wskazywał godzinę piątą.

— Dziwna rzecz, — pomyślała kręcąc głową — nie dawno patrzyłam na niego i także pokazywał piątą. Pewnie znów stanął, bo niepodobna, żeby skazówki posuwały się tak leniwie.

Przyłożyła go do ucha, ale nic nie słyszała prócz uderzeń własnych pulsów w skroniach.

— Stanął, — rzekła do siebie — to widoczne. Musi już być siódma.

Położyła go napowrót, i z obawy spóźnienia się znowu na śniadanie, zaczęła się spieszenie ubierać. Kwadrans czasu wystarczył na dopełnienie tej czynności, która wczoraj jeszcze zabrała jej półtóry godziny.

Gdy schodziła ze świecą na dół, dziwiła się, że wszędzie było ciemno — tylko latarnia wisząca w bramie rzucała słaby odblask światła na klatkę schodową. W całym domu była taka cisza, jakby wszyscy jeszcze spali, ale to nie dziwiło Helenki. Od pierwszego dnia zauważyła, że chociaż słu-

zby tu było niewiele, wszystko odbywało się składnie i bez tej hałaśliwej krętaniny, jaka w domu jej rodziców cechowała każdą czynność służących.

W sali jadalnej nie zastała jeszcze nikogo, a i na stole nie było widać przygotowań do śniadania, nawet lampy jeszcze nie zapalono. Stała, słuchając przez chwilę, czy kto nie nadchodzi, ale żadnego ruchu słyszeć nie było — zegar tylko szedł jednostajnym miarowym krokiem i przywiódł jej znowu na myśl słowa pana Radlicza: »Upłynione godziny nie powracają nigdy, pamiętaj pani o tem«. Podeszła ku niemu i podniosła świecę w górę. Skazówki pokazywały kwadrans na szóstą — a więc jej własny zegarek szedł dobrze. Jak się to jednak stało, że czas dziś upływał tak wolno? Przez chwilę myślała wrócić do siebie i położyć się napowrót, ale obawa, że położywszy się może zasnąć mocno i nie obudzić się na czas, skłoniła ją do pozostania raczej. Usiadła na jednym z krzeseł stojących przy stole, wsparła głowę na rękę i ani się spostrzegła jak zasnęła.

We dwie godziny potem, gdy blady brzask poranku na próżno chciał rozproszyc szare chmury i nie mógł tego dokazać, Kunegunda przyszła zapalić lampę w jadalnym pokoju i zdziwiła się mocno ujrawszy już tam pannę Orecką. Zdziwienie jej zwiększyło się jeszcze, gdy spostrzegła, że śpi, a świeca dopalająca się w lichtarzu pokazywała, że musiała się tam znajdować już czas jakiś. Kunegunda choć miała ostry język, ale nie była bez serca — to też uczuła coś nakształt litości na ten widok. Nakrywając do stołu, stąpała jak mogła najciszej, a spoglądając od czasu do czasu na śpiącą, z pod oka, wyrzucała sobie swoją wczorajszą dla niej niegrzeczność.

Pierwszą osobą, która po Kunegundzie tam weszła, był Andrzej. I on także uczuł litość. Stał przed śpiącą i długo na nią patrzył. Życie zaczęło już znaczyć swoje ślady na tej pięknej twarzy, której brakowało dotąd głębszego wyrazu.

Na czole nieprzystłoniętem w tej chwili włosami, znać było ślady walk i rozmyślań. Bładość tego czoła, wydatne rysowanie się na niem żyłek niebieskich lekko nabrzmiąłych i drobne kropelki potu, mówiły, że walki te przychodziły ciężko... Powieki zmęczone bezsennością miały obwódki zaczerwienione, a długie rzęsy rzuciły na nie siny cień. Usta zawsze tak świeże, spieczone były gorączką a naokoło nich osiadł jakiś bolesny wyraz. W całej postawie przebijało się znużenie graniczące niemal z wyczerpaniem i uwydatniające jeszcze bardziej wątłość budowy. Ręka podpierająca głowę mała i delikatna, a tak piękna, że mogłaby służyć za wzór rzeźbiarzowi, blada była także i prawie przeźroczysta.

Andrzej patrzył, a litość jaką miał dla niej obudziła w jego sercu uczucie, jakie widok słabości budzi zawsze w duszy szlachetnego a silnego mężczyzny: przyjazną życzliwość i chęć podania dłoni pomocnej temu słabemu dziewczęciu. Posłyszawszy za sobą kroki idących na śniadanie, usunął się nieco na stronę.

Cała rodzina zobaczywszy śpiącą stanęła spoglądając po sobie, a pani Radliczowa niebędąca także z kamienia, odezwała się do męża:

— Biedne dziecko: życie jej między nami nie jest bynajmniej słodkie. W ciągu trzech dni pobladła i zmizerniała. Ale bo też nic nie je! Nasze potrawy nie chcą jej jakoś przejść przez gardło. Edwardzie, możeby dla niej kazać zrobić coś delikatniejszego, na przykład kuropatwę pieczoną lub potrawkę z kurczęcia?

— Nie — rzekł stanowczo pan Radlicz — to opóźniłoby tylko jej dojrzałość; niech jada to samo co my. Nasze obiady choć niewykwintne, zdrowe są i posilne, a panna Orecka przyzwyczai się do nich zczasem. Celem posiłku nie jest rozpieszczanie podniebienia, ale dostarczanie sił potrzebnych organizmowi. Dziecko to wyrosło w miękkiej atmosferze za-

bijającej ducha i my musimy ją inaczej wychować. Niech zakosztuje walki i trudu.

— Ale ona cierpi, mój ojcie — wtrąciła Elżunia.

— Niech cierpi: cierpienie hartuje duszę i wyrabia charakter. Niech własnem doświadczeniem pozna, że życie nie jest bezcelową przechadzką po kwiecistym kobiercu, ale szkołą, w której się człowiek uczy rozumu i znosić musi różne ciężary.

— Ojcie, — szepnął Andrzej — byłeś może za surowym dla niej wczoraj w kantorze. Widziałem, że płakała...

— Czy łagodniejszymi środkami nie możnaby osiągnąć tego samego celu? — spytała Anna. — Czyż sam przykład nie podziałałby na biedną księżniczkę dość skutecznie? Po co jej mówić przykre rzeczy?

— Środki łagodne mają tę wadę, że powoli działają; — odparł pan Radlicz — do nich należy także wpływ przykładu. Żeby doprowadził do rezultatów, jakich pragniemy, trzeba by lat całych. Nie mamy na to czasu. Długie czekanie byłoby uciążliwem zarówno dla nas jak dla niej. Obrąłem metodę doraźnego energicznego działania, bo znam jej skuteczność. Prawda największe czyni wrażenie, kiedy się wypowiada po prostu; przybrana w subtelności konwencyjonalne i rozważkowana, traci swoją siłę przekonywającą. Czy myślicie, że bez przykrości mówiłem jej wczoraj twarde wyrazy o potrzebie ścisłego pełnienia obowiązków? Czy sądzicie, że nie dostrzegam walki, jaką ta dziewczyna stacza z sobą od chwili wejścia w nasze progi? Widzę, co się w niej dzieje i mam dla niej współczucie, ale nie zmienię postępowania. Mówiłem wam, że to jest grunt szlachetny i bogaty, i każdy dzień utwierdza mnie w tem przekonaniu. Nie przeszkadzajcież mi w wyrywaniu z niego szkodliwych chwastów, ale pomagajcie raczej. Proszę was wszystkich o to.

— Ty przynajmniej mateczko nie bądź dla niej nazbyt surową — szepnęła zcicha Elżunia, całując rękę matki.

Pani Radliczowa przesunęła pieszczotliwie dłoń po jej włosach.

— Dziecko — rzekła z łagodnym wyrzutem — czy myślisz, że mogłabym jej zrobić krzywdę? I ja mam dla niej współczucie, ale jestem tego samego zdania co ojciec: musimy ją wychować!

Rozmowa prowadzona półgłosem nie obudziła Helenki; całonocne czuwanie uczyniło teraz sen jej twardym — dopiero gdy Elżunia postawiwszy przed nią szklankę herbaty, dotknęła ręką lekko jej ramienia i przemówiła do niej łagodnie, otworzyła oczy.

Pan Radlicz miał słuszość: tego samego dnia jeszcze Helenka zjadła kawałek sztuki mięsa, przyznając w duchu, że ta pogardzana zawsze dotąd potrawa nie jest wcale tak złą, jak przypuszczała.

Tajemnica niedojedzonych resztek chleba, tak intrygująca ciągle Helenkę, w parę dni potem została przypadkowo odkrytą. Na dziedzińcu, przy drzwiach prowadzących do kuchni, panna Orecka zobaczyła starą, ubogo odzianą kobietę, a w rękach jej dobrze sobie znajomy płócienny woreczek. Powodowana ciekawością zbliżyła się do niej i zapytała:

— Moja dobra kobieto, co będziecie robić z tymi kawałkami chleba, twardymi jak kamienie?

Staruszka zabierająca się właśnie do przełożenia chleba z woreczka pani Radliczowej w inny przyniesiony z sobą woreczek, zwróciła ku niej twarz bladą i schorzałą.

— O moja panienko, — rzekła — a toć to człowiek będzie miał jedzenia na parę dni. Widzi panienka, to się sparzy wrzątkiem, osoli, okrasi słoniną i jest wyborna zupa. Dobra pani, niech jej Bóg za to odpłaci, daje mi zawsze słoniny i soli. Panienka pewnie nie tutejsza?

— Nie, — odpowiedziała zamyślając się — jestem zdaleka.

— Aha! Ja jestem bardzo nieszczęśliwa, moja panienko.

Nie mogę na siebie zarobić, bo już mało co widzę. Dawniej brałam pranie do domu, a córka mi pomagała; ale od dwóch lat jak ją sparaliżowało, leży mi ciągle jak drewno, a ja jeszcze bardziej osleplam, i pewnikiem dawnobyśmy zmarniały, gdyby nie dobra pani, niech jej Bóg najwyższy da zdrowie, co nas ratuje od głodu i płaci za nas komorne. We wtorek przychodzę tu zawsze po ten chleb, we czwartek dostaję maki albo kaszy, a w sobotę trochę pieniędzy na mięso.

Helenka sięgnęła do kieszeni, i nie rzekłszy słowa, wręczyła jej kilka sztuk drobnej monety. Gdy wchodziła do jadalnego pokoju, pani Radliczowa zamykała właśnie okno wychodzące na dziedziniec.

— Jakże? czy chowanie resztek chleba jeszcze wydaje się pani godnem szyderstwa? — spytała prawie ostro.

— Szyderstwa?

— Widziałam ja dobrze ironiczny uśmiech, z jakim pani codziennie na mnie patrzyłaś. Nieładnie to ze strony pani, panno Orecka, że się śmiałaś ze starej kobiety, której pobudek postępowania nie rozumiałaś, zamiast się spytać otwarcie, dlaczego tak czyni. Byłabym to pani chętnie powiedziała; ale widząc, że ze mnie szydzisz, milczałam.

— Nie mam zwyczaju nigdy śmiać się z osób starszych— odpowiedziało dziewczę, mocno dotknięte tem posądzeniem. — Nie osoba pani była powodem mego zupełnie mimowolnego uśmiechu, ale ów chleb, którego zbieranie zdawało mi się bezużytecznem.

— A cóż zdaniem pani należało z nim zrobić?

— Nie zastanawiałam się nad tem.

— Trzeba zastanawiać się nad wszystkim, panno Orecka.

— U moich rodziców nikt się nie troszczył o chleb pozostały na stole. Zdaje mi się, że służba psom go dawała.

— Nie wierz pani temu. Służba w pańskich domach bywa leniwa i niedbała: psy wasze prawdopodobnie mało

z tego korzystały, a resztki chleba szły w pomyje lub w śmietnik. Czy pani wiesz, ile chleba marnuje się na świecie tym sposobem?

Helenka milczała. Co ona mogła wiedzieć o tych rzeczach! Pani Radliczowa zdjęła ze ściany tabliczkę kamienną, wzięła w rękę sztyfcik uwiązany przy niej na sznureczku i rzekła:

— Liczmy. Gdyby tylko dwieście tysięcy mieszkańców Warszawy zostawiało dziennie po pół łuta niedojedzonego chleba, to zrobi się z tego trzy tysiące sto dwadzieścia pięć funtów. Na rok wyniesie to do niewierzenia ogromną ilość, którą jednak rachunek potwierdza, jak pani sama możesz to sprawdzić, jeżeli umiesz rachować, o czem wątpię.

Helenka zarumieniała się.

— Otóż z owych pół łutów codziennych urośnie przez rok milion sto tysięcy sześćset dwadzieścia pięć funtów, i te pogardzane a raczej nieuszanowane resztki mogą codzień wyżywić z górą tysiąc czterysta osób, czyli dwieście rodzin, licząc na osobę po trzy funty, co jest dostateczne nie tylko dla uchronienia od głodowej śmierci, ale nawet do podtrzymania sił. Więcej powiem: te nic nieznaczące półluty, zbierane przez cały rok, wystarczyłyby do nakarmienia w jeden dzień więcej niż połowy ludności Warszawy, bo dla trzystu siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięćset sześćdziesięciu pięciu osób. Cóż pani powiesz na to?

Helenka patrzyła na nią szeroko otwartemi oczyma. Cyfry, jakie ta kobieta stawiała przed nią, zdumiewały ją. Nie przypuszczała nigdy, żeby z drobnostek takie rosły wielkości olbrzymie. Była jakby oszołomiona. Pani Radliczowa kreśliła liczby biele, dochodziła do wypadku działań arytmetycznych szybko, co Helenkę nie lubiącą rachunków i uważającą je za niepotrzebne kobiecie, dziwiło niesłychanie, imponując jej zarazem.

— Są ludzie tak ubodzy, — mówiła dalej pani Radli-

czowa, wieszając tabliczkę na ścianie — że i ze śmietników wygrzebują kawałki chleba. Dlaczego my nie mamy im tego trudu oszczędzić? Dlaczego resztki, których łakną, mają spożywać zbrukane?

— Ma pani zupełną słuszość — odrzekła Helenka — i proszę pani o przebaczenie, jeżeli mimowoli postępowaniem mojem dotknęłam panią w czemkolwiek.

— No, — rzekła do siebie pani Radliczowa udobruchana tem wyznaniem — ta księżniczka nie jest złą dziewczyną, chociaż strasznie niepraktycznie wychowana!

Wieczorem gdy Helenka znowu znalazła się w jadalnym pokoju, cyfry na tabliczce nie były jeszcze zmazane. Po wyjściu wszystkich ona jedna została i długo przed nią stała zamyślona.

Wróciwszy do siebie, zastała znowu ciemność, chociaż pamiętała doskonale, że zostawiła zapaloną świecę odchodząc. Zdarzyło się to już kilka razy.

— Ciekawa jestem, kto mi tak codzień na złość robi — szepnęła do siebie, niekontenta, że musi znowu szukać zapalek — pewno Kunegunda!

XII.

Jednego dnia pryncypał odwiedził Helenkę w jej pokoiku na górze i zapytał, czy jest zadowoloną ze swego mieszkania, oraz czy jej czego nie brakuje. Wyznała mu, że czuje brak fotela i że właśnie chciała o niego prosić. Pan Radlicz spodziewający się zupełnie czego innego, i prawie pewny, że go będzie prosiła o książki do czytania, popatrzył na nią w milczeniu, a chociaż fotel przysłać obiecał, widziała w jego zachowaniu się lekkie niezadowolenie.

Po jego odejściu długo myślała, co było przyczyną tego niezadowolenia i co w jej żądaniu mogło mu się niepodobać — ale nie znalazłszy w sobie żadnej na to odpowiedzi, postanowiła sama go o to zapytać i to zaraz. Przykrą jej była myśl, że jedyny w tym domu człowiek, mający dla niej trochę życzliwości, jest z niej niekontent.

Było to po obiedzie, w godzinach, które pan Radlicz zwykł był przepędzać w bibliotece na czytaniu gazet. Helenka, pewna że go tam znajdzie, omyliła się jednak: w bibliotece nikogo nie było.

— Przyjdzie za chwilę — pomyślała sobie i usiadła w dużym wygodnym fotelu wybitym skórą amerykańską.

Biblioteka była niewielkim pokojem, mającym wszystkie ściany zastawione szafami pełnymi książek. Na środku stał stół okrągły i parę krzeseł, i to stanowiło całe umeblowanie. Dwoje drzwi łączyło go z resztą mieszkania: jedno wychodziły na korytarz, drugie prowadziły do salonu. Te ostatnie zawsze były otwarte. Zastępowała je ciężka, wełniana portyera, uchylona trochę w tej chwili, tak że Helenka choć sama niewidziana, mogła widzieć obie panny Radliczówny: jedna z nich stała przy fortepianie i układała nuty, druga porządkowała pisma ilustrowane i zeszytowe. Lubiła ona te dziewczęta, tak miłe, wesołe i swobodne, przyznawała im wielkie przymioty, ale nie szukała ich towarzystwa, bo nie mogła się jakoś dostroić do ich tonu. Czuła, że jej nie rozumieją, więc wołała czekać tu samotnie na ich ojca, niż iść do nich. Wygodne krzesło miało dla niej urok z niczem nieporównany. Siedząc na niem odzyskiwała niejako swoją dawną istotę i przypominała sobie szczęśliwą przeszłość.

— Ach, — myślała — jak to przyjemnie zagłębić się tak całym ciałem pomiędzy miękkie wysłanie i mieć zarazem wygodne oparcie dla głowy i rąk!...

— Wiecie co wam powiem, — mówił Andrzej wchodzący w tej chwili do salonu — księżniczka kazała sobie

przynieść na górę fotel. Czy która z was nie ma czasem stołeczka pod nogi dla tej staruszki?

Obie siostry jednocześnie podniosły głowy, spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem. Wszyscy troje śmieli się długo i serdecznie, a najgłośniej nad nimi górował śmiech Andrzeja. Helenka słuchała tego wesołego tercetu, skamieniała z gniewu i oburzenia.

Do tego więc doszło, że się z niej wyśmiewano? Ach, to niegodnie! Dotkliwy ból przeszył jej serce. Trzecia to już osoba nazywała ją szyderczo »księżniczką«.

— Wiesz przecie, Andrzeju — odezwała się nareszcie Anna — że u nas w całym domu nic podobnego niema; nasza mama, choć jej minęło lat pięćdziesiąt, trzyma się prosto i nie używa nigdy ani fotela, ani podnóżka.

— Nieładnie to z naszej strony tak się bawić cudzym kosztem — zauważyła Elżunia. — Biedna dziewczyna! Nie powinniśmy jej się dziwić, że nie jest podobna do nas i że ma inne niż my potrzeby. My jesteśmy wszystkie silne, zdrowe, zahartowane, ona wątła, delikatna i rozpieszczona. Nie ona temu winna, że ją tak wychowano. Ja jej żałuję.

— Masz słusność: — odrzekł Andrzej wesoło — kto w drogę życia wybiera się z poduszką, jest istotnie godzien pożałowania, bo można zgóry przewidzieć, że prześpi najlepsze chwile nietylko we własnem życiu, ale i w życiu ogółu. Wasza księżniczka jest śpiąca! — Wziął w rękę jeden z dzienników, położył go napowrót i zanucił piosnkę Wasilewskiego:

»Drzym sobie duszo! Co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata;
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata —
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi,
I z tego wróży życie po śmierci!«

— Ona nie jest ospała — zaprotestowała Elżunia — tylko ma naturę nawskroś marzycielską. My przyjmujemy życie takim jak ono jest, ona nie może się z niem zgodzić. Nie jej wina, że ją nie nauczono chodzić po ziemi.

— Ta przynajmniej nie ma w sobie nic kolczastego — rzekła do siebie Helenka.

— Nie lubię kobiet eterycznych, — mówił Andrzej dalej — tylko istoty rzeczywiste. Tamte nigdy nie wiedzą, dokąd idą i czego chcą. Ale gdzie ona jest, ta księżniczka?

— Nie wiem — odrzekła Anna — pewno u siebie.

Helenka wstrzymała oddech, żeby nie zdradzić swej obecności w bibliotece. W pierwszej chwili chciała wyjść ze swego ukrycia i powiedzieć, że słyszała wszystko... ale po namyśle dała pokój. Ach, jak ona nie cierpiała tego Andrzeja! Od pierwszego dnia wyśmiewał się z niej tylko: śmiał się z jej grzywki, z jej elegancyi, z przygody biednego ogona, z chęci posiadania fotela, i teraz jeszcze nazywał ją ospałą? Ospałą? Czy ona naprawdę śpi?

— »Kobiety eteryczne nie wiedzą dokąd idą i czego chcą« — powtarzała sobie. — Na Boga, dokądże ja iść powinienam? Nigdy jeszcze w życiu nie przyszło mi do głowy zastanawiać się nad tem, dokąd ja idę... Tam, dokąd wszyscy. A gdzie idą wszyscy? Idą przez życie ku śmierci, starając się uczynić sobie tę drogę jak można najprzyjemniejszą i najłżejszą. Byłżeby jeszcze jaki cel i inny? Co to za cel?

Machinalnym ruchem sięgnęła po pierwszą lepszą książkę ze stołu, otworzyła ją i dziwnym trafem spotkała następujące wyrazy:

»Drzym sobie duszo! tybys nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepła;
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna ni ciepła.
Ty sobie możesz stworzyć co zechcesz,
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem;

Ty gdy przyrodę myślą polechcesz,
Milej ci niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wicherzy, że śniegi proszą ?
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń, drzym sobie duszo!

W miarę jak czytała, coraz mocniejszy rumieniec występował na jej lica, aż przybrał prawie barwę purpury. Głowa jej pochyliła się, jakby przygnieciona uczuciem wstydu, a usta kilkakrotnie powtórzyły pytanie:

— Dokąd ja idę? Dokąd ja idę?

W umyśle nieprzystwyczajonym do zgłębiania, zrobił się chaos. Myśli, jak ptaki długo w klatce trzymane i nieumiejące używać skrzydeł, a niesforne, zrywały się, podlatywały bez jakiegokolwiekładu i opadały napowrót, znużone nową, nieznaną sobie pracą. Jakieś słabe brzaski zaczęły świtać w jej głowie i rozjaśniać ciemności zasłaniające jej oczy, a z niemi widok ziemi, po której chodziła, ale na którą dotąd nie chciała patrzeć. Wszystko jednak było mętne i niewyraźne.

W salonie nie było już nikogo. Helenka nie spostrzegła nawet, kiedy i jak wszyscy wyszli. Pan Radlicz nie pokazywał się, ale też już nie pragnęła go widzieć. Nie miała do niego żadnego interesu, bo kto inny powiedział jej to, o co pytać chciała.

Drzwi skrzypnęły i wszedł służący.

— Czego chcesz? — spytała nierada, że jej przeszkadzają.

— Pan kazał mi ten fotel zanieść na górę — powiedział, chcąc go zabrać.

— Nie trzeba, — rzekła lekko brwi ściągając — możesz odejść.

Franciszek odszedł wzruszając nieznacznie ramionami, a ona ścisnęła głowę obiema rękami i wyszeptała raz jeszcze:

— Dokąd ja idę?

XIII.

W niedzielę powiedziała sobie, że choćby ją najbardziej namawiano na spacer, nie pójdzie do ogrodu, żeby uniknąć przypomnienia smutnej przygody z ubiegłej niedzieli — ale nikt jej nie namawiał, bo na dworze był mroźny wiatr, rzucający śniegiem jakby piaskiem w oczy i zapierający oddech. Nikt nie myślał o spacerze. Spędzano czas na gawędce i czytaniu w salonie. Helenka się do gawędki nie mieszała, bo czuła urazę do wszystkich za śmiech wczorajszy, a czytanie nie zajmowało jej dzisiaj. Nie mogła się zdobyć na potrzebne do czytania skupienie myśli i uwagę. Cokolwiekby wzięła w rękę, wszędzie widziała wielkimi literami wypisane pytanie nurtujące ją od wczoraj. Jeden tylko fortepian ciągnął ją do siebie, fortepian podobny jak dwie krople wody do jej własnego fortepianu, przy którym chwile spędzone uważała zawsze za najmilsze. Wstała, zbliżyła się do niego i dotknęła kilku klawiszów. Pan Radlicz rad, że ją nareszcie coś interesuje, rzekł, podnosząc oczy od gazety:

— Może pani zagrasz nam cośkolwiek? Prosimy bardzo.

— Prosimy, prosimy — powtórzyło kilka głosów.

Helenka skorzystała chętnie z zaproszenia, jako z pierwszej sposobności popisania się z tem co umiała. Na pulpicie leżała rozłożona sonata Beethovena; była to właśnie sztuka, nad którą pracowała najwięcej i umiała ją prawie na pamięć. Beethoven nie był jej kompozytorem ulubionym, bo tylko poważni, zdolni do głębszego myślenia ludzie umieją odczuć takiego mistrza i pokochać go — a ona grywała tylko salonowe, eleganckie kompozycje. Że jednak czytywała i słyszała jak ludzie o Beethovenie podniosłe się wyrażają, jak cenią artystów grywających jego utwory, więc i ona postanowiła spróbować tego autora, a chociaż jej nie smakował, wypracowała jedną z sonat, aby i ona także mogła się Beethove-

nem popisać. Zagrała ją, i zdawało jej się, że gra lepiej niż kiedykolwiek, że sama siebie przewyższa. Raz rzuciła z ponad fortepianu badawcze spojrzenie na swoich słuchaczy, jakby chcąc widzieć wrażenie grą swoją sprawione, ale nic odgadnąć nie mogła — nie wątpiła jednak, że było głębokie.

Skończywszy, spuściła oczy, oczekując w skromnej postawie na poklask i pochwały, jakie ją zawsze w M. po odegraniu jakiejś sztuki spotykały — ale echo ostatnich akordów umilkło, a cisza była jeszcze w salonie. Biorąc tę ciszę za objaw silnego wzruszenia, podniosła nieśmiało oczy, a lekki rumieniec twarzyczkę jej okraślił. Ciszę przerwał nareszcie głos pana Radlicza, który znał się na muzyce, bo będąc niegdyś uczniem uniwersytetu niemieckiego w Lipsku, uczęszczał w wolnych chwilach na studia muzyczne.

— Grasz pani dosyć biegle, — powiedział bez najmniejszego cienia zachwytu — ale nie rozumiesz wcale Beethovena. Nie poznałby się wielki mistrz, gdyby panią posłyszał.

Gdyby piorun wypadł z jasnego nieba, nie byłby Helenki więcej zdumiał i przeraził. Ona nie rozumiała Beethovena? Ona, której artyzm wynoszono pod niebiosą, i która biorąc raz udział w koncercie amatorskim na rzecz ubogich miasta M., zarzucona została kwiatami? Czy słyszał kto co podobnego? Bładość śmiertelna zajęła miejsce rumieńca, zdobiącego ją przed chwilą. Chciała przemówić, ale głos zamarł jej w gardle. Z niemałym wysiłkiem zdołała zaledwie wyjąknąć:

— Ja? nie rozumiem Beethovena?

Pan Radlicz widząc wrażenie, jakie jego słowa na niej sprawiły, położył gazetę, którą w rękę trzymał i zbliżył się do fortepianu.

— Moje dziecko, — przemówił łagodnie — niech cię nie zraża to, co powiedziałem. Masz niezaprzeczone zdolności do muzyki, ale żeby je rozwinąć należycie, potrzeba trzech

rzeczy: duszy, duszy i jeszcze raz duszy! Czytać biegle nuty i mieć łatwość w palcach, to nie dosyć.

— Duszy? — rzekła do siebie machinalnie Helenka — więc ja jej nie mam? Więc tamten wczoraj prawdę mówił?

— W Beethovenie — mówił dalej pan Radlicz — jest spokojna, świadoma siebie siła; jest głębia przejrzysta, mimo kilkowiekowy najczęściej brzemienności; jest uczucie wywiązujące się z refleksyi czy zadumy i wykrywające niepowiedzenie duszy porywy; jest prostota i trzeźwość, mimo bogactwa kombinacyi i niezwykłych wywodów z tematu, który się zdaje nadawać tylko do utrzymania słuchacza w obojętności. Słowem, jest w Beethovenie cały świat myśli i uczucia; myśli wzniosłych i głębokich, uczucia, które goreje i rozpalenia słuchacza. Cechy te najsilniej się objawiają w symfoniach na orkiestrę, w dziełach do muzyki kameralnej należących, jak duety, tria, kwartety i t. p.; wreszcie w sonatach na sam fortepian. Wszystko to dostojne, pełne znaczenia, a nie jednokrotnie i bogatej charakterystyki. Oto co ja widzę w Beethovenie. Pani mało jeszcze znasz życie, co się zdarza wogóle młodym osobom, ale nie masz i przecucia, boś nie zajrzała jeszcze w głębie własnego ducha, jako mało dotąd rozbudzonego. W grze pani jeśli znać pragnienie, jeśli znać już poszukiwanie, to znajdziesz pani to tylko, co na samym wierzchu leży, jak kwiat wonny o barwach uroczych — ale nie przypuszczasz pani nawet, że coś się dzieje z jego liśćmi, łodygą, a nadewszystko korzeniem, który już sam jeden czyni możliwem istnienie kwiatu i dostarcza soków całej roślinie.

Helenka słuchała z uwagą słów pana Radlicza, a choć mu za nie była wdzięczna, bolało ją bardzo, że zganił ją tak publicznie wobec całej rodziny. Co też oni wszyscy myśleli sobie teraz o niej? Niezawodnie śmieli się w duchu z jej niepowodzenia. Chciała ich olśnić swoim talentem, tymczasem naraziła się na śmieszność.. Straszne rozczarowanie! Dobrze,

że chociaż Andrzeja przy tem nie było — miałby nowy powód do wyśmiewania się z niej. Pan Radlicz zabrał się na nowo do czytania, a ona chcąc uniknąć z kimkolwiek rozmowy, stanęła przy oknie i patrzyła na drzewa stojące wzdłuż alei dwoma rzędami oraz na gałęzie ich pokryte szronem i błyszczące przy świetle latarni.

Andrzej nieobecny do tej pory przyszedł teraz, usiadł na jej miejscu przy fortepianie, spojrzął na nuty rozłożone na pulpicie i zaczął grać tę samą sonatę, którą ona grała przed chwilą. Zrazu Helenka nie słyszała nic prócz tętna własnej krwi wzburzonej i rozdrażnionej! Po chwili jednak zaczęła przysłuchiwać się tonom, objającym się dotąd martwo o jej uszy, i w miarę jak słuchała, wzburzona krew płynęła w żyłach spokojniej, falowanie nerwów łagodniało, a do duszy wstępował łagodny spokój, kojący ból i rozdrażnienie. Słuchała coraz baczniej, a słuchając dziwiła się temu, co słyszała. Byłaż to ta sama sonata, którą znała tak dobrze, jak jej się zdawało? Andrzej wydobywał z niej rzeczy dziwne, potężne rzeczy, jakich się nawet nie domyślała, że się tam znajdują.

— I ten prozaiczny człowiek umie tak grać? — mówiła do siebie — to dziwne...

Podano herbatę, lecz Helenka nie miała ochoty w niej uczestniczyć, wołała iść do siebie. Chciano ją zatrzymać, ale wymówiła się znużeniem i potrzebą wczesnego spoczynku. Brała już za klamkę, gdy pani Radliczowa podała jej lichtarz, mówiąc:

— Oto jest świeca pani, panno Orecka. Zostawiłaś ją pani na górze palącą się, a ja ją zgasiłam i przyniosłam tutaj, bo uważam za niepotrzebne, żeby świeca paliła się gdy nikogo niema w pokoju. Gdy pani w nim jesteś i pracujesz, to zapal sobie nawet cztery świece, żeby ci było jaśniej, nie mam nic przeciwko temu — ale po co się światło ma palić

niepotrzebnie? Może pani chcesz świecę zaraz zapalić? zapalki tu są.

Helenka spojrzała na nią wzrokiem martwym, wzięła lichtarz i wyszeptawszy machinalnie słowo: »przepraszam« odeszła. Wiedziała już teraz, kto jej codziennie gasił świecę.

— Nie, ja nie zniosę takiego życia — mówiła do siebie chodząc po swoim pokoju, gdzie nikt jej nie słyszał, i gdzie mogła dać folę wezbranyim uczuciom — nie chcę zakopać się jak w grobie, w tym domu tak podobnym do klasztoru lub więzienia, gdzie moja duma cierpi tak boleśnie, gdzie na każdym kroku upokarzają mnie, szydzą z mojej słabości i dają mi nauki, o które nie proszę! Jakto! mam dopiero lat siedmnaście, i już miałabym się wyrzec wszystkiego, do czego młodość daje prawo i zabijać się moralnie wypisywaniem tych przebrzydłych cyfr, o których nigdy nie mogłam myśleć bez wstrętu? Ależ ja chcę żyć! używać! bawić się! Chcę powietrza, przestrzeni i swobody robienia tego, co mi się podoba, a nie tego, co muszę!... Nienawidzę tego okropnego rygoru i żelaznej logiki tych ludzi, którzy pojedyncze osoby czynią odpowiedzialnymi za losy narodów!

Jak ptak nawykły do swobodnego lotu, szarpie się w klatce, chcąc rozbić jej ściany choćby miał skrzydła o nie połamać, tak biedna »księżniczka« rzucała się w ścianach swego pokoju, który uważała jako więzienie. W domu tym pełnym ludzi, czuła się samotna i opuszczona, niby Robinson Krusoe na bezludnej wyspie. Ale Robinson korzystał z odkryć jakie czynił i urządzał sobie podług nich życie, a ona gardziła odkryciami porobionemi w dziedzinie myśli i prawdy życiowej. Robinson przyzwyczał się do swojej wyspy i kochał ją nawet, a ona czuła, że znienawidzi raczej swoją, niż przyzwyczał się do niej kiedykolwiek. Tydzień próby dostatecznie ją o tem przekonał. Robinsona odkrycia jego podnosiły, cieszyły i dodawały mu otuchy, a jej odkrycia działały na nią przygnębiająco, odebrały jej swobodę, żywość, humor,

wiarę w siebie, słowem wszystko. Pełniła, co jej kazano, ale nie kładła w swoją pracę ani cząstki duszy, tylko wykonywała ją mechanicznie, jakby istotnie nie była niczem innem, tylko prostem kółkiem w maszynie, — a ten przymus przytłumił na chwilę jej żywy temperament. Ale to było tylko pozornie: temperament ten odezwał się teraz z podwójną gwałtownością. Wybuch wywołało napomnienie pani Radliczowej z powodu świecy — a choć to był tylko mało znaczący drobiazg wobec tego, co już zniosła, stał się jednak kroplą przepełniającą naczynie.

Przycisnęła płonące czoło do szyby, lecz lodowate jej zimno nie ochłodziło go bynajmniej. Dziedziniec pograżony był w mroku, ale niebo iskrzyło się gwiazdami tak samo jak owej nocy, kiedy obwołana królową balu, odbierała hołdy młodzieży i podbiła serce najpiękniejszego w okolicy młodzieńca. Była to noc tryumfów i upoięń! Wydało jej się, że słyszy jeszcze orkiestrę grającą dziarskiego kujawiaka, rzęsiście oklaski patrzących, i słyszy fanatyczne okrzyki i toasty wychylane za jej zdrowie. To było życie! Takim życiem mogła była żyć jeszcze, gdyby była usłuchała matki i przyjęła zaproszenie na bal do barona. Miała już zamówioną tak cudowną toaletę... O, nie wątpiła ani na chwilę, że każdy z tych, co u stryja dobijali się o jeden z nią taniec, o jej spojrzenie, o jej uśmiech, i jej słówko, gdyby tylko chciała,łożyłby chętnie u jej stóp serce i majątek. Ale ona wybrałaby tylko jednego, jedyne go, młodzieńca z twarzą boga greckiego, niepodobną w niczem do twarzy tego niemiłego, szorstkiego Andrzeja, niemającego w sobie nic eleganckiego ani salonowego. O ileż łatwiej i przyjemniej byłoby dojść do celu po woskowanej posadzce, w wesołych podskokach i przy dźwiękach muzyki — niż w pocie czoła zarabiając na kawałek chleba... Była stworzoną do szczęścia, nie do cierpienia, do dawania rozkazów, nie do słuchania ich; czuła to. I ona miałaby zagrzebać tutaj swoją młodość i piękność,

wraz ze swemi pragnieniami i nadziejami? Chybaby rozum straciła! Nie, ona powróci do domu. Dziś jeszcze powie panu Radliczowi, że nie czuje się na siłach do pełnienia dłużej tak trudnych obowiązków. Czyż on sam nie powiedział kilka dni temu, że może jeszcze się cofnąć? że powinna się dobrze namyślić. Otóż namyśliła się właśnie. Co oni jednak wszyscy na to powiedzą? Jakże wartość jej, i tak już w ich oczach niewielka, obniży się jeszcze! Andrzej z uśmiechem powie: »przewidywałem, że tak będzie«. Sama myśl o tem, że ją przez wszystkich uwielbianą, on jeden śmiał lekceważyć, burzyła wszystką krew w jej żyłach. Ale cóż on ją może obchodzić! Mniejsza o niego i jego zdanie! Lepiej zresztą raz znieść milczącą naganę, niż na każdym kroku znosić upokorzenia...

Gdy odchodziła od okna, zamiar jej już był powzięty. Zejdzie na dół i oznajmi o nim całej rodzinie — teraz właśnie, gdy wszyscy siedzą przy stole. Przyjdzie jej to łatwiej, niż potem mówić każdemu z osobna.

Zapukano do drzwi i Franciszek podał jej list. Na kopercie poznała pismo matki: rozerwała ją drżącemi rękami i przysunawszy do światła, zaczęła czytać:

»Moja najdroższa Helciu! Od czasu twego wyjazdu jest nam tu bardzo smutno: oboje z ojcem chodzimy z kąta w kąt i nigdzie sobie miejsca znaleźć nie możemy. Ojciec po całych dniach nic nie mówi, tylko gra swego marsza, a ja przez ten tydzień bardzo zmizerniałam i nerwy mam okropnie rozdrażnione. Ale jak tu mieć nerwy spokojne, kiedy na moją biedną głowę wali się coraz więcej kłopotów! Żyjemy ciągle na kredyt, a tu znikąd nie można się spodziewać żadnego dochodu i niewiadomo nawet, z czego się będzie długi płacić.. Ach, ten ojciec, ten ojciec! co on nam swoją zbyteczną dobrocią narobił«.

— Biedny ojciec! — westchnęła Helenka, przerywając czytanie.

»Konie jeszcze nie sprzedane. Rozpuściłam pogłoskę, że chcemy sobie inne kupić i teraz nie możemy się opędzić faktorom. Za nasze dają nam bardzo mało, więc się wstrzymujemy; tymczasem trzeba je żywić, a owies coraz droższy. Powozu nie sprzedam, żebym mogła chociaż czasem przejechać się do kościoła lub na spacer, pożyczwszy koni od kogo, bo chodzenie mnie męczy. Zresztą, gdybym zaczęła chodzić piechotą, ludzieby się zaraz wszystkiego domyślili, a jabym tego nie zniosła«.

— Biedna mama! — szepnęła i czytała dalej:

»Niespokojna jestem bardzo o ciebie, moje dziecko kochane, czy nie zanadto męczysz się pracą. Tys taka delikatna! Boję się, żeby ci to nie zaszkodziło. Napisz mi czy dużo osób bywa u państwa Radliczów i czy byłaś też już na jakiej zabawie. Chciałabym wiedzieć jakie porobiłaś znajomości, mianowicie czy poznałaś już kogo z arystokracji. To jedno mnie tylko pociesza, że twoja praca niedługo będzie trwała; że może tam w Warszawie pójdziesz lepiej za męża niż tutaj. Ale, zapomniałam ci donieść, że był u nas z wizytą Stefan Jerski i bardzo się dziwił, żeś wyjechała na karnawał do Warszawy, kiedy w okolicy szykuje się tyle pięknych i świetnych zabaw; żałował, że największa ozdoba tych zabaw zniknęła. Ściskam cię po tysiąc razy, moje dziecko kochane«.

Helenka długo stała nieruchoma z listem w ręku, a po twarzy jej przebiegały naprzemian światła i cienie. Nareszcie schowała list do kieszeni, zgasiła świecę i wolnym krokiem

zeszła na dół. W sieni spotkała Franciszka i spytała go o pana, powiedział, że pan jest w swoim gabinecie. Nie była tam jeszcze nigdy, ale wiedziała, że jest tuż przy kantorze. Zapukała zlekka.

— Kto tam? — zapytano.

— To ja, — odpowiedziała nieśmiało — czy mogę wejść?

— Proszę.

— Przepraszam pana bardzo, że przychodzę o tej porze, ale chciałam pomówić z panem w pilnym i ważnym dla mnie interesie.

Pan Radlicz był zajęty pisaniem listów. Położył pióro i wskazując jej krzesło rzekł zwolna.

— Zapewne pani namyśliłaś się i chcesz odjechać. Czy zgadłem?

— Przed godziną jeszcze miałam ten zamiar, — rzekła z całą szczerością, choć lekki rumieniec zabarwił przytem jej lica — ale teraz postanowiłam zostać...

— A zatem?

— Przyszłam pana prosić o pozwolenie pracowania w kantorze wieczorem, niezależnie od godzin dziennych. Mam dosyć wolnego czasu i mogłabym...

— Chcesz pani więcej zarabiać, czy tak?

— Tak, — odparła rumieniąc się jeszcze więcej, bo kwestya zarobku zawsze była dla niej drażliwą — zdaje mi się, że nauczyłabym się prędko ważyć nasiona i nasypywać je w torebki.

— Nie jestto nic trudnego, — odpowiedział — trzeba mieć tylko wprawę, a tej pani wkrótce nabierzesz. Dobrze się stało, że dziś się o tem dowiaduję, bo jutro właśnie chciałem przyjąć jednego więcej nasypywacza. Odbieramy zewsząd tak liczne zapotrzebowania, że ci, co są, nie mogą nastarczyć ważyć i ekspedycyować posyłek.

— Dziękuję panu.

— A więc od jutra — rzekł pan Radlicz zabierając się napowrót do pisania.

Ale Helenka nie ruszała się z miejsca.

— Mam jeszcze drugą prośbę do pana — wyrzekła z wielką nieśmiałością.

— Słucham panią...

— Czy nie mogłabym...

Głos jej uwiązł w gardle; zatrzymała się dla zaczerpnięcia powietrza. To, o co miała prosić, wiele ją kosztowało. Duma jej cierpiała na tem niezmiernie.

— Czy nie mogłabym dostać naprzód mojej pensyi za cały miesiąc...

Pan Radlicz pomilczał chwilkę.

— Nie mam zwyczaju wypłacać nigdy naprzód — powiedział — i nie radbym od niego odstępować, bo to prowadzi do nieporządku w rachunkach.

Helenka uczuła bolesne ciśnienie serca. Napróżno więc się tak upokorzyła! Ale czyż mogła przewidzieć, że ją spotka odmowa? Jej ojciec chętnie wszystkim wypłacał pensye z góry, nie czyniąc w tem najmniejszych trudności, a niektórzy nawet powybiali je naprzód za cały rok.

— Dla pani zatem nie będę robił wyjątku, bo gdybym to uczynił, upoważniłbym innych moich podwładnych do żądania tego samego, ale ofiaruję pani pożyczkę wyrównającą wysokości miesięcznej pensyi pani. Czy dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała, dziwiąc się w duchu temu postępowaniu, w istocie bowiem było to wszystko jedno — będę panu bardzo wdzięczna.

— Słowo wdzięczność wykreślmy z naszej rozmowy: — odparł z pewną dobrotliwą wesołością — zrobiliśmy prosty interes. Zostałaś pani moją dłużniczką, której wypłacalności ufam, choć ją jedynie na moralnej ewikcyi oprzeć mogę.

Wyjął z pugilaesu kilka banknotów i podał jej; podziękowała mu blademi usty, czuła bowiem, że biorąc te pienią-

dze, sprzedawała swoją wolność, poddawała się pod jarzmo, jak to sama nazywała. Dopóki jeszcze miała otwartą furtkę do wycofania się, było jej jako tako — ale gdy ta furtka zamknęła się za nią na rygiel, ogarnęło ją coś podobnego do rozpacz.

W sieni spotkała Andrzeja. Widząc ją wychodzącą z gabinetu o tej porze, okazał niemałe zdziwienie. Milcząc usunął się jej z drogi, ale widziała z jego twarzy, że będzie się ojca pytał, poco tam była. W tej chwili jednak było jej to zupełnie obojętnem. Wróciwszy do siebie, napisała do matki list, w którym między innemi znajdował się ustęp następujący:

»Jest mi tu bardzo dobrze, droga mateczko. Po-koik mam ładny i wygodny, zajęcia niewiele; wszyscy są dla mnie dobrzy i psują mnie swoją troskliwością, to też czuję się tutaj jak między swymi, jakby w domu. Jestem wesoła, i gdyby nie to, że mi tęskno do domu, gdyby nie myśl, że rodzice tam żyją pod naciskiem trosk, byłabym zupełnie szczęśliwą. Na żadnej zabawie jeszcze nie byłam, bo jestem tu dopiero tydzień, ale spodziewam się, że wkrótce poznam cały wielki świat warszawski, bo u państwa Radliczów przygotowuje się świetna zabawa«.

W przypisku był jeszcze dodatek, że posyła rodzicom pierwsze zarobione przez siebie pieniądze, bez objaśnienia jednak, że szczupła ta kwota stanowi jej całą pensję miesięczną.

Skończywszy list, w którym ani jedno słowo nie było zgodne z prawdą, włożyła w niego pieniądze i odetchnęła swobodniej. Dla zadowolenia matki napisała szereg fałszów i zdawało jej się, że spełniła dobry uczynek.

XIV.

Prosząc swego pryncypała o pozwolenie pracowania w kantorze wieczorem, Helenka mniemała, że będzie pracować samotnie i zdziwiła się niepomalu widząc tam dwie młode kobiety, które widocznie także chciały zarabiać poza godzinami obowiązkowemi. Dla panny Oreckiej nie spodziewającej się nikogo zastać o tej porze, obecność ta była bardzo niemiłą. Myślała, że prócz rodziny Radliczów nikt więcej o tem wiedzieć nie będzie, tymczasem jej współtowarzyszki od pierwszego dnia zaraz miały być tego świadkiem. Gdy się jest elegancką damą ubierającą się podług najpierwszej mody, to nie doznaje się przyjemnego uczucia, gdy ludzie wiedzą, że się tak bardzo potrzebuje zarobku...

Pan Radlicz zapoznał ją z temi młodemi osobami, z czego ona nie bardzo była zadowolona. Wolałaby już pracować zupełnie incognito. Proszone przez pryncypała panie te obznałomiły Helenkę z całą manipulacją ważenia i nasy pywania, za co otrzymały grzeczne, ale nieco lekceważące podziękowanie. Skromne ich suknie nieodznaczające się elegancją, a głównie brak salonowych manier, dały jej do myślenia, że ma do czynienia z osobami niezmiernie niżej od siebie stojącemi, nietylko pod względem towarzyskim ale i umysłowym. Że zaś chłodne zachowanie się panny Oreckiej nie mogło do niej towarzyszek pociągnąć ani ośmielić, a obecność jej krępowała do pewnego stopnia ich swobodę, więc wszystkie trzy pracowały w milczeniu. Helenka wkrótce nabrała wprawy w swoim nowem zajęciu, a myśl, że za gorliwszą pracę lepiej będzie wynagrodzona, dodawała szybkości jej rękóm.

Milcząca praca trzech kobiet nie mogła jednak trwać długo, po kilku dniach obie towarzyszki przestały zważać na obecność trzeciej i gawędziły z dawną swobodą. Z rozmów

ich powoli dowiedziała się Helenka, że jedna z nich od lat pięciu opiekuje się czworgiem drobnego rodzeństwa, a druga posyła pieniądze bratu na wyspę Sahalin. Odkąd się o tem dowiedziała, wielkość jej własnego dla rodziców poświęcenia bardzo zbladła. Obie te kobiety posiadały ukształcenie mniej świetne wprawdzie niż ona, ale za to gruntowniejsze; obie były młode, miały więc także prawo żądać czegoś od losu, używać rozrywek i przyjemności, a przecież znosiły go cierpliwie, a nawet były szczęśliwe, że mogły zarabiać.

Blade zimowe słońce skąpo oświecało ziemię, gdy Helenka w godzinie południowej wyszła do ogrodu, żeby odechnąć trochę świeżem powietrzem, po czterech godzinach nużącego siedzenia na jednym miejscu. Nogi jej śmieiej już teraz stąpały po śniegu, bo długie suknie, które wprzód z uporem nosiła, musiały zostać odłożone na lepsze czasy. Okazały się one bardzo niepraktyczne przy codziennej pracy, a pył wydzielający się z nasion, osiadał na lnianach i koronkach i zmieniał do niepoznania ich barwę. To też wydobyla z kuфра podróżną suknię z granatowego sukna zrobioną krojem marynarskim, najskromniejszą ze wszystkich, i musiała przed sobą przyznać, że z powodu braku przy niej wytworniejszych ozdób, właśnie ta była najwygodniejszą. Powierzchność Helenki nic na tem nie straciła; wyglądała wprawdzie mniej elegancko, ale za to jakoś raźniej i swobodniej, a sze roki płócienny kołnierzyk dodawał temu ubiorowi świeżości i prostoty. Nie kładła też już na ręce złotych bransolet, bo sama dziś widziała, że to byłoby śmieszne — a od noszenia turniury, której żadna z kobiet w tym domu nie nosiła, powstrzymywał ją jakiś wstyd.

Przechodząc koło ciepiarni spotkała się oko w oko z wychodzącym stamtąd Andrzejem. Chciała się cofnąć, ale już było zapóźno — zresztą »nieprzyjemny człowiek« niósł w ręku coś, co przyciągało jej wzrok siłą magnetyczną. Był to przepyszny egzemplarz białej azalii, cały okryty kwiatami

i pączkami, z pod których nawet gałązek nie było widać, jeden olbrzymi bukiet, bielszy od śniegu. Oczy dziewczęcia zajaśniały.

— Co za prześliczne kwiaty! — zawołała mimowolnie. Andrzej przystanął.

— Lubisz pani kwiaty? — rzekł jakby zdziwiony — nie wiedziałem o tem. Ale kiedy tak, to proszę z sobą. Mam tu coś, co panią pewnie zainteresuje.

I otworzył drzwi cieplarni puszczając ją przed sobą.

Był to duży budynek, obmyślany podług wszelkich wymagań nowożytnego budownictwa szklarnianego. Nakryty szklanym dachem, wsparty na lekkim ale mocnem wiązaniu żelaznem, gromadził wielką ilość światła potrzebnego roślinom. Stały tam olbrzymie paprocie, zwieszające ku dołowi swoje koronkowe liście, stały palmy sięgające niemal do sufitu, a dokoła nich grupowały się gardenie, franciscee i inne rośliny okryte kwiatami. Na ziemi były ustawione setki cebulkowych roślin kwitnących o tej porze: tulipany, hiacynty, konwalie, szafrany — a żywe ich barwy przepyszenie odbijały na ciemnem tle innych krzewów. W rogu cieplarni, gdzie były zgromadzone wszystkię paprocie, znajdował się niewielki okrągły basen napełniony wodą, a złote rybki to wypływały na wierzch, to chowały się między rośliny wodne, czepiające się ścian obmurowania. Tuż przy basenie stała mała ławeczka żelazna, zachęcająca do siedzenia — a druga ławeczka pod ścianą, która cała bluszczem była pokryta, miała jeszcze przed sobą niewielki żelazny stoliczek. Z góry, niby żyrandole, zwieszały się rosnące w korze drzewa i mchu przepyszne storczyki.

— Jest to pracownia moich sióstr: — powiedział Andrzej, wskazując ławeczki — jedna przychodzi tu często malować z natury kwiaty na porcelanie, druga układa obstalowane bukiety.

Przyjemna pracownia — pomyślała Helenka, oddycha-

jąc orzeźwiającem powietrzem oranżeryi, przesyconem wonią kwiatów.

Nie wiedziała ona o istnieniu tego raju w obrębie swego więzienia, bo apatyczna na wszystko, co się dokoła niej działo, myśląca ciągle tylko o własnej osobie i tem, co nazywała swoim nieszczęściem — nie okazała ani razu chęci zwiedzenia budynków. Oczy jej patrzące od dwóch tygodni na same ciemne barwy i formy surowe, nie mogły się nasyścić tym widokiem.

Andrzej pokazał jej olbrzymi krzew, którego wielkie zębate błyszczące liście, podziurawione w duże, foremne serca, zwracały już uwagę swoją oryginalnością, jak również wielka ilość korzeni grubości palca, wyrastających wzdłuż łodygi i zwieszających się na dół niby dziwaczna frenzla. Helenka przypatrywała mu się ciekawie.

— Jest to filodendron, — odpowiedział Andrzej — znajduje on się we wszystkich cieplarniach, i zaczyna się bardzo rozpowszechniać w hodowli pokojowej, dla swych ozdobnych liści. Nie zwracałbym na niego uwagi pani, gdyby nie jedna okoliczność. Roślina ta w naszym kraju jeszcze nie kwitła. Sądziłyśmy, że do tego potrzebuje koniecznie swego ojczystego powietrza i słońca, tymczasem... Spójrzysz pani w górę.

Helenka podniosła głowę do góry i wydała okrzyk podziwu. Z samego wierzchołka wykwitał kwiat osobliwy. Z kształtu podobny do wielkiej muszli wyrzuconej z głębi morza, do połowy rozwartej, olśniewał oczy swoją śnieżną białością. W muszli, niby Wenus, leżała pewnego rodzaju szyszka, kolbą zwana, pokryta wypukłym rysunkiem, który to rysunek odcisnięty na śnieżnem jej łożu, zdobił je jak koronka.

— Ależ to cud prawdziwy, — przemówiła po chwili, w której się przyglądała kwiatowi w niemym podziwie — jak żyję nie widziałam nic podobnego. Dziękuję panu bardzo, żeś był łaskaw mi to pokazać.

— Jest to istotnie kwiat cudowny, ale mnie on tak nie zadziwia jak panią. Od czasu, gdy jako przyrodnik zacząłem ściślej badać naturę, widzę cuda na każdym kroku, i drobne źdźbło trawy, które deptamy nogą nie zwracając na nie uwagi, jest dla mnie cudem niemniej godnym podziwu, jak ten kwiat wspaniały; a im więcej tajemnic natury poznaję, tem bardziej staję się pokornym i zaledwie śmiem oczy podnieść ku gwiazdom i powtarzać z poetą:

»Potężny Boże na ziemi i w niebie,
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potem oczy obrócę na siebie,
Jak mnie Twa wielkość upokarza niski!...«

— I pan to przemawiasz językiem poety? pan, uważający za szkodliwe wszelkie marzenia, i zawzięty ich przeciwnik!

— Jestem przeciwnikiem chorobliwego marzycielstwa i gorączkowo wybujałej fantazyi, — odpowiedział — ale poezję prawdziwą, cenię tak samo jak pani. Tylko w tem się z sobą różnimy, że pani gardzi pospolitemi sprawami codziennego życia i radaby się od ziemi oderwać, a ja rad na niej pozostaję, i żadnej sprawy nie uważam za błahą. Wszystko cokolwiek istnieje na świecie, jest godnem uwagi i potrzebnem, a wielkie sprawy tak samo nie mogą istnieć bez drobnych, jak drobne bez wielkich. Rzekłbym, że jedne podają rękę drugim, a wszystkie razem sprzęgają się w jeden ogromny łańcuch, którego my jesteśmy tylko ogniwami.

— Czy jednak patrząc w niebo, nigdy panu nie przyjdzie ochota podumać i pomarzyć? Czy nigdy pan nie zapragnie ściągnąć stamtąd na ziemię, jako ze źródła wszelkiego dobra, światła, ciepła i wszelkiej szczęśliwości?

— Nie, pani, bo zdawałoby mi się, że niebo mówi do mnie: »Spełnienie twoich pragnień od ciebie samego zależy. Zamiast patrzeć we mnie z założonemi rękami, weź się ra-

czej do pracy nad urzeczywistnieniem ich«. Pan Bóg złożył w duszach naszych pierwiastki sił potrzebnych do wytworzenia sobie dobra i szczęścia — nie godzi się więc żądać jeszcze od niego, żeby odrabiał za nas całą robotę!

Helenka uśmiechnęła się mimowolnie.

— Marzycielstwo jest rzeczą szkodliwą, jako potępiające energię i prowadzące do lenistwa duchowego. Czy pani znany jest wiersz Pauliny Krakowowej o kobiecie?

— Nie.

— Cierpiała ona wiele i rozumiała dobrze potrzeby swego społeczeństwa. Oto jej słowa:

»Kobieta? puch marny! Kobieta? niebianka!...

Kobieta? to cacko! To raju mieszkanka!

To wietrzna istota! Serc ludzkich królowa!

To rodu ludzkiego... mniej ważna połowa!

Kobieta?... a ja wam powiadam zaiste:

Gdy myśli porządnie i serce ma czyste,

Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,

Gdy szczerze dla drugich poświęcić się zdolna,

Gdy ziemię swą kocha uczuciem pocziwem,

Gdy myślą od ziemi do nieba aż sięga,

Och! wtedy kobieta jest świętym ogniwem,

Które ziemię z niebem spręga«.

Słowa te: »gdy myśli porządnie«, kazałbym złotemi literami wyryć na marmurze i umieścić w miejscu tak widocznym, żeby je wszystkie kobiety czytać mogły; bo tylko kobieta myśląca porządnie i wolna od czczych uniesień i marzeń, może być prawdziwie użytecznym członkiem społeczeństwa. Bujać po obłokach niewolno nawet kobietom narodów szczęśliwych... bo jeśli są takie narody, to marzenia kobiet nieszczęśliwymi by je zrobiły. Nasze nie powinny ani na chwilę odrywać się od ziemi, co je na świat wydała, ale trzymać jej się mocno sercem i pilnować jak skarbu, bo inaczej mogą ją utracić. Nie mówię, żeby nie spoglądały w niebo, bo mają

o co się modlić: ale niech nie tworzą sobie fikcyjnych sytuacji i nieszczęść urojonych, gdy rzeczywistość wszystkimi głosami i ze wszystkich stron nawołuje je do trzeźwości, bacności i czuwania. Czemże jest poezya marzeń wobec rozgrywających się bezustannie dokoła tragedij i dramatów, o których wszyscy wiedzą, chociaż chór milczy!...

Helenka słuchała, dziwiąc się, jak tym ludziom nieodstępnie towarzyszyła na każdym kroku myśl o położeniu społeczeństwa, w którym żyli, i poczuwanie się z niem do solidarności. Rodzina Radliczów choć żyła prawie na ustroniu nie prowadziła życia odosobnionego, ale odczuwała wszystko, co się dokoła niej działo. Helenka w domu nie widziała nic podobnego. Tam prądy przepływały obok ich rodzinnego ogniska, ale nie przez jego środek; a jeśli które poruszyły struny bolesne w sercach, umysły pozostawały smutne i zniechęcone. Tu nie poddawano się zniechęceniu; zastanawiano nad przyczynami złego, patrzano niebezpieczeństwu śmiało w oczy i szukano na nie środków zaradczych.

— Jak państwo wszyscy jesteście do siebie podobni; — rzekła — podobne słowa słyszałam już od ojca pańskiego i od matki. Co mnie zaś najwięcej zadziwia, to że ani na chwilę nie odstępuje was myśl należenia do ogólnej całości.

— I pani myśl ta z czasem towarzyszyć będzie, bo ona przychodzi do człowieka w miarę lat i nabytego doświadczenia. Dziecko zrazu nie widzi nic prócz siebie; młodzieniec widzi więcej, ale własna osobistość zasłania mu świat cały, który zdaje się być wyłącznie dla niego stworzonym. Ale z każdym upłynionym rokiem życia, osobista wielkość w umyśle człowieka razem z jego własnymi sprawami maleje, a wielkość społeczeństwa, jako istoty zbiorowej, wzrasta. Starzec kładący się do grobu, ten sam, który będąc młodzieńcem uważał siebie za środkowy punkt świata, wie, że jest tylko prochem, z którego powstał.

— Z tego wynika — pomyślała Helenka — że ja je

stem jak owo dziecko, które nie widzi nic prócz siebie — i spytała: — A nieśmiertelność?

— Na nieśmiertelność zarobić trzeba: może ją mieć tylko ten, kto tak się umiał zjednoczyć myślami i uczuciami ze swem społeczeństwem, że cierpiał jego cierpieniem, cieszył się jego radościami, żył jego życiem i umiał się do jego dobra czemkolwiekby przyłożyć. Taki choć umrze, nieśmiertelnym jest, bo czyni jego żyją.

Helenka zamyśliła się. Ten człowiek mówił jej dziwne rzeczy... Zaczęła przebiegać w myśli swoje życie i szukać w niem chwil takich, które mogłaby sobie zarobić na nieśmiertelność, ale nic nie znalazła. Były tam same zabawy, rozrywki, tańce; były i dobre uczynki, ale te ostatnie nic ją nie kosztowały, bo w kieszeni rodziców miały swoje źródło. Żeby łzę otrzeć cierpiącemu, nie potrzebowała sobie niczego odmawiać. A praca, której się podjęła dla rodziców, czy dawała jej już do tego prawa? O nie! czuła to dobrze; praca ta była jej nieznośną, a ona nie była pewną nawet czy przy niej wytrwa, chociaż szczerze tego pragnęła. Co zaś do zjednoczenia się ze społeczeństwem, w którym się żyje, to jakże to ona zrobić miała? Podniosła na Andrzeja wielkie szafirowe oczy, pełne niepokoju i rzekła:

— Zastanawiałam się nad słowami pana o zjednoczeniu się ze społeczeństwem: czy czuć dlań miłość nie jest już zjednoczeniem? Kocham mój kraj.

— Kochasz go pani?

Błyskawice gniewu strzeliły z oczu Helenki.

— Panie! — zawołała — samo to pytanie już jest obelgą!

— Niech mi pani wybaczy moją szczerłość, ale wątpliwość co do tego wczoraj właśnie powstała w moim umyśle.

— Czy mogę wiedzieć, co ją panu poddało?

— I owszem, będę szczerym do końca. Patrzyłem na panią czytającą gazetę: na samym wstępie była wiadomość

zapewne mylna, o odmówieniu subwencji rządowej zakładom dobroczynnym w Królestwie, wiadomość rujnująca podwaliny bytu tych zakładów — pani jej nawet nie zauważyłaś. Dalej było obliczenie majątków ziemskich na Litwie, znajdujących się w obcych rękach — pominęłaś je pani nie czytając, jak również artykuł o projekcie zniesienia Banku polskiego. Dalej jeszcze, w części politycznej znajdowała się mowa księdza Jazdzewskiego w parlamencie niemieckim w obronie języka polskiego — oczy pani zaledwie prześliznęły się po niej. Szukały one felietonu, gdzie autor w sposób bardzo zajmujący opisywał nader zawikłaną intrygę — i utonęły w nim z widoczną przyjemnością. Wstrzymywałem się jednak z sądem moim o pani, czekałem co dalej będzie; pani jednakże po skończeniu felietonu gazety, przeczytałaś felietony w dwóch Kuryerach, felieton z Tygodnika Illustrowanego, felieton z Kłósów, felieton z Bluszczu, jeden krótki poemacik, i na tem skończyłaś czytanie. Wówczas powiedziałem sobie: w tej młodej piersi niema ani odrobiny miłości dla kraju, bo najważniejsze sprawy narodowe są jej zupełnie obojętne. Nie kocha ojczyzny, kto niema w sobie poczuć obywatelskich i w czyjej krwi nie drgają tętna narodu.

Helenka stała przed nim śmiertelnie blada.

— Kto panu dał prawo przemawiania do mnie w ten sposób? — zawołała głosem drżącym z gniewu.

— Spełniłem tylko życzenie pani — odpowiedział poważnie — chciałaś pani wiedzieć, jakim sposobem doszedłem do mej wątpliwości i powiedziałem pani prawdę. Bardzo mi przykro, jeżeli miałem nieszczęście panią obrazić.

Helenka gryzła wargi do krwi niemal; w piersiach jej wrzało, w myśli szukała bronii, którąby dotknąć go mogła tak samo, jak on ją dotknął.

— Mówiłeś pan, przemówiła po chwili — że trzeba czynem dowodzić miłości dla kraju. Czy pan z patryotyzmu nie dla własnej korzyści, produkujesz i sprzedajesz nasiona?

Czy pańska najstarsza siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smaży konfitury i konfekty, że już nie mówię o podkładach do bukietów, wyrabianych przez młodszą?

— Tak jest, pani, — odrzekł z niezachwianym spokojem — bo pieniądze posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwe-dlinburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfekty, do Paryża za podkładki, w znacznej części pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tem korzystamy, ale korzysta nie-mniej kraj cały. Gdy jednostki się bogacą, wzrasta bogactwo narodowe. Moje siostry biorąc się do przemysłu, wcale do-tąd u nas nieuprawianego, spełniły czyn obywatelski. Nie ci tylko zasługują na wdzięczność i pamięć ludów, którzy z orę-żem w ręku giną w ich obronie, ale i ci, co się do ich do-brobytu przyczynili. Holandia czci pamięć Jana Peekela, który wynalazł sposób solenia śledzi, i tem cały kraj wzbo-gacił — jakby największego bohatera. Dążąc do odrodzenia narodu, powinniśmy nietylko w moralne ale i w materyalne siły wzrastać. Franklin jeszcze powiedział, że »pusty worek nie może stać prosto«.

Wszedł służący i podał Andrzejowi karteczkę.

— Przepraszam panią — powiedział rzuciwszy okiem na kartkę — ale przybył dla nas transport z kolei, muszę go odebrać.

Uklonił się i odszedł. Helenka pozostała sama. Długo stała na tem samem miejscu z oczami utkwionemi w ziemię, a po twarzy jej gorące przechodziły płomienie. Tak więc ni-zko stoi w jego oczach, że odmawia jej nawet tego, czego się nie odmawia prostemu wyrobnikowi! Jak on śmiał jej to w oczy powiedzieć? Jak śmiał śledzić ją bez jej wiedzy i sądzić? Gdy jego ojciec robił jej uwagi, słuchała go z sza-cunkiem; gdy jego matka ją strofowała, zносиła to z cierpli-wem pobłażaniem; ale żeby młody mężczyzna mógł jej w oczy powiedzieć coś innego jak komplement — to było

rzeczą niesłychanie zdumiewającą. Wiele ciężkich chwil przebyła już w tym domu, ale takiej...

Podniosła machinalnie oczy w górę i patrzyła na wspańiały kwiat filodendronu, nie widząc ani jego misternych arabesków, ani śnieżnej białości, tak zachwycającej przed chwilą—wzrok jej bowiem zwrócony był w głąb jej własnej duszy. Szukała tam obrony już nie przed tym człowiekiem, który odszedł, ale przed trybunałem własnego sumienia, przed którym stawiała się sama. Ale nie znalazła tej obrony. Wszystko co on przed chwilą tu powiedział, było prawdą i to właśnie bolało ją najwięcej. Tak jest; rzeczy błahe zajmowały ją więcej niż poważne, ale nigdy jej nie przyszło do głowy, że to jest dowód obojętności na sprawy publiczne. Teraz dopiero, gdy on zwrócił na to uwagę, prawda ta stała się jasną dla niej samej.

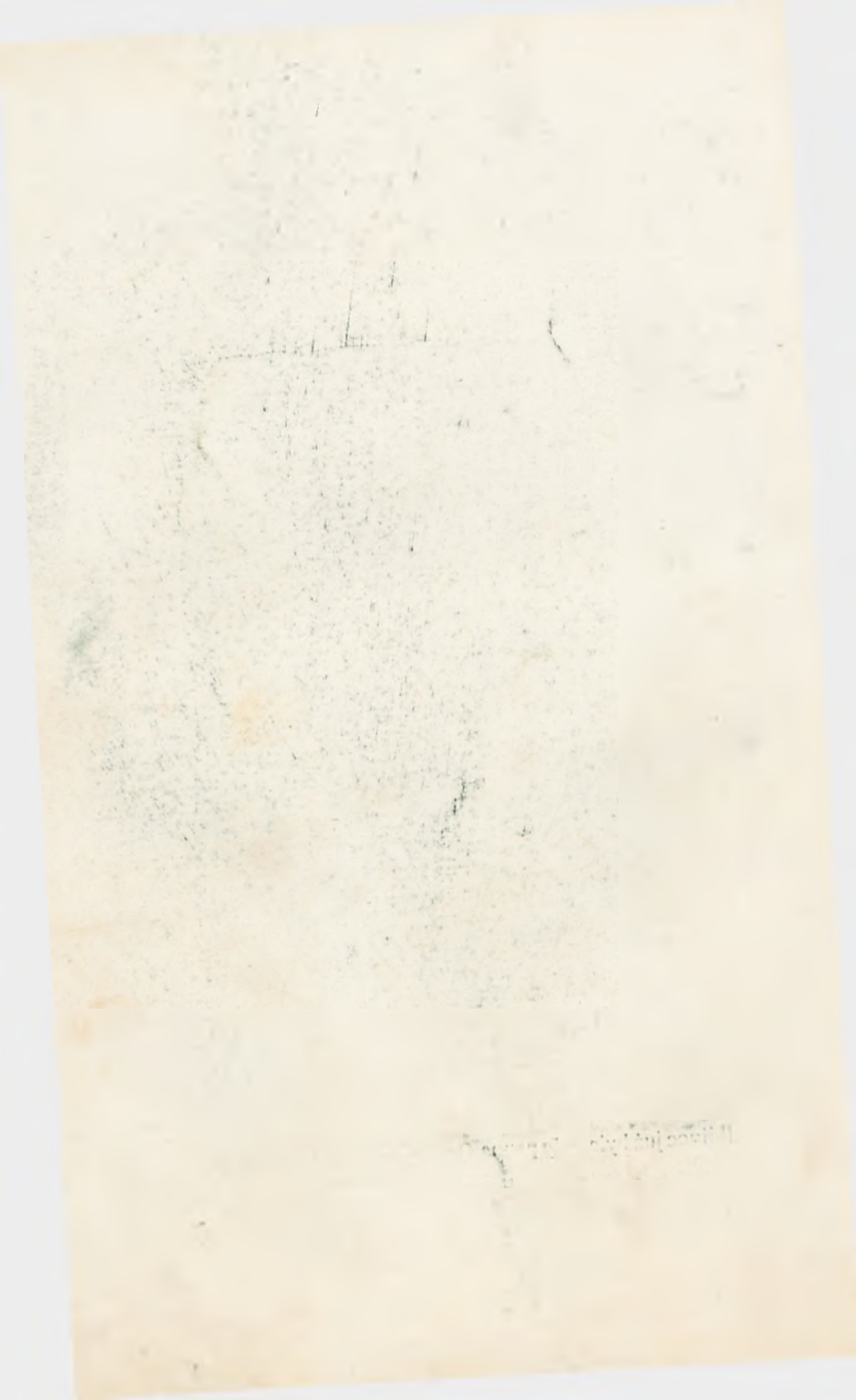
Wieczorem po skończeniu pracy w kantorze, zamiast iść zaraz spać, jak to czyniła zwykle, udała się do biblioteki, gdzie leżały na stole pisma ilustrowane i gazety. Tym razem nie szukała felietonów powieściowych, ale artykułów dotąd pomijanych, rozbierających sprawy o których mówił Andrzej. Czytała i odczytywała, a to czego się z nich dowiedziała, wstrząsnęło głęboko jej sercem i umysłem i wywołało szybsze krążenie krwi w żyłach. Andrzej, który w godzinę później chciał wejść do biblioteki i uchylił lekko portyerę, zobaczył jak z pomiędzy palców zasłaniających twarz dziewczęcia, spłynęło kilka łez. Oczy jego zajaśniały radością i odalił się niepostrzeżony mówiąc do siebie:

— Przebudzenie duszy drogo ją kosztowało, ale przyszło nareszcie!

Północ już była, gdy panna Orecka opuściła bibliotekę. Twarz miała bledszą niż kiedykolwiek, a tak była zamyślona, że nie posłyszała delikatnego skrzypnięcia drzwi kantoru, ani nie dostrzegła stojącej w nich wysokiej, męskiej postaci, której wzrok odprowadził ją do końca korytarza. Był to An-



Północ już była, gdy panna Orecka opuściła bibliotekę.



drzej chcący zbadać, jak też długo posiedzi ona w bibliotece. Szła jak lunatyczka krokiem wolnym, automatycznym, a od blask świecy trzymanej w ręku, padający na jej twarz, pozwalał widzieć skupiony i zarazem bolesny wyraz tej twarzy. Znalazszy się w swoim pokoju, stała chwilę przy stole, na którym postawiła świecę, zapatrzona w migający jej płomień poczem westchnęła i klęka do pacierza. Ale modlitwy których słowa wymawiała codzien i prawie machinalnie, płątały się dziś na jej ustach nie przylegając do nich. Klęczała tak czas jakiś z głową wspartą na rękach, wreszcie sięgnęła po książkę do nabożeństwa, ale zamiast niej natrafiła na inną, którą przed kilku dniami przyniosła sobie z biblioteki. Otworzywszy ją znalazła wiersz następujący:

» *Orate fratres:*

Módlmy się bracia! — mówi u ołtarza
Kapłan, najświętszą składając ofiarę.
Módlmy się! prosty lud za nim powtarza,
Co w prawem sercu szczerą chowa wiarę.

Módlmy się! — wzywa z wież kościelnych dzwonek,
Czystymi dźwięki dążąc pod niebiosa;
Módlmy się! — śpiewa w poranku skowronek,
Lekko skrzydełka otrząsając z rosy«.

Odwróciła kartkę dla zobaczenia nazwiska autora, i wyczytała imię Pauliny Krakowowej, tej samej, której wiersz o kobiecie wypowiedział jej dziś Andrzej w oranżeryi. Muskuły w jej twarzy lekko drgnęły, na wspomnienie tej rozmowy, i czytała dalej:

»I my choć zdala od świętych podwoi,
Z powszechnej troski, od prostej roboty,
Z ziemskiego życia codziennej tęsknoty,
Módlmy się w duszy, Bóg smutek ukoj!«

— Są jednak smutki, których modlitwa ukoić nie może:—
szepnęła — ja dziś napróżno próbowałam się modlić...

»Za tych, co czarną, drogą ziemię naszą,
Potem obłani uprawiają w ciszy,
I ciężką pracę rzewną płosnką kraszą,
Módlmy się módlmy, Bóg głos nasz usłyszyci«.

— Tu jest mowa o rodzinie Radliczów — rzekła z lekką
goryczą — oni uprawiają ziemię rodzinną w pocie czoła.
Dla mnie tu niema nic, nic...

»Za tych co jęczą w smutku i ucisku,
A przecież trwają w nadziei i wierze;
Za tych co giną wpośród mieczów błysku,
Módlmy się! krew ich pan przyjmie w ofierze!«

— Zginać wpośród mieczów błysku dla ojczyzny, tak
jak to czynili moi przodkowie, łatwiejby mi przyszło niż
zdobywać się codzień na kilka godzin pracy nużącej i je-
dnostajnej — szepnęła z westchnieniem.

»Za tych co ducha szlachetne poloty
W uroczę słowa zdobłą umiejętnie,
By nas przynęcić i podnieść do cnoty,
Módlmy się, módlmy, a słuchajmy chętnie«.

I to nie dla mnie. Marzyłam niegdyś wprawdzie nie
o umiejętnem zdobieniu w uroczę słowa szlachetnych polo-
tów ducha, ale o podnoszeniu i zachęcaniu do cnoty moich
bliźnich. Szalona! nie przeczuwałam, że ludzie będą mieli
prawo rzucić mnie samej w oczy ciężkie oskarżenie...

»Za tych co w ciężkiej niedoli zamęcie,
Na śliską drogę pokusy wtrąceni,
Stracili święte braterstwa pojęcie,
Módlmy się! kłóć niechaj Bóg wypłeni«.

— To dla mnie. Ja jestem podobno tym kąkolem, który lepiej żeby Bóg wypłenił. Dano mi to do zrozumienia aż nadto wyraźnie. Autorka każe się modlić za tych, którzy stracili święte pojęcie braterstwa... cóż jednak będzie z tymi co go nigdy nie mieli? Widać, że nie warci aby się za nich modlono, że są winniejsi od tych nawet, którzy uległszy pokusom, upadli...

Rozśmiała się gorzko.

»Bo silnej woli olbrzymia potęga
Kruszy opoki, kieruje falami —
Ale modlitwa pod niebiosą sięga;
Módlmy się zatem, a Bóg będzie z nami«.

— »Ale modlitwa pod niebiosą sięga«; — powtórzyła, zamyślając się — więc Bóg usłyszy głos biednego kąciku, jeśli podniesie się ku niemu nieśmiały... usłyszy i przebaczy, że nie wyrósł w złotodajne ziarno pszenicy! Ach, czemuż nie wiedziałam wielu rzeczy wcześniej, czemu od obcych ludzi dopiero musiałam się o nich dowiedzieć! Ileżby mi to oszczędziło wstydu i upokorzenia!... O Boże, nie proszę Cię już o poprawienie mojej doli, ale o dobre pojęcie braterstwa... Spraw aby niepożyteczne ziarno kąciku przemieniło się w ziarno zboża!

Długo jeszcze dumiała, z głową wspartą na rękach i ani się spostrzegła jak znużenie wzięło górę nad znużonym umysłem. Ciałem jej sen zawładnął, a tak głęboki, że ranek zastał ją śpiącą w klęczącej postawie.

Była to właśnie już siódma godzina. Helenka obmyła twarz zimną wodą i zeszła do jadalnego pokoju.

XV.

Kłamstwo przez Helenkę w liście do matki wymyślone, dla sprawienia jej przyjemności, o mającej się odbyć u państwa Radliczów zabawie, nadspodziewanie stało się prawdą. Jednego dnia Elżunia powiedziała do niej z uśmiechem nieco tajemniczym:

— Mam dla pani nowinę, w sobotę będzie u nas wieczór tańczący.

Oczy Helenki rozjaśniły się na te słowa.

— Doprawdy? — spytała patrząc na mówiącą z niedowierzaniem — wieczór tańczący tu, w tym domu?

— Cóż w tem tak dziwnego?

Zawahała się.

— Widząc państwa wszystkich pracujących niezmordowanie od rana do nocy; słysząc ciągle powtarzane, że »czas to pieniądz«, że »marnowanie go jest zbrodnią«, bo »żadna z chwil upłynionych nie wróci« — myślałam, że z zasady przeciwni jesteście wszelkim rozrywkom nieprzynoszącym umysłowej korzyści, i że taniec uważa się tutaj za rzecz zakazaną, godną piekielnego potępienia.

Elżunia rozśmiała się.

— Miała nas pani za ludzi bardzo dziwacznych, i całkiem do wszystkich innych niepodobnych, niby jakichś średniowiecznych pustelników lub ascetów — rzekła wesoło — a my jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami, pracującymi w dzień powszedni, odpoczywającymi w niedzielę i tańczącymi ochoczo, gdy się zdarzy sposobność, w karnawale. Na wszystko jest czas właściwy; żadna z nas nie zaniedbałaby swej codziennej pracy dla zabawy, ale bawimy się chętnie gdy możemy, bez szkody dla naszych zajęć. Ja na przykład bardzo lubię tańczyć, a moja siostra Anna także.

— A siostra najstarsza, panna Wanda, której jeszcze nie znam?

— Ona nie tańczy od śmierci swego narzeczonego — rzekła z westchnieniem Elżunia — zresztą nie opuściłaby dla zabawy naszego dziadka, którym się opiekuje i który ani chwili bez niej obejść się nie może.

— Czy... i pan Andrzej lubi tańczyć?

— Ach, ten nie tańczy wcale. Powiada zawsze, że jest na to zbyt niezgrabny, i ma słuszość. Zaczny, szlachetny chłopak, ale nie salonowiec.

— To prawda — pomyślała Helenka, a Andrzej jeszcze więcej stracił w jej oczach. Młody mężczyzna nieumiejący tańczyć był dla niej istotą niezupełną. Stefan tańczył tak pięknie.

A więc tańczący wieczór miał nareszcie przerwać jednostajność tego życia pracowitego, którego dnie podobne były do siebie jak krople wody. Helenka wiele myślała o tym wieczorze, tylko martwiła się, że nie ma świeżej toalety. Kufry jej wprowadzie pełne były eleganckich a kosztownych sukien, ale na pierwszy występ publiczny w Warszawie pragnęła mieć coś nowego, gustownego a oryginalnego. Niestety, ani myśleć o tem było można! Kasa jej była wyczerpaną, a na dnie eleganckiego woreczka leżało już tylko kilka sztuk drobnej monety; zresztą, chociażby nawet miała pieniądze na sprawienie sobie odpowiedniego stroju, nie godziło się ich na to używać, czuła to dobrze.

Zdziwiła się też bardzo, gdy na godzinę przed mającą się rozpocząć zabawą, Kunegunda przyniosła jej do pokoju list i duże pudło opatrzone firmą jednego z pierwszorzędnych magazynów warszawskich, z którego matka jej zawsze zaopatrywała w garderobę siebie i córkę. List był z domu i zawierał słowa następujące:

»Moja najdroższa Helciu! W tydzień po twoim wyjeździe nadeszła z Warszawy suknia, którą obstało

wałaś sobie na bal u barona. Magazynierka dziwi się, żeś cofnęła obstalunek, i zapytuje czy przy ostatniej przesyłce nie zadowolniła w czemkolwiek twego gustu, coby ją bardzo bolało. W końcu dodaje, że toaleta wykonana z największą dokładnością podług zrobionej przez ciebie akwareli, jest tak piękną, iż posyła ci ją mimo twej woli, żebyś chociaż zobaczyła, jakie wymyśliłaś arcydzieło. Pewna jest, że zobaczywszy, nie będziesz miała siły odesłać. W przeciwnym razie przyjmie tę suknię chętnie napowrót, bo wie, że łatwo znajdzie na nią kupca. Rzeczywiście, moje dziecko jestto prawdziwe arcydzieło, i nie wiem czy nawet hrabina K., sprowadzająca sobie suknie z Paryża od Wortha, znalazłaby jej co do zarzucenia. Ten odcień zielonawy jest przepyszny, a ten fantazyjny węzeł z boku, niezrównany! Kwiaty wybornie dobrane do koloru twoich włosów; będzie ci w nich bardzo do twarzy. Naturalnie, nie odesłałam napowrót tych śliczności, ale zatrzymałam je dla ciebie, bo pisałaś mi, że się dobrze bawisz, i że ma być świetna zabawa u państwa Radliczów. Nie masz żadnej zupełnie świeżej sukni, a niepodobna przecież, żebyś wyglądała gorzej od innych. Jak cię widzą, tak cię piszą. Pożyczyłam pieniędzy od Ofmana, w sekrecie przed ojcem i odesłałam zaraz magazynierce. Że zaś pan F. znajomy nasz jechał do Warszawy, więc prosiłam go, żeby to pudło z sobą zabrał, bo wysłane pocztą, mogłoby na czas nie zdążyć. Kwiaty są prawdziwe paryskie, znać to po delikatności wyrobu; będziesz mogła użyć ich jeszcze raz. Dobre rzeczy choć drogie, zawsze się opłaci kupować; jestto nawet dobrze zrozumiana oszczędność».

Helenka załamała ręce po przeczytaniu tego listu. Matka pożyczyła pieniądze od Ofmana na zapłacenie sukni, w se

krecie przed ojcem, który w sekrecie przed matką poręczył Ofmanowi za Teckiego — co za fatalne pokrzyżowanie interesów, przyśpieszające ruinę rodziny, a sprzyjające zamiarom tego niemca, względem posesyi pana Marcina, zamiarom, które dla ślepych chyba nie były widoczne! I ona to, córka biednego starca znękanego nieszczęściem, jego jedyne ukochane dziecko, ma przyłożyć rękę do jego ostatecznej ruiny? Matka niewiedząca o poręczeniu, nieświadomie stawiała się współniczką Ofmana — miałażby i ona ze świadomością tego stać się jego współniczką także? Dreszcz ją przeszedł.

A jednak nie przyszłoby do tego, gdyby cofając obstatunek napisała z całą szczerością modniarce, iż cofa go z powodu, że w położeniu jej zaszła zmiana zmuszająca ją do wyrzeczenia się balowych toalet na przyszłość. Powodowana fałszywym wstydem, dała za powód błahy, prosty kaprys, który modniarce mającej do czynienia po większej części z osobami ulegającymi częstym kaprysom, mógł dać do myślenia, że przeminie równie prędko jak przyszedł — i że młodej damie, odwołującej zamówienie dlatego tylko, że jej się »odechciało być na balu« zachce się tańczyć na niejednym jeszcze balu do końca karnawału. Kłamstwo napozór nieszkodliwe nikomu, ściągnęło jej zgryzotę, przytłaczającą teraz jej piersi kamiennym ciężarem. Gdyby chociaż w liście do matki nie była popisała tyle rzeczy dalekich od prawdy, o swoim życiu w Warszawie i o przyszłej świetności zabawy niebędącej wówczas jeszcze nawet w projekcie, matka nie byłaby zatrzymała dla niej tej sukni, bo wiedziałaby, że ona córce na nic się nie przyda. Wieczór — to nie bal jeszcze. Tłómaczyła sobie, że uczyniła to dla sprawienia matce przyjemności, ale był to tylko pozór, pod którym ukrywała się jej własna słabość. Nie miała odwagi napisać do domu całej prawdy i stawić czoła pojęciom będącym tak długo jej własnymi, a teraz zaczynającym się chwiać w swoich posa-

dach... Słabość niewinna napozór stawała się grzechem ciężkim, bo sprowadzała skutki opłakane.

Przesunęła ręką po czole, jakby chcąc pozbyć się myśli niepokojących i wielce podobnych do wyrzutów sumienia, i zamyśliła się co zrobić z tą suknią, która spełniała tak niespodzianie jej niedawne marzenia, a była już zapłacona, więc musiała przy niej pozostać!.. Zwolna, czysto kobieca ciekawość zajęła miejsce wyrzutów sumienia; ręce z pewną niecierpliwością odkryły wieko pudła.

To co pani Orecka nazwała arcydziełem smaku, było niem istotnie i o wiele przewyższało rysunek służący mu za wzór, a leżący teraz na wierzchu. Był to prawdziwy kostyum leśnej bogini. Gaza podobna raczej do mgły niż do tkaniny, przybrana była ciemnymi liśćmi bluszczu, mchem, porostami drzewnymi, paprociami, konwaliami i poziomkami czerwieniacemi się jak rubiny, a do złudzenia naśladowającemi naturę, bo nawet krople rosy gęsto na kwiatach i liściach błyszczące, były tak świeże, jak gdyby tylko co na nich osiadły. Przy sukni leżała para białych atlasowych bucików, z których każdy ozdobiony był zieloną gałązką; długie do łokcia sięgające rękawiczki ze stemplem paryskim, girlandą z bluszczu niby bransoletką otoczone — i wachlarz zrobiony z atlasu, gazy, liści i leśnych kwiatów.

Helenka przyglądała się temu wszystkiemu ze znajomością artystki dumnej ze swego pomysłu, oczy jej błyszczały gorączkowo, a na twarz ciemne wystąpiły rumieńce. Wszystkie dawne nałogi odezwały się w niej z siłą tem większą, że tak długo były z konieczności powstrzymywane i tłumione — bo też pokusa była zbyt wielką!..

— Jeżeli suknia jest zapłacona i musi przy mnie pozostać, to czemu nie miałabym się w nią dziś ubrać — mówiła do siebie, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia. — Czyż zamiast ją włożyć w kufrze do śmierci, nie lepiej, nie rozsą-



Istotnie, jesteś pani bardzo piękną...

dniej postąpię, czyniąc z niej użytek, na jaki była pierwotnie przeznaczoną?

Zrzuciła z siebie swoje codzienne ubranie, zniszczone już cokolwiek od pyłu, jaki na nie codziennie z nasion padał i zaczęła się ubierać w ten strój poetyczny a oryginalny, którego pomysłu istotnie mógł jej pozazdrościć malarz. A gdy ją owinęły obłoki jedwabiu i gazy, gdy poczuła za sobą powłóczysty ogon, niemający gdzie pomieścić w ciasnym pokoiku całej swej wspaniałości; gdy rozplotła i spuściła na plecy bogate jasno-popielate włosy, ozdobiwszy je girlandą z kwiatów i zieleni, odżyła w niej na nowo cała jej dawna istota, i gdy zapinała paryskie rękawiczki na guziczki z masy perłowej, w pięknej jej główce nie było już miejsca na żadne głębsze myśli. Strój i zabawa zajmowały ją całą. Lusterko z podróżnej toaletki, służące jej do codziennego użytku, okazało się za małym do odbicia tak świetnej toalety. Z pewną niecierpliwością obejrzała się za czemś większem, ale nic podobnego tam nie było.

— Pójdę do salonu — rzekła do siebie. — O tej porze niema tam jeszcze nikogo, a jest to jedyne miejsce, gdzie można przejrzeć się od stóp do głów.

Uwiązawszy wachlarz na białej atlasowej wstążce, wzięła w jedną rękę ogon sukni, w drugą świecę, i zeszła ostrożnie po schodach. Zmrok już był i służący zapalał światła w sieni, korytarzu i na schodach. Przemknęła obok niego niepostrzeżona, ale spotkała się oko w oko z Kunegundą, która na jej widok przeżegnała się głośno.

W salonie nie było nikogo i lampy jeszcze wcale nie zapalano. Postawiła świecę na konsoli i zaczęła się sobie przypatrywać, a uśmiech zadowolenia ożywił małe jej usteczka. Rzeczywiście, w tej szacie podobnej do wstających wieczorem nad wodami oparów, w tych ozdobach z liści i mchów, była piękną jak marzenie poety i wypowiedziała to sobie głośno z dumą.

— Istotnie, jesteś pani bardzo piękną — odezwał się tuż przy niej głos dobrze znany, którego dźwięki były zimne, ostre i jakby szyderskie — tak piękną, że każdy artysta uważałby się za szczęśliwego, gdybyś mu służyć chciała za model do obrazu; tak piękną, że nie potrzebujesz wcale balowego stroju, żeby tę piękność uwydatnić, bo nawet w codziennem ubraniu jest ona bardzo widoczną. Ale cóż z tego? Piękność nie jest wcale pani zasługą, jak nie byłoby winą pani, gdybyś była brzydką!

Helenka zawrzała gniewem. Więc on był tu znowu, ten człowiek, którego znosić nie mogła, i zatrzał jej pierwszą chwilę, w której zapomniała o swojej niedoli i swoim więzieniu! Był tu znowu i podpatrywał ją w chwili, gdy się zachwycała sama sobą — a ona o jego obecności nie wiedziała! To było oburzające. Odwróciła się i zmierzwszy go od stóp do głów, rzekła gniewnie:

— Podsluchiwanie i szpiegowanie wszelkiego rodzaju, nie bardzo się zgadza z honorem mężczyzny. Po raz to drugi już podpatrujesz mnie pan bez mojej wiedzy. Oświadczam panu, że nie życzę sobie bynajmniej służyć za przedmiot pańskich studyów, i proszę abyś mnie raczył uwolnić od tego zaszczytu.

Nigdy jeszcze z delikatnych ust panny Oreckiej nie wyszły słowa równie gwałtowne jak te; nigdy jeszcze słodki, srebrzysty jej głos nie miał takich tonów syczących. Usłyszawszy je, sama im się zdziwiła — ale nie mogła pohamować swego uniesienia. Drżała.

Andrzej podniósł się z krzesła, w którem siedział zagłębiony.

— Jesteś pani bardzo porywczą i bardzo niesprawiedliwą — rzekł ze spokojem, który ją zdziwił. — Nie godzi się wymawiać lekkomyślnie słowa honor, ani czynić ubliżających zarzutów bez przekonania się o ich zasadności. Osoba pani nie obchodzi mnie do tego stopnia, żeby aż wzbudzała

moją ciekawość. Tak dziś, jak i poprzednio, przypadkiem się tu znajdowałem, gdyś pani weszła, i skoro pani mimowolnie głośno przed lustrem wyraziłaś myśl swoją, i ja też wyraziłem głośno swoją choć nie całkowicie...

— Był więc dalszy ciąg?

— Tak, pani, był.

— Czy można wiedzieć jaki?

— Lepiej żeby pozostał przy mnie, bo pani nie lubisz słuchać prawdy i bierzesz ją zawsze za obrazę.

Helenka patrzyła na niego, gniotąc w rękę swój wachlarz. Zdumiewało ją i oburzało zuchwalstwo tego człowieka, mówiącego jej w oczy, że ona go nic nie obchodzi — jednak... ciekawość kobieca przemogła.

— Mów pan — rzekła z błyszczącymi oczyma.

— Proszę zatem pamiętać, że spełniam tylko pani życzenie: patrząc na panią, zadawałem sobie pytanie, czy forma tak doskonała zawiera treść równie szlachetną, jak jest sama, czy też istnieje między nimi sprzeczność.

— Wątpliwość bardzo dla mnie pochlebna. Cóż dalej?

— Dalej dziwiłem się lekkomyślności, z jaką pani marnotrawisz swoją pracę. Ile to tygodni, ile miesięcy trzeba, żeby szczupła płaca pobierana przez panią pokryła koszt tak świetnego stroju! Myśląc o tem, nie widziałem już doskonałości form, tylko treść wypełniającą je.

— I przyszedłeś pan do przekonania, że między treścią a formą jest wielki przedział?

— Niestety, tak.

— Że jest lichą, nędzną, że jej niema wcale? — pytała coraz gwałtowniej — mówże pan!

— Dziwiłem się, że w duszy uposażonej w skarby serca i umysłu, w duszy pełnej pięknych zamiarów i szlachetnych uniesień, jest taki brak siły charakteru.

Cały rząd guziczków z masy perłowej, na które lewa

rękawiczka była zapiętą, prysnął w tej chwili, i posypał się jak grad na podłogę.

— Potrzebowałabym tylko dwa słowa wyrzec dla przekonania pana, że jesteś w błędzie, ale nie uczynię tego! Pozostań pan w mniemaniu, że jestem nierozsądną marnotrawnicą i bez charakteru.

To powiedziawszy wzięła świecę i wyszła nie spojrzawszy na niego.

— Charakter jest — rzekł do siebie Andrzej, patrząc za nią — brak mu tylko panowania nad sobą, ale i to przyjdzie z czasem. Dużo mnie kosztowały słowa, które jej musiałem powiedzieć, ale pewien jestem, że nie będą bezskuteczne. Nie prędko mi je przebaczy... Biedna dziewczyna, zraniłem ją głęboko!

Powrócić do siebie równie niepostrzeżoną jak tu przyszła, nie udało się Helence. Przez korytarz niesiono duży stół do sali jadalnej, a że u stołu odkręciła się noga, więc cały tabor stanął i zaczęło się przykręcanie. Chcąc to wszystko ominąć, musiała się wrócić i przejść przez pokój pani Radliczowej. Zastała tam Annę i Elżunię zajęte przygotowywaniem wieczorowych ubiorów. Tego właśnie najmniej sobie życzyła. Widok jej wprowadził siostry w takie zdumienie, że żadna nie wyrzekła ani słowa, tylko obie spoglądały na siebie w milczeniu. Elżunia, w której gust artystki ponad wszystkimi innymi uczuciami przemagał, odezwała się pierwsza z zachwytem.

— Co za przepyszny strój, i jak pani w nim jesteś cudownie piękną!

— Panna Orecka wybiera się gdzieś na bal — zauważyła zimno pani Radliczowa.

— Czy pani na nasz skromny wieczór tak się ubrała? — zapytała z niedowierzaniem Anna.

Helenka wytrzymała spokojnie wszystkie spojrzenia, a na ustach jej osiadł bolesny uśmiech.

— Ze sposobu i tonu tych zapytań widzę jak bardzo się państwu nie podobam — rzekła patrząc kolejno po wszystkich — i jak każda z pań w duszy mnie potępia. Jestem marnotrawnicą, nieumiejącą uszanować grosza zapracowanego. Nieprawdaż? A jednak nie zasługuję na tak bezwarunkowe potępienie, jak się to zdaje z pozoru. Suknię tę obstalowaną przed miesiącem, gdym jeszcze nie domyślała się nawet naszej majątkowej ruiny, posłała teraz modniarka do M., pomimo że natychmiast po katastrofie cofnęłam obstalunek, a matka moja tu mi ją przysłała, przypuszczając, że mi się przydać może. Pragnie ona bardzo, żebym się bawiła, i sądzi że mam dosyć czasu na to; a że sama nigdy nie potrzebowała rachować się z pieniędzmi, więc nie zastanawiała się, że bądźco bądź jestto wydatek zawielki w naszym obecnym położeniu.

— Dziwna nieprzezorność — wtrąciła pani Radliczowa.

— A teraz, gdy panie już znają źródło mojego marnotrawstwa, proszę o radę co mam począć z tym fantem, który mi się dostał wbrew mojej woli? Czy nie lepiej uczynię, tańcząc w tej sukni na dzisiejszym wieczorze, niż gdyby miała zamknięta w kufrze nie ujrzeć nigdy światła dziennego ani wieczornego?

— Czy rachunek już zapłacony? — spytała pani Radliczowa słuchająca Helenki z wielką uwagą.

— Ach, naturalnie — odpowiedziała, dziwiąc się że mogła zająć pod tym względem najmniejsza wątpliwość.

— Szkoda, bo to utrudnia cokolwiek sprawę. Jeżeli pani w samej rzeczy nie chcesz mieć tej sukni, to powinnaś ją zwrócić modniarce.

Na twarz Helenki wystąpiły mocne rumieńce.

— Zwrócić? — wyszeptała z pomieszaniem — ależ jak to będzie wyglądało? Będzie to czyn wysoce niedelikatny!

— Czas już, żebyś się pani oduczyła patrzeć na życie z punktu widzenia wielkopańskiego — odparła z pewną nie

cierpliwością w głosie. — Zwrócenie modniarce sukni, którą ona zrobiła i przysłała pani pomimo odwołania obstalunku, będzie czynem zupełnie racjonalnym. Jesteś pani w swoim prawie i ona powinna pani zwrócić pieniądze.

— Być może, ale...

— Ale przyznanie się przed nią do zmiany położenia zawieleby pannę Orecką kosztowało, czy tak? A więc maruj pani swoją własną pracę, skoro się to lepiej zgadza z twoją godnością, ale zapłac nad sobą zawczasu, bo przepowiadam ci, że nie dojdiesz nigdy do niczego. Kto nabywa rzeczy niepotrzebne, ten potrzebne wkrótce sprzedawać zacznie.

To powiedziawszy z właściwą sobie szorstkością, zamilkła i odwróciła głowę z niechęcią.

Helenka stała na środku pokoju, nie wiedząc co czynić.

Rada była rozsądną i praktyczną, ale nie zgadzała się z jej dotychczasowymi zwyczajami i pojęciami. Zrobić to co jej radzono, wydawało się jej czemś nie bardzo szlachetnem względem modniarki. Swoją drogą też powstrzymywał ją wstyd fałszywy, a może i skryty żal pięknego stroju.

— Kochana panno Heleno — odezwiała się Elżunia, która zawsze była pierwszą ilekroć chodziło o załagodzenie sporu, i umiała kwestye stawiać z najlepszej strony, jak matka stawiała je na ostrzu noża — mama ma słuszość. Powinna pani koniecznie pozbyć się tej sukni, bo ona dla pani teraz jest zupełnie bezużyteczna. Nawet dzisiejszego wieczora nie radziłabym pani w niej występować, bo to jest strój balowy, a nasz wieczorek będzie bardzo skromny. Wszyscy nasi goście są to ludzie zarabiający pracą na swoje utrzymanie, tak jak i my, i żadna z ich żon czy córek nie ubierze się po balowemu. Sama jedna wśród wszystkich odbijałabyś pani zanadto jaskrawo, i świadomość ta niezawodnie nie byłaby pani przyjemną. Ubiór jest jedną z tych form towarzyskich, które koniecznie stosować trzeba do miejsca i do ludzi. By-

łabyś pani między nami niewątpliwie prześlicznym obrazem, ale... w niewłaściwych ramach.

— Ma pani słuszność — rzekła Helenka — rada pani Radliczowej jest rozumną i będę z niej korzystała. Pójdę do modniarki jutro.

— Nie — odezwała się pani Radliczowa, odrywając oczy od roboty — takich rzeczy nie należy odkładać. Jutro jest niedziela, więc poszłabyś pani dopiero w poniedziałek. Im prędzej się to zrobi, tem lepiej. Idź pani dziś jeszcze natychmiast!

— Czy pani chcesz, żebym ci towarzyszyła? — spytała Elżunia.

Helenka spojrzała na nią z wdzięcznością.

— Dziękuję pani — odrzekła po namyśle — pójdę sama.

Bardzo ona pragnęła mieć towarzyszkę, ale nie chciała żeby ta towarzyszka była świadkiem jej rozmowy z modniarką, i tego co nazywała upokorzeniem.

XVI.

W kwadrans potem Helenka siedziała sama jedna w drodze, a na przednim siedzeniu stało pudło z wypisanym wielkimi literami adresem firmy, której wziętość i sława ustaloną była oddawna w całym modnym świecie.

Wsunięta w głąb powozu, otulona w futerko, zamyślnym wzrokiem wodziła po ulicach pełnych ruchu i gorączkowego karnawałowego życia, tego życia, do którego ona tak wzdychała, którego tak pragnęła, a którego zmuszoną była się wyrzec. Wspaniałe wystawy sklepowe oświecone gazowymi lampami, zawierające przedmioty zbytku niedostępne

już dziś dla niej, napelniały jej serce goryczą, a tłum pojazdów zajeżdżających przed główną bramę ratusza, gdzie tego wieczoru miał odbyć się bal, przypominał jej ów wieczór, gdy to kareta na saniach zatoczyła się przed dwór pana Bartłomieja — wieczór tak dla niej pamiętny... Wówczas była swobodna, bogata, szczęśliwa, nie przewidująca żadnej przykrej zmiany. Od tego czasu miesiąc dopiero upłynął, a jest zmuszona sprzedać swoją suknię! Fortuna kołem się toczy!

Dorożkarz zatrzymał konie przed jednym z najświetniejszych sklepów, a Helenka spojrzawszy na napis ułożony z gazowych płomyków wysiadła i kazała zanieść za sobą pudło. — W magazynie urządzonym z prawdziwym dekoratorskim talentem bo były tam i szafy pokryte bogatą rzeźbą, i piękne draperye, i przepyszne wazony majolikowe, znajdowało się kilka dam należących widocznie do wielkiego świata, nader ważnemi radami zajętych. Subjekci rozkładali przed niemi kolorowe materye, aksamity i gazy przeźrocyste, nakrapiane srebrem i złotem. Na stole leżały rozrzucone koronki, kwiaty, wstążki, a wszystko było brane pod głęboką rozwagę, zbliżane i oddalane od światła, podnoszone do góry i zniżane, drapowane i wygładzane, porównywane, dobierane. Wszelkie możliwe efekty, jakie tylko osiągnąć się dały za pomocą umiejętnego przedstawienia danego przedmiotu, zostały wyzyskane. Subjekci nie żałowali ani zręczności, ani trudu, ani cierpliwości, która przy właściwym kobietom braku decyzji, często bywała wystawiona na próbę. Narady odbywały się w kilku punktach półgłosem, czasem zniżaly do szeptu, niekiedy przerywały chwilowem milczeniem pełnem głębokiego skupienia ducha, a twarze naradzających się były tak poważne, jak gdyby chodziło o toalety nie dla osób pojedynczych, ale dla całych narodów.

Naprzeciw wchodzącej Helenki posunęła się niemłoda dama, której ubiór będący ostatnim wyrazem mody, stanowił

żywą i najwymowniejszą reklamę zakładu. Twarz jej zwiędła miała wyraz wystudyowanej dystynkcji i powagi, a małe, ruchliwe, głęboko osadzone oczy zdradzały wrodzoną żywość. Jedno zmruczenie oczu wystarczyło tej poważnej osobie do zauważenia kosztownego futra, białego aksamitnego kapturka, jak i klasycznej piękności przybyłej — to też z wielką uprzejmością wskazała jej zielony aksamitny fotel i spytała czem każe sobie służyć.

Gdy Helenka wymieniła swoje nazwisko, dama ta podwoiła jeszcze uprzejmość. Klientki bowiem płacące rachunki natychmiast, co się nawet arystokratycznym paniom rzadko zdarza, są wielce cennymi nabytkami i należy je sobie zjednywać wszelkimi sposobami. Nie dając jej przyjść do słowa zasypała ją potokiem wymowy.

— Prawdziwe to dla mnie szczęście, że dostarczając pani dotąd sukien na listowne zamówienia tylko, mogę na reszcie poznać panią osobiście. Co pani rozkaże? Mamy świeże modele z Paryża: z tych jeden od samego Worth'a, cudowne połączenie koloru mahoniu »acajou« z kolorem bladego niebieskim »electrique«, bo dziś bez elektryczności nie może się nigdzie obejść. Może pani sobie życzy obejrzeć? Niedroga nawet suknia, kosztuje tylko trzysta franków. Dla pani oddamy ją po cenie kosztu. Nie? Aha, pani pewnie przyszła z gotowym planem własnego pomysłu. O, bo pani miewa pomysły oryginalne i prześliczne, jak ten kostyum leśnej bogini! Pokazywałam rysunek Worth'owi, bo byłam w Paryżu i dopiero dwa tygodnie temu wróciłam, i czy uwierzy pani, że był nim zachwycony, a pochwała Worth'a to najwyższa wyrocznia! Cóż to więc ma być? suknia balowa, czy wieczorowa?

— Ani jedna, ani druga — przemówiła Helenka, zmieszana i onieśmiewiona tym wstępem — ale...

— A więc zapewne wizytowa: noszą teraz bardzo w dzień kolor szary, w odcieniach »pigeon« lub »souris«,

a także kolor mahoniu od najciemniejszego do najjaśniejszego, zwanego »terra-cotta«. Co do materyałów, to najczęściej używane są obecnie »taffetas-glacé« i »surach duchesse« mieniające się. W Paryżu widziałam prześliczne kompozycje z tych materyałów, i w tej chwili właśnie w pracowni naszej wykończą się kilka sukien w tym guście. Oto są próbki.

— Dziękuję pani, nie będę ich przeglądała, — odezwała się nareszcie Helenka — nie przyszłam tu dziś nic kupować, ani obstalowywać. Celem mego przybycia jest suknia balowa, którą mi pani przysłała do M.

— Zapewne coś trzeba poprawić, — podchwyciła — najchętniej, łaskawa pani, najchętniej, chociaż mamy taki nawał roboty, że pracujemy po nocach, i mimo to nie możemy wydolać. Dla pani jednak jesteśmy zawsze na usługi. Co tam trzeba zrobić, proszę pani? kwiaty odmienić? czy kokardę przypiąć? Panno Aleksandro! — zawołała uchylając lekko portyerę — proszę przyjść tutaj, jest mała poprawka dla młodej damy!

— Niechże pani mi pozwoli przyjść do słowa, — rzekła nareszcie zniecierpliwiona ciąglem przerywaniem Helenka — bo się nie porozumiemy. W sukni, o której mowa, niema nic do poprawienia.

— Spodziewałam się tego, — wtrąciła — o ile pamiętam, utrafialiśmy pani zawsze jakoś. Bo też rzadko doprawdy tak zgrabnej figurki.

— Ale mimo to muszę pani tę suknię zwrócić, jako zupełnie dla mnie nieużyteczną! Szkoda wielka, że pani nie zastosowała się do mego listu, w którym cofałam obstalunek zrobiony dniem wcześniej... oszczędziłoby to nam obydwom przykrości.

Wypowiedzenie tych słów przyszło Helence z ciężkością.

Muskuły w twarzy modniarki drgnęły nieznacznie. Małe jej oczki z pod przymrużonych powiek rzuciły bystre spojrzenie na mówiącą:

— Suknia była już w robocie, gdy przyszedł drugi list pani; wreszcie sądziłam, że gdy pani zobaczy swój pomysł wykonany, zatrzyma pani go chętnie, zwłaszcza że powód jaki pani podała w liście, niebytność na jednym balu, nie wykluczał bytności na balach innych. Czyż podobna, aby tak piękna toaleta nie przydała się młodej osobie w ciągu karnawału! Może obraziliśmy panią posyłając rachunek? Ale to wina mojej panny od kroju, która ekspedyowała posyłkę i nie wiedziała, że mamy z państwem rachunki roczne.

— Nie, pani, — wyrzekła z lekkim rumieńcem Helenka, nierada, że natarczywość modniarki zmusza ją tłumaczyć się wyraźniej; — położenie nasze majątkowe zmieniło się i nie jesteśmy już w stanie ponosić tak zbytłownych wydatków.

Po twarzy modniarki przemknęło coś nakształt gniewnego zadziwienia, a w zachowaniu się jej i wyrazie twarzy zaszła raptowna zmiana. Nadskakująca grzeczność zniknęła w jednej chwili, a miejsce jej zajęła wyniosłość i chłód lodowaty. Podniosła głowę i popatrzywszy przez chwilę przy-mrużonemi oczyma na swoją dawną klientkę, rzekła sucho:

— A to dobre! więc dlatego, że ktoś bankrutuje, zakład nasz ma ponosić straty! Ciekawam z jakiej racyi? Trzeba było odesłać posyłkę odwrotną pocztą; teraz już nie da się to odrobić. Gdy rachunek jest zapłacony, rzecz uważa się za skończoną. My nie przyjmujemy żadnych zwrotów.

Bezwzględność i niedelikatność, z jaką te słowa zostały wypowiedziane, oburzyły Helenkę. Nieśmiałość jej i zakłopotanie ustąpiły zbudzonemu nagle poczuciu swojego prawa. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości pod tym względem. Duma i pewność siebie, które ją były odstępowały przy wejściu do magazynu, wróciły w tej chwili.

— Zapomina się pani, — rzekła podnosząc się — pani to wina, że suknia znalazła się w M. wbrew mojej woli; pani sama wie o tem dobrze. Co zaś do strat, o jakich pani mówi, to w liście pani, który mam przy sobie, wyraźnie jest powie-

dziane, że chętnie pani przyjmie tę suknię napowrót, bo »na tak piękną toaletę łatwo się znajdzie nabywca«.

Postawa panny Oreckiej pełna obrażonej dumy, wyniosły ton z jakim przemawiała, nasunęły modniarce przypuszczenie, że może nie była tak ubogą, aby nie potrzebowała w przyszłości mniej więcej eleganckich, choćby tylko wizytowych toalet. Żałowała, że posunęła się za daleko.

— Przepraszam panią — rzekła grzeczniejszym tonem — nasz zawód naraża nas na tak częste przykrości różnego rodzaju, że te czynią nas zgryźliwymi. Gdy rachunek jest uregulowany i zapisany w księdze, nie mamy zwyczaju zwracać pieniędzy. To nasza zasada. Ale może pani zechce wybrać sobie coś innego do wysokości tej sumy: może inną, praktyczniejszą suknię?

— Będzie pani łaskawa na ten raz odstąpić od zasady — rzekła zimno Helenka — nie mam bowiem zamiaru na teraz kupować więcej sukien.

— Niech pani chociaż będzie łaskawa obejrzeć. Przed godziną właśnie dwie świeżo wykończone przyniesiono z pracowni, jedna ozdobiona haftem maszynowym zwanym »mousse«, druga sznelą.

I nie czekając odpowiedzi podniosła zasłonę przyległego gabinetu, gdzie na manekinach wisiały dwie suknie wizytowe: jedna modnego koloru »electrique«, druga »pigeon«. Helenka spojrzała na nie i dawne nałogi znowu się w niej odezwały. Okiem znawczyni od góry do dołu przebiegła wszystkie fałdy, podpięcia i ozdoby, co widząc modniarka, tak natarczywie zapraszała ją do wejścia, że nie chcąc być niegrzeczną uczyniła zadość jej żądaniu.

— Nie obowiązuję mię to przecie do niczego — rzekła do siebie, myśląc jednocześnie, że dobrze byłoby mieć obie te suknie, tak eleganckie i modne a nie nadto strojne, i że w jednej z nich nawet mogłaby się ukazać na dzisiejszym wieczorze.

I ani się spostrzegła, jak się wdała w rozmowę o szczegółach, chwając jedne, krytykując drugie. Modniarka słuchała z rozjaśnioną twarzą.

— Wszystko to da się łatwo zmienić, — rzekła nareszcie — zastosujemy się zupełnie do życzenia pani, zresztą...

— Przepraszam panią — przerwała Helenka, spostrzegłszy, że zachowaniem się swoim mogła jej dać powód do takiego mniemania — żadnej z tych sukien nie mam zamiaru nabywać, bo jakkolwiek są ładne, ale... kolor mi się nie podoba.

Próżność jej wzięła w tej chwili nad nią górę; nie miała odwagi przyznać się, że tak wiele zależy jej na tem, żeby gotowe pieniądze odebrać. W duszy dziewczęcia odbywała się nieustanna walka szlachetnych instynktów z niskimi słabościami. Był to ciągły przypływ i odpływ, naprzemian to jednych, to drugich.

Modniarka przygryzła usta.

— Taak... a więc możnaby pani zrobić coś w tym guście ze sztuki. Mamy tu właśnie cudowne wyroby francuskie, lekkie wełniane *»laine brochée«*.

W mgnieniu oka rozrzuciła przed nią kilka sztuk.

— Niech pani tylko spojrzy, co za delikatność, jaka miękkość! Już to wyroby francuskie posiadają niezaprzeczoną wyższość nad angielskimi, bo są piękne, trwałe i dobrze wyglądają aż do zdarcia. Niech pani tylko będzie łaskawą wziąć w rękę. Ten kolor *»electrique«* będzie pani bardzo do twarzy!

I ująwszy w rękę kilkanaście łokci udrapowanej materii, szybkim ruchem zarzuciła ją na ramiona Helenki. Był to już ostatni atak.

— Co za pyszne tło do jasnych włosów pani i tej świetnej cery! Jest w niem pani prześlicznie!... Zrobimy pani *»veste bretonne«* do figury, z baskiną okrągłą i upięciem *»à la Valière«*.

Znalazłszy się tak przypartą do muru, Helenka poczuła,

jak źle zrobiła nie powiedziawszy odrazu całej prawdy, bo to postawiło ją znowu w fałszywym położeniu; spostrzegła, że chcąc wybrnąć, plątała się coraz bardziej. Atak ten zresztą przypuszczony do jej kobiecej próżności, obudził w niej dumę szlachetną. Usunęła łagodnie modniarkę i rzekła spokojnie, lecz stanowczo:

— Ani z tego, ani z żadnego innego materiału sukni obstałowywać nie mogę. Garderobę mam dostatecznie zaopatrzoną na moje dzisiejsze potrzeby; że zaś z konieczności muszę się bardzo ograniczać, więc i na żadne zmiany nie przystanę. Proszę pani o zwrot pieniędzy.

— Trzeba tak było powiedzieć od razu, — mruknęła modniarka przez zęby — zamiast mi mówić o kolorach! Chciałam pani tylko dogodność zrobić, ofiarując co innego w zamian za tę toaletę balową, a skoro pani własnego interesu zrozumieć nie chce, to musi pani czekać aż suknia sprzedana zostanie. Powieszę ją w sklepie, to jest zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Jeżeli się trafi kupiec...

Zrobiła rękami gest oznaczający wątpliwość i dodała:

— Mówiąc między nami, pomysł jest trochę dziwaczny i wątpię bardzo, czy się komu spodoba.

Skinęła głową protekcyjonalnie i zajęła się dwiema damami, które w tej chwili weszły do magazynu.

Helenka została sama. Była jak odurzona tem, co usłyszała. Jakto! więc ów świetny pomysł, którym się Worth zachwycał, stał się dziwaczny w przeciągu kwadransa i wątpiono, żeby się mógł komukolwiek podobać? Taka ogromna zmiana w tak krótkim czasie! Dopóki myślano, że jest bogatą, pomysły jej były mądre, oryginalne i pełne gustu, a skoro przekonano się, że tak nie jest, straciły odrazu wszelką wartość. O, jak to źle być ubogą! Klasyczna jej piękność nawet nic nie znaczyła bez pieniędzy...

Nie miała już na co czekać tu dłużej i powinna była odejść, ale rozmowa tocząca się w magazynie zatrzymała ją.

Przybyłe damy żądały sukni balowej tego jeszcze wieczora i modniarka wyjęła z pudła kostyum leśnej bogini przedstawiając jako pomysł samego Wortha. Wrażenie sprawione imieniem tego króla mody było wielkie. Damy porozumiały się z sobą oczyma, a z wyrazu ich twarzy było widać, że postanowiły zdobyć ten strój za jakąbądź cenę. Wniesiono pudło do gabinetu, gdzie siedziała Helenka zasłonięta piętrzącymi się w stos materyami, które ich właścicielka porzuciła była z gniewem na stole. Zaczęło się szczegółowe oglądanie i przymierzanie, przyczem modniarka nie szczędziła młodszej damie, dość brzydkiej nawet, pochlebstw w tych samych niemal wyrazach, jakie mówiła Helence. Nareszcie dobito targu, choć cena była znacznie wyższą od tej, jaką zapłaciła pani Orecka — i damy wyszły zabierając pudło do karety.

Wówczas Helenka wstała ze swego krzesła i wchodząc do magazynu, rzekła spokojnie lecz stanowczo:

— Ponieważ suknia została już sprzedaną, proszę pani zatem o zwrot moich pieniędzy.

Modniarka najpewniejsza, że jej dawna klientka już wyszła, była właśnie w tej chwili zajęta zgarnianiem pieniędzy do szuflady. Zacerwieniła się lekko i ruchem nerwowym posunęła ku niej banknoty. Scena ta odbyła się w milczeniu.

Gdy Helenka znalazła się na ulicy, a mroźne powietrze owiało jej rozpaloną twarzyczkę, odetchnęła głęboko, przeżyła bowiem ciężką godzinę w tym przybytku mody. Bóg jeden widział, ile ją kosztowało jawne przyznanie się do ubóstwa, ile pokonanie nieśmiałości i natarczywe dopominanie się po trzykroć pieniędzy, ile pokus zwalczyć musiała... Jednak, była teraz dumną z odniesionego nad sobą zwycięstwa, a chociaż powtarzała sobie jeszcze, że źle jest być ubogą, chociaż z goryczą myślała o różnicy w zachowaniu się modniarki na początku i na końcu, przecież gorycz ta właśnie dała jej poczucie własnej wartości niezależnej od utraconego

w modnym świecie stanowiska — i obudziła żywszą sympatyę dla ludzi, których twardość i surowość raziła ją, ale którzy nie majątek, nie powierzchowność, tylko wartość moralną cenili w człowieku. Jakże wielkimi wydawali jej się w tej chwili ze swoją purytańską prostotą, wobec tego świata modnego, myślącego tylko o gałgankach, wśród którego spędziła tę godzinę! Jakże czczemi wydały jej się słyszane tam rozmowy, gdy je porównywała z poważnemi zagadnieniami i celami, jakimi tamci byli zajęci! A jednak świat ten był niegdyś jej światem, a to, czem w tej chwili gardziła, było niegdyś najmiłszym dla niej i nigdy niewyczerpanym tematem do rozmowy. Spostrzegła, że między jej istotą dawniejszą, a dzisiejszą jest pewna różnica i zdziwiła się.

Ściskając mocno w rękę portmonetkę stała na chodniku chcąc zawołać na przejeżdżającą doróżkę, gdy nagle zrobiło się jej żal pieniędzy odzyskanych z takim trudem.

— Pójdę pieszo — rzekła do siebie po chwili namysłu — jest wprawdzie trochę daleko, ale wieczór pogodny, to się jakoś przejdzie.

Była to pierwsza jej oszczędność.

XVII.

Iść pieszo i bez lokaja, było dla Helenki rzeczą zupełnie nową. Z początku zdawało jej się, że każdy przechodzień patrzy na nią i dziwi się temu, ale wprędce spostrzegła swoją omyłkę. Warszawa, to nie miasteczko M., gdzie każdy jej krok zwracał uwagę i był wszystkim wiadomy. Tu panny Oreckiej nikt nie znał, nikt na nią nie zważał i mogła była iść nawet boso, a nikogoby to nie obeszło.

W innym razie spostrzeżenie to obudziłoby w niej nie-

zawodnie gorzkie myśli i co najmniej przypomniało słowa Cezara, że »lepiej być pierwszym w lichej chacie, niżli drugim w Rzymie« — ale w tej chwili odzyskanie uważanych za stracone pieniędzy napełniło ją taką radością, że nie miała czasu nawet zastanawiać się nad tem. Lekkim, szybkim krokiem szła przez ulice, nie czując bynajmniej zmęczenia, a ujrawszy nareszcie z daleka wielki dom, dobrze sobie znany, zdziwiła się prawie, że się tak prędko u bramy jego znalazła.

Z pewnem miłym uczuciem wchodziła teraz w progi swego więzienia, jak gdyby czyn spełniony zbliżył ją z duchem ożywiającym jego mury. Oświetlone okna pierwszego piętra i przesuwające się w nich cienie pokazywały, że tam już tańczono; gdy wchodziła w bramę, słyszała wyraźnie dźwięki mazura, ale to nie zatrzymywało jej ani na chwilę. Uśmiechnąwszy się mile do odzwiernego, zdziwionego niepomniernie tą niebywałą uprzejmością dumnej panny, pobiegła do siebie na górę, gdzie siadłszy przy stole, napisała natychmiast list do Ofmana i włożywszy w niego pieniądze, dopiero ubierać się zaczęła. I rzecz dziwna! ona, co przed paru godzinami pragnęła jaśnieć w świetnym balowym stroju, włożyła teraz skromną muślinową sukienkę w kolorowy rzucik i splótłszy po prostu swoje przepyszne włosy w dwa grube warkocze, spuściła je swobodnie na plecy. Gdy w chwilę potem zjawiła się w progu salonu, twarz jej była pogodna, a w wielkich ciemnych oczach, gdzie dotąd błyszczały na przemiany łzy żalu lub ognie błyskawic gniewu, jaśniał dawno niebywały spokój.

Powiodła oczyma po salonie i spotkała się ze wzrokiem Andrzeja. Oparty o framugę okna stał patrząc we drzwi i jak ją tylko spostrzegł, przesunął się między parami tańczących i stanął przy niej.

— Jakże pani długo nie wracałaś! — rzekł tonem łagodnym i niemal serdecznym — byłem już o panią niespokojny i chciałem iść pani szukać.

— Pan? — spytała, wpatrując się zdziwionemi oczyma w tego człowieka, zdającego się nie pamiętać, że przed trzema godzinami w tem właśnie miejscu wyrządził jej ciężką obelgę. — Pan? To chyba żart!

Andrzej lekko brwi zmarszczył.

— Gdybym chciał użyć tej broni, tobym jej niczem nie osłaniał: — rzekł z pewną niecierpliwością w głosie — pani wiesz dobrze, że jestem zbyt szczerym, bym chciał pod moje wyrazy podkładać inne znaczenie. Niepokoilem się istotnie o panią i miałem za złe moim siostróm, że panią puściły samą jedną wieczorem w ulice wielkiego miasta, nieznanego pani wcale; choć z drugiej strony rad byłem, że pani nauczysz się sama sobie radzić i obywać się bez pomocy drugich. Nic tak prędko nie wyrabia w człowieku samodzielności, jak potrzeba, jak przekonanie, że w sobie samym siły szukać musi, bo jej nigdzie nie znajdzie.

— Dziwny człowiek — myślała sobie po raz już setny może. — Dlaczego więc pan powiadasz, że byłeś niespokojny o mnie, skoro wedle pańskiego sposobu widzenia było to dla mojej samodzielności potrzebne?

— Bo nieobecność pani zbyt długo trwała i zaczynałem już przypuszczać, że panią spotkało co złego.

— Czyli że mnie kto ograbił lub zamordował — mówiła dalej z odcieniem lekkiej ironii — a jednak w myśl pańskiej teorii powinienabym się z tego tylko cieszyć. Najlepszą sposobność do rozwinięcia samodzielnej siły dałaby mi właśnie walka o mienie lub życie!

— Pani teoryę moją na doświadczeniu życiowem opartą obraca w śmieszność, ze złośliwością, jakiej się w pani nie domyślałem; — odrzekł Andrzej z uśmiechem — chociaż powiem, że nawet ewentualność, o jakiej pani wspomina, nie byłaby dla pani bez korzyści. Serce pani wzbogaciłoby się o jedno wrażenie więcej, nie mówiąc już o tem, że duch w zetknięciu się z niebezpieczeństwem męźnieje.

— O! korzyść byłaby jeszcze większa — pochwyciła podrażniona, że on mógł z takich rzeczy żartować — szczęśliwy bowiem wypadek mógł być mnie na zawsze od wszelkich przykrości i szyderstw uwolnić...

— Nie, pani, takiego wypadku nie możnaby nazwać dla pani szczęśliwym, święty Piotr bowiem nie wpuściłby pani do nieba.

— Doprawdy? a to dlaczego, jeśli wolno zapytać?

— Bo tam nikogo nie wpuszczają z próżnemi rękami. Wielki odzwierny, święty Piotr, staruszek dobry ale wielce surowy, pyta najprzód każdego o robotę, i na sam widok rąk nazbyt delikatnych w straszny gniew wpada.

— O! — rzekła z goryczą, patrząc na swoje palce pokłóte przy obszywaniu pakietów w grube, drelichowe płótno — moje już straciły swoją delikatność...

— Nie jestem tego zdania: zresztą od tak niedawna pracować pani zaczęłaś, że suma tej pracy, jak mniemam, nie zdołałaby pani jeszcze wyrobić paszportu do królestwa niebieskiego; same zaś dobre chęci są monetą nie mającą wcale kursu w niebie, bo jak pani wiadomo, piekło jest niemi wybrukowane.

— Czyli że poszłabym prosto do piekła?...

— Tego nie śmiem twierdzić na pewno: są dusze, do których ani niebo ani piekło przyznać się nie chce; mówi o nich Dante w pieśni trzeciej »Boskiej komedyi«:

...»Mistrzu, skąd ten zgiełk zawily?

Czy to jęk ofiar krwawego zapasu?

A on: — Z nałogu tak płuc trwonią siły.

Nędzne to dusze, co niegdyś na ziemi

Bez żadnej chwały i bez hańby żyły;

Tu one goszczą z anioły owymi,

Co samolubni, stroniąc kroków czynnych,

Acz nie buntowni, nie byli wiernymi.

Niebo w czystości pozbyło się winnych,

Piekło zaś w głębsze nie przyjęło tonie,
By w pychę nie wzbicł potępieńców innych.
Więc ja: — Cóż mistrzu dręczy ich w tej stronie,
Że z takim jękiem dobywają głosu?
— To — odrzekł — w kilku ci słowach odsłonię:
Dla nich nadzieja znikła śmierci ciosu;
Gdy zaś tu nędzne dni ich muszą płynąć,
Zazdroszczą teraz jakiegobądź losu».

— Nie rozumiem, do czego to zmierza — powiedziała wysłuchawszy tego ustępu, na który nigdy nie zwróciła głębszej uwagi, choć znała dobrze, jak się jej zdawało, »Boską komedję«.

— Że pani żyć koniecznie potrzeba, żeby zarobić sobie na jaki taki paszport do nieba. Uciec od wszystkich ciężarów życia poza próg śmierci, byłoby może najwygodniej; ale czyż nie wstyd byłoby pani leżeć sobie w grobie jak w łóżku, podczas gdy my tu wszyscy trudzimy się, nosimy ciężary, walczymy? Tylko leniwym duszom śmierć się uśmiecha.

Helenka dziwnym wzrokiem patrzała na tego człowieka, mówiącego jej ciągle o pracy i przypomniła sobie Stefana, który z nią tylko o przyjemnościach życia i zabawach rozmawiał i który, była pewna, pragnąłby od niej usunąć trud najłżejszy. Przez chwilę porównywała z sobą tych dwóch ludzi. To, co Andrzej mówił, wyższe było bez wątpienia, ale był taki brzydki, taki niezgrabny, a tamten taki piękny, taki pociągający.

— Któż tu mówi o śmierci? gdy muzyka wzywa do mazura — spytała Elżunia, która przechodząc słyszała ostatnie wyrazy Andrzeja. — Ach, to pani już powróciłaś, panno Heleno? Jak to dobrze; byłyśmy już bardzo niespokojne o panią. Jakże się pani powiodło? Suknia będzie sprzedana?

— Już sprzedana; przyniosłam z sobą pieniądze.

— Ach, to wybornie! — zawołała klasnąwszy w dłonie — biegnę powiedzieć mamie. Ucieszy się.

— W sądzie moim o pani, jaki tu przed trzema godzinami wyraziłem, omyliłem się bardzo i proszę o przebaczenie — rzekł Andrzej, gdy siostra jego odeszła. — Chciałem to pani zaraz powiedzieć, skoro tylko panią ujrzałem wchodzącą, aleś mi pani przeszkodziła i powiodła myśl moją na inne tory. Proszę o przebaczenie i zapomnienie.

Wyraz tryumfu zajaśniał na twarzy Helenki. Nareszcie ten dumny człowiek, który ją zawsze upokarzał, upokorzył się przed nią, uznał swój błąd i prosił o przebaczenie. Byłaby mu go chętnie odmówiła, ale zwycięstwo, jakie dziś nad sobą odniosła i płynące stąd zadowolenie, usposobiły ją mniej niechętnie dla niego.

— Wiem, że pan lubi szczerość — rzekła, patrząc mu prosto w oczy — więc też szczerą dam panu odpowiedź. Przebaczyć mogę, ale nie w mojej jest mocy zapomnieć. Dotknąłeś mnie pan ciężko wiele razy, a dziś uczyniłeś to w sposób bardzo bolesny i byłeś niesprawiedliwym dla mnie; nie żądam więc pan zawiele.

Po twarzy jej, gdy mówiła, przemknął znowu bolesny wyraz, i Andrzej uczuł żal, że swemi słowy zmącił pogodę, jaka się przed chwilą objawiła.

— Muszę więc na tem poprzestać — powiedział z pozorным spokojem, który ją mniej korzystnie dla niego usposobił i tem trudniejszym uczynił zapomnienie.

Jak mało ten człowiek dbał o nią, chociaż niedawno mówił, że był z powodu jej długiej nieobecności niespokojny! Stefan byłby pewnie w rozpacz, gdyby mu coś podobnego powiedziała, i pótyby ją błagał, dopóki mu nie przyrzekła, że zapomni.

Rozmowie tej położył koniec pan Radlicz. Zbliżył się do Helenki i rzekł życzliwie:

— A! jesteś pani nareszcie! Upatrywałem cię w sali od godziny i dziwiłem się, że pani dotąd niema; córki moje dopiero wytłumaczyły mi pani nieobecność. Rad jestem z cie-

bie, moje dziecko. Przeczuwałem ja odrazu, że się wyrobisz na porządną kobietę i widzę, że się nie omylił.

Uściskał jej rękę i zapytał:

— Czy lubisz pani tańczyć?

— O, i bardzo — odpowiedziała zarumieniona lekko tą pochwałą.

— A więc pozwól, abym ci młodzież naszą przedstawił i zapoznał z całym towarzystwem. Nie znajdziesz tu pani wprawdzie ludzi utytułowanych ani magnatów, ale będziesz miała do czynienia z inteligencją. Jest kilku literatów, kilku artystów, a reszta przemysłowcy.

W chwilę potem Helenka wmieszała się w grono tańczących, a tańczyła ochoczo i bawiła się doskonale, tak doskonale, jak nie przypuszczała nawet, że bawić się można w skromnym mieszczańskim salonie i przy dźwiękach fortepianu tylko. Bo też w atmosferze otaczającej ją coś się nagle zmieniło; wszyscy domowi mieli dla niej życzliwsze słowa, cieplejsze spojrzenia. Nawet pani Radliczowa patrzyła na nią bez niechęci i troszczyła się o nią bardzo przy kolacji. Zmiana ta wywołała w niej zadumę. Zrozumiała, że nabrała prawa do ich szacunku.

Po wieczerzy, gdy towarzystwo rozproszyło się po salonie i przytykających do niego pokojach, chodząc i rozmawiając, Helenka schroniła się do biblioteki, a słowa dwa tygodnie temu usłyszane tu o sobie stanęły jej żywo w pamięci. Wspomnienie to przykrem jej było; już chciała wyjść stamtąd, gdy ucho jej, jak wówczas, uderzył głos Andrzeja.

— Gdzież się podziała księżniczka?

— Musi być w sali — odpowiedziała Elżunia — ale co się to stało, że mój brat raczy się nią interesować? Dotąd byłęś do niej dziwnie uprzedzony.

— Ta dziewczyna zaczyna mieć charakter i więcej jest warta niż myślałem.

— Ten pan raczy nareszcie przyznawać, że mam cha-

rakter — rzekła do siebie Helenka — i przypuszcza nawet, że jestem coś warta... Wielka to łaska z jego strony!

— Ja ci to pierwszego zaraz dnia powiedziałam — wtrąciła Elżunia.

— W swojej skromnej sukience wydała mi się daleko piękniejszą, niż w stroju balowym, w którym ją przed kilku godzinami widziałem, a w którym jednakże była czarującą. Przybył jej urok, jakiego nie posiadała dotąd, urok prostoty. Czoła też już nie zasłaniała grzywką, ani nie nosi za sobą tego fatalnego tłomoka, który ją czynił podobną do wielbłąda. Gdy się ukazała w sali, o mało jej nie powiedziałem, że jest prześliczną!

— I to już zobaczył mój braciszek! — zawołała wesoło Elżunia — ostrożnie Andrzej, ostrożnie, bo się w niej zakochasz.

Fala gorącej krwi uderzyła do głowy dziewczęcia i jednocześnie uczuła dziwną radość, że ten szorstki człowiek pochwalił ją наконец, radość niepojętą dla niej samej.

— Bądź spokojna — odpowiedział Andrzej — moje serce nie jest tak łatwe do zdobycia. Wreszcie tylko kobietę takiego hartu duszy, jak matka nasza, mógłbym pokochać, bo tylko taka może dać szczęście mężczyźnie widzącemu w małżeństwie coś więcej, niż zwykły romans. Księżniczka jest niezaprzeczenie dobrem dzieckiem, ale wątłem i słabem.

Helenka przygryzła wargi. Nie dbała wcale o jego serce, ale czuła się dotkniętą, że ją osądził na niegodną tego serca. Śmieszyło ją to też, że je nazwał »niełatwem do zdobycia«. Ktoby też kusił się o zdobycie serca tego człowieka z nieregularnymi rysami, z włosami najeżonymi jak szczotka, i nieposiadającego najmniejszego daru podobania się kobietom? Nie ona z pewnością!

XVIII.

Ze wszystkiego, co zaszło owego wieczora, najwięcej utkwilo Helence w pamięci to, że ją nazwano »słabem, wątłem dzieckiem«, którego nie może pokochać silny, rozumny mężczyzna, szukający dzielnej towarzyszki w kobiecie. Wyrazy te przez kilka dni następnych widziała we wszystkich rachunkach, adresach i pakietach, czytała je wszędzie, gdzie tylko zwróciła oczy. Przyczepiły się do niej ze szczególną mocą i nie chciały się odcepić, co ją dziwiło i gniewało — nie miała bowiem nigdy pretensyi do zostania towarzyszką życia Andrzeja: kochała przecież innego! A gdyby nawet ten inny nie istniał, to wcale nie uśmiechała jej się perspektywa spędzenia całego życia w tym ponurym, kwakerskim domu. Nie miało dla niej powabu chodzenie z kluczami u pasa na wzór pani Radliczowej, ani cerowanie własnymi rękami tych szkaradnych grubych skarpetek.

Myliłby się bardzo, kto by sądził, że w Helence od owego wieczora nastąpił jaki nagły zwrot; że myśli jakie jej przechodziły przez głowę, gdy szła z magazynu pieszo, zmieniły ją do gruntu. Takie zmiany nie dokonywają się tak łatwo: instynkty leżące we krwi i nałogi, na których wyrobienie pracowały pokolenia, nie mogły się przeobrazić w jednej chwili. Dziewczyna patrzyła, słuchała, rozważała, uznawała za dobre to i owo, ale nic z tego co uznawała, nie przylegało do niej, tak jej się przynajmniej zdawało. Chwilami, jakby na gorącym uczynku, łapała się na myślach i uczuciach, nie będących dawniej jej myślami i uczuciami. Dusza była rozbudzona, tylko nie mogła jeszcze znaleźć właściwej równowagi; pojęcia nowe walczyły z dawnymi, rugowały je, ale nie mogły się ustalić, bo im nie oddawano gruntu dobrowolnie, ale broniono go uporczywie, prawie z gniewem — musiały go zdobywać powoli, krok za krokiem. Czując, że te pojęcia

biorą nad nią przewagę, tem usilniej ganiła w duchu wiele, niemal wszystko, co ją otaczało, i nie czyniła ze swej strony nic, żeby się do panującego w domu tonu dostosować. Pozornie poddawała się domowemu porządkowi i zwyczajom, ale było to poddanie bierne, w którym dusza nie brała żadnego udziału, poddanie przerywane napadami tajonych łez, gwałtownych wzburzeń, głuchych żalów... Żle jej było; a że nie nauczono jej panować nad sobą, więc choć usta milczały, stan duszy odbijał się mimowoli w wyrazie twarzy uderzającej chorobliwymi rumieńcami, to znów objawami najwyższego zniechęcenia i apatyi. Ciepłsza atmosfera, jaka się dokoła niej wytworzyła owego wieczora, niepodsycana niczem z jej strony musiała ostygnąć. Oceniano ją, ale jej nie kochano.

Andrzeja jeszcze więcej nie lubiła od czasu, jak wyrzekł słowa, których nie mogła zapomnieć, od czasu, gdy ją nazwał »słabem dzieckiem« — i unikała z nim spotkania sama na sam. Do oranżeryi chodziła czasem popatrzeć na kwiaty, ale wybierała zawsze godzinę, w której wiedziała, że go tam nie ma. Wspaniały filodendron nie okwitł jeszcze.

Jednego dnia, gdy siedziała na ławeczce żelaznej i patrzyła zamyślona na rybki pluskające wesoło i na koronkowe liście paproci przeglądające się w wodzie, nagle drgnęła. Obok paproci, ujrzała w wodzie odbicie twarzy Andrzeja. Wstała, chcąc odejść, ale nie dopuścił tego, zastąpiwszy jej drogę.

— Widzę, że spotkanie ze mną nie jest wcale przyjemnem dla pani, — rzekł z lekkim uśmiechem — i przykro mi, że panią na tę nieprzyjemność narażam, ale chcę panią prosić o chwilę rozmowy.

— Słucham pana — rzekła chłodno.

— Od dnia swego tu przybycia stronisz pani systematycznie od nas wszystkich: jesteś milczącą, zamkniętą w sobie i chociaż dom nasz nie jest bynajmniej pustynią, pani w nim żyjesz niby Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie...

Helenka spojrzała na mówiącego uważniej: i ona niejednokrotnie porównywała tu już siebie do Robinsona.

— Robinson był przynajmniej o tyle szczęśliwszym od pani, — mówił dalej — że miał Piętaszka, a pani nie masz nikogo. Ludzie zmuszeni żyć pod jednym dachem, powinni koniecznie wynaleść sobie jakiś »modus vivendi« i jakiegokolwiekby byłyby ich antypatye, czynić wszelkie możliwe usiłowania w celu uczynienia się nawzajem znośnymi.

— Ma słuszość, — pomyślała — życie obecne jest dla mnie nieznośnem. Dobrze byłoby uczynić je cokolwiek znośniejszem.

— Z wyjątkiem ojca mego, — mówił dalej — zdajesz się pani do nas wszystkich jednakową czuć antypatyę, że już nie mówię o sobie, którego zaledwie pani raczysz znosić.

Lekki rumieniec zabarwił lica Helenki.

— Odpłacam tylko pięknem za nadobne — odpowiedziała. — Oprócz ojca pańskiego, bardzo surowego dla mnie, pomimo okazywanej mi życzliwości, niema tu nikogo, coby czuł dla mnie choć odrobinę sympatyi. Ale proszę nie myśleć, że się na to skarżę — dodała z pośpiechem — tłómaczę się tylko z uczynionego mi przez pana zarzutu. Nie potrzebuję sympatyi niczyjej. Obywam się tu bez wielu rzeczy, potrafię się obejść i bez tego.

Mówiąc to spuściła oczy, dla ukrycia łez jakie w nich zabłyśły.

— Winszuję pani — rzekł Andrzej, udając że wierzy jej słowom — ale nie zazdroszczę. Rzadko kto może się zdobyć na podobny stoicyzm, ja przynajmniej nie potrafiłbym. Sympatya ludzka nie jest mi rzeczą obojętną, i nie gniewałbym się wcale, gdyby naprzykład pani zamiast nienawidzieć, lubiła mnie troszeczkę.

Oczy Helenki pociemniały, błysnęło w nich coś nakształt gniewu.

— Nie znaczy to jednakże, żebym sobie rościł do syn-

patyi pani jakiegokolwiek prawo. Jestto nawet rzeczą niemożliwą, ponieważ mnie pani prawie nie zna. Myli się pani jednakże, przypuszczając w nas wszystkich niechętnie dla siebie usposobienie. Wszyscy bez wyjątku jesteśmy pani życzliwi, ale zamało panią znamy, abyśmy mogli panią pokochać. Piękna powierzchowność, jaką natura panią tak hojnie obdarzyła, nie wystarcza jeszcze do pozyskania miłości.

Helenka przygryzła wargi. Patrzyła na niego z nieukrywanem zdumieniem. Każdy inny na jego miejscu powiedziałby: — Ach pani, któżby pani nie uwielbiał! — a ten nie wahał się mówić jej w oczy bez zająknienia, że nikt jej dotąd nie pokochał, i że jej powierzchowność nic nie znaczy. Andrzej mówił dalej:

— Pani sama zresztą największe temu stawiasz przeszkody.

— Ja?

— Tak jest, nie chcesz się pani dać poznać. Poznanie następuje tylko przez zbliżenie się ludzi do siebie, przez wymianę myśli, pomagającą do ocenienia wzajemnej wartości.

— Wartość i zawsze wartość — rzekła z goryczą Helenka. — Od chwili w której przestąpiłam progi tego domu, słyszę na wszystkie strony, z wszystkich ust ten wyraz wartość, odmieniany przez wszystkie formy i przypadki. Czy idzie o rzeczy martwe, czy o ludzi, państwo wszystko oceniacie po...

— Po kupiecku, chciała pani powiedzieć, czy zgadłem?

— Niech i tak będzie. Proszę się temu nie dziwić; wszelkie rachunki bywały mi zawsze wstrętne. Nigdy nie rachowałam!

— Gdybym był pani przyjacielem... a raczej, gdyby pani chciała mnie uważać za swego przyjaciela, radziłbym pani, żebyś się nauczyła conajprędzej rachować. Rachunek jest podstawą wszelkiego porządku społecznego, a więc i szczęścia w rodzinie. Jeżeli sympatya rodzi się z przeko-

niania o wzajemnej wartości ludzi, to i miłość nie jest czem innym, jak tylko rachowaniem wzajemnem dwojga ludzi na siebie, popartem wiarą, że żadne nie popełniło omyłki.

Helenka westchnęła. Ona nie myślała o wartości Stefana, gdy serce jej uderzyło dla niego. Pokochała go bez rachunku!

— Pytałaś mnie pani raz, jakim prawem ośmielam się mówić pani słowa prawdy: istotnie nie jestem ani bratem pani, ani przyjacielem nawet... ale mam dla pani serdeczną życzliwość...

— Pan?

— To panią dziwi?

— Niezmiernie. Pan co obawiasz się, abym zamiast pomagać nie »zawadzała« w kantorze; pan co odmawiasz mi najświętszego ze wszystkich uczuć, uczucia miłości dla kraju; pan co wyśmiewałeś mój ubiór, mój sposób układania włosów na głowie, moją chęć posiadania fotelu; pan nakoniec co mnie szyderczo nazywasz »księżniczką« — pan masz mi być życzliwym?

— Wszystko o co mnie pani oskarża, popełniłem, — odparł Andrzej z uśmiechem — chociaż słowa pani nadają występkom moim rozmiary, jakich nigdy nie miały. Odkąd panią widzę pracującą pilnie i wytrwale w kantorze, pomimo że to panią nie bawi i dużo wysilenia kosztuje, zmieniłem moje zdanie pod tym względem: nie tylko pani nie zawadzasz, ale pomagasz nam istotnie. Od czasu zaś jak księżniczka dobrowolnie sobie powiększyła godziny pracy i sprzedała swoją suknię balową, powziąłem dla niej szacunek i życzliwość.

— Nie przeszkadza to jednak panu upokarzać mnie na każdym kroku, dowodzić wszelkimi możliwymi sposobami że nic nie umiem, że nie potrafię nawet czuć tak jak inni ludzie. Rodzina państwa stoi niewątpliwie bardzo wysoko pod względem obywatelskim, ale... niech pan wybaczy że i ja będę mówić prawdę, ale brak jednej cnoty odejmuje wam cechę

doskonałości: cnotą tą jest wyrozumiałość. Dumni waszą siłą fizyczną i moralną, potępiać bez sądu wszystko, co wam się wydaje być błędem lub słabością, bo słabość pod każdą postacią jest w oczach waszych występkiem, jest raną, którą leczyć chcecie rozpalonem żelazem. Pański ojciec, pańska matka, pańskie siostry, wszyscy wypowiadacie swoją prawdę z rzadką bezwzględnością, nie przebierając w słowach i nie bacząc, czy one zrania kogokolwiek, czy nie. Wasze słowa są ostre jak noże! Nie miałeś pan prawa, powtarzam, czynić mi tu na tem miejscu, przed dwoma tygodniami ciężkiego zarzutu, na zasadzie jednorazowej, krótkiej obserwacji. Alboż pan mnie znasz? alboż pan wiesz jakie uczucia mogą być we mnie? Nie powinienem pan był mówić mi tak bolesnych wyrazów, jakiegokolwiek bądź były pańskie intencye. Czyż dla tego że jestem tu sama jedna, obca dla was i daleka od swoich, można mnie bezkarnie znieważać? O, jesteście czasem okrutni!

Słowa te wypowiedziane z wybuchem, w którym czuć było gorzki wyrzut, wywołały na twarz Andrzeja rumieniec, widoczny nawet na jego ogorzałej twarzy. Popatrzył chwilę na drobną postać stojącą wśród kwiatów egzotycznych, tak wątlą jak one i zrobiło mu się żal, że był dla niej zbyt surowym, że nie oszczędzał jej więcej — ale zapanował nad swoim wzruszeniem i rzekł poważnie:

— Odpowiem pani na to słowami, które wydadzą się pani jeszcze okrutniejszymi: żelazo rozpalone jest lekarstwem bolesnem ale najskuteczniejszym, bo leczy prędko i niszczy chorobę u źródła.

— Słyszac pana, — przerwała — zdaje mi się, że mam przed sobą Dantona lub Marata, i że lada chwila ujrzę błyszczący nóż gilotyny. Może lepiej byłoby dla mego osobistego bezpieczeństwa, gdybym wstąpiła w ślady arystokracji francuskiej i szukała ratunku w emigracji...

— Jestem pewny jednak, że pani wybierzesz sobie rolę

zaszczytniejszą, i zostaniesz — rzekł łagodnie. — Pojęcie jakie wyrobiłaś sobie pani o nas, jest błędne: nie uważamy się za doskonałych i nie jesteśmy dumni ani niewyrozumiali. Przekona się pani sama o tem, gdy nas pani lepiej pozna; tylko nasz sposób widzenia rzeczy, wyrażający się prosto, bez szukania form subtelniejszych, razi panią, nie przyzwyczajoną snąć do słuchania prawdy. Nie przypuszczałem, niech mi pani wierzy, żeby moje uwagi mogły panią tak ranić. Mówilem poprostu com myślał, i tem właśnie dawałem dowód mego szacunku dla pani. Nie znałem pani dobrze, ale zdawało mi się, że stoisz wyżej ponad banalne komplementy, wystarczające płytkim umysłem.

Helenka milczała.

— Panno Heleno, — rzekł po chwili — wiem, że na sympatyę pani nie miał sposobności zasłużyć, i że od czasu naszej poprzedniej w tem miejscu rozmowy, czujesz pani do mnie głęboką niechęć. Czyż jednak pomimo to, nie wierzysz pani, że moje uczucia względem niej nie są nieprzychylne, i czy nie podałaśby mi ręki z ufnością, jak człowiekowi uczciwemu, gdybym o to prosił?

To mówiąc, wyciągnął ku niej dłoń otwartą: była to dłoń spracowana, szeroka, żyłasta, opalona. Helenka, która podczas ostatnich słów jego patrzyła machinalnie na złote rybki pluskające się w wodzie, i na delikatne listki paproci, podniosła ku niemu swoje wielkie oczy, pełne nieokreślonych pragnień i cichych smutków, i patrzyła przez chwilę na tego człowieka, tak dla niej niemiłego. W postawie jego tyle było prawdziwie męskiej godności i energii, w oczach tyle siły spokojnej i pewnej siebie, że już, już miała położyć swoją małą rączkę na jego dłoni, gdy pamięć płatająca ludziom tak często figle w najniewłaściwszych chwilach, przypomniała jej słowa: »ona jest tylko słabem, wątłem dzieckiem — i za wahała się, co widząc Andrzej usunął natychmiast swoją.

— Nie masz pani odwagi dotknąć się mojej ręki, któ-

rej sama wielkość przestrasza panią; — powiedział z przymuszonym nieco uśmiechem — nie mam pani tego za złe. Owszem, podoba mi się ta szczerść, niezamaskowana fałszywą grzecznością.

— Ale pan się myli — rzekła śpiesznie i z lekkim pomieszaniam, chcąc podać mu rękę, ale Andrzej cofnął się mówiąc:

— Przepraszam panią, ale zwykłem brać tylko to, co może mi być danem dobrowolnie. Nie lubię nic nikomu narzucać. Pierwszy ruch pani był szczerym i pokazał, że pomimo pozornego wstrętu do prawdy, stosujesz ją pani jednak w postępowaniu. Niechże pani źle zrozumianą delikatnością nie psuje mi dobrego wrażenia. Do widzenia.

Zniknął między krzewami, a Helenka chwilę jeszcze patrzyła w stronę, którą odszedł, poczem wzruszyła lekko ramionami, a przed oczyma jej duszy stanął obraz Stefana w całym blasku jego młodzieńczej urody i rycerskiego wdzięku.

— Czy ja go zobaczę jeszcze kiedy! — szepotała z niezmierną tęsknotą. — Musi być równie szlachetny i dobry, jak jest piękny!

XIX.

Usposobienie gorączkowe, w jakim się Helenka w pierwszych tygodniach znajdowała, ostygło powoli, i zastąpione zostało stanem mniej więcej normalnym. Nauczyła się też wstawać o jednej godzinie, ani zawcześnie, ani zapóźno, i czy się czuła wypoczętą czy znużoną, zdrową czy niezdrową, z jednakową zawsze pracowała gorliwością. Chwile słabości i zniechęcenia przychodziły na nią tak jak i dawniej, ale nie poddawała im się, przez dumę. Przez dumę wypełniała z naj

większą dokładnością swoje obowiązki, i stosowała się we wszystkim do porządku domowego. Nie chciała być gorszą od innych »kółek obracających się w maszynie«, ani przedmiotem politowania. Miała już tego dosyć. Przy stole nie odsyłała też już nietkniętych półmisków, ale jadła prawie wszystko. Młody żołądek, osłabiony długim początkowym postem, dopominał się gwałtem o swoje prawa i mniej był wybredny w wyborze, a po upływie pewnego czasu, właścicielka jego zaczęła nawet znajdować smaczne to i owo. Wprawdzie prostota przypraw nieraz przywodziła jej na pamięć wspomnienie innych obiadów; wprawdzie brak deseru zawsze dotkliwie czuć się dawał, a rozpieszczone podniebienie przyjmowało z rezygnacją to co było, wiedząc że wszelkie protestacye byłyby bezużyteczne.

Otrząsając się na samą myśl o cerowaniu pończoch, nie wiedziała biedna księżniczka, że sama będzie musiała się zapoznać z tą »szkaradną« robotą. Cienkie, po większej części ażurowe jej pończoszki, w energicznych rękach praczki, nieprzyzwyczajonej do takiej »pajęczyny«, zaczęły się drzeć w przerażający sposób — i trzeba było chcąc nie chcąc wziąć się do cerowania. W garderobie także od czasu do czasu pokazywały się różne drobne uszkodzenia, wymagające natychmiastowej naprawy, a nie było pod ręką panny służącej, któraby się tem zajęła. W tym domu kobiety same sporządzały bieliznę nie powierzając jej rękom służących — trzeba więc było zrzucić pychę z serca i sporządzać także. Były to dnie prawdziwej niedoli dla biednej dziewczyny, bo musiała robić to, czego nie umiała i nie lubiła; to też ciężkie westchnienia wydobywały się z jej piersi przy robocie, i nieraz łza spadała tu i owdzie.

A jakie to było sporządzanie! Pani Radliczowa odbierając bieliznę z prania, aż się za głowę wzięła, widząc te pośpieszne, nieudolne próby na cienkim batyście.

— Miłosierny Boże! — zawołała — a toć ta księżni-

czka nie ma najmniejszego wyobrażenia o sporządzaniu. Czy widział kto kiedy co podobnego? Ściegi wielkie i nierówne jak dziecka, co się dopiero zaczyna uczyć szycia; wszystko pościągane, a jedno do drugiego nie pasuje. Gdzie delikatnie zesnućby należało, zeszyte okrętką, Bóg wie po jakiemu. Co też za matka być musiała niepraktyczna, że nie nauczyła córki nawet igły w rękę trzymać!

I wzięwszy »corpus delicti«, pani Radliczowa, która umiała cerować tak, że nikt nie poznał gdzie było rozdarcie, szła na górę do pokoju Helenki, spędzającej zwykle wolne chwile nad książką.

— Odłóż pani na bok tę książkę — mówiła swoim zwykłym, niezbyt łagodnym głosem — a weź się do tego, co jest pilniejsze. Czy to nie wstyd, żeby taka duża panna nie umiała jeszcze cerować? Patrząc pani sama jak to wygląda! Moje dziewczęta kiedy miały po sześć lat, lepiej to robiły.

I wzięwszy nożyczki, pruć robotę Helenki w jej oczach i wykladała jej elementarne zasady sporządzania, we właściwy sobie, szorstki ale jasny sposób — powtarzając często:

— Dłużej starego niż nowego.

Wyrazy takie i tym podobne, pokrywały zwykle krwawym rumieńcem twarzyczkę Helenki. Znała już ona tę kobietę i wiedziała, że jeżeli czas swój drogi poświęca na uczenie jej, czyni to przez życzliwość — bo błyski życzliwości dla siebie widywała u niej od czasu, gdy sprzedała swoją suknię balową. Dawniej pani Radliczowa byłaby poprzestała na pogardliwym ruszeniu ramion — dziś chciała ją nauczyć, więc należała jej się za to wdzięczność. Czuła to Helenka — ale człowiek nie odrazu przerobić może swoją naturę. Więc choć nauki słuchała cierpliwie i z uwagą, choć dziękowała za nią, jednakże zostawiało to na niej wrażenie podobne do zgrzytu żelaza po szkłe, i zaledwie drzwi zamknęły się za panią Radliczową, gniotła z gniewem trzymaną w rękę sztukę

bielizny, lub rzucała ją na ziemię, i wybuchała płaczem. Wrodzona jej duma jednakże nie dopuszczała, żeby podobne sceny powtarzały się często; zrobiła się bystrą i uważną na tę przykrą naukę, i tak z niej korzystała szybko, że pani Radliczowa dziwiła się aż skuteczności swej metody.

— Dosyć jest pojętna ta księżniczka — mówiła do córek — i kto wie czy się jeszcze nie wyrobi na porządną kobietę.

I nietylko bieliznę nauczyła się sporządzać; robiła i takie rzeczy, jakich dotknąć się uważałyby sobie niegdyś za użyczenie: czyściła sama suknie i trzewiki — a i do tego także popchnęła ją duma. Zmuszona bardzo oszczędzać, nie była w stanie dawać służbie datków pieniężnych — a nie mogąc ich dawać, nie chciała żądać żadnych usług. To też wszyscy domownicy, opowiadający sobie dawniej po cichu różne anegdoty o księżniczce, przestali się z niej wyśmiewać — a stara, najbardziej jej z początku nie lubiąca Kungunda, zaczęła jej nawet okazywać jawną przychylność, i częstokroć gdy Helenka brała się do zrobienia porządku koło swego ubrania, znajdowała je uporządkowanym i oczyszczonym, kurze w pokoju starte i każdą rzecz na swoim miejscu.

Obyczajem osób przywykłych do licznej służby, Helenka zwykła była wszystko rozrzucać w swoim pokoju i swoich kufrach — i co za tem idzie, często nie mogła długo trafić do tego, czego szukała. Gorszyło to bardzo panią Radliczową.

— Porządek nierównie mniej trudu kosztuje od nieporządku — mawiała ta wzorowa gospodyni — a czasu ludziom oszczędza. Zamiast marnować go na szukanie czegoś, co powinno mieć wyznaczone miejsce, żeby nawet pociemku mogło być znalezionem, czyż nie lepiej obrócić go choćby na rozrywkę lub odpoczynek? Setki, tysiące godzin przepadają w ten sposób, na bezużytecznej a daremnej krętaninie w życiu człowieka, a gdyby je pomnożyć przez pewną liczbę

ludzi, zrobią się z tego lata a nawet wieki — by nie mówić już o tem, że człowiek niemogący zaraz znaleźć tego czego szuka, jest niewolnikiem swego niedołęstwa, i często traci przez nieporządek właściwą do działania sposobność.

Słowa te chociaż czyniły pewne na Helence wrażenie nie mogły przełamać jej natury — rozrzucała wszystko jak dawniej, a podłoga w jej pokoju wyglądała często jak śmietnik, od rzucanych na nią niepotrzebnych papierów. Ale od czasu jak pani Radliczowa przyszedłszy raz do niej w odwiedzin, pozbierała starannie drobne kawałeczki podartego listu, schyliwszy się ze dwadzieścia razy, taką jej wymowną dała naukę, choć ani słowa przy tem nie wyrzekła, że odtąd można było ze szkłem powiększajacem chodzić i ani zdźbła nie znaleźć. Przyzwyczajwszy się do utrzymania podłogi w porządku, doszła powoli do porządku na stole, w szafie i kufrach. Jedno wywoływało drugie.

Pomimo tej zmiany w przyzwyczajeniach, istota moralna Helenki, pod tym przynajmniej względem, bynajmniej nie była zmienioną. Czuła się ciągle nieszczęśliwą, i nie bez skrytej boleści widziała swoje ręce coraz bardziej grubiejące, i tracące przezroczystość alabastru. Tylko chęć zarobku wzrosła jeszcze więcej; pracując po kilka godzin wieczorami w ekspedycyi nasion, oprócz dziennej pracy w kantorze, doszła do tego, że podwoiła swoją pensyę — a pryncypał widząc szybkość i gorliwość z jaką pracowała, podniósł jej jeszcze płacę.

Zarabiała więc dosyć, ale pieniądze nigdy nie były długo w jej rękach: szły do domu, a i ta mała kwota, jaką zostawiała sobie na niezbędne potrzeby, rozchodziła się niewiadomo kiedy i niewiadomo na co; bo choć Helenka nie wydawała ani grosza niepotrzebnie, zawsze zdawało jej się, że powinna mieć w portmonetce więcej niż miała. Wynikało to stąd, że nie pamiętała na co wydała, a wydatków swoich nie zapisywała. Pani Orecka nie miała tego zwyczaju, wychodząc

z zasady, że przez zapisywanie nie przybędzie jej pieniędzy w kieszeni, a córka myślała tak samo. Ale w domu Radliczów nie pozwolono jej długo tej zasady wyznawać. Bystry, darem spostrzegawczym obdarzony umysł pani Radliczowej, odkrył ją wkrótce w Helence i księżniczka usłyszała znowu prawdę »nie obwinięta w bawełnę«.

— Nie zapisujesz pani swoich wydatków — mówiła — a więc i dochodów zapewne. Nie wiesz zatem gdzie się podziewa to, co zapracujesz; nie wiesz ile na konieczne poszło wydatki, które stale ponosić trzeba, a ile na przygodne i takie, bez których się obejść można było — a takich właśnie najwięcej robią ci, co się z funduszami swymi nie liczą. Dowodów niedalekobyś pani szukać potrzebowała...

— Na co się przyda zapisywać, skoro się pieniądze *już* wydało — wtrąciła nieśmiało Helenka.

— Lenistwo i nieogłędność wynika z tego zdania, a nie sąd trafny o sprawie, panno Orecka. Co człowiek zapracuje to mu nie przyszło bez trudu ciała i myśli, włożył w to zatem część swego życia. Wkłada je także w to co wydaje, bo miał potrzeby, fantazyje, przyjemności a nieraz i bóleści. Wiele z tego albo się pokrywa wydatkami pieniężnymi, albo je za sobą pociąga. Ja gdy zajrzę do moich rachunków z lat dawniejszych, przypominam sobie historię mego życia i stosunków moich i mojej rodziny. W rachunkach jak w zwierciadle widzę moje pojmowanie życia, moje błędy, a czasem i dobrą moją stronę. Ktoby nasze rachunki przejrzał, zrozumiałby nas lepiej, niż gdybyśmy najszczerzej i najobszerniej starali się to objaśnić wyrazami, bo rachunki, to dowody, że tak było a nie inaczej. Rachunek, to nasz mentor, nasz historyk, to nasze sumienie. Rachunek to podstawa cnoty tak doniosłej, jak oszczędność wiodąca do dobrobytu, z którym znowu idzie w parze moralność. Porządek w rachunkach prowadzi do porządku w czynnościach i myślach. Spróbuj pani zapisywać wszystko, co się da cyfrą wyrazić, a po niej jakim

czasie będziesz wiedziała, jaki kierunek przybierają twoje czynności, i będziesz miała z czego wnieść, jakie zmiany w tym kierunku zaprowadzić. Doraźna korzyść ze skrupulatnego — uważaj pani dobrze co mówię — ze *skrupulatnego* prowadzenia rachunków, jest ta, która się zawiera w przysłowiu: »Pamiętaj rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie«. Jabym to przysłowie jeszcze poprawiła i kazała rozchodowi koniecznie być mniejszym od przychodu, żeby coś zostało na nieprzewidziane a niezbędne wydatki. Naturalnie, nie robi się ich, gdy niema z czego, ale ile się nieraz przez to traci, ile to nieraz boli!

I nie poprzestając na wypowiedzeniu teorii, pani Radliczowa wprowadziła ją natychmiast w czyn. Przyniosła Helence w podarunku małą książeczkę poliniowaną kolorowym atramentem i podzieloną na rubryki — potem od czasu do czasu przychodziła kontrolować i krytykować używanie tego podarunku.

Biedna księżniczka wzięta była w obroty ze wszystkich stron.

Praca z uporczywą prowadzona wytrwałością, z początku męczyła ją bardzo, ale potem posłużyła jej na zdrowie: czas jej szybko upływał, apetyt miała nie gorszy od apetytów innych członków rodziny. Przekonała się, że może dużo wytrzymać, i że bezzasadnie wmawiano w nią w domu wątpliwości i delikatne zdrowie; cerę miała nawet lepszą niż w domu, gdzie po całych dniach próżnowała.

Tak minęła zima. Od rodziców coraz gorsze przychodziły wiadomości i to ją dręczyło. Pieniądze jakie posyłała, nie wystarczały, przeto żeby więcej jeszcze zarabiać, pracowała do północy. To tak źle oddziaływało na jej zdrowie, że gdy wiosna nadeszła, bladeść jej twarzy zaniepokoiła pana Radlicza, któremu Andrzej zwrócił na to uwagę.

— Zdaje mi się, że temu dziecku brak jest powietrza — mówił pryncypał — trzeba ją posłać na jakiś tydzień na wieś.

Jedziesz do dziadka Andrzeju, to weź ją z sobą. Wandzia się nią zaopiekuje i postara, żeby lepiej wyglądała.

Helenka mocno się opierała temu projektowi, narażającemu ją na straty materyalne, ale wola pana Radlicza okazała się niewzruszoną i musiała usłuchać. Przed wieczorem siedziała już obok Andrzeja w małym jednokonnym powoziku. Stosunki jej z nim nie wiele się zmieniły przez kilka upłynionych miesięcy; uznawała jego zalety, ceniła go nawet wysoko, ale go nie lubiła i unikała, gdy tylko mogła. On też jej nie szukał; był z nią grzeczny ale zdaleka. Tylko muzyki jego nie unikała Helenka, ale słuchała jej zawsze z rozkoszą, dziwiąc się, że ten prozaiczny człowiek umiał tak grać; jakim sposobem on, zwolennik czystego rozumu, do którego uczucie zdawało się nie mieć przystępu, potrafił tak odczuwać muzykę?

To samo myślała sobie siedząc obok niego w powozie i patrząc na ostry profil jego twarzy, w uszach bowiem brzmiała jej jeszcze cudowna symfonia, jaką grał wczoraj długo wieczorem.

Powóz toczył się szybko po gładkiej szosie, a gdy się zwrócił w drogę boczną, między pola, Andrzej pałacy dotąd w milczeniu cygaro, odezwał się do swej towarzyszki:

— Rad jestem, że pani pozna moją siostrę Wandę; jestto kobieta, którą po mojej matce stawiam najwyżej, i do której jestem najwięcej przywiązany.

— A więc ten człowiek kocha coś więcej prócz swojej pracy i zimnego rozumu — rzekła do siebie — tego nie myślałam. Dlaczego jednak tej właśnie siostrze daje nad innymi pierwszeństwo w swem sercu? Musi być między niemi pokrewieństwo duchowe.

— Uwielbiam ciąglą pogodę jej umysłu i moc duszy — mówił dalej. — Z twarzy jej, zawsze jasnej, niktby się nie domyślał, jaki bolesny dramat rozegrał się w jej życiu. Była zaręczona z człowiekiem ze wszech miar godnym miłości,

i ślub miał się odbyć wkrótce, ale człowiek ten zginął wśród burzy wstrząsającej krajem, a raczej musiał umrzeć.. Został skazany na śmierć, a ona nie mogła go nawet pożegnać.

Z ust Helenki wyrwał się okrzyk bolesnego zdziwienia.

— I kobieta ta, ani szlochała, ani załamywała rąk, ani złorzeczyła, tylko wzięła się do pracy! Łzy jej płynęły cicho i rzadko kto je widział, tylko włosy jej w ciągu jednego roku posiwiały, choć gdy to się stało miała dopiero lat sze-snaście. Pracowała niezmordowanie od rana do wieczora, a gdy ją wstrzymywano, prosząc by się nie zabijała trudem nadmiernym, odpowiadała, że to jest jej lekarstwo, i że wypełnia testament zmarłego, którego dążności szlachetne znała dobrze. Dwadzieścia lat upłynęło od tego czasu, a ona nie znała prawie co to jest odpoczynek. Najpierwsza wstaje, ostatnia się kładzie; pracuje z namiętnością, jakby zagłuszyć chciała bolesne głosy wspomnień. Rządzi ogromnem gospodarstwem kobiecem na wsi, pielęgnuje dziadka z drobiazgową troskliwością, leczy chorych i jeszcze przez kilka miesięcy letnich prowadzi fabrykację owoców suszonych i konfektów, które wysyła do Warszawy, a które właściciele handlów kolonialnych kupują chętnie zamiast kijowskich, jako lepsze i tańsze. Dawniej uczyła jeszcze dzieci wiejskie, ale jej tego wzbroniono z urzędu — i utrzymywała gospodę chrześcijańską, którą jej zamknęto. Niegdyś była bardzo żywą i wesołą dziewczyną, a choć wesołość znikła, żywość pozostała. Ruchliwy jej umysł nietylko całość z wielką bystrością ogarnia, ale pamięta o najdrobniejszych szczegółach, o wszystkim i o wszystkich. Na twarzy ma zawsze miły uśmiech dla każdego, każdemu pomódz gotowa i usłużyć, każdego umocni, pocieszy, podniesie; zawsze spokojna, pogodna, słodka, nie skarżąca się na nic, zadowolona z tego, co jej życie daje i niepragnąca więcej. Jeden jest tylko dzień w roku, w którym jej moc i panowanie nad sobą słabnie: rocznica śmierci Jerzego — ale i wtedy znać na niej tylko znużenie, nic wię-

cej. Zadni ludzie starali się o jej rękę, ale nie chciała jej oddać nikomu, mówiąc, że nie przestała się uważać za zaręczoną. Takie jak ona nie zapominają..

Rzucił cygaro i wsunął się w głąb powozu.

— Będzie to jedyna stara panna w naszej rodzinie — rzekł po chwili milczenia — bo Anna za kilka miesięcy zostanie żoną naszego agenta w H., a narzeczony Elżuni kończy szkołę handlową w Berlinie.

— Nic o tem wszystkiem nie wiedziałam — szepnęła.

— Nie okazałaś im pani nigdy, że cię bliżej obchodzą, więc nie narzucały się pani ze swoim zaufaniem — odpowiedział.

Helenka milczała. Dzieje życia Wandy zrobiły na niej silne wrażenie.

— Biedna kobieta! — odezwała się po chwili — ileż ona musiała wycierpieć! A ten nieszczęśliwy młodzieniec... Co za straszna rzecz pomyśleć, że czyjeś życie zostało zmarnowane!

— Zmarnowane? Nie, pani, poszło do skarbnicy, gdzie oddawna zbiera się fundusz narodowy, fundusz z którego wszyscy czerpią zapomogę. Nic nie ginie na świecie.

I przytoczył jej wiersz, powiedziany kiedyś przez Henryka Merzbacha do Kraszewskiego:

»Nic nie ginie, mistrzu, na tym świecie Bożym,
Każda potu kropla, co ze skroni spada —
Każda łza, przed którą w boleści się korzym —
Trudu krew czerwona, zwątpiona myśl biała —
I te długie lata cierpień, gorzkich śmiechów —
I ten strumień tęsknot, co przez życie płynie —
I duch nasz zatruty jadem złych oddechów —
I ciche westchnienie — nic, mistrzu, nie ginie!«

— I to ma być człowiek prozaiczny — rzekła do siebie Helenka — ależ to poeta!

Konie zatrzymały się przed niewielkim dworkiem, podobnym z kształtu do dawnych dworów szlacheckich, bo był niski, parterowy, i z frontu miał ganek wsparty na dwóch drewnianych kolumnach. Zmrok już był, a w jednym z okien dworku błyszczało światło.

— Jesteśmy już u celu — rzekł Andrzej, otwierając drzwiczki.

Wysiadł, podał rękę Helence i wprowadził do obszernego pokoju, którego jedna połowa była oświetlona blaskiem ognia płonącego na kominku, a druga pozostawała w cieniu. Przed kominkiem stało duże wyściełane krzesło z poręczami i podnózek. Śnać ktoś tutaj siedział i niedawno opuścił to miejsce. Helenka zdejmowała z siebie okrycie, gdy pani tego domu, Wanda Radliczówna weszła do pokoju ze świecą.

Dziewczę nie mogło się oprzeć wzruszeniu na jej widok. Patrzyło na tę postać wysoką, szlachetną, na oczy podkrążone sinemi obwódkami ale pełne blasku, na włosy białe, dziwnie odbijające od cery świeżej i zdrowej, i trudno jej było uwierzyć, że ta postać pogodna i spokojna, to bohaterka opowiadanego dramatu. Tylko wyraz bolesny około ust zdradzał cierpienie.

Siostra i brat przywitali się bardzo serdecznie, a Andrzej powiedział zaraz, w jakim celu przywiozł ze sobą gościa.

— O, to dobrze — rzekła, wyciągając do Helenki rękę — będzie nam weselej we troje, a panna Orecka odetchnie trochę naszym powietrzem. Postaramy się, żeby w ciągu tego tygodnia przeznaczonego na wakacje, nabrała rumieńców.

— Gdzie jest dziadek? — zapytał Andrzej.

— Dziadek już śpi, nie zobaczysz go dzisiaj.

Podano herbatę w pokoju kominkowym i gawędka przeciągnęła się dość długo. Helenka niewiele mieszała się do rozmowy rodzeństwa; patrzyła na panią domu i dziwiła

się. Gdy ją odprowadzono do pokoju przeznaczanego na nocleg długo siedziała na łóżku nie rozbierając się. Myślała ciągle o tem życiu zapełnionem pracą, i o dziwnym testamencie zmarłego.

XX.

Dwór z ogrodem leżał na wzgórzu, a ze wzgórza był widok na całą okolicę: na pola, na łąki, na las, na rozrzucone chaty wioski i na bielejące w dali drogi, wysadzone rosochatami wierzbami. Widok ten, którego największym urokiem była szerokość przestrzeni, wydał się dziwnie pięknym Helence, odwykłej od podobnych widoków w murach wielkiego miasta. Patrzyła nań, jak na coś znanego a niewidzianego dawno, z pragnieniem i tęsknotą, a uchem chwytała odgłosy idące od pól, od lasów i od łąk, przenikające do jej duszy i wywołujące w niej dziwne myśli i uczucia. Gdy ziemia budzi się z zimowego snu do życia i okrywa zielenią, w sercu człowieka, czyto starego, czy młodego, budzą się uśpione nadzieje, przytłumione pragnienia i wołają głosem wielkim o szczęście... Coś podobnego działo się w duszy Helenki. Wtem posłyszała śpiew:

»Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz!

Śpiew ten, pochodzący widocznie z piersi starganej wiekiem, ale czerstwej jeszcze i rażnej, zaciekał Helenkę; zwróciła się ku niemu i zobaczyła żwawego staruszka w gra-

natowej kapocie, w rogatej czapce i z ogromnymi wąsami. Trzymał w ręku koneweczkę i podlewał grządki kwiatowe.

»Już tu ziomek pilnie słucha
Czy armata ryczy;
Walecznego pełny ducha,
Każdy moment liczy.
Marsz, marsz!«

Spostrzegłszy nadchodzącą Helenkę, staruszek przerwał swoją robotę, przysłonił oczy ręką od słońca, żeby lepiej widzieć i odezwał się:

— Hm, hm, co też to za śliczna panienka spadła nam z nieba! Szkoda, że pan pułkownik nie widzi, bo miałby czem oczy ucieszyć. Jest na co popatrzyć, jest, jak mi Bóg miły! Dzień dobry panience!

— Dzień dobry, — odpowiedziała przypatrując się ciekawie temu sympatycznemu staruszkowi — czy wy tu jesteście ogrodnikiem, przyjacielu?

— Rozumie się. Żeby nie ja, toby tu nic nie było. Bo to dzisiejsze ogrodniki co potrafią? Może to panienka jest ta sama panienka, coto ją nazywają księżniczką?

— Tak, to ja.

— A to wiem, wiem; moja córka Kunegunda, jak tu u mnie była na Wielkanoc, to mi o panience naopowiadała fura rzeczy. Umie też panienka maszerować?

— Maszerować?

— Aha!

— Nie, nie umiem.

— To źle, niech się panienka nauczy. Kobiety powinny umieć maszerować; to potrzebne, jak panna za mąż idzie, bo która tego nie umie, to zamiast iść w jednym szeregu z mężem, będzie szła albo zaprędko, albo zawolno, a taki fuszer-ski maszerunek do niczego dobrego nie doprowadzi. A jesz-

cze jak taka żona obejmie komendę, to niech Bóg broni! Pan pułkownik mówi tak samo. On powiada: Wojciechu, u nas kobiety źle wychowują. Jeżeli chłop idzie naprzód, to baba zostaje w tyle, a jak chłop zwolni kroku, to znowu baba leci naprzód jak opętana; ten do Sasa, ta do lasa i nie mogą się zgodzić. Źle, źle, Wojciechu, kobiety powinny razem z mężczyznami maszerować krok w krok, równo, ot tak, raz, dwa, raz, dwa. Rozumie panienka?

— Rozumiem — rzekła, wstrzymując uśmiech.

— No, to niechże panienka tu zaczeka, a ja pójdę do strumienia po wodę i jak wrócę, dokumentniej to panience wyłożę. Ładne panny bardzo lubię musztrować, do stu tysięcy fur beczek! Nasz kochany komendant, panna Wanda, łaby umiała maszerować, ale nie ma biedaczka z kim!

Machnął ręką i wzięwszy koneweczkę pomaszerował do furtki. Helenka szła za nim i stanąwszy w progu, patrzyła na drogę idącą pod parkanem ogrodu i na strumień płynący tuż za nią po łące, gdy człowiek jakiś, który od kilku chwil badawczo jej się przypatrywał, przystąpił do niej i poprosił o jałmużnę. Przestraszona niespodzianiem zjawieniem się żebraka, drgnęła lekko i cofnęła się o krok — bo też powierchowność jego nie budziła bynajmniej zaufania. Był to mężczyzna jeszcze młody, z twarzą bladą, nabrzęką i chytrem spojrzeniem małych, ustawicznie biegających oczu, niezgadzaających się ani z płaczliwym głosem, ani z pokornie zgiętą postawą. Pierwszem wrażeniem, jakiego Helenka doznała na jego widok, był wstręt — ale łachmany obudziły jej litość. Sięgnęła do portmonetki.

— Nie dawaj mu pani ani grosza, bardzo proszę — zabrzmiał tuż nad nią głos ostry Andrzeja. — Precz stąd, nędzniku! Jak śmiesz przychodzić tutaj? Nie pokazuj mi się na oczy, jeżeli nie chcesz, żebym cię oddał w ręce strażników.

Żebrek nie czekał dłużej; wyprostował się i rzuciwszy

na Andrzeja wzrokiem pełnym bezsilnej wściekłości, szybko się oddalił.

— Ach, panie, — szepnęła Helenka z wyrzutem — ten człowiek jest głodny i prawie nagi! Pozwól, żebym go przywołała i dała choć trochę pieniędzy...

— Nie, — zawołał — on nie wart litości! Wypędziłem go stąd za próżniactwo i szerzenie ducha nieporządku między moimi robotnikami.

Nigdy go jeszcze nie widziała tak rozgniewanego; żyły mu nabrzmiały na skroniach, oczy ciskały błyskawice, głos grzmiał jak piorun.

— Nie przeczę, że musiał być bardzo winnym, skoro go pan tak surowo ukarał, — odpowiedziała — ale jeżeli jest głodny, czyż mamy mu dozwolić umrzeć bez pomocy?

— Niech zarabia na chleb.

— A jeżeli nie może znaleźć pracy?

— Pracę znajduje każdy, kto jej szuka — odpowiedział — ale temu zachciewa się żyć kosztem pracy innych. Słowa pani przynoszą zaszczyt dobremu jej sercu, ale dowodzą jego niepraktyczności i braku doświadczenia. Wspierać żebraków, jestto podtrzymywać nędzę. Człowiek, któremu pani chciałaś dać jałmużnę, poszedłby jutro znowu żebrac, bo poco ma pracować na swoje utrzymanie, jeżeli go społeczeństwo utrzyma? Głód zmusi go do pracy. Młody jest, silny, zdolny, ja go znam. I dobroć musi być rozumna, jeżeli nie chce zostać bezwiednem narzędziem złego.

Helenka westchnęła.

— Twardy z pana człowiek — rzekła smutnie.

— Tak, — odpowiedział spokojnie — jestem twardy, gdy czuję, że słuszość jest po mojej stronie i gdy czynię, jak powinienem. Ale widzę, że go pani żał... Czy pani jesteś pewna, że onby chleba kupił za twoje pieniądze? Najpewniej przepiłby je w karczmie. Jeżeli pani koniecznie chcesz mu okazać miłosierdzie, to wesprzyj lepiej jego biedną żonę,

o którą on się wcale nie troszczy. Jestto kobieta chora i obarczona dziećmi. Ale już chwilę z sobą rozmawiamy, a nie powiedzieliśmy jeszcze sobie dzień dobry. Dlaczego pani wstała tak wcześnie? Jeszcze niema szóstej.

— Zapomniałam wczoraj spuścić roletę i wschodzące słońce obudziło mnie. Zobaczyłam przez okno, że poranek jest piękny i chciałam jego świeżością odetchnąć.

— Dobrze pani zrobiła. Nie mogę z panią dłużej rozmawiać, bo mi pilno zobaczyć dziadka; już wstał podobno. Do widzenia.

— Może on ma słuszość, mówiąc, że ten człowiek przepiłby w karczmie moje pieniądze, — rzekła do siebie, gdy odszedł — bo mu nie dobrze patrzyło z oczu, ale któż to może wiedzieć na pewno? Bądźcobądź, lepiej się dzie wiedziesiąt dziewięć razy omylić, niż jednemu prawdziwie potrzebującemu odmówić.

Gdy tak myślała, żebrak stanął znów przed nią i rzucawszy bystre spojrzenie na wszystkie strony, ponowił swoją prośbę w sposób tak natarczywy i zuchwały zarazem, że dziewczę, chcąc się go pozbyć, a bardziej jeszcze obawiając się, żeby Andrzej przypadkiem nie wrócił i nie zobaczył go znowu, rzuciła mu kilka sztuk drobnej monety i szybko za trzasnęła furtkę. Ale furtka otworzyła się sama i Helenka zobaczyła, jak żebrak policzywszy na dłoni otrzymane pieniądze, schował je do kieszeni i pogroziwszy pięścią w stronę, którą się Andrzej oddalił, odszedł powoli. To co widziała nappełniło ją niewytłómaczoną obawą i niepokojem. Długo chodziła po ogrodzie zamyślona, a bujna wyobraźnia coraz straszniejsze czyniła przypuszczenia co do tego włóczęgi, grożącego Andrzejowi; widziała w nim złodzieja, podpalacza, mordercę i serce jej biło z trwogi na myśl, że on może być kiedy znienacka napadniętym. Nie obchodził ją wprowadzenie, ale był jej znajomym, a to zawsze przykro pomyśleć...

A gdyby o tem siostrze jego powiedzieć? Tak pewno będzie najlepiej.

Zwróciła się ku domowi i tu oczy jej uderzył widok niezwykły. Andrzej prowadził starca, zdającego się wiek cały dźwigać na sobie. Wysoki, chudy, przygarbiony, wspierał się jedną ręką na ramieniu wnuka, drugą na kij. Głowa jego uderzała szlachetnością kształtów, a rysy piękne były i wyraziste: nosiły one ślady ciężkich cierpień, wielkich burz, ale piętnował je wyraz tego spokoju, jaki daje bliskość grobu. Długa biała broda spadała mu na piersi osłonięte ciepłym kożuchem, sięgającym aż za kolana.

Z macierzyńską niemal troskliwością prowadził go Andrzej między krzewami, ku miejscu otwartemu, wystawionemu na słońce, gdzie stało już wygodne krzesło z poręczami, leżała poduszka i ciepła wełniana kołdra. Na ziemi rozpostarta była skóra tygrysa. Starzec postępował ostrożnie i powoli, macając przed sobą drogę kijem, a gdy ciepłe promienie wiosennego słońca dotknęły jego głowy, wyraz błogiej radości rozlał się po twarzy i wyszeptał:

— Jaki Bóg jest dobry, że daje nam już ciepło! Pod jego dobroczynnem tchnieniem inne życie wstępuje w krew stygnącą; zeszywniałym kościom zdaje się, że jeszcze odmłodnieją, a piersiom lżej oddychać... Dziękuję ci, mój chłopcze, żeś mnie tu przyprowadził.

Podniósł głowę i patrzył wprost na słońce, a Helenka spostrzegła z przerażeniem, że te wielkie szeroko otwarte źrenice nie drgnęły pod jego oślepiającymi promieniami, ale pozostały nieruchome. Starzec był niewidomy. Andrzej doprowadził go do krzesła, a gdy ten usiadł, podłożył mu poduszkę pod plecy i okrył kolana kołdrą. Spostrzegłszy zdaleka Helenkę, dał jej znak, żeby się zbliżyła — co gdy uczyniła, zapytał półgłosem:

— Czy pani możesz pozostać tu przy nim przez chwilę i czuwać w razie gdyby czego potrzebował?

— Zostanę chętnie — odpowiedziała wzruszona mimowolnie tą troskliwością »twardego człowieka«.

— Dziadku, — przemówił, pochylając się nad starcem — ja muszę stąd odejść na chwilę, ale zostawiam ci w moje miejsce pannę Orecką, o której ci opowiadałem. Ona mnie zastąpi.

— Dobrze, mój chłopcze — odrzekł zamyślony starzec i pochylił głowę na piersi, a Helenka zobaczyła wtedy, że były na niej dwie głębokie blizny, jakby od dwukrotnego cięcia pałasza. Czas jakiś siedział zadumany, a potem wsparł obie ręce na poręczach krzesła i zapytał:

— Czy jest tu kto?

— Ja jestem, panie, Helena Orecka — odpowiedziała stojąc przed nim.

— Helena Orecka, Helena Orecka, — powtarzał jakby zbierając wspomnienia — a wiem, wiem. Mówił mi o tobie mój wnuk. Wiem. Upadek fortuny, niedola, a więc córka musiała iść w świat za chlebem. Wszystko co nie stoi mocno, upaść musi... Ale człowiek jest z twardej ulepiony gliny i tam, gdzie żelazo pęka i kamień się kruszy, on wytrzyma. Ja widziałem trzy razy upadek nadziei wielkiego narodu, moje dziecko, a żyję!... Byłem na dalekiej północy, w kraju, gdzie słońce wschodzi blade, a mróz przenika do kości i patrzyłem co dnia na tęsknotę, trawiącą powoli najsilniejsze organizmy, na ciągłe odradzanie się i zamieranie nadziei, i nie umarłem.. A kiedy nareszcie po długiej rozłące wróciłem do swoich, straciłem oczy i nie mogłem już ujrzeć mojej ziemi; dziękowałem jednak Bogu, że mi jej choć dotknąć pozwolił. Odtąd patrzę na świat oczyma tych, co są przy mnie. A świat idzie dalej swoją drogą, ziemia co wiosnę odradza się na nowo, a wiosna jest tak samo piękna, jak w dniach mojej młodości... Słońce tak grzeje! czuję błogie ciepło rozchodzące się po żyłach moich. Dzień jest pogodny, więc musi tu być dokoła pięknie, nieprawdaż? Nie byłem tu jak w jesieni, gdy

liście już z drzew pospadały... dopomóż pamięci starego, moje dziecko i powiedz mi co widzisz.

— Wszystko dokoła zieleni się: — zaczęła Helenka głosem lekko drżącym od wzruszenia — pierwiosnki, przylaszczki, fijołki, bratki i stokrocie kwitną, wierzby pokryły się gęsto drobnymi listkami i powypuszczają bałki; wiązy, leszczyna, olsze i brzozy kwitną także, brzoskwinie rumienią się różowym kwieciem i gwarzą rojami pszczołek, co się koło nich uwijają; na innych drzewach owocowych pękają już pączki...

— Widzę je, widzę, cóż dalej?

— Czereśnia, co tu stoi przed nami, cała w bieli, jak w welonie z kwiatów; jaskółka siedzi na gałęzi i buja się, a na ścieżce przed nami skacze wróbel i trzyma słomę w dzióbku. Pewnie ściele sobie gniazdko.

— Miłe, wdzięczne ptaszyny. Widok ich w dalekim kraju wzruszał mnie zawsze do głębi. Mów dalej.

— Za ogrodem widzę strumień wijący się po łące; koło niego było idzie na paszę, a pasterz je poganiał.

— Słyszę jego wołanie. A pod lasem?

— Pod lasem pług zaprzężony we dwa siwe woły kraje ziemię.

— Wiosna wczesna... będziemy mieli urodzaj. Dalej, dalej!

— Lekka mgła unosi się nad strumieniem, ale słońce zaraz ją rozproszy. Z pośród kępy brzóz i topoli wynurza się wieża kościoła, a krzyż na niej błyszczy w słońcu jak złoto.

— Widzę, widzę ten obraz tak, jakbym na niego patrzył własnymi oczyma — przerwał starzec, który jej pilnie słuchał, a nieruchome jego oczy jaśniały radością. — O, jakże świat jest piękny.

Z pod lasu dało się słyszeć długie przeciągłe hukanie.

— To derkacz odzywa się na błotach, — mówił dalej —

poznaje jego głos, zdaje mi się też, że słyszę gromadę ptactwa lecącego w tę stronę.

Zamilkł i słuch wyteżył. Po chwili dało się słyszeć trzepotanie skrzydeł; stado dzikich gęsi, niby chmura przeleciało nad ogrodem i pociągnęło ku lasowi. Starzec patrzył w górę, jakby je mógł widzieć.

— »Gromada wielki człowiek« — rzekł po chwili. — Mądre, roztropne ptaki dają naukę ludziom. Za moich czasów wszyscy chcieli dobrze, ale jedni szli w prawo, drudzy w lewo. Nie było gromady, to też burze budynek nasz rozsypały w gruzy. Mój syn powiada, że praca zaczyna się na nowo od fundamentów i że co myśmy budowali śpiesznie i gorączkowo, oni postawią powoli ale mocno. Myśmy używali do budowy krwi i żelaza, oni biorą oświatę, postęp, trzeźwość, cierpliwość i oszczędność — bo powiadają, że ona prowadzi do dobrobytu, a ten znów do bogactwa, które daje siłę. Co myśmy rozrzucali pełnemi garściami, oni zbierają po ziarnku... Zaczynają od tego, na czem my chcieliśmy skończyć, od pracy organicznej. Bóg z nimi!

Zamilkł. W ogrodzie dał się słyszeć znowu śpiew:

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara brała, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!

Śpiew utonął w gęstwinie, a starzec westchnął i mówił dalej.

— Ja się już na nic nie przydam, bezsilny jestem... a choćbym nawet miał siły, to nie potrafiłbym już żyć inaczej jak żyłem, ani walczyć inaczej jak mieczem. Inne czasy, inni ludzie! Ale powtarzam moim dzieciom: pamiętajcie, że odrodzenie narodu nie może się dokonać bez kobiety; pamiętajcie, że tylko z jej pomocą i przez nią budynek stanie potężny i trwały.



Helenka słuchała starca z głębokiem wzruszeniem.

— A jakim to sposobem, panie? — spytała Helenka.

— Bo kobieta wychowuje dzieci, a dzieci są takimi, jakimi je wychowa. Nie brak w Polsce kobiet zacnych, pracowitych i poświęconych, ale brak jasno pojmujących swoje obowiązki i rozumnych. Zawiele myślą o rzeczach błahych, o rozrywkach i gałgankach — a kraj potrzebuje obywateli, nie istot lekkomyślnych. Duch narodu w rodzinie przede wszystkim szukać musi dziś schronienia. Dom powinien mu być sądem, szkołą, a poniekąd i kościołem; nie może zaś nim być tam, gdzie gospodaruje kobieta lekkomyślna i ograniczona. Takie były i za moich czasów, ale co wtedy było lekkomyślnością tylko, dziś jest występkiem przeciwko narodowi, bo wstrzymuje jego pochod na drodze odrodzenia.

Helenka słuchająca starca z głębokiem wzruszeniem, klękała przy nim i zawołała z płaczem:

— O dobry panie! to ja jestem występna! ja myślałam tylko o rozrywkach i gałgankach; ja żyłam nieświadoma celów i dążeń społeczeństwa, marząc samolubnie o życiu szczęśliwem i bez troski; ja miałam pustki w sercu i głowie. A od czasu, gdy potrzeba zmusiła mnie do pracy, uważałam się za ofiarę niesprawiedliwości losu i nazywałam poświęceniem to, co było tylko obowiązkiem. Byłam głucha na prawdy słyszane dokoła siebie, a choć światło wszelkimi szczelinami przeciskało się do mego umysłu, z uporem na nie zamykałam oczy. Ale teraz, panie, spadła z nich reszta bielma. Czuję się winną, bardzo winną!

Łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi. Starzec położył rękę na jej głowie.

— Biedna dziewczeczko, — powiedział wzruszony także głęboko — twoja matka jest może nie złą kobietą, ale słabą i źle cię wychowała. Żal, moje dziecko, zmazuje winy. Uspokój się i żyj odtąd tak, jak czujesz, że żyć powinnaś i jak ci wskaże twoje sumienie. Ja cię rozgrzeszam!

Helenka płakała ciągle.

— Przyszłość ludów jest w ręku Boga, — mówił dalej — ale On pomagać lubi tym tylko, co sami sobie pomagają. Bezczyнных i leniwych wyrzeka się i opuszcza. Pamiętaj o tem, moje dziecko. Ja już lepszych czasów nie doczekam, ale Bóg dobry, który noc wieczną nade mną roztoczył, zsyła na mnie czasem promienne chwile, w których pozwala mi widzieć przyszłość.. Wówczas widzę lud oświecony i pracowity, widzę miłość i zgodę wszystkich stanów, widzę kobietę, jako rozumną towarzyszkę mężczyzny i dzielną pomocnicę w jego obywatelskiej działalności, widzę swobodę myśli i przekonań, widzę panowanie sprawiedliwości i prawdy, widzę przyjście Królestwa Bożego na ziemię... Widzę to, widzę!

Słońce otaczało aureolą głowę starca, jak głowy świętych, gdy wymawiał te słowa prorocze; twarz jego promieniała. W powietrzu była cisza uroczysta. Gdy skończył, z wieży kościółka zabrzmiał głos sygnaturki, zwołującej na mszę poranną. Słyszając to, poruszył się i rzekł:

— Chciałbym się pomodlić, moje dziecko; mów ty modlitwę, a ja będę słuchał.

— Jaką modlitwę mam mówić, panie — spytała obcierając łzy.

— Mów tę, której nas nauczył nasz Zbawiciel, bo w niej zawiera się wszystko, co pojedynczemu i zbiorowemu człowiekowi jest potrzebne.

Helenka zaczęła.

— »Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje«. Starzec słuchał.

— »Przyjdź Królestwo Twoje«.

Starzec wyciągnął drżące, wychudłe ręce ku niebu i podnosząc nieruchome źrenice, zasłę w tej chwili wilgocią, ku słońcu, którego nie mógł widzieć, powtarzał ze wzruszeniem:

— »Przyjdź Królestwo Twoje, przyjdź Królestwo Twoje!«

XXI.

Wzruszającą prawdziwie była miłość i troskliwość, jaką wnuki otaczały swego dziadka, pana pułkownika. Jeżeli ten człowiek długie lata niegdyś wycierpiał w tęsknocie i osamotnieniu, to teraz schyłek życia upływał mu pod tchnieniem serdecznego ciepła rodzinnego. Jedna z wnuczek, najwięcej mu ulubiona, mieszkała przy nim ciągle, a syn, synowa i reszta wnuków przyjeżdżali go często odwiedzać.

Gospodarstwo kobiece i domowe dużo czasu zajmowało Wandzie, ale mimo to potrafiła się tak urządzać, że jeżeli tylko dziadek nie spał — a sypiał po kilka godzin dziennie — była zawsze przy nim, gotowa czy go prowadzić po pokoju, czy mu coś przeczytać, czy słuchać jego opowiadań o dawnych czasach. Mając ciągle na usługi młode oczy, starzec nie czuł tak boleśnie swego kalectwa. Wszystko, cokolwiekbądź dziadek jadł, musiało być przyrządzone ręką Wandy. Ona mu gotowała codziennie polewkę z wina, ona do niej piekła grzanki, ona odgadywała jego myśli i uprzedzała życzenia; ona była dobrym duchem baczącym na każdy ruch starca i czuwała nad nim bezustannie, niby matka nad dzieckiem.

Gdy po śniadaniu pokazywała Helence swoje gospodarstwo, ta widząc ogrom i różnorodność jej prac, nie tała swego zdziwienia i zadała jej pytanie, jakim cudem znajduje czas na to wszystko.

— O, to nie tak trudno, jak się z pozoru zdaje, — rzekła z uśmiechem — cała tajemnica w tem, żeby sobie zająć odpowiednio rozłożyć i na każde właściwą porę naznaczyć. Gdy się to raz urządzi i porządku w zajęciach regularnie przestrzega, idzie już wszystko jak z płatka. Gospodaruję tak już od lat wielu, więc pojmuje pani, że miałam czas wprawić się i wypróbować wszystkie kółka mojej maszyny

gospodarczej. Idzie też u nas wszystko jak w zegarku, a ja od czasu do czasu tylko potrzebuję pokręcić jakąś śrubkę.

— Czy to pani nie męczy?

— Nie; przywykłam do tych zajęć wypełniających moje życie i gdy one z konieczności przerwać się muszą, w czasie dni świątecznych naprzykład, męczy mnie odpoczynek, dający mi sposobność zostawiania sam na sam z mojami myślami i wspomnieniami... Tęsknię wówczas do pracy jak do anioła dobrego, niosącego mi spokój i pociechę. A gdy nadejdzie lato i z niem zbieranie, suszenie i smażenie owoców; gdy będąc w ciągłym ruchu, nie mam ani chwili czasu na odpoczynek, wówczas czuję się najszcześniejszą i błogosławię pracę.

Helenka patrzyła na nią z uwielbieniem, ale nie dziwiła się temu, co słyszała. Rozumiała już tych ludzi, którzy z początku wydawali się rodziną dziwacznych oryginałów. Zrozumiała ich od chwili, gdy sama uwierzyła w świętość źródła, z którego czerpali swą siłę. Oni, co z początku pobudzali ją do śmiechu, byli teraz w jej oczach niemal olbrzymami ze swoją surowością zasad, z ideą ciągle przytomną ich myśli, ze świadomością swoich celów i wytrwałością, z jaką do nich dążyli. Ten ojciec zdobywający majątek własną pracą i pracujący dalej niezmordowanie; ta matka hartująca swoje dzieci i wychowująca je po spartańsku; ten syn nieelegancki, ale zacny i rozumny, a tak inny od tych, co jej we fraku i jasnych rękawiczkach prawili komplementy; ten starzec, wierzący niezachwianie w lepszą przyszłość; ta kobieta nareszcie z zakrwawionem ale niezłamanem sercem, szukająca spokoju w pracy, znosząca swój los pogodnie i bez skargi...

— Pan Andrzej mówił mi, że pani wiele cierpiała — szepnęła nieśmiało.

— Tak, — odpowiedziała — ale czyż dlatego, że cierpiałam, mniejsze ciążą na mnie obowiązki społeczne i obywatelskie? Cierpienie nie wyjmuje ludzi z pod ogólnych praw

życia, ani ich obowiązków nie zwalnia. Każdy z nas, bez względu na to, czy jest szczęśliwym lub nieszczęśliwym, powinien oddać społeczeństwu, co wziął z niego, a któż z nas nie jest jego dłużnikiem? Któż od urodzenia nie korzystał z jego zdobyczy i skarbów? Bóg, gdy zażąda od nas rachunku z żywota, nie będzie nas pytał, ileśmy cierpieli, ale w jaki sposób; nie sztuka cierpieć wiele, ale sztuka umieć cierpienie znosić. Mój ból jest dla mnie, nie dla innych, po cóż ma więc od niego padać ponury cień na moje otoczenie? Wreszcie, czy to ja jedna tylko cierpię? Cierpią miliony cięgiele, na wszystkie strony, i nie od dzisiaj dopiero. Odkąd życie istnieje na ziemi, odtąd datuje też i cierpienie; jest ono starem jak świat. Miliardy ludzi cierpiały, zapadały w wieczność i nie zatrzymały świata w swoim biegu — mamże ja zatrzymywać i niepokoić myśli otaczających mnie swoją osobą? Po co? Nie odstanie się już i tak, co się stało. Są nieszczęśliwsi ode mnie. Zżyłam się już z mojem cierpieniem i dobrze mi z niem jest; przyszedłam nawet do przekonania, że to co się stało, stało się dobrze. Potrzeba było życia jednego szlachetnego człowieka dla ogólnej sprawy i Bóg je wziął.

— Ach! — zawołała Helenka, przejęta do głębi — jacy wy wszyscy jesteście wielcy, jak szlachetni! Nie rozumiałam was długo, ale rozumiem teraz. Dziadek wasz, choć niewidomy, zdjął bielmo z moich oczu. Zrozumiałam wasze pobudki, i serce moje, co dotąd od was stroniło umyślnie, rwie się do was. Teraz już niema różnicy między naszymi myślami i uczuciami. Przyjmcie mnie do waszego grona jak swoją.

— Z całego serca — odpowiedziała Wanda i przytuliła ją serdecznie do piersi. — Andrzej, — rzekła zwracając się do nadchodzącego brata — przybyła nam jedna siostrzyczka!

Oczy jego żywą zajaśniały radością.

— Doprawdy! — zawołał — serdecznie się z tego cie

sze. Przewidywałem ja, że to kiedyś nastąpi, ale nie wiedziałem, że dziś właśnie. Chceszże mnie pani, panno Heleno, uważać odtąd za brata? Chceszże mi zaufać, i podać rękę, której mi niegdyś podać nie chciałaś?

— O, chętnie! Powiedziałeś mi pan, panie Andrzeju, wiele prawd gorzkich, a choć uczyniłeś to może w sposób nazbyt szostki, miałeś słusność...

— Jeżeli panią zraniłem nieraz mimowolnie, przebacz mi to przez wzgląd na intencje jakie miałem. Jestem szorstki, to prawda, ale kto mi zaufał, nie żałował jeszcze tego. Weź mnie pani za przyjaciela takim, jakim jestem.

Za całą odpowiedź złożyła swoje małe, delikatne rączki w jego duże, żyłaste dłonie. Andrzej uściśnął je serdecznie. Przy tym sojuszu rąk, oczy przez chwilę spoczęły wzajem na sobie — i chociaż to chwila była krótka, Helenka miała czas zauważyć, że w siwych tych oczach, choć nie pięknych, była głębokość, ogień i słodycz zarazem, i doznała uczucia dziwnej radości i dumy na myśl, że posiada jego przyjaźń.

— Kochana Wandziu, — powiedział z uśmiechem do siostry — biorę cię za świadka umowy zawartej między nami.

— Kiedyście się pogodzili, moi drodzy, — odpowiedziała — to mogę zostawić was samych bez obawy, że się pokłócicie. Idę do dziadka.

— Przyszedłem tu z zamiarem oddania pani listu, — rzekł, gdy odeszła — oto jest.

Helenka rozdarła kopertę i szybko przebiegła oczami treść pisma, a twarz jej przytem śmiertelnie pobladła.

— Czy jakie złe wieści? — zapytał Andrzej, który jej z oka nie spuszczał.

— Bardzo złe, — odpowiedziała głosem zmienionym i zawahawszy się chwilę, podała mu pismo.

Andrzej czytał:

»Moje najdroższe dziecko! Okropne spotkało nas nieszczęście; Ofman chce nas zlicytować. Wystaw sobie,

że Tecki pożyczył od niego pieniędzy na poręczenie ojca, jeszcze dwa lata temu, a ja nic o tem nie wiedziałam. Ojciec zawsze źle robi, ile razy się z czem ukryje przede mną. Termin trzy miesiące temu upłynął, a że Tecki pieniędzy nie oddawał, więc Ofman pozwał ojca, żeby za niego płacił, — że zaś ojciec zapłacić nie ma czem, więc nas zlicytuje. Nie wiedziałam nic o tem wszystkim, bo chociaż różne papiery urzędowe przychodziły, ojciec chował je zaraz do biurka, a ja nie przypuszczałam nic złego, tylko myślałam, że idzie o podatki. Dowiedziałam się dopiero wtenczas, kiedy komisarz sądowy przyszedł spisywać nasze rzeczy i pieczętować je. O mój Boże! mój Boże! co ten człowiek nam swoją nieopatrnością narobił! Zostaniemy nędzarami bez dachu i bez chleba!... A mówiłam, ostrzegałam, nic nie pomogło! Tyle razy ojciec się przekonał, że jak tylko mnie nie słucha, zawsze źle na tem wyjdzie. Co to ludzie powiedzą! Ach, czemuż dożyłam tej chwili! Może też Bóg da, że umrę, zanim ujrzę nasze rzeczy wynoszone na rynek przez tych okropnych ludzi w mundurach... Jestem coraz bardziej chora i tak źle wyglądam, że trudno mnie poznać. Co dzień miewam ataki nerwowe. Doktor kazał mi pić ekstrakt słodowy na wzmocnienie, ale niestety, zadrogie to dziś dla mnie lekarstwo, i jeszczeby je trzeba aż z Warszawy sprowadzać!... Biedny ojciec bardzo się martwi, nic nie je i nic prawie nie mówi, aż się boję o niego. Zapisał mu doktor lekarstwo, ale go nie chce zażywać. Ach! czegośmy się doczekali, czegośmy się doczekali! Co my teraz pocniemy? Mówię ojcu, żeby się udał do stryja Bartłomieja, ale ojciec nie chce: powiada, że on sam powinien się tego domyślić. Licytacya ma się odbyć za tydzień. Ten nędznik Ofman jest nieubłagany; prosiłam go, żeby termin jeszcze na jakiś czas odłożył, ale nie

chce nawet słuchać o tem. Takem się wydarła z czepków, że nie mam co na głowę włożyć, aż mnie wstyd bierze, a o kupieniu sobie nowego nawet myśleć nie mogę».

Andrzej doznawał różnych uczuć przy czytaniu tego listu: współczucia, litości, zdziwienia, gniewu — ale nic z tych uczuć na zewnątrz nie okazał. Włożył list do koperty i oddał go Helence.

— Co pani zamierzasz uczynić? — zapytał.

— Muszę tam jechać; — odpowiedziała — nie mogę zostawić rodziców samych i bez opieki w tak ciężkich okolicznościach. Jak oni to zniosą?

Dwie wielkie łzy stoczyły jej się po twarzy.

— Okazuję się słabą, nieprawdaz? — mówiła, szybko je ocierając. — Nie umiem cierpieć tak po bohatersku, jak wy wszyscy.. Gdyby o mnie samą tylko chodziło, zdaje mi się, że nie płakałabym; ale gdy pomyślę, że moi rodzice mają utracić całe swe, bardzo już teraz szczupłe mienie, serce mi pęka. Moja matka jest bardzo słaba i delikatna, panie Andrzeju; mój ojciec stary i znękany...

Nowe łzy trysnęły z pod jej powiek.

— Masz mnie pani za człowieka bardzo twardego, — rzekł serdecznie — skoro przypuszczasz, że łzy będące dowodem siły uczucia wezmę za słabość.. Nie, panno Heleno, nie potrzebujesz przede mną wstydzić się łez twoich; rozumiem je. Wypłacz pani swój żal swobodnie, ja odejdę; a gdy pierwsza gorycz bólu spłynie ci z serca i odzyskasz spokój, pomówimy o tej sprawie.

— Nie, nie, — rzekła stanowczo, wstrzymując gwałtownie łzy — nie wolno mi trawić czasu na łzach bezużytecznych, bo nie mam go wiele do stracenia: mówmy o tem, zaraz. Radź mi pan, co mam czynić, żeby ojca ratować!

— Chcąc pani dać radę praktyczną, musiałbym mieć

dokładną świadomość wszystkich okoliczności i szczegółów sprawy dotyczących, — odrzekł po chwilowym namyśle — a świadomości tej nie mam, i pani zdajesz się nie mieć także, bo matka donosi pani tylko o fakcie mającym się spełnić w krótkim czasie.

— Nigdy nie mówiono ze mną o interesach, — rzekła smutnie — dopiero gdy ojciec pański przyjechał do M. jako delegowany domu handlowego, ojciec mój powiedział mi, jakie nam grozi nieszczęście, ale szczegółów nie dał żadnych. Myślałam, że dopiero za jaki rok nastąpi..

— Nie wesoła to rzecz, że kobiety w naszym kraju powszechnie są uważane za dzieci, z którymi się nie mówi o interesach. Uważają je za dzieci, a żądają od nich, żeby były ludźmi. Nic więc radzić pani nie mogę, bo nic nie wiem; ale z tego, czego się mogłem dowiedzieć z listu, wnoszę, że rada byłaby nawet bezużyteczną. Sprawa jest jasna: pan Tecki pożyczył pieniądze od Ofmana, za poręczeniem ojca pani; poręczyciel obowiązany jest zapłacić dług, w razie niemożności dłużnika. Ojciec pani dobrze o tem wiedział, poręczając. Zatem, jeżeli Tecki czy dla braku pieniędzy, czy z innych jakich powodów stał się niewypłacalnym, pan Orecki musi zapłacić za niego. Ofman domagając się tego, jest w swoim prawie i niesłusznie pani Orecka nazywa go nędznikiem. On się tylko upomina o swoje! Tak czy nie?

— Tak, chociaż jest to człowiek chytry, podstępny i wyzyskujący położenie.

— Być może, ale to nie należy do rzeczy. Jakikolwiek bądź jego charakter, Ofman jest silnym przeciwnikiem, z którym walka będzie bezpożyteczną, bo za nim stoi prawo. Dłuższe opieranie się, procesowanie naprzykład, narazi państwa tylko na większe straty, a odwleczenie terminu licytacji odwlecze katastrofę ale jej nie usunie.

— Niema więc żadnego ratunku?

Andrzej milczał przez chwilę.

— Jeden tylko Tecki mógłby państwa uratować. Do niego trzeba się zwrócić, na nim wymóc, żeby oddał, co winien.

Słaby promień nadziei zabłysnął w oczach Helenki.

— A jeżeli nie zechce, lub nie będzie mógł? — spytała.

— Ha, to wtedy trzeba się poddać konieczności.

— Poddać się! — zawołała z wybuchem — pan nie znasz mojej matki. Gdybyś wiedział jak jest dumną... A ja czy nic dla nich zrobić nie mogę?

— Pani możesz niejedno uratować swoją energią i przytomnością umysłu. Nie mogę panią uczyć jak powinnaś postąpić, bo to okaże się dopiero, gdy pani będziesz tam na miejscu i zbadasz położenie. Zrobisz pani wtedy, co uznasz za właściwe i potrzebne, co pani podszeptnie miłość dla rodziców, sumienie i poczucie sprawiedliwości. Musisz pani szukać do ratunku środków sama w sobie, bo ich gdzieindziej nie znajdziesz. Kto wie, może pani przyjdzie jaka myśl szczęśliwa, której przyjscia jeszcze w tej chwili nie dopuszczamy. Ale do tego potrzeba koniecznie zimnej krwi i spokoju, bo spokój tylko pozwala wznieść się do pewnej wysokości, z której można jednym rzutem oka ogarnąć położenie. Spokój tylko przynosi szczęśliwe pomysły, daje przytomność umysłu, szybkość decyzji i energię do działania. Ze wzburzonego umysłu nic dobrego wydobyć się nie da. Spokoju więc i męstwa! panno Heleno. Jedź pani, ale jeżeli chcesz tam być użyteczną, to bądź odważna i patrz śmiało niebezpieczeństwu w oczy.

Gdy Andrzej tak mówił, ona patrzyła w ziemię, a w głowie jej myśli z początku mętne, zaczęły się powoli rozjaśniać. Zrozumiała, że znikąd nie może się spodziewać pomocy, i tylko na siebie samą liczyć może; że nikt jej nie da wskazówek, tylko w sobie samej poszukać ich musi. Smutna ta rzeczywistość wytrzeźwiła ją z boleści. Chciała ratować rodziców, a poczucie ważności obowiązku, jaki dobrowolnie na siebie wzięła, postawiło na miejscu bólu, rozważę i przytom-

ność. Gdy oczy od ziemi podniosła na Andrzeja, były już prawie pogodne.

— Jestem na wszystko przygotowana i jadę zaraz — rzekła spokojnie lecz stanowczo.

— Spodziewałem się tego, — powiedział, i gorąco dłoń jej uściśnął.

Turkot na dziedzińcu zwrócił ich uwagę: to pan Radlicz przyjechał odwiedzić ojca. Andrzej opowiedział mu zaraz o zamiarze Helenki, a zacytował ten człowiek nie tylko nie stawiał żadnych przeszkód, ale udzielił jej urlop dwutygodniowy i wypłacił pensję za dwa miesiące z góry. Żegnając się z nią powiedział:

— Odwagi, moje dziecko, odwagi i męstwa! Powinnaś go mieć duży zapas, bo potrzebujesz go nie tylko dla siebie, ale i dla rodziców. Bierzesz na barki niemały ciężar, ale mam nadzieję, że mu podłazysz. Masz charakter!

Helenka blado uśmiechnęła się na te słowa. Wszyscy teraz przyznawali, że ma charakter...

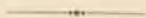
Żegnano ją bardzo serdecznie. Dziadek dowiedziawszy się, co zaszło, błogosławił na drogę, Wanda uściśkała po siostrzanemu, a gdy z kolei Andrzej zbliżył się do niej, przypomniała sobie o żebraku i jego groźbie i opowiedziała mu swoje obawy.

— Śmiał więc jeszcze napastować panią, ten nędznik! — szepnął marszcząc brwi. — Bądź pani spokojna, nie ja jego, ale on mnie obawiać się potrzebuje. Ale jak pani jesteś dobrą, że mając sama ciężkie zmartwienie, mną się jeszcze zajmujesz...

Słowa te tak niezwykle u niego, wywołały słaby rumieniec na jej lica. Skinęła mu głową i powóz ruszył z miejsca.

W kilka godzin potem siedziała już w wagonie.

NA PRZEBÓJ



XXII.

Kto widział Helenkę przed kilku miesiącami przyjeżdżającą do Warszawy, jak oglądała się za lokajem, któryby za nią trzymał jej piękny francuski szal, lekki jak piórko a jednak robiący jej subjekcyę; kto widział jej eleganckie futro, olbrzymie kufrы z mosiężnem okuciem, wyniosłość w jej spojrzeniu a w ruchach pańską niedbałość, nie poznałby jej teraz w skromnem, syberyńowem okryciu i czarnym filcowym kapeluszu, którego jedyną ozdobą była tylko opasująca go wstążka. Nie miała z sobą żadnych pakunków prócz dużego worka podróżnego ze skrzyneczką u dołu, a i ten choć za ciężki na jej słabe siły, sama zaniósła sobie do wagonu trzeciej klasy, bo posługaczom kolejowym płacić trzeba za usługę, a ona potrzebowała bardzo oszczędzać. Wiozła wprawdzie sporą sumkę pieniędzy, otrzymaną ze sprzedaży bransoletki, broszki, kolczyków, łańcuszka od zegarka i kilku kosztownych drobiazgów, przy pomocy pani Radliczowej — ale suma ta przeznaczona była na zapłacenie różnych drobnych długów państwa Oreckich i ani jeden grosz z niej nie mógł być uронiony. Pańska niedbałość widoczna niegdyś w jej ruchach, ustąpiła miejsca spokojnej godności; w oczach zamiast rozmarzenia poetycznego, a bezcelowego, jaśniała myśl samowiedna i świadoma celów, do jakich dążyła. Na twarzy bę

dącej wówczas piękną białą kartą, życie wypisało już swoją moralną cyfrę.

Ale że nikt nie pozbywa się zupełnie swej dawnej natury, więc też Helenka znalazłszy się w towarzystwie ludzi uboższych, których zachowanie się nieco krzykliwe i rubaszne, ubiór niezbyt estetyczny, a zapasy żywności mocno woniejące raziły jej zmysł estetyczny, doznała wielkiego niezadowolenia — ale niezadowolenie to nie trwało długo. Cel, w jakim odbywała podróż, wkrótce odwrócił jej myśli w inną stronę. Nazwisko sprawcy nieszczęścia rodziców nie wychodziło z jej głowy ani na chwilę, powtarzała je sobie ciągle i usiłowała przypomnieć, czy widziała go kiedy u ojca. Ale w kantorze pana Marcina tyle bywało interesantów, że choćby go nawet widziała, to nie mogła jego twarzy zapamiętać. Zaglądała ona nieraz do kantoru, zwłaszcza gdy chciała ojca wyciągnąć na śniadanie lub obiad — i wówczas pan Marcin przedstawiał jej znajomych sobie bliżej obywateli, których zaraz do jadalni prowadził. Tecki prawdopodobnie zasiadał nieraz przy jego stole... Kolejno przebiegała pamięcią wszystkie postacie, jakie widziała kiedykolwiek, zatrzymując się przy każdej... Ach! czy to nie ten, co ścisnął ojca tak serdecznie na balu u stryja Bartłomieja?

I przed oczyma jej stanęła wyraźnie postać szlachcica średniego wzrostu, ze szpakowatymi krótko przyszywonymi włosami, okazałymi wąsami, twarzą zwiędłą i małemi, niespokojnemi oczyma. Przypomniła sobie, jak się przechadzał po gabinecie stryja, z rękami włożonemi w kieszenie spodni i niecierpliwie gryzł trzymane w zębach cygaro — a przecucie powiedziało jej, że to on. Myśl pracująca ustawicznie w tym kierunku, przypomniła jej powoli i inne okoliczności, o których nawet nie wiedziała, że zaznaczyły się kiedyś w jej umyśle — a mianowicie nazwisko jego majątku, fakt, że majątek ten był bardzo obdłużony, i że Tecki miał bogatego ojca, który mu niechciał dać ani grosza; wreszcie że ojciec ten

posiadał duży dom w mieście gubernialnem. Wiadomości te pojedyncze, oderwane i nie mające pozornie żadnej dla niej wagi, zajmowały ją jednak i grupowały się w jej umyśle, jedna obok drugiej.

Pociąg pędził jak strzała: domki drózników, słupy telegraficzne mijały szybko; Helenka mówiła sobie, że jest coraz bliżej celu swej podróży, a jeszcze żadnego planu postępowania sobie nie ułożyła. Upłynęło tak kilka godzin, i pociąg zatrzymał się na stacyi, gdzie musiała wysiąść, żeby dalszą drogę odbyć kuryerką.

Wziąwszy swój worek w rękę, udała się prosto do sieni, gdzie przy okienku siadał zwykle urzędnik pocztowy i zapisywał pasażerów — ale okienko było zamknięte, a stojący przy niem posługacz kolejowy objaśnił ją, że otworzy się dopiero za dwie godziny, bo kuryerka nie prędzej odejdzie. Usiadła na kanapie podejrzanej trochę czystości i myślała, co będzie robiła przez te dwie godziny, bo zapomniała wziąć z sobą cokolwiekby do czytania. Słuchała tymczasem gwaru osób rozmawiających głośno, między którymi służba roznosiła przekąski i napoje.

Sala wypróżniła się powoli z podróżnych, pociąg ruszył dalej, a ci co mieli jechać bocznemi drogami rozjechali się także. Dym tytuniowy pozostały po pasażerach wytworzył atmosferę duszną i ciężką. Wstała więc i przeszła na drugą stronę dworca, chcąc odetchnąć trochę świeżem powietrzem i wyprostować nogi przechadzką po szosie. Przed samemi drzwiami dworca stał piękny otwarty powóz zaprzężony we dwa siwe konie, ubrane w nowe angielskie szory. Woźnica w granatowej liberyi siedział na koźle i raz po raz spoglądał na drzwi, jak gdyby kogoś oczekiwał. Helenka namiętnie lubiąca konie i mająca nawet pewne wyobrażenie o rasach, z upodobaniem przypatrywała się przez chwilę temu zaprzęgowi i machinalnie prawie spytała:

— Czyje te konie?

— Pana Teckiego z Komnat, proszę wielmożnej pani — odpowiedział woźnica uchyłając czapki.

Helenka na dźwięk tego nazwiska doznała wstrząśnienia, jakby od iskry elektrycznej.

— Gdzie jest twój pan — spytała głosem, którego brzmienie było suche i ostre.

— Mój pan w domu, a ja tu przyjechałem po jedną panią z Warszawy. Ale stoję i stoję i nikogo nie widać; widno już dzisiaj nie przyjedzie. A może to wielmożna pani jest ta pani, co miała do nas przyjechać? bo ja już chodził i szukał i pytał się i żadnej innej pani tam niema.

Słowa woźnicy nasunęły Helence myśl, która w jednej chwili stała się czynem. Spojrzała na drogę, gdzie przed chwilą jeszcze stały dwie bryczki, teraz już pustą, na zegarek, zeszła szybko ze schodów i wsiadła do powozu, rzuciwszy woźnicy jedno tylko słowo:

— Jedź!

— A rzeczy, proszę wielmożnej pani, czy się nie odbiorą dzisiaj?

— Nie — odpowiedziała lakonicznie — jedź, a spiesz się!

I wsunęła się wglęb powozu. Woźnica trzasnął z bata i powóz potoczył się szybko po równej, żwirowej drodze. Nie wątpił ani na chwilę, że wiezie osobę, po którą przyjechał — a gdyby nawet był miał wątpliwość, to stanowczość, z jaką wydała mu rozkaz, usunęłaby ją natychmiast. A jednak ta pewność siebie i ta stanowczość opuściły Helenkę, jak tylko powóz ruszył z miejsca, a zaczęły ją dręczyć wątpliwości i niepokoje, właściwe ludziom nie przywykłym do samodzielnego działania w okolicznościach ważnych, zmuszających ich do nagłej decyzji. Zapytywała siebie, czy zrobiła dobrze i czy napisanie listu w tej sprawie nie byłoby zupełnie wystarczającym; bo pan Tecki prawdopodobnie nie wie, do jakiej ostateczności rzeczy doszły — a gdyby wiedział, byłby nieuczciwym, gdyby temu nie chciał zapobiedz. Gdy

się jest młodym, wierzy się w uczciwość ludzką tak chętnie i tak łatwo! Kilka razy myślała, czy nie lepiej byłoby kazać zawrócić; ale nie wydała tego rozkazu, bo jednocześnie inne głosy szeptały jej, że to widocznie Opatrzność zesłała powóz Teckiego i że dobrze uczyniła korzystając z tej sposobności.

Powóz z szosy zjechał na drogę boczną wysadzoną ogołoconemi z gałęzi wierzbami. Helenka patrząc na nie układała sobie w myśli, co powie, gdy się znajdzie wobec Teckiego; słyszała jego usprawiedliwiające się odpowiedzi i cieszyła się nadzieją pomyślnego skutku swej wycieczki. Wśród tej nadziei, ni stąd ni zowąd przychodziło jej do głowy przypuszczenie, że bytność ta będzie krokiem daremnym: ogarnęło ją zniechęcenie, apatya i przestała zupełnie myśleć o tem wszystkim, a patrząc na wierzby ogołocone z gałęzi myślała znowu, że te biedne drzewa wypuszczają jednak nowe wici i że niema położenia, z którego przecież nie byłoby jakiegoś wyjścia.

Gdy powóz zatrzymał się przed dużym oszklonym ganikiem dworu, wszystkie wątpliwości i niepokoje opuściły Helenkę. Wróciła jej nagle pewność siebie, stanowczość i odwaga. Służącego, który przybiegł otworzyć drzwiczki i pomagał jej wysiąść, spytała zaraz o pana, a otrzymawszy wiadomość, że pan jest w domu, tylko wyszedł do ogrodu, kazała go poprosić. Służący wpuścił ją do salonu i poszedł spełnić zlecenie.

Helenka usiadła, ale coś ją podrywało, więc wstała i zaczęła się przechadzać. Patrząc na piękne obicia na meblach, na kosztowne kobierce i nowy palisandrowy fortepian, mówiła sobie, że niepodobna, aby człowiek mający dom tak elegancko urządzony, nie mógł zapłacić tak niewielkiego stosunkowo długu. Stała przy oknie i patrzyła na ogród zachynający się pokrywać zielonością, ale zaniedbany, ścieżki bowiem były zarosłe trawą, a grządy nieskopane. Postać

idąca koło okna zasłoniła jej widok: był to mężczyzna średniego wzrostu, z dużymi wąsami. Z pod czapki wyglądały mu szpakowate, krótko przystryżone włosy; ręce miał włożone w kieszenie surduta, a w zębach trzymał cygaro. Był to on. Poznała go odrazu, i jednocześnie misya, z jaką tu przybyła, wydała jej się dziwnie ciężką, a wszystkie słowa, jakie sobie naprzód ułożyła, z głowy jej uciekły.

Nie miała ich czasu gonić, bo otworzyły się drzwi salonu i wszedł Tecki. Oczy ich spotkały się, i na jego twarzy odmalował się zawód, zdziwienie i ciekawość — a na jej, chęć przeniknięcia na wskroś tego, który stał przed nią. Tecki odezwał się pierwszy.

— Powiedziano mi, że moja kuzynka przyjechała, tymczasem widzę, że zaszła tu pomyłka. Pozwoli pani zapytać się, kogo mam zaszczyt witać w moim domu?

— Jestem córką Marcina Oreckiego z M. — odpowiedziała, badając wrażenie, jakie te słowa na nim uczynią.

Tecki ukłonił się.

— Otrzymawszy w Warszawie wiadomość o katastrofie grożącej memu ojcu, postanowiłam niezwłocznie widzieć się z panem i puściłam się w podróż, a nie zastawszy na stacyi żadnej furmanki, pozwoliłam sobie skorzystać z pańskiego powozu, który próżno powracał.

Tecki ukłonił się powtórnie.

— Bardzo mi przyjemnie — mruknął zmieszany trochę temi słowy — ale... radbym wiedzieć, czem pani mogę służyć. Co pani rozkaże?

Słowa te oburzyły Helenkę. Jakto! ten człowiek wiedział, kto ona jest i nie domyślał się celu jej wizyty? Już chciała wybuchnąć, ale przypomniały jej się słowa Andrzeja: „uniesienie odejmuje myśli jasność i siłę” — zapanowała więc nad swoim wzburzeniem i rzekła spokojnie:

— Nie przybyłam tu rozkazywać, tylko zawiadomić pana, że Ofman poszukuje na moim ojcu, jako na poręczy-

cielu, sumy, którąś mu pan winien, i że uzyskawszy wyrok sądowy, chce sprzedać nasze ruchomości przez licytację.

— Niech pani temu nie wierzy: — odrzekł Tecki przygryzając wąsy — ojciec to sobie gorzej wyobraża niż jest. Te rzeczy się tak prędko nie robią. Niech pani będzie spokojna, wszystko będzie dobrze.

— Mówisz pan do mnie, jak do dziecka — przerwała Helenka głosem, w którym czuć było powstrzymywany gniew. — Pan wiesz aż nadto dobrze, że sprawa jest poważna i że nie godzi się ani z niej żartować, ani zbywać ogólnikami.

Tecki spojrzał na mówiącą ze zdziwieniem.

— Choćby tak było — odrzekł — to cóż ja na to mogę poradzić?

Błyskawice zamigotały w oczach Helenki.

— Jakto! — zawołała — i pan się o to pytasz! Pan, sprawca naszego nieszczęścia?

— Ależ niech się pani zastanowi... Co pani chcesz, żebym zrobił? Skądże wezmę pieniędzy dla Ofmana, kiedy nie mam ani grosza?

— Pożycz pan.

— Nie znajdę tak głupiego.

— Nie masz pan pieniędzy, ale pan masz majątek.

— Majątek mój już do mnie nie należy — odpowiedział — sprzedaje go Towarzystwo Kredytowe za zaległe raty pożyczki, a ja jestem tu tylko administratorem czasowym. Po sprzedaży zapłacę Ofmanowi com winien.

— Tak — rzekła ironicznie — a tymczasem my będziemy zrujnowani!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Jeżeli pan nie masz majątku, to masz konie, powóz, meble, fortepian. Sprzedaj je pan i zapłać choć połowę tego, coś winien.

— A to naiwna — myślał Tecki — chce, żebym dla jej ojca wyprzedał się do ostatniego grosza i oddawał kosztowne sprzęty za półdarmo. — Moja pani — rzekł głośno — te rzeczy są własnością mojej żony, a ja nie mam prawa niemi rozporządzać.

Helenka zarumieniła się z oburzenia.

— Alboż żona pańska nie powinna ponosić ciężarów męża dla ocalenia jego honoru? Czyż żona pańska zniesie spokojnie myśl, że są ludzie, którym się dzieje krzywda z powodu jej męża, gdy mogłaby choć w części tę krzywdę wynagrodzić? Zaprowadź mnie pan do swojej żony, pomówię z nią.

— Źle się pani wybrała — odrzekł ironicznie — moja żona nie mieszka tu od roku; leczy się za granicą. A choćby i mieszkała, to dowiedz się pani, że żona nie jest obowiązana płacić długów męża, a jeżeli jej suma posagowa jest zhipotekowana na majątku, to ona jest najpierwszą wierzycielką po Towarzystwie i inni odbierają swoje należności o tyle tylko, o ile się po zaspokojeniu jej pretensyi zostaje. Tak chce prawo.

— Ach! — jęknęła.

— Otóż to, tak jest zawsze, gdy kobiety chcą rozprawić o tem, czego nie rozumieją. Lepiejby pani zrobiła nie mieszając się do interesów. To rzecz męczyzn.

Helenka zmierzyła go od stóp do głów.

— Bądź pan łaskaw nie zapominać się — rzekła wstając — nie pańską jest rzeczą uczyć mnie, co czynić powinienam. Widzę, że zrobiłam krok daremny, ale liczyłam na pańską szlachetność... Sądziłam, że człowiek uczciwy nie zniesie, żeby z jego przyczyny wydzierano resztki mienia temu, kto mu podał pomocną rękę w potrzebie. Widzę, że się omyliłam. Korzystając z mojej nieświadomości i niedoświadczenia, powiedziałeś mi pan różne rzeczy, którym nie wiem czy mogę

wierzyć... ale postaram się o tem przekonać i powrócę tu jeszcze. Tymczasem żegnam pana.

Skinęła mu głową ruchem wyniosłym, pogardliwym nie małym, i wyszła. Tecki stał chwilę nieruchomy.

— A to wścibska dziewczyna, — szepnął do siebie, szarpiąc wąsy — lichy nadało, że posłałem powóz na stacyą! Ale muszę ją przecież odesłać, bo piechotą nie pójdzie.

Zadzwoił na służącego i kazał prędko zaprzęgać. Chciał wybiedz za nią, żeby ją dogonić, ale po chwili namysłu posłał lokaja; lokaj jednakże powrócił wkrótce sam z wiadomością, że »ta pani powiedziała, iż sobie znajdzie furmankę na wsi«.

— Ależ to nie może być! — zawołał pan Tecki, targając wąsy z gniewem — rozniesie się jeszcze po okolicy, żem jej nie chciał dać furmanki, żem gbur i Bóg wie nie co! Kiedyż tam Józef wygrzebie się z tym zaprzęgiem, do wszystkich dyabłów! Sam pojedę i będę prosił, żeby nie robiła głupstwa...

Ale gdy powóz zaszedł, pan Tecki zmienił zamiar. Po wtórne spotkanie się z tą dziewczyną było mu nader nieprzyjemne i wołał go uniknąć. Kazał więc wsiąść do powozu swemu pisarzowi, który się właśnie nadarzył i polecił mu »prosić usilnie i z największem uszanowaniem młodej damy, aby wyświadczyła mu tę łaskę i przyjęła jego powóz«.

Ale i to poselstwo wróciło z niczem po upływie kwadransa: pisarz zdając sprawę swemu panu powiedział, że spotkał tę panią już za wsią, jadącą wozem Wojciecha Rataja, że kazała panu Teckiemu podziękować i nie dodała ani słowa więcej. Tecki słuchając tego poczerwieniał.

— A to harda dziewczyna! — mruknął do siebie — czy ona chce, żebym ją po rękach całował, czy co? Nie, to nie! Niech spróbuje jak to przyjemnie siedzieć na wozie bez resorów! Ale zuch, jak Boga kocham, zuch! Ktoby się spodziewał, że ten niedołęga Marcin ma taką córkę. Widzia-

tem ją przecież na balu u Bartłomieja i nie wyglądała na to, czem jest: myślałem, że taka sama lalka, jak wszystkie.

XXIII.

Furmanka Wojciecha Rataja nie należała do najgorszych: wóz był mocny, drabiniasty, we dwa półkoszki — a na siedzenie Rataj nie żałował słomy i okrył je derką we dwoje złożoną, sam usiadłszy na worku z obrokiem. Jeden tylko koń ciągnął ten ekwipaż, ale wyglądał nieźle, i szedł rażno nie zważając ani na doły i wyboje, których było niemało, ani na kamienie, których też nie brakowało. Wóz podskakiwał ustawicznie, mijając zwycięsko i przebojem wszystkie przeszkody, a Helenka musiała się trzymać ręką kłonicy, żeby nie wylecieć. Od wschodu zerwał się wiatr i wiał jej prosto w oczy, smagając twarz ostrem swoim dotknięciem. Na niebie zaczęły się zbierać chmury, ptaki latały nisko nad ziemią, a w powietrzu czuć było niepokój. Powóz byłby ją przynajmniej trochę od wiatru osłonił, ale wołała narazić się na wszelkie niewygody, na zziębnięcie i przemoknięcie nawet, niż przyjąć grzeczność od człowieka, po którego zachowaniu się widziała, że miał złą wolę względem jej ojca i że mógłby nie dopuścić jego ruiny, gdyby chciał tylko. Ale nie chciał tego uczynić.

Z razu w duszy jej panowało straszne wzburzenie, ale pamiętna słów Andrzeja, zapanowała nad niem wielkim wysiłkiem woli. Zaczęła nanowo rozważać położenie, i powiedziała sobie ze smutkiem, że naopróżno strawiła czas i pieniądze na furmankę, bo sprawy nie posunęła wcale, a ubyla jej nadzieja, którą poddał jej sam Andrzej i która ją podtrzymywała dotąd. Ale czy istotnie krok ten był stracony?

Czy ta strata nadziei nie była zbawiennem pozbyciem się złudzenia? Straciła czas i pieniądze, ale zyskała jedno więcej doświadczenie — tak przynajmniej powiedziałby Andrzej, i dodałby jeszcze, że charakter nabierze przez to siły.

Gorzki uśmiech przewinął się po jej ustach.

Wiedziała już teraz, że nie może liczyć na dobrą wolę Teckiego; czy jednak niema sposobu zmuszenia tego człowieka, żeby oddał co winien? Ale jak go zmusić do tego, jak? Była pewną, że kłamał, ale nie mogła mu dowieść kłamstwa... Należałoby się dowiedzieć, jakie gdzie posiadał fundusze i takie dopiero dowody stawiawszy mu przed oczy, domagać się zwrotu pieniędzy. Jak zebrać te wiadomości? gdzie ich szukać? u kogo? Na wszystkie te pytania nie było odpowiedzi. Przyszłość przedstawiała jej się jako zagadka, której nie umiała, nie była w stanie rozwiązać — a jednak powinna była nie tylko szukać tego rozwiązania, ale je znaleźć, nie czekając na żaden traf szczęśliwy, mogący jej rozwiązanie dać w ręce. Nie było na to czasu. — »Licz pani na siebie tylko, mówił Andrzej«. — Mój Boże! tylko na siebie... a ona czuła się tak słabą wobec trudnego zadania, jakie podjęła, a rozmowa z Teckim zmęczyła ją śmiertelnie, choć to dopiero początek jej działania! Cóż będzie dalej! A tu znikąd, w którąkolwiek stronę zwróciła myśl, nie mogła spodziewać się pomocy...

— »Licz pani na siebie tylko« — powtórzyła machinalnie i westchnęła. — O Boże! — szepnęła, podnosząc wzrok ku niebu — Ty mi dopomóż! bo jeżeli Ty nas nie wyratujesz, jeżeli nie uczynisz cudu, to nikt...

Ale przypomniały jej się znowu słowa: »Bóg pomaga tym tylko, co sami sobie pomagają. Nie powinniśmy żądać od Niego, żeby odrabiał za nas robotę, a sami ręce opuszczać leniwie« — i zadumała się, poczem prosiła Boga już nie o ratunek cudowny, ale o rozum potrzebny do działania i o siłę, której nie miała, a potrzebowała tak bardzo. Tecki

powiedział, że kobiety mieszają się do interesów, których nie rozumieją. Może miał słuszość... Przedewszystkiem powinna się starać dobrze zrozumieć interes — a to mogło nastąpić tylko w domu.

Przybywszy na stacyę kolei, Helenka dowiedziała się, że kurjerka odeszła już przed godziną. Zmartwiona tem bardzo, weszła w układy z furmanem, żeby ją odwiózł aż do domu; on też nie był od tego, tylko położył za warunek, żeby koń trochę podjadł i wypoczął. Szczupłe jej fundusze nie pozwalały na wynajęcie droższej furmanki.

Teraz dopiero przypomniała sobie Helenka, że od śniadania nic w ustach nie miała i uczuła coś nakształt głodu. Wyjęła z worka paczkę daną jej przez Wandę przy wyjeździe i rozwinęła ją; znalazła dwie kuropatwy pieczone, butelkę wina, chleb wiejski i kilka pomarańcz. Kuropatwy były ulubionym przysmakiem pani Oreckiej — to też Helenka wiedząc, że teraz matka rzadko je jadać może, postanowiła zawięzić je do domu w całości. Po namyśle schowała także do worka wino i pomarańcze, zadowoliwszy się zupełnie dwoma kawałkami chleba, nasmarowanego wybornem świeżem masłem — i szklanką gorącej herbaty.

Deszcz zaczął padać, gdy ruszyli w dalszą drogę. Zjeżdżali powoli w niziny przerzniete rzeką spławną i nawiedzane od czasu do czasu mniejszymi i większymi wylewami. Helenka patrząc machinalnie przed siebie, widziała najprzód wąskie, białe paseczki wody pomiędzy brózdami świeżo zoranego pola, potem rowy pełne po obu stronach drogi, potem całe szeregi większych i mniejszych jezior i stawów, rozlewające się po polach i łąkach. Po drodze tu i owdzie spotykali gromadki ludzi rozmawiających z sobą i widocznie zafrasowanych.

— Rzeka wylała — rzekła do siebie Helenka zaniepokojona tymi wszystkimi symptomatami, myśląc o domu rodziców, stojącym także nad wodą i obawa o nich zatrwożyła

jej serce. Bulwark wprawdzie bronił go od wody, ale od roku zepsuty był w kilku miejscach, a ojciec nie kazał go naprawiać.

W miejscu, gdzie droga do M. schodziła się z drogą wiodącą do miasta gubernialnego, na zakręcie mijał ich konny posłaniec, ale Rataj spojrzawszy mu w twarz, zawołał na niego:

— A to gdzie?

— Do was, z listem.

— A bo stało się co?

— Stary pan umarł...

— Kiedy?

— Wczoraj.

— To ci dopiero, — mruknął Rataj — taki był jeszcze zdrowy! Ktoby się spodziewał, że tak prędko nogi wyciągnie!

Posłaniec ruszył dalej, a Rataj powtórzył jeszcze kilkakrotnie: »To ci dopiero« — przyczem obejrzał się na młodą panią, którą wioził, zdradzając tem ochotę zawiązania z nią rozmowy, ale ona nie okazywała wcale chęci do tego. Tak była zamyśloną, że ledwie zauważyła tę krótką wymianę słów, które jak puste dźwięki koło jej uszu przepląnęły.

Wieczór już był, gdy Helenka dojeżdżała do M. Miasteczko leżało w obszernej dolinie, z jednej strony otoczonej wzgórzami, z drugiej objętej w ciemne ramy lasów. Kraj to był piękny, żyzny; ziemia czarna i złotodajna, chociaż nie wyzyskana należycie. Rzeka szeroka, spławna, co rok występowała z brzegów i zalewała ogrody miejskie, łąki i najbliższe pola, a ludzie tak się już do tych wylewów przyzwyczaili, że przyjmowali je jako rzecz zwykłą i z godną podziwienia obojętnością znosili zniszczenie swoich zasiewów. Chaty nowe budowali na miejscu starych, choć wiedzieli, że co wiosna będą musieli wynosić się z nich do dalszych sąsiadów — a po każdym wylewie pocieszali się nadzieją, że

»na przyszły rok będzie lepiej«. To »lepiej« zdarzało się od czasu do czasu; ale bywały lata, w których rzeka nie ograniczała się na najbliższych, graniczących z nią miejscowościach; co pewną lat liczbę, koryto jej tak wzbierało, że mieszkańcy wybrzeża tracili nie tylko zasiewy, ale mienie i dobytek, a po ulicach miasta jeżdżono łódkami.

Droga bita, wiodąca do M. wzniesiona była na kilka łokci nad poziom, i w tej chwili spuszczała się ze wzgórza w dolinę. Siedząc na wozie, Helenka miała cały krajobraz jak na dłoni. Miasteczko wyglądało niby wyspa na morzu, a gromada statków z podniesionymi masztami i kolorowymi flagami, nadawała mu pozór handlowego nadmorskiego portu. Wiatr silny dął od wschodu, a pędzone nim bałwany leciały groźne, spienione, niosąc na sobie kawałki drzewa, gałęzie, deski pojedyncze i różnego rodzaju drobne, trudne zdaleka do odróżnienia przedmioty. Helenka zmęczona ciągłym zasłanianiem się od wiatru i niewygodnym siedzeniem bez oparcia, z niecierpliwością wyglądała końca swojej podróży. Zdaleka ujrzała most, od którego już tylko wiorsta była do miasta, bo rzeka miała trzy odnogi i przez trzy mosty aż trzeba było przejeżdżać; cieszyła się, że jest tak blisko, gdy woźnica obracając się ku niej rzekł:

— Widzi mi się, proszę pani, że woda most zepsuła, bo kręcą się koło niego ludzie, a fura co przed nami jechała, zawróciła się nazad.

Helenka stanęła na wozie i wyteżyła wzrok. Zmrok zapadający nie pozwolił jej dobrze widzieć szczegółów, zdołała jednakże dojrzeć, że środkowe przęsło było wyrwane i tylko pale z niego zostały. Jeszcze patrzyła chcąc się lepiej upewnić, gdy wieśniak powracający z furą, zawołał na nich:

— Nie przejeździecie, bo woda most zerwała.

Helenka pobladła.

— A jednak ja muszę się dziś dostać do miasta, muszę — myślała. — Mój przyjacielu — rzekła do Rataja —

rzeka jest w wielu miejscach tak płytka, że można ją z łatwością przejść w bród. Dwa razy przejeżdżałam przez nią powozem. Ci ludzie, co tam stoją przy moście, powiedzą wam, którędy jechać najbezpieczniej.

Rataj nie odpowiedział ani tak, ani nie — ale gdy przybyli do mostu, oświadczył, że ani myśli jechać przez rzekę, choćby mu góry złota dawała; zestawił na ziemię jej worek, zażądał pieniędzy i otrzymawszy je, odjechał. Helenka została sama.

Stała tak na wybrzeżu patrząc na przechylone przęsło, na zerwane łańcuchy i mierzyła oczyma przerwę dzielącą jedną połowę mostu od drugiej: była ona nazbyt szeroka, aby można myśleć o przebyciu jej jakimkolwiek bądź sposobem...

Chłodne powietrze przenikało ją do kości, wiatr miotał przemokłą jej suknię i chciał zerwać woalkę, a ona ciągle stała mierząc oczyma przestrzeń, której przebyć nie mogła. Gromadka ludzi stojących na brzegu szeptała do siebie pocichu, wzruszała ramionami, ale żadnej rady jej nie dawano, bo nie wiedzano co radzić. Z tych szeptów dowiedziała się Helenka, że kuryerka przeszła szczęśliwie przed godziną i że dopiero w chwilę potem się to stało. Stary jeden wieśniak powiedział jej, że mieszka niedaleko stąd i zaproponował, żeby u niego przenocowała, a jutro niezawodnie znajdzie się jakaś łódź, co ją przewiezie na drugą stronę.

— Patrzcie no kumie, — odezwał się drugi — wszakże to łódź płynie w tę stronę! Łódź porządna, z siedzeniem, a żagiel ją pcha do nas.

Zaczęto wołać, dawać znaki i łódź zbliżyła się do brzegu. Stał w niej człowiek barczysty, średniego wzrostu, w krótkim watowanym surducie, z pod którego wyglądał niebieski, włóczkowy kaftan. Policzki miał rumiane, żółtawy zarost po bokach twarzy, a w rękach trzymał nieodstępującą go nigdy porcelanową fajeczkę. Był to Ofman, który mając dużo obrobionego drzewa złożonego na wybrzeżu, przyjechał obej-

rzeć, czy mu nie grozi niebezpieczeństwo. Widział on zdaleka wóz odjeżdżający i domyślił się, że ktoś co nim przyjechał, nie może się dalej przedostać. Wołania zbliżyły go do brzegu.

— Przewieźcie tę panienkę na drugą stronę, panie Ofman — odezwał się jeden.

— Przewieźcie, przewieźcie! — wołali drudzy — w łodzi jest dosyć miejsca na dwoje.

Ofman obrócił oczy na tę, dla której żądano od niego przysługi i twarz jego rozjaśniła się jowialnym, rubasznym uśmiechem.

— Co ja widzę, panna Orecka? Guten Abend, dobry wieczór.

Tu nastąpiło charakterystyczne kiwnięcie głową, bez zdjęcia czapki.

— Odjechała panna powozem, a wozem powraca? Was ist das? Nie znalazło się męża w Warszawie? Ha, ha, ha! Czy to brakuje kawalerów w M., he? Ja sam mam aż dwóch siostrzeńców, tęgich i zdrowych chłopaków. No, steigen Sie Fräulein, steigen Sie ein! Niech panna siada. Ojciec panny nie może na mnie patrzeć, ale ja nie mam do niego urazy. O, nein, Gott behüte! a ładnej kobiecie zawsze lubię grzeczność zrobić. Steigen Sie ein. A gdzie panny rzeczy? Co, tylko ten worek? Gdzie się podziały te wielkie kufry, co je panna stąd wywiozła? Ej, czy tylko nie było w nich sreber i kosztowniejszych rzeczy? Może je ojciec panny wysłał z domu, żeby się nie dostały Ofmanowi! No, steigen Sie ein. Niech panna siada.

I postawiwszy jedną nogę na brzegu, wyciągnął rękę, żeby jej pomódz wejść do łodzi — ale Helenka cofnęła się. Błada jej twarz pobladła jeszcze bardziej, usta drżały.

— No, was ist das? Nie bój się panna, łódź się nie przechyli. Śmiało, śmiało — zachęcał Ofman. — Co to, nie chcesz panna wsiąść?

— Tak jest, nie chcę — odpowiedziała głosem na po-

zór spokojnym, w którym jednak Ofman poczuł coś niedobrego. — Nie chcę przyjmować przysługi od człowieka, nieumiejącego uszanować kobiety. Jak pan śmiesz mówić do mnie w sposób ubliżający o moim ojcu? Jedź pan sobie sam, jedź! Wolę tu zostać, niż zawdzięczać panu cokolwiek-bądź!

Ofman spojrzał na nią z osłupieniem.

— Was ist das? Co ona gada? Co ona ode mnie chce? Panna się gniewa? Warum? Gniew piękności szkodzi. No, nie rób panna grymasów i spiesz się, bo nie mam czasu czekać.

Ujął ją za rękę, ale Helenka wyrwała mu ją z gniewem.

— Nie dotykaj mnie pan! — zawołała z iskrzącymi oczyma. — Nie chcę wcale jechać pańską łódką; nie chcę mieć z panem nic do czynienia, nic. Czyś mnie pan zrozumiał?

Teraz Ofman pojął nareszcie znaczenie jej słów; flegma jego i jowialność prysnęły.

— Będziesz ty jeszcze miała ze mną do czynienia, ty i twój ojciec, głupia, harda dziewczyno! — krzyknął ze złością. — Popamiętacie mnie oboje. Sehen Sie, nie ma co jeść, a dumne to jak księżniczka. Dumme, verfluchte Polin!

Wziął wiosło, odbił od brzegu i łódź zaczęła się szybko oddalać, a stało się to w samą porę. Wieśniacy, którzy z początku przypatrywali się temu spokojnie i z ciekawością, widząc, że Niemiec groził Helence, poczęli obsypywać go potokami energicznych klątw i wymyślań. Nienawiść plemienna, potrzebująca tylko sposobności, żeby wybuchnąć, znalazła tu swobodne ujście. Niewiele brakowało, żeby się wzięli do kamieni.

Stary wieśniak, ten sam, co jej już raz nocleg proponował, zdjął teraz przed nią czapkę i zapytał:

— Jakże będzie, panienko? Pójdziecie chyba ze mną,

bo tutaj nie możecie czekać do rana. Przeziębniecie jeszcze, a widzi mi się żeście chorzy.

Helenka ujęła jego rękę i ścisnęła z wdzięcznością.

— Dziękuję wam, mój przyjacielu, za waszą dobroć — rzekła serdecznie — ale widzicie, ja muszę dziś być w mieście. Idźcie do domu i nie troszczcie się o mnie; ja tu zaczekam. Widzicie te berlinki, stojące tam na prawo? Każda z nich posiada przynajmniej dwie łodzie. Zobaczą mnie i przysła tu jedną.

Zaczęła powiewać białą chustką i wkrótce od strony statków wysunęła się łódź na środek rzeki i skierowała ku brzegowi. Helenka dotąd trzymająca się na nogach, gdy ujrzała nareszcie zbliżający się cel swoich życzeń, ową łódź mającą ją przewieźć, uczuła, że ją siły opuszczają. Tyle wzruszeń i trudów, przebytych jednego dnia podcięły ten wątły organizm i wyczerpały go, a rozmowa z Ofmanem dopełniła miary. Chwiejnym krokiem weszła do łodzi i gdy kilka uderzeń wiosła oddaliło ją nieco od brzegu, szare kręgi zaczęły się zataczać przed jej oczyma i padła zemdlna na ręce wioslarza.

XXIV.

Gdy się przebudziła, oczy jej długo błądziły po otaczających ją przedmiotach, zanim przysła do świadomości gdzie się znajduje. Leżała na łóżku, na miękkich, wygodnych poduszkach i doznawała wrażenia, jakby od czasu do czasu łóżko to razem z miejscem, na którym stało, kołysało się lekko. Ciemno już było i tylko ogień palący się w małym żelaznym piecyku, którego drzwiczki były napół odemknięte, rzucał trochę światła na niski, półokrągły sufit z drzewa ma-



Szare kręgi zaczęły się zataczać przed jej oczyma.

lowanego białą olejną farbą, na miniaturową szafkę z naczyniami stołowymi, na kanapkę i na stolik stojący między dwoma łózkami, wreszcie na lustro wiszące nad kanapą i parę małych ściennych obrazków. Wszystko to, niepojętym sposobem mieściło się na sześciu najwyższych łokciach kwadratowych przestrzeni, a z taką utrzymane było starannością, że ten kawałek podłogi froterowanej, na której najwięcej odblasku palącego się ognia padało, błyszczał jak zwierciadło.

Gdy oczy jej powoli oswoiły się z tem półświatłem, poznała, że się znajduje w kajucie na berlinie. Gdyby miała jaką wątpliwość, utwierdziłyby ją w tem dwa małe, kratami żelaznymi opatrzone okienka, umieszczone po bokach, przez które widać było poruszające się lekko fale wody przy świetle księżyca.

Chciała wstać, ale tak była osłabioną, że nie mogła podnieść głowy od poduszki — dała więc pokój próżnym usiłowaniom. Wiatr ustał, a powietrze tak się uspokoiło i złagodniało, że choć drzwi kajuty były otwarte, żaden powiew oziębiający czuć się nie dawał. Wszystko wróżyło pogodę. Przez te drzwi otwarte Helenka ze swego łóżka widziała małe, drewniane, na stopę wązkie schodki, prowadzące na pomost i niemłodą kobietę w czepku, przewiązanym czarną chustką nad czołem, krzątającą się koło wieczerzy. Miała ona widocznie pod pomostem swoje zapasy spiżarniane i większe naczynia gospodarcze, bo otwierała kilkakrotnie i zamykała jakieś drzwiczki, wsunięte w głąb statku. Promień księżyca padał z boku na sam środek tego wąziutkiego korytarzyka i pokazywał jeszcze konewkę z błyszczącymi obręczami i parę stołków.

Woń gotowanej zupy i kartofli ze słoniną rozchodziła się w powietrzu. Helenka widziała jak kobieta postawiła stół przy schodkach, na stołku miskę i wyłożyła na nią z garnka ugotowane kartofle; jak postawiła obok niej drugą miskę z zupą, położyła dwie łyżki i zawołała zcicha, ale wy-

rażnie na kogoś drugiego. Widocznie przez wzgląd na gościa zajmującego niespodzianie kajutę, wieczerza miała się odbyć na świeżem powietrzu. Wkrótce ciężkie ale ostrożne kroki słyszeć się dały nad głową Helenki, i wysoki, kościsty mężczyzna zeszedł po schodkach. Twarzy jego nie można było widzieć, bo ceratowy daszek czapki do połowy ją zasłaniał, tylko wydatne szczęki i płaskie, szerokie piersi, będące cechą plemienną mieszkańców północnych Niemiec.

— No, będziemy mieli z pewnością pogodę na jutro, — przemówił po niemiecku, zabierając się do jedzenia — a że ładunek oddawna skończony, więc będziemy mogli odpłynąć. Kazałem obejrzeć liny i wszystko przygotować. A cóż tam twoja chora?

— Śpi sobie biedactwo. Raz tylko otworzyła oczy na chwilę, ale wlałam jej w usta dwie łyżki reńskiego wina, i jak zasnęła, śpi ciągle, a tak mocno, że nie słyszała chociaż chodziłam koło niej, paliłam w piecu, gotowałam zupę... Wiesz ty, August, że to jest córka pana Oreckiego, cośmy mu zawsze wozili zboże? Poznałam ją odrazu. Ona przychodziła do nas z ojcem oglądać nasz statek, pamiętasz? A taka była ciekawa! W każdy kąt musiała zajrzeć i dziwiła się, że w takiej małej kajucie znajduje się wszystko co potrzeba. Ale co się to z nią zrobiło? Jezus! Jezus! Taka była świeżutka wręcz jak pączek róży, a teraz jest taka bledziutka... Jak Franz ją z łodzi wynosił, to przelewała mu się w rękach jak umarła.

— Ty widzę, rozmiłowałaś się w tej polskiej dziewczynie, Berta!

— Ach, August, czy jej twarz nie przypomina ci kogoś? Nasza Lina gdyby żyła, byłaby taka sama...

Szyper wzruszył ramionami i wzięwszy łyżkę, zaczął jeść w milczeniu.

— Czy ja tobie mówiłem, Berta, że pan Ofman będzie w tych dniach licytował jej ojca?

Kobieta aż uderzyła w dłonie.

— Ach, Gott! — zawołała z najwyższem zdziwieniem — nie mówiłeś mi tego, August; to pewnie o te pieniądze, co ten nizki, chudy szlachcic od niego pożyczył?

— Ja.

— To dlaczego on nie licytuje szlachcica?

— Jaka ty jesteś śmieszna, Berta! Naco on ma szukać szlachcica daleko, kiedy tego tu ma blisko. Do szlachcica musiałyby jeździć, upominać się, czas tracić i jeszczeby go często nie zastał, bo lata po świecie, a pana Oreckiego ma pod bokiem.

Helenka podniosła się i usiadła na łóżku, żeby lepiej słyszeć.

— Ale to jest niesprawiedliwie! Mein Gott, to bardzo niesprawiedliwie, żeby ten musiał oddawać pieniądze, co ich nie pożyczał, a ten co je pożyczał chodził sobie swobodny! Ach, biedny człowiek...

— A kto mu kazał ręczyć?

— To prawda, — odrzekła kobieta — on bardzo nierozsądnie zrobił.

— To było zrobione głupio, — zdecydował mąż — to jest taki dobry człowiek, że każdy z nim robi co chce, a na interesach tak się zna, jak baba na wojnie.

— Ale pewnie będzie wolał zapłacić, niż dopuścić do licytacji?

— Co ty gadasz? Z czego on zapłaci, kiedy piekarz mi mówił, że już drugi miesiąc nie płacą mu za bułki.

— Taki piękny majątek i tak zmarnować! Co to za ogród, jaki dom, co za śpichrze!

— Nie widziałas to, jakeśmy zimowali w jego przystani, co tam zawsze przychodziło różnych włóczęgów po wsparcie? a on ani pytał kto i skąd, tylko ręce trzymał w kieszeni, a dawał. A co my im to naprzywozili z Prus aksamitów, materyi, szkła, porcelany i różnych różności! Pa-

miętasz ten serwis, coś go to między węgle schowała, jakżeśmy przejeżdżali przez komorę? Przy takim gospodarstwie jeszcze większy majątek stracić można. Kto nie umie rachować, ten zbankrutować musi.

Kobieta pokiwała głową.

— Pan Ofman mówi, że Polacy są narodem skazanym na zagładę i ma słuszność. O! to jest mądry człowiek! Ty nie wiesz, Berta, co on za kolosalny zrobił interes; kupił od jednego szlachcica hurtem las, same stare dęby zdatne na maszty i na budulec — i po obliczeniu wypadło, że z obróbką już kosztować go będą po dwadzieścia kopiejek za sztukę. A co?

— Ach! — wykrzyknęła kobieta z akcentem zachwytu, z którym się łączył głęboki podziw dla rozumu Ofmana.

— Ma on tutaj, — mówił wskazując na czoło — ma. Taka głowa to skarb. Pan Ofman dobrze mówi, gdy powiada, że ten naród musi zginąć. Co on produkuje? Dotąd nazywał się krajem rolniczym i produkował zboże, ale od czasu jak Ameryka dostarcza na targi angielskie tańszego zboża, mało kto już pyta się o zboże polskie, a Indye robią znowu konkurencyę Ameryce i obiecują ceny jeszcze niższe.

— Co ty gadasz, August! Jak to może być, żeby kraje leżące gdzieś na końcu świata mogły dostarczać zboża taniej niż Polska, która ma bliżej do Anglii? Toż sam transport więcej kosztuje!

— Bo widzisz Ameryka ma wielkie, bezużytecznie leżące obszary ziemi, której jeszcze nawozami zasilać nie potrzebuje, bo bez tego rodzą obficie — a Indye znów mają dużo robotnika, i tak taniego, jak go północne kraje Europy nigdy mieć nie mogą. Niezadługo już nikt polskiego zboża kupować nie będzie i Polacy będą musieli zasiewać tylko tyle, ile sami zjedzą. A i to ci powiem Berta, że oni już zaczęli z za granicy zboże dla siebie sprowadzać, bo jest znacznie tańsze niż ich własne — a wczorajsza »Schlesische Zei-

tung« pisze, że Rosya południowa w tym roku przyśle na targi polskie swoje zboże. Tak! Dawniej przywoziliśmy tutaj do M. naszymi statkami węgiel, a zabieraliśmy wszyscy zboże; teraz część naszych statków przywożących węgiel nie zabiera napowrót nic. Kraj, do którego się więcej przywozi niż się z niego wywozi, musi zbankrutować.

— To jest prawda — szepnęła kobieta.

— Ten las Ofmana, co stąd na tratwach do Prus popłynię, przerobiony w warsztatach niemieckich na budynki, meble, zabawki i tysiączne drobne przedmioty, powróci tutaj, a Polacy za niego dobrze zapłacą; bo widzisz, ten naród nie lubi mieć z niczem subiekcyi i woli kupować rzeczy gotowe, niż je sam robić.

— Panowie — wtrąciła z politowaniem.

— Ja, panowie, książęta! Gdyby oni rozwinęli u siebie rzemiosła i przemysł i produkowali różne towary, które sprowadzają z za granicy, toby mogli jako tako egzystować — ale Polacy nie mają pociągu ani do handlu ani do przemysłu, więc wyręczamy ich, my i Żydzi. W naszych rękach jest przemysł i w nasze też ręce przechodzi coraz więcej ziemi, a gdzie ziemia jest w naszym posiadaniu, tam my jesteśmy panami. Zdobywamy kraj bez rozlewu krwi, samą tylko cywilizacją. Za ogrodem pana Oreckiego był kawał bagna zatruwającego powietrze: kto je zasypał i powietrze oczyścił? Niemiec. Kto umocnił brzeg i zasłonił łąkę od wylewu? Niemiec. Kto po drugiej stronie rzeki wystawił fabrykę narzędzi rolniczych i wybrzeże zawsze zabierane przez wodę zasadził drzewami? Niemiec także. Kto utrzymuje w mieście porządkny hotel? kto ma cukiernię, restaurację, browar? Wszystko Niemcy. Kto pobudował cukrownie w okolicy? Fabrykanci niemieccy. Niemiec jest wszędzie, gdzie tylko przemysł rozwinąć się może. Przychodzi do kraju jako dobroczyńca, dający towar dobry i tani; jako zbawca, dający zarobek ludności uboższej; jako apostoł cywilizacyi! Gdzie Niemiec przy-

bywa, tam zaraz za nim idzie praca, ład, porządek i gospodarność. Kto nie chce być z nami, musi nam ustąpić. Polacy tak kiedyś wyginą jak Indianie w Ameryce.

— Wyginą? Jakto wyginą? Ja ciebie nie rozumiem, August. Przecież ich nie będziemy zabijali!

— Amerykanie nie zabijają Indian, a jest ich tam coraz mniej. Cała część królestwa polskiego od granicy pruskiej jest po większej części w rękach naszych kolonistów. Nasz rząd niemiecki pomaga nam w tem wszelkimi sposobami, a bank drzewny w Berlinie daje nam pożyczki na kupno ziemi, pokrytej obszarami leśnymi. Nasze kolonie są wszędzie: na Podolu, na Wołyniu, na Ukrainie, a najwięcej na Litwie, bo tam Ukaz Cesarski z roku 1865-go zabrania Polakom nabywać ziemię; i jeżeli który z nich posiadany przez siebie kawał z ręki wypuści, to go już nigdy napowrót w ręce nie dostanie. Posuwamy się powoli, ale coraz dalej i coraz gromadniej na wschód. »Drang nach Osten«, to zasada naszego narodu, niemogącego się już zmieścić na niemieckiej, ani ziemczonej słowiańskiej niegdyś ziemi. To darmo! Pan Bóg widać chciał, żeby Niemcy zapanowali zczasem nad całym światem. Toć już nasz Bismark Afrykę dla nas zabiera. — Dajno mi piwa Berta!

Kobieta postawiła przed nim kufel i nalala złocistego płynu. Zapał patryotyczny męża i jej się udzielił. Nie rozumiała dokładnie wszystkich idei kulturkampfu, ale patrzyła w mówiącego jak w tęczę.

— Pan Ofman jest mądrym człowiekiem i patryotą — mówił umoczywszy usta — nie trzeba mu za złe brać, że on licytuje ojca tej dziewczyny. On to nie ze złego serca robi, tylko chce zostać właścicielem gruntu pana Oreckiego, bo to jest piękny kawał ziemi, w dobrym miejscu i można na nim dużo budować. Tam się wszystko wali, wszystko idzie w ruinę, a jak Ofman to nabędzie, zaraz inaczej będzie wyglądało. On dom i śpichrz wyreparuje, parkan da nowy i tartak postawi.

Ma już plany, pokazywał mi je. Powiedzże ty sama Berta, czy to nie grzech marnować taki piękny majątek i czy nie lepiej, że się on mądrzejszemu dostanie?

— No, ja, to prawda że pan Ofman lepiej tam gospodarować będzie, — odrzekła kobieta, w której duszy jednakże były pewne pod tym względem wątpliwości — ale czy to jest sprawiedliwie?

— Głupia jesteś, — odpowiedział z flegmą mąż — dziś ten jest sprawiedliwy, kto jest mocniejszy. Tak powiada nasz kanclerz. Pan Ofman kilka razy proponował panu Oreckiemu, żeby mu swoją posiadłość sprzedał, ale szlachcic się uparł. Nie, i nie. Teraz jednak pewnie się zgodzi. Jego żona, to jest kobieta bardzo dumna, i pewnie nie będzie chciała znieść tego wstydu, żeby ich rzeczy sprzedał komornik na rynku; więc zamiast tego, Ofman im dopłaci i dom z gruntem sobie zabierze. — No, Berta, nalej jeszcze drugi kufelek.

Węgłe w piecyku żelaznym pokryły się czarnym popiołem, a z nimi przygasło światło i wewnątrz kajuty pograżyło się w ciemności — ale oczy Helenki gorzały jak dwie pochodnie.

— Berta, idź ty spać do kajuty, a ja pójdę na drugi koniec statku do moich ludzi; już późno. Przynieś mi tylko stamtąd poduszkę — mówił szyper, nakładając sobie fajeczkę tytuniem, który miał w kieszeni.

Kobieta gotowała się spełnić rozkaz męża, gdy Helenka stanęła we drzwiach.

— Panie Müller, — przemówiła zwracając się odrazu do mężczyzny — nie chodź pan na drugi koniec statku, ale zajmij swoje miejsce w kajucie. Jestem już zdrowa i pragnę zaraz odjechać. Dziękuję państwu bardzo za kilkogodzinne schronienie, za wszystko, coście dla mnie zrobili i nie chcę wam dłużej zawadzać. Czy możesz mi pan użyczyć swojej łodzi?

Berta patrzyła kolejno to na mówiącą, to na męża, cie-

kawa co on powie — a ze wzroku jej było widać, że nie miała przeciwko temu, żeby polska dziewczyna została jeszcze przez noc pod jej dachem. Nie mogła ona oderwać oczu od tej postaci wiotkiej, od tej twarzy pięknej, bladej, z rozpalonemi gorączką oczyma.

Szyper wyjął fajkę z ust.

— Nie mogę dzisiaj pannie dać łodzi, — odpowiedział — bo już noc, a po rzece pływają kawały drzewa; mogłyby w łódkę uderzyć i przewrócić.

— Księżyc świeci — zauważyła.

— Księżyc świeci nie dosyć jasno — odpowiedział. — Nie, nie, nie dam dziś pannie łódki. Jutro rano zato, jak tylko słońce wejdzie, każę pannę odwieźć.

— Dobrze, — odrzekła po chwilowem wahaniu.

Szyper patrzył przez chwilę na córkę narodu przeznaczonego na zagładę i kto wie czy wspomnienie Liny nie stało się mu na myśli, bo odszedł, nie dopiwszy swojego kufla bawara.

Berta zapaliła wiszącą naftową lampę w kajucie, a potem przyniosła zupy na głębokiej fajansowej miseczce i położywszy przy niej kawałek chleba, namawiała Helenkę, żeby jadła choć trochę, ale dziewczę podziękowało jej stanowczo, choć łagodnie. Nie chciało jej się jeść, a choćby nawet głód czuła, nie mogłaby na sobie przemódz, żeby po wszystkim co słyszała, rozłamać chleb z tymi ludźmi. Lekki swąd wydzielający się z żelaznego piecyka, sprawiał jej ból głowy; zapragnęła odetchnąć świeżem powietrzem i wyszła po schodach na pokład. Było ono rzeczywiście bardzo łagodne, a lekki wiatr chłodził przyjemnie jej twarz i głowę.

— Tam, — myślała zapuszczając tęskny wzrok w dal — tam mieszkają moi rodzice i nie śpią pewnie w tej chwili, bo sen odbiera im myśl, że mają się stać pastwą człowieka obcej narodowości. A ja tu goszczę u jego brata z rodu, temi samemi co tamten przenikniętego dążnościami szkodli-

wemi... Czemu wody te polskie dźwigają statki niemieckie, z polskich zbudowane lasów? Czyż nigdy nie wrócą te czasy, w których polska marynarka handlowa nie tylko rzeki nasze pokrywała, ale i przez morskie tonie, ziarno nasze złote, dalekim a głodnym woziła ludziom, a groźbą dzielnego odporu hamowała najezdnicze zamachy żeglarzy północy?

Przy sterze była umocowana mała wystająca deska. Usiadła na niej i patrzyła w zamyśleniu na obszar wód szeroko rozlanych, na fale kołyszące się łagodnie i błyszczące przy świetle księżyca. Środkiem rzeki, jak okiem zasięgnąć, stały tratwy długim szeregiem; na tratwach paliły się ognie, a wiatr aż do statku przynosił woń dymu i strawy, którą sobie przy nich gotowali ludzie. Przy ogniu widać było ich postacie, ruszające się żwawo i budki słomiane, służące im za mieszkanie, a woda odbijała ten obraz razem z niebem iskrzącem się gwiazdami. Te wody były dokładnym obrazem jej duszy: jak tam, tak tutaj było ciągłe falowanie nadziei i zwątpienia, gwałtownych uniesień i nagłego spokoju, buntu i rezygnacji. Dojeżdżając do M. mówiła już sobie, że wszelkie wysilenia w celu niedopuszczenia do katastrofy będą daremne i że trzeba będzie, jak mówił Andrzej, poddać się konieczności; ale przypadkiem posłyszana rozmowa szypra z żoną wstrząsnęła najgłębsze tajniki jej duszy i obudziła głucho wrzenie, przy którym nie mogło już być mowy o rezygnacji.

— Gdyby nie moje zemdleńie — myślała — jużbym oddawna znajdowała się w domu; ale siły mnie tak nagle opuściły, że woli zabrakło czasu do zapanowania nad ciałem. Andrzejby mnie zganił za moją słabość. Ale gdyby nie ten wypadek, nie byłabym się dowiedziała, jakie są zamiary Ofmana, i że jemu nie tyle o dług idzie, ile o posiadanie gruntu, z którego chce zrobić jeden więcej posterunek kulturkampfu... Prawdę mówi przysłowie: »Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło«.

Rozumiała teraz dobrze znaczenie słów Ofmana, wyrzeczonych do niej w złości: »Popamiętacie wy mnie, ty i twój ojciec, głupia, harda dziewczyno«. Wiedziała, że nie będzie ich oszczędzał, i że narażając go sobie, pogorszyła jeszcze sprawę.

— Nie mogłam zapanować nad sobą, nie mogłam — szepnęła — to było silniejsze ode mnie.

Od strony traw dał się słyszeć odgłos fujarki: jakiś flisak grał piosenkę, którą Helenka słyszała dziś rano w ogrodzie pułkownika.

»Już tam ojciec do swej Basi

Mówi zapłakany:

Słuchaj jeno, pono nasi

Biją w tarabany.

Marsz, marsz!

Pieśń płynęła po wodzie czysta i donośna, a wybrzeża słuchały jej ciche i milczące. I Helenka wsłuchiwała się w nią chciwie. Była to ta sama melodia, co posiadała czarodziejską siłę rozgrzewania zwątpiałych i zesłabłych. Starzy ludzie powiadają, że przy jej dźwiękach szli w ogień jak do tańca, a padali z uśmiechem na ustach.

Berta przyszła szukać panny Oreckiej i namówiła ją, żeby się położyła, bo widocznie jest chora, i Helenka poszła za nią bez oporu — ale chociaż pocziwa kobieta usłała jej łóżko jak umiała najwygodniej, długo nie mogła zasnąć, a gdy usnęła nareszcie, śniła jej się naprzemian to sprzedaż domu ojca, to »Historia narożnej kamienicy« Krasickiego, a sen był gorączkowy, przerywany i niespokojny.

Obudziła się, gdy jeszcze wszyscy spali na statku i zaraz wstała i wyszła na pokład. Ptaki śpiące na maszcie zerwały się i narobiły w powietrzu hałasu swoim swiergotaniem, jakby chciały wołać: już dzień! już dzień! Na to wołanie pobudziło się ptactwo śpiące na krzewach nadbrzeżnych,

trzcinach i sitowjach i przyłączywszy się do chóru pierwszych budzicieli krzyczało na całe gardło: dzień! dzień! dzień! Na niebie panował jeszcze mrok szary, przez który przeglądał księżyc i gwiazdy bledniejące coraz bardziej, a z wody wynurzało się słońce złote, różową gazą przysłonięte, i na połowę nieba i na połowę wód rzucało promienie. Brzask bił o gwiazdy. Opary czołgające się nad wodami zaczęły się pod jego ciepłymi promieniami rozpraszać i odsłoniły lasy, wzgórza, wioski i miasto rozpostarte w dolinie. Rzekłbyś, że Stwórca odchylił zasłonę obrazu. Ze wszystkich stron budziły się jakieś głosy, jakieś echa, a choć ludzie jeszcze spali, zaczęło się już życie. W domach stojących na wybrzeżu i w mieście było cicho; lud skazany na zagładę spał snem tak spokojnym, jakby mu przeznaczoną była nieśmiertelność...

Helenka, oparta o ster, tonęła wzrokiem w tym obrazie, a usta jej powtórzyły mimowolnie słowa Anczyca z poematu »Tyrteusz«:

»O! jeszcze zawczasie
Umierać Sparcie; choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało i duch porósł w pleśnię,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i zda się już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur zdaleka,
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale.
Świeże listeczki gałązki odmłódzą...«

Na statku ludzie powoli zaczęli się ruszać; zwijano liny i gotowano się do odpłynięcia. Berta napaliła ogień i krzątała się około śniadania. Szyper stał na pokładzie i wydawał rozporządzenia. Z jego rozkazu odczepiono łódź i przeniesiono do niej podróżny worek Helenki. Żegnając się z tymi ludźmi, podziękowała im raz jeszcze za gościnność i wręczyła Bercie rubla. Kobieta poczuwszy pieniądze w dłoni,

uczwała jednocześnie w sercu jakby markotność i stała chwilę wahająca się i niepewna, czy je zatrzymać, czy zwrócić — ale nie chciała robić ślicznej panience przykrości, przez pamięć biednej Liny i wsunęła je do kieszeni — bo też to i słusznie im się za nocleg należało. Jednakże gdy Helenka siedziała w łodzi, markotność jej stała się jeszcze większą i rzekła do męża:

— Słyszysz August, mnie się zdaje, że my nie powinniśmy byli brać od niej pieniędzy, kiedy tam taka bieda i Ofman ma ich licytować!

— Nie bądź głupia, Berta — odrzekł z flegmą — u nich pieniądze nic nie znaczą, a ty z jednego rubla zrobisz dwa! Nie weźmiesz ty, weźmie kto inny. Lepiej kiedy pieniądz jest u takiego, co go szanuje, niż u takiego co nie wie, co z nim zrobić.

— No, to jest prawda — odrzekła niby uspokojona, ale markotność nie ustąpiła z serca i tak jej było, jakby się musiała czegoś wstydzić.

Słońce posuwało się tymczasem coraz wyżej i pokazywszy w całym blasku błękit, zasypywało ziemię blaskami szafirów, opali, złota i purpury. Łódź płynęła powoli, a ptaki leciały przed nią, dotykając piersiami powierzchni wody i świergocząc. Mijali teraz tę część wybrzeża, gdzie stał długi szereg budynków fabrycznych z czerwonej cegły, zabezpieczony od wylewu porządnym, mocno zbudowanym bulwarkiem. Wysokie kominy buchały kłębami dymu, a przez okna budynków widać było oślepiający blask ognisk, które nie gasły nigdy; słyszać było warczenie kół, huk młotów, świst piszczalek, jęczenie pasów skórzanych. Helenka słuchając tych odgłosów mówiła sobie, że gdy Ofman postawi tartak na gruncie jej ojca, to tak ciągle rozlegać się będzie zgrzyt piły, krającej drzewo kupowane za bezcen... Głuche wrzenie nanowo powstało w jej piersi i rozogniło policzki.

— Boże! — szepnęła podnosząc wzrok ku niebu —

wiem, że szmat ziemi mojego ojca jest mały i nic nie znaczący, bo ledwie włókę obejmuje; ale przysięgam, że zrobię wszystko co będzie w mej mocy, a nie dopuszczę, aby się dostał w ręce tego Niemca. Wiem, że siły moje są słabe, ale pragnienie moje jest mocne... Wspieraj mnie Panie i nie dopuść do mego serca żadnej słabości, któraby mnie odwiodła od mego celu!

XXV.

Smutnie wyglądała posiadłość pana Marcina: bale w bulwarkugniły, a ziemia sypała się przez nie do rzeki; schodki prowadzące do wody ruszały się jak klawisze, a parkan ogrodu tak był przeźroczysty, jakby kto w nim umyślnie porobił otwory dla wentylacyi. Ale nic dziwnego: komu z blisko mieszkających biedaków potrzeba było drzewa naprędce, a nie miał go pod ręką, to szedł wyciągać deski z parkanu, nie zawsze czekając z tem do nocy. Pan Marcin gdy to przypadkiem zobaczył, wymyślał i klął straszliwie: — Ty taki, ty owaki, zróbno tak jeszcze raz, to zobaczysz, że cię wsadzę do kozy! Ale zwymyślany odchodził spokojnie ze zdobyczą, wiedząc, że pan Orecki ma zbyt dobre serce, aby dotrzymać słowa. Nieraz pan Marcin wołał na pomoc stróża — ale zawsze dopiero wtedy, kiedy amator jego własności był już daleko — i w duchu prosił Pana Boga, żeby go stróż nie dogonił.

Brama od ulicy była na oścież otwarta: ludzie co tu mieszkali, nie lubili ani rachować ani zamykać.

Gdy łódź przybiła do brzegu, była dopiero godzina piąta. Helenka zapłaciła przewoźnikowi i wzięwszy swój worek w rękę, szła przez dziedziniec. Wiedziała, że drzwi wcho

dowe znajdzie otwarte, miała zamiar zapukać z cicha do kuchni, gdzie spały służące, a następnie poszukawszy klucza od swego pokoju, udać się na górę, gdzie miałyby czas wypocząć i przebrać się, zanim pobudzą się rodzice. Ale posłyszał ją pies śpiący przed progiem i zerwawszy się, z radosnem skomleniem skoczył jej na piersi i zaczął lizać po rękach i twarzy.

— Jak się masz! jak się masz, mój stary, wierny przyjacielu! szeptała obejmując go. — Poznałeś mnie? tęskniłeś za mną? Nie miałeś z kim chodzić na spacer, prawda?

Ale pies już nie słuchał. Jak strzała popędził do domu, i zaczął dobywać się do drzwi kuchni gwałtownie, a gdy mu służąca otworzyła, sunął wprost do sypialnego pokoju państwa Oreckich; oblizał twarz pani Marcinowej nie zważając na jej protest, a z pana Marcina, który miał sen twardszy, ściągnął kołdrę i usiadłszy przy nim, gniewnie czekał. Po tem znowu jak strzała wyleciał i wrócił z tryumfem poprzedzając swoją młodą panią.

W mgnieniu oka zrobiło się w domu gwarno; wszyscy powstawali, rodzice wrywali sobie nawzajem dziecko dawno niewidziane. Przez chwilę nikt nie mógł przemówić słowa, bo wszyscy płakali — tylko pies siedział na środku pokoju, bił w podłogę ogonem i poszczekiwał jakby chciał powiedzieć:

— Bardzo proszę nie zapominać, że i ja tu jestem!

Gdy pierwsze uniesienie minęło, nakryto do śniadania i przyniesiono samowar. Kucharka — bo reszta służby już była odprawioną — postawiła na stole bułki, chleb i masło, a pani Orecka patrząc na tę skromną zastawę, rzekła z westchnieniem.

— Nie będziesz miała co jeść, moje dziecko. Nie mamy teraz w domu ani szynki ani biszkoptów, a na kredyt tak ciężko dostać... — dodała ciszej. — Ale gdybyś była nas uprzedziła, że przyjedziesz...

Helenka otworzyła swój worek podróżny, i z tryumfem rozłożyła na stole dwie kuropatwy w papierze, chleb wiejski, pomarańcze, i postawiła przy nich butelkę wina. Zabrano się wesoło do uczty, która niegdyś była dla nich bardzo zwyczajną, a dziś wydawała się prawie wspaniałą.

Córka znalazła rodziców bardzo zmienionych. Oczy matki nosiły ślady łez często wylewanych, a zmarszczki dokoła ust pogłębiły się; ojcu policzki zapadły, uśmiech wprzód dobroduszny przybrał jakiś bolesny wyraz — a wychudł pan Marcin tak straszliwie, że gdy oparł na stole rękę, na której była tylko skóra i kości, córce łyzy się w oczach zakręciły.

Matka opowiadała Helence, że od czasu jak komisarz sądowy pokładł pieczęcie na meblach, ojciec zapadł w apatię, z której nic wyrwać go nie mogło, i jeżeli nie patrzył w okno i nie bębnił swojego marsza na pustym stole w kantorze, to albo odmawiał koronkę do Przemienienia Pańskiego, albo chował ręce głęboko w rękawy, wsuwał się w fotel i drzemał.

— Nie masz wyobrażenia, moje dziecko, cośmy tu wycierpieli — mówiła pani Orecka trzymając w palcach udko kuropatwy — co nas nadręczył ten Ofman ciąglem łażeniem na pięty! Nie było jednego tygodnia, żeby tu nie był upominać się o swoje, jak powiada. »Swoje!« Mój Boże, czyśmy to dla siebie pożyczali? Wchodzi bez meldowania i pakuje się wprost do pokoju, tutaj, tu, w zabłoconych butach! Rozsiada się jak u siebie, nie czekając aż go się poprosi i gada impertynencye. Ach, ten ojciec! ten ojciec! co on narobił! A mówiłam: nie rącz za nikim, żebyś nie musiał płacić!

Pan Marcin słuchał spokojnie tych oskarżających go słów. Od pewnego czasu słyszał je tak często, że się już do nich przyzwyczaił.

— I taki ordynarny Niemiec śmie do mnie mówić po prostu: »moja pani, moja pani«, jak do swej równej. Mówiłam mu parę razy, żeby tu nie przychodził, bo ja sobie nie

życzę go widzieć, a on na to: »*Moja pani*, niech mi pani odda moje pieniądze, to ani zajrzę«. — Jakbym ja miała jego pieniądze! Ostatni raz, gdy wszedł aż do sypialnego pokoju szukając ojca, a ja byłam jeszcze nie ubrana, powiedziałam mu, że go każę służbie wyprowadzić, a on na to z flegmą: »*Moja pani*, mnie się zdaje, że to pani się wyprowadzi, a ja tu będę mieszkał«. Ach, to ostatnia pasya człowieka bierze! Ty jeszcze nie wiesz, Helciu, że on chce wziąć od ojca ten dom w długu i dopłacić do niego, ale ojciec nie chce; a jednak byłby to jedyny sposób uniknięcia licytacji... Jak pomyślę, że nasze rzeczy będą wynoszone z domu przez tych okropnych ludzi, sprzedawane na środku rynku wobec wszystkich znajomych, u których dotąd uchodziliśmy za ludzi zamożnych, gdy pomyślę o ich spojrzeniach pełnych politowania, szeptach i uśmiechach, proszę Pana Boga, żebym nie doznała tego wstydu. O! ja tego nie przeżyję!...

Kostka od kuropatwy wypadła z ręki pani Marcinowej, poniosła chustkę do oczu i wybuchnęła płaczem. Pan Marcin niemogący znieść widoku jej łez, rzucił nóż, którym się bawił, i załamał ręce z taką siłą, że aż stawy zatrzeszczały.

— Mateczko, — szepnęła Helenka — większym wstydem byłoby oddać ziemię Niemcowi; fakt, że cierpimy z powodu niesumiennego człowieka, dla niego jest hańbą, nie dla nas. Co zaś do naszych znajomych, to się przekonają, że się mylili mając nas za bogatych, i nic więcej.

— Tak — podchwycił pan Marcin — tak, Helenka ma słuszość. Niemiec nie będzie gospodarował na moim gruncie, nie!

Matka spojrzała na córkę szeroko otwartemi oczyma. W jej słowach, w jej głosie, w jej zachowaniu się uderzyło ją coś, czego dawniej w niej nie było i czego wyjeżdżając z pewnością stąd nie zabrała. Był to jakiś nowy, nieznany dotąd w domu żywioł. Pani Orecka nie wiedziała, co to było, ale sercem matki odgadła, że córka powracała inna niż wy-

jechała. Wpatrywała się w nią badawczo i spostrzegła, że ów wdzięk słabości, zdaniem jej najwięcej pociągający w kobiecie, zniknął w niej bezpowrotnie: że rozprószył się także urok naiwności dziecięcej, kapryśnej nieco, z którą jej było tak do twarzy. Rysy nabrały powagi, usta dawniej rozchylone uśmiechem, zamykała jakaś stanowczość. Dawniej zachwycała tylko, a teraz było w niej coś, co kazało ją szanować.

Życie przesunęło po niej swoją szorstką rękę — a choć dotknięcie to zadało jej bolesne rany, ale uleczyło kalectwa duszy; szlachetne kruszce kryjące się w jej głębi wypaliły się w ogniu cierpienia. Oczy dawniej pozbawione wyrazu jeżeli ich nie ożywiała wesołość, jaśniały teraz blaskiem dawniej niebywałym. Co było jeszcze lekkomyślnego w duszy dziewczęcia, to w dniu wczorajszym, obfitym w głębokie wzruszenia, niepowrotnie uleciało. Była to już kobieta, rozumiejąca warunki życia kraju i znająca swój do niego stosunek. Wiedziała, dokąd idzie i czego chce. Nic tam już nie drzemało, wszystko było rozbudzone.

— Jaksz się ty zmieniła, moje dziecko — mówiła matka wpatrując się w nią ciągle — jaksz się zmieniła dziwnie... wypiękniałaś jeszcze bardziej, ale wyglądasz tak, jakby ci kilka lat przybyło. Prawda, Marcinie?

Pan Marcin kiwnął głową.

— Wygląda jak kobieta dojrzała — powiedział.

— Ojciec ma słuszność, wyglądasz jak kobieta dojrzała... Co się z tobą stało? Ale mów nam o sobie, moje dziecko, mów! Dobrze ci tam? Kochają cię? Dogadzają ci? Ale ktoby ciebie nie kochał! Chciałabym takiego widzieć! Wygody wszelkie masz? Pisałaś mi, że pokoik twój bardzo ładny; cóż tam stoi? Czy tylko nie za wiele pracujesz, bo pobladłaś trochę? A bawiłaś się też dobrze w karnawale? Mój Boże, myślałam, że tam zrobisz jaką dobrą partyą!

Z twoją pięknnością i ukształceniem można sięgnąć nawet po mitrę książęcą.

Helenka uśmiechnęła się smutnie. Przekonała się już ona co znaczyło ukształcenie, w jakie ją zaopatrzono, ale nie chciała poruszać tego przedmiotu. Nie chciała także rozwijać w tej chwili przed matką nowych pojęć między obcymi nabytych, bo nie pora była potem, rzekła więc tylko:

— Gdyby mitra była tuż nad moją głową, mateczko, nie wyciągnęłabym po nią ręki.

— Ona chce powiedzieć, że mitra musiałaby sama wejść na jej głowę — objaśnił pan Marcin. Dumna jest, jak prawdziwa szlachcianka.

Helenka uśmiechnęła się znowu. Nie rozumiano jej, ale nie chciała się jaśniej tłumaczyć; były pilniejsze rzeczy do rozważenia. Odpowiedziała więc na zadawane jej hurtem pytania, w duchu życzeń matki — matka też sama nie dała jej na wszystkie odpowiedzieć.

— Patrz, jak ja zmizerniałam — mówiła — ale czy można dobrze wyglądać przy takim życiu, gdzie każdy dzień jest torturą moralną i ciągłą walką braku pieniędzy z potrzebami życia? Moje nerwy są okropnie rozstrojone; wszystko mnie gniewa, drażni i irytuje. Po nocach nie mogę sypiać, a morfina już nawet na mnie nie działa, tylko rozstraja jeszcze więcej. Mam oczy zapadłe, nieprawdaż? A żebyś wiedziała jak ja siwieję! Sił nie mam nic a nic, każda rzecz mnie męczy.

— Przywiozłam parę butelek ekstraktu słodowego, to mateczkę wzmocni.

— Przywiozłaś?

— I butelkę wina starego dla ojca, bo mi się zdaje, że to będzie skuteczniejsze od chinu.

— Dobrze, pocziwe dziecko, jak ty o nas obojgu pamiętałaś! Słyszysz Marcinie, Helcia przywiozła dla ciebie starego wina.

Pan Marcin kiwnął głową na znak, że słyszy, ale nie odpowiedział. W milczeniu podniósł rękę do oka, jak gdyby łzę ocierał.

— Jest i czepeczek dla mateczki — mówiła dalej Helenka.

— Doprawdy! — zawołała z radosnem zdziwieniem pani Marcinowa — pokaż! Gdybyś wiedziała, jak ja się zaniedbałam: — mówiła, podczas gdy Helenka wyjmowała z worka przywieziony czepeczek — zupełnie nie mam się w co ubrać. Wszystkie porządniejsze rzeczy już mi się zniszczyły, a nowych nie mam sobie za co kupić, bo wszystko idzie na życie i potrzeby domowe. Wstydę się już ludziom pokazywać. Ładny, wcale ładny, teraz właśnie takie noszą. Dziękuję ci, moje dziecko. Gdybyś ty wiedziała, ile mnie dręczy ta myśl, że ty nam oddajesz wszystko, co zapracujesz, zamiast to użyć na swoje przyjemności!... Fason bardzo dobry, musiałaś kupować w jednym z lepszych magazynów. A może to drogi sprawunek? Może zrobiłaś nim sobie duży uszczerbek? Powiedz, moje dziecko, powiedz!

— O nie, mateczko — odrzekła rumieniąc się lekko Helenka — ja teraz dosyć dużo zarabiam i nawet przywiozłam z sobą pieniędzy na spłacenie wszystkich kieszonkowych długów.

— Chwała Bogu!

Wstała i zbliżyła się do lustra, żeby przymierzyć czepeczek. Było jej bardzo ładnie. Piękna ta jeszcze kobieta posiadała właśnie ów delikatny wdzięk słabości, którego córce już brakowało i była skończonym typem w swoim rodzaju. Pomimo dojrzałości lat, było w niej zawsze coś dziecka potrzebującego opieki i podpory.

— Nie wyobrazisz sobie, Helenko, co ja przeżyłam w dniu, gdy ten okropny człowiek, ten komisarz sądowy przyszedł zajmować nasze meble — mówiła pani Orecka, siadając znowu przy stole i biorąc drugie udko kuropatwy. —

Dostałam okropnego ataku nerwowego, aż ojciec sprowadzał doktora, a ten zły człowiek nie miał żadnego względu na to, i nie tylko wpakował się z papierami do pokoju, w którym leżałam, ale nawet opieczętował mój stolik z lekarstwami, ten mozajkowy. Ach, myślałam, że umrę!

— On nie chciał mamie wyrządzić zniewagi — tłumaczyła łagodnie Helenka — pełnił tylko swoją powinność.

— Człowiek z honorem nie powinien podejmować się takich rzeczy; to człowiek bez serca! Ja miałam płacz spazmatyczny, a on pisał najspokojniej protokół.

Pociągnęła za taśmę od dzwonka. Służąca zjawiała się.

— Podaj mi sucharki — rzekła pani Orecka i mówiła dalej do córki: — straszne, straszne już chwile przeżyłam.

Służąca otworzyła kredens, wyjęła talerz z sucharkami i postawiła na stole.

— Szkoda, że mateczka mnie nie powiedziała, że to sucharków trzeba, — odezwała się Helenka — byłabym mamie podała.

— Ach, po co ty masz wstawać. Od czegoż ona jest? Helenka spuściła oczy.

— Czy Ofman ani razu nie dopominał się u Teckiego o swoje pieniądze? — spytała.

— Mówiłam mu to, ale odpowiedział mi po grubiańsku, że nie ma czasu szukać Teckiego po świecie; że skoro dłużnik pieniędzy nie oddaje, to on ich musi szukać na poręczycielu i dodał: »Niech sobie pan Orecki Teckiego ściga, ja nie będę. Nie byłbym mu nigdy pożyczył, gdyby nie podpis pana Oreckiego«.

— A ojciec, czy nie kołatał do niego?

— Ojciec powiada, że gdyby Tecki miał pieniądze, toby je oddał z pewnością, bo nie jest złym człowiekiem. To do prawdy zwaryować można! Więc ja powiadam: bój się Boga, Marcinie, co my pocniemy, gdy Ofman nam wszystko za-

bierze? A ojciec na to: »Zobaczysz, że nas Pan Bóg nie opuści...« Piękna mi pociecha!

Pan Marcin w milczeniu patrzył na swoją żonę, siedzącą w nowym czepeczku, i bębnił swojego marsza na talerzu.

— Ojciec ma słuszość, mateczko. Pan Bóg nie opuszcza nikogo, ale pozwala, a nawet każe się bronić przeciwko gwałtom, krzywdom i niesprawiedliwości.

Pan Marcin zwrócił na córkę wzrok, w którym widać było, że jej nie rozumiał. Ale Helenka nie chciała jeszcze teraz wyraźniej się tłumaczyć. Spojrzała na psa z apetytem uprzątającego talerz z resztek kuropatwy i rzekła wyciągając do niego rękę:

— A ty, mój stary przyjacielu, co mi powiesz? Wychudłeś także...

Pies położył łeb na jej kolanach i patrzył jej w oczy przywiązany, rozumny wzrokiem, a pan Marcin ożywiając się powiedział:

— Ach, żebyś ty wiedziała, jak on niecierpi Ofmana! Kiedy powiadam ci, że jak tylko Niemiec się pokaże, tak pies zaraz warczy, a raz nawet rzucił się na niego i połą mu u kaftana rozerwał. To też nie może na niego patrzeć i woła zdaleka: »panie Orecki, niech pan zawoła do siebie ten brzydki pies!« Dobrze, pocziwe psisko! — mówił, głaskając go.

Wszyscy troje się rozśmiali.

Po śniadaniu Helenka poszła się przebrać do swego pokoju. Wszystko tam było w takim stanie, w jakim zostawiła wyjeżdżając, utrzymane starannie i jakby czekające jej powrotu. Widok tego pokoju z jego zbyt kownem urządzeniem, nie obudził w niej jednak żalu i goryczy, że jest tego wszystkiego pozbawioną w Warszawie, bo przywykła już do prostych warunków życia — komfort choć zawsze jeszcze miły, przestał być jednak potrzebą jej życia. Przykro jej tylko było, że przedmioty te nie należały już do niej. Na

wszystkich kosztowniejszych znajdowały się pieczęcie komisarza.

Matka wkrótce przyszła za córką. Nie mając komu przez kilka miesięcy zwierzać się ze swoich trosk, czuła potrzebę ulżenia sobie teraz wypowiedzeniem wszystkiego, co jej ciążyło na sercu — i jak przy śniadaniu dała jej główne zarysy położenia, tak teraz dorzucała mnóstwo szczegółów do pierwotnie skreślonego obrazu. Teraz dowiedziała się Helenka, że ojciec miał jeszcze pięćset rubli u pana Dońskiego z Maciejewa, obywatela, który wzorem innych obiecywał ciągle oddać, a nie oddawał.

— Co ty robisz! — zawołała nagle pani Orecka, widząc w rękach córki kawałek prostego mydła — myjesz się tem paskudztwem? Proste mydło dla tak pięknych rąk! Czy widział kto co podobnego!

Helenka uśmiechnęła się.

— Nie jest ono gorsze od każdego innego — odpowiedziała — tylko tyle, że nie pachnie, a znacznie mniej kosztuje.

Matka spojrzała na córkę ze zgorzowaniem.

— Ależ moja Helciu, to jest poprostu wstrętne! Nie mów mi o tanioci, bo cóż tam ta złotówka znaczyć może. Widzę ze smutkiem, moja droga, że nabrałaś jakichś gminnych upodobań. Co się z tobą stało? Twoja suknia razi staroświecczyną, i tak jest wytarta na rękawach, że aż wstyd. Trzeba ją było kazać przerobić! Żadna szanująca się kobieta nie nosi już wązkich sukien; w żurnalach bardzo suto upinają się tiuniki. Czy nie kupiłaś sobie nowego kapelusza?

— Nie mateczko.

— Dlaczego?

— Mamy teraz ważniejsze potrzeby nad trzymanie się ściśle żurnalów. Mój stary kapelusz i moje wązkie suknie muszą mi służyć do końca.

Matka załamała ręce.



Sprzedalam wszystkie niepotrzebne błyskotki.



— Mój Boże! więc ty moje biedne dziecko nawet tyle nie zarabiasz, żeby ci to wystarczyło na przyzwoite pokazywanie się ludziom? z takim rozumem, takim ukształceniem, jak twoje!... Ależ on jest zupełnie niemożliwy, ten twój kapelus; powinnaś sobie koniecznie kupić inny. Kobieta nie może się tak opuszczać. Alboż to taki wielki wydatek? Oszczędzeniem kilku rubli nic nie zbudujesz.

— Wielkie sumy z takich właśnie małych wydatków rosną — odrzekła córka i patrząc w oczy matki spytała ze słodyczą: — Czy to suknia jest miarą wartości człowieka, mateczko? Czy ja jestem mniej godną kochania teraz niż dawniej, gdy byłam zawsze ubrana podług żurnalu?

Pani Orecka rozrzewniła się.

— Ty moje dziecko, byłaś zawsze i jesteś godną kochania, — mówiła ściskając ją — ale skąd się w tobie to wszystko wzięło? Już ja widzę, że ty za męża nie pójdziesz! Zrobiłaś się zanadto poważna, a mężczyźni tego nie lubią. Gdzież to jest twój łańcuszek od zegarka?

— Dałam go do sporządzenia, rozerwał mi się.

— A bransoletka »porte bonheur«, coś ją dostała od ojca na imieniny, ta z brylantową gwiazdką? Miałaś ją zawsze nosić.

— Także w sporządzeniu; wyleciał z niej jeden kamyczek.

— Dziwna rzecz, że ci się tak wszystko naraz popsło! Ty coś kryjesz przede mną, Helciu.

— Chciałam droga mateczko, — odrzekła po chwilowym wahaniu — ale myślę, że lepiej zrobię, jeżeli mateczce powiem prawdę. Sprzedałam wszystkie niepotrzebne błyskotki.

Matka patrzyła przez chwilę na córkę osłupiałym wzrokiem, usta jej zaczęły drżeć i wybuchła głośnym płaczem.

XXVI.

Pan Marcin był zawsze człowiekiem pobożnym, a od czasu jak spadł na niego grad nieszczęść, stał się jeszcze pobożniejszym. Ufny, że Pan Bóg go nie opuści w nieszczęściu, modlił się co parę godzin z wielką żarliwością, puszczając mimo uszu wszelkie uwagi żony co do możliwych jeszcze środków ratunku. Pozbawiony swego handlowego zajęcia, nie miał co robić z czasem i jeżeli się nie modlił to spał, a jeżeli nie spał to wyglądał przez okno i bębnił marsza. I dziś po śniadaniu odmówiwszy koronkę do Przemienienia Pańskiego, zabierał się do drzemki w fotelu, zasunawszy głęboko ręce w rękawy szlafroka, gdy Helenka zbliżyła się do niego i rzekła.

— Pomówmy o interesach, ojczulku.

Pan Marcin spojrzał na córkę zdziwiony. Mówić o interesach z kobietą i to jeszcze z własną córką, która nigdy nie rozumiała interesów, wydało mu się rzeczą arcyzabawną. Pogłaskał ją po głowie i powiedział, uśmiechając się dobrotliwie:

— Oj, ty, ty figlarzu, zawsze ci się żarty trzymają. Okryj mi nogi tym szalem, co leży na kanapie, bo się chcę trochę zdrzemnąć.

Helenka wstała, przyniosła żądany szal i siadając znowu przy nim rzekła:

— A teraz, ojczulku, pomówmy o interesach.

Pan Marcin spojrzał powtórnie na córkę, a zdziwienie jego było jeszcze większe.

— Czego ty chcesz, Helciu? — odezwał się nareszcie — sądząc, że jej nie zrozumiał.

— Chcę z ojczulkiem porozmawiać o naszym położeniu.

— A na co się to przyda? — powiedział, krzywiąc się trochę, że mu zakłócają spoczynek.

— Może dałyby się jeszcze wynaleźć jakie środki ratunku... Czy nie można zmusić Teckiego do oddania?

Pan Marcin zamyślił się.

— Jakże go zmusić, kiedy on nie ma nic i nie będzie miał dopóki żyje jego ojciec.

Nagła błyskawica rozświeciła umysł Helenki. Przypomniała sobie wczorajsze spotkanie konnego posłańca ze swoim furmanem.

— On już nie żyje! — zawołała i opowiedziała ojcu wszystko, co jej się u Teckiego i w drodze zdarzyło.

Pan Marcin słuchał z pewnem niedowierzaniem.

— Gdyby stary Tecki umarł na prawdę, to syn jego jużby zawiadomił telegrafem mnie lub Ofmana. Wiedzieliśmy coś o tem. Musiałaś się przesłyszeć, albo też była mowa o kim innym.

— Ojciec jego był podobno zamożny? — pytała dalej Helenka.

Pan Marcin kiwnął głową.

— Posiadał piękną kamienicę w H., ale stary miał także córki, więc jest kilka głów do spadku. Zanimby Tecki coś dostał, kamienica musiałaby zostać sprzedaną w drodze działów.

Helenka milczała czas jakiś.

— Czy ojczulek ma jakiego znajomego prawnika w H.?

— A jakże, mam, Ksawerego L.; to mój szkolny kolega.

— Niech ojczulek napisze do niego list z prośbą, żeby mi nie odmówił rad i wskazówek, o jakie go poproszę.

Pan Marcin otworzył oczy szeroko.

— A tobie to na co potrzebne?

— Pojadę do H. i będę się starała sprawdzić wiadomość o śmierci starego Teckiego, a dalej zobaczę... Jeżeli działały zaraz będą i Tecki otrzyma jakie pieniądze, musi zapłacić Ofmana.

Pan Marcin patrzył przez chwilę na córkę, a w umyśle jego odbywała się niemała praca; nareszcie rysy twarzy drgnęły mu lekko i rzekł:

— Dobrze. Napiszę ci ten list jutro.

— Nie, ojczulku, trzeba go napisać jeszcze dzisiaj.

— A to na co? Jeżeli stary umarł przedwczoraj, to dziś jest pogrzeb. Działy nie mogą być wcześniej jak jutro. Będzie więc dosyć czasu na napisanie listu.

— Jutro już trzeba działać, ojczulku; dziś wszystko musi być przygotowane.

— Dobrze — powtórzył pan Marcin, przymykając oczy — tylko się trochę zdrzemnę.

— Ojcie! ojcie! — prosiła Helenka kładąc mu rękę na ramieniu — nie można tej sprawy odwłóczyć. Trzeba ten list napisać zaraz. Za godzinę wyjeżdżam.

— Co? chcesz dziś jeszcze jechać — wyszeptał pan Marcin, podnosząc na nią senne oczy — ale ja na to nie pozwolę! Przyjechałaś i chcesz znowu odjeżdżać? O la Boga, la Boga! Słyszysz matka, Helcia chce już odjechać! Jakże pojedziesz, kiedy most jest zerwany?

— Tak jak tu przyjechałam. Znajdę łódź, co mnie przewiezie.

Helenka przedstawiła matce swój plan, i pani Orecka choć zasmucona, że będzie musiała rozłączyć się z córką po tak długim niewidzeniu, nie sprzeciwiała się. I tak po kilku godzinach pobytu w domu rodziców, Helenka odjechała, wziąwszy od ojca na wyjezdne obietnicę, że nazajutrz rano pojedzie do pana Dońskiego dopominać się o zwrot pięciuset rubli.

Wieczór już był, gdy powóz pocztowy przybył do miasta gubernialnego H. Przed stacyą stało kilka dorożek. Helenka skinęła na jedną z nich i kazała się wieźć pod numer domu wskazany przez ojca; ale w bramie stróż powiedział jej, że pan adwokat L. wyprowadził się stąd od roku na ulicę

Warszawską. Pojechała tam, ale dowiedziała się znowu, że adwokat L. mieszkał tam istotnie i bardzo był z mieszkania zadowolony, ale przed trzema miesiącami wyniósł się do innego miasta, gdzie został rejentem. Do przyjęcia tej wiadomości Helenka nie była przygotowaną, spadła ona na nią jak grom. Tak liczyła na radę i pomoc tego adwokata i na gościnność w jego domu, bo ojciec prosił go o to w liście.. Teraz zostawała w nieznanem mieście sama jedna, bez doradcy, bez przyjaciela, bez mieszkania i z nader szczupłymi funduszami. Wahała się przez chwilę, co począć z sobą, nareszcie wsiadła znowu do doróżki i kazała jechać do hotelu, gdzie zażądała najtańszego numeru, i otrzymała małą ciupkę na trzeciem piętrze. Szwajcar hotelowy i służba spoglądali podejrziwym wzrokiem na podróżną nie mającą żadnych pakunków i zażądali z góry zapłaty za dwa dni, co też Helenka uczyniła. Znalazłszy się samą poczuła taką potrzebę spoczynku, że zmówiwszy krótką ale gorącą modlitwę, położyła się spać, nie usiłując już myśleć o niczem.

Wyczerpana dwudniowymi wysileniami fizycznymi i wzruszeniami, zasnęła snem kamiennym, i choć łóżko hotelowe nie należało bynajmniej do wygodnych, obudziła się bardzo późno nazajutrz, bo była już godzina jedenasta. Przerażona i zmartwiona tem opóźnieniem, kazała sobie podać herbaty i wypiwszy ją z pośpiechem, wyszła na miasto.

Nie wiedziała ona jeszcze co poczynić, ani jak sobie poradzić; ale miała niejasne przeczucie, że trzeba szukać wskazówek tam, gdzie się rozstrzegają wszystkie sprawy i spory, gdzie się wnoszą skargi i skąd padają wyroki — u źródła sprawiedliwości. Spytała o gmach sądowy i pokazano go jej: był to budynek duży z oknami zakratowanymi u dołu, z wyobrażeniem w płaskorzeźbie na frontonie Temidy trzymającej wagi.

Na chodniku przed gmachem było tłumno: stały tam osoby różnego wieku i płci, z różnych sfer społecznych. Gra-

natowe kapoty, krótkie surduty i chałaty ocierały się nawzajem o siebie; chałatów było najwięcej. Ludzie stali, chodzili, rozmawiali gromadkami lub po dwóch — a gdzie tylko odbywała się narada z kilku osób złożona, tam niezawodnie był i chałat i wiódł rej wymową i żywą gestykulacją. Ludzie rozprawiali głośno, grozili komuś i szeptali pocichu oglądając się, czy kto nie słyszy, rozchodzili się i wracali znowu. Helenka przecisnęła się przez tłum i weszła do sieni, ale tam znalazła to samo co przed gmachem: ścisk. Żelazne schody prowadziły na piętro. Różni ludzie szli na te schody z papierami w rękach i tekami pod pachą: jedni postępowali zwolna jakby zmęczeni, inni szli żwawo, inni jeszcze przeskakiwali po kilka stopni na raz.

Helenka szła tam, gdzie wszyscy, a stanąwszy na piętrze, zdziwiła się, że znalazła to samo co na dole: ludzi chodzących, siedzących, rozmawiających, a każdy wyglądał, jak gdyby na coś lub kogoś czekał. Schody przecinał długi, wązki, korytarz, mający po obu stronach szeregi drzwi, na podobieństwo cel zakonnych w klasztorach. Nad każdymi drzwiami była szyba ze szkła mlecznego, a na niej złożonemi literami wypisane nazwisko. Były to nazwiska notaryuszów. Drzwi te raz po raz otwierały się i zamykały, wchodzili tam i wychodzili różni ludzie. Wiele osób spacerowało wzdłuż korytarza, rozmawiając.

Helenka zaczęła czytać z kolei nazwiska notaryuszów. Przeszła wzdłuż całego korytarza i przeczytała wszystkie nazwiska, a skończywszy ten przegląd, zadała sobie pytanie, co ma czynić, w którą zwrócić się stronę i błagała Boga, żeby ją natchnął jaką myślą szczęśliwą. W połowie mniej więcej korytarza, było zagłębienie w rodzaju niszy, a w niem ławeczka; tam usiadła. Drzwi kancelaryi znajdującej się obok, były niedomknięte i słyszała od czasu do czasu głos donośny:

— Panie Józefie, czy pan już skończyłeś swój referat?

— Jeszcze nie, panie notaryuszu.

— A pan, panie Antoni, przepisałeś swój akt?

— Zaraz będzie skończony, panie notaryuszu.

— No, to proszę, żeby oba były gotowe, gdy powrócę.

— Dobrze, proszę pana, odpowiedziały oba głosy.

Po chwili drzwi skrzypnęły i mężczyzna w pałocie wiosennym i cylindrze wyszedł z kancelaryi, minął korytarz i skierował się ku schodom. Helenka odprowadziła go oczyma a gdy zniknął, wstała, spojrzała na napis nade drzwiami i weszła do kancelaryi.

— Czy zastałam pana notaryusza I.? — spytała.

— Tylko co wyszedł — odpowiedział jeden z dependentów, wstając z krzesła — i pewnie nie wróci prędzej aż za godzinę.

— A więc... muszę przyjść kiedyindziej. Czy czasem nie wiadomo panom, który z notaryuszów prowadzi interesa pana Teckiego z Komnat?

— Tecki... — powtórzył dependent, jakby czegoś szukając w pamięci — coś słyszałem, ale nie mogę sobie przypomnieć. Panie Antoni, może pan wiesz, kto interesa Teckiego prowadzi?

— Notaryusz S. — odrzekł zapytany, nie podnosząc głowy od papierów.

— Trzecie drzwi na prawo — objaśnił uprzejmie pierwszy — trafi pani z łatwością.

— Dziękuję panom — odrzekła Helenka i wyszła.

Powzięła zamiar rozmówienia się z notaryuszem S. Już kładła rękę na klamce drzwi prowadzących do jego kancelaryi, ale cofnęła się po namyśle.

— Nie — rzekła do siebie — nie powinnam z nim samym mówić, bo chcąc od niego zasięgnąć wiadomości o Teckim, musiałabym powiedzieć dlaczego mnie interesuje; a on nie powinien nie tylko wiedzieć, ale nawet domyślać się kto jestem, bo mógłby go ostrzedz o mojem przybyciu. Pismo

święte mówi: »Bądźcie niewinni jako gołębie, ale roztropni jako węże«.

Niebezpieczeństwo uczyniło ją ostrożną i przewidującą.

W tej chwili otworzyły się drzwi kancelaryi i wyszedł z nich woźny z pliką papierów pod pachą.

— Czy notaryusz S. jest jeszcze? — spytała, zachodząc mu drogę.

— Jest, ale zaraz wychodzi na śniadanie. Jeżeli pani ma do niego interes, to niech się pani śpieszy, bo nie wróci aż za godzinę.

Helence nie było więcej potrzeba na teraz. Wróciła do swego siedzenia w zagłębieniu muru i czekała aż notaryusz S. opuści kancelaryę. Odprowadziła go, jak tamtego, wzrokiem do schodów i gdy jej zniknął z oczu, weszła do kancelaryi, gdzie powtórzyła się przytoczona już wyżej rozmowa.

— Czy zastałam pana S.?

— Tylko co wyszedł.

— Bardzo żałuję...

— Może pani sobie życzy poczekać — odezwał się uprzejmie młodszy dependent — ale on nieprędko wróci, dopiero za godzinę. W porze południowej tak zawsze bywa.

— Nic nie szkodzi, zaczekam. Nie śpieszy mi się.

Dependent w milczeniu podał jej krzesło i gazetę. Skinieniem głowy podziękowała za jedno i drugie, ale nie czytała gazety, chociaż trzymała ją w ręku. Bystrem spojrzeniem obrzuciła cały pokój, papiery na biurku i kilkanaście dużych grubych ksiąg, ustawionych na jednej z półek, przybitych do ściany, grzbietami do pokoju. Na grzbietach tych były tytuły różnych własności, znanych jej z nazwiska. Obdarzona doskonałym wzrokiem, wyczytała na jednej stojącej już w samym kącie: *Dominium Komnaty*. To był dowód, że jej dano dobrą wskazówkę. Serce dziewczęcia zabiło na ten widok.

— Teraz spokoju i zimnej krwi — rzekła do siebie,

i z poza gazety badała twarze obu dependentów, jakby zgadnąć chciała, czego po którym spodziewać się może.

Jeden szpakowaty już, siedział zatopiony w swej pracy, na nic nie zważając. Wybór jej padł na młodszego.

— Łaskawy panie — odezwała się prawie obojętnie — wiem, że pan notaryusz S. prowadzi interesa pana Teckiego z Komnat, który mnie... obchodzi. Nie wiadomo panu czasem, czy człowiek ten zdoła się jeszcze wydobyć z przykrego położenia, w jakie popadł? Podobno Komnaty mają zostać wkrótce sprzedane z powodu zaległych rat Towarzystwa Kredytowego?

— Było z nim rzeczywiście krucho — odrzekł zapytany, kładąc pióro za ucho — ale w tych dniach umarł jego ojciec i wskutek tego spada na niego kilkanaście tysięcy rubli. Zapewne pośpieszy z zapłaceniem Towarzystwa. Pogrzeb był właśnie wczoraj.

— Działy nie prędko pewnie będą? — pytała dalej.

— Dziś właśnie były. To bardzo krótka manipulacya; tytuł własności domu przepisany został w hipotece na siostrę Teckiego, której dwie inne siostry niezamężne zostawiły na czas dłuższy swoje sumy. Jeden tylko pan Tecki zażądał gotówki, a że obecna właścicielka domu nie mogła wszystkiego odrazu wypłacić, więc połowa sumy musiała zostać na hipotece domu, zapisana na jego imię.

— Kiedyż on odbierze tę pierwszą połowę?

— Już ją dziś odebrał, tu w tem miejscu... Pan notaryusz akt pisał.

Słowa te tak silne na Helence zrobiły wrażenie, że musiała się ręką uchwycić stołu, żeby nie upaść. Cel, który zdawał się być od niej tak dalekim, a z powodu wyjazdu znajomego adwokata oddalił się jeszcze bardziej, stawał się blizkim. Ogarnęła ją radość szalona.

— O której godzinie? — spytała stłumionym głosem.

— O dziesiątej.

— Spóźniłam się o dwie godziny; — rzekła do siebie — gdybym nie była zasnęła, byłabym świadkiem tego aktu. Tecki nie mógłby się zaprzeczyć, że ma pieniądze i musiałby zapłacić Ofmana. Ale niema jeszcze nic straconego. Pójdę go szukać. Tak, ale muszę mieć jakiś dokument, bo jeżeli mi zaprzeczy, to czem mu prawdy dowiodę!.. Chciałam się widzieć z panem notaryuszem — rzekła po chwili do dependenta — ale widzę, że zadługoby mi przyszło na to czekać. Czy pan nie mógłby mi zrobić kopii tego aktu i to za raz, na poczekaniu?

Dependent rzucił przelotne wejrzenie na jej skromne ubranie.

— Wybaczysz pani — szepnął, pochylając się nad papierem — ale pilne zajęcie... możeby kolega.

Ale Helenka wiedziała już, że kolega nic nie robi. Wstała i zbliżyła się do stołu, przy którym siedział mówiący.

— Widzę to dobrze, że czas pański jest bardzo drogi — rzekła zniżonym głosem — to też niech mi pan za złe nie weźmie, że chciałabym tę stratę o ile to jest w mej możliwości, wynagrodzić.

I położyła przed nim trzyrublowy papierek nie bez obawy, czy go tem nie obraziła, ale dependent ani myślał się obrazić. Wsunął pieniądze między papiery, mówiąc:

— Niech pani będzie łaskawa usiąść: wyciąg będzie gotowy za pół godziny. Powinien go robić sekretarz hipoteczny, ale daleko prędzej będzie, jeżeli ja napiszę, a on podpisze tylko. Pani sobie życzy, żeby to było zrobione formalnie?

— Jak najformalniej.

— Stempel będzie kosztował piętnaście kopiejek.

Helenka wydobyła z portmonetki żadaną kwotę, a dependent zdjął z półki dużą księgę, opatrzoną numerem hipotecznym na grzbiecie i zaczął pisać. Wzięła znowu gazetę, ale litery skakały jej przed oczyma. Chociaż powtarzała so-

bie ciągle, że powinna zapanować nad swoim wzruszeniem, bo spokój jest niezbędny do roztropnego działania — wzruszenie brało górę nad spokojem.

Po pierwszym uniesieniu radości nastąpiło niespokojne pytanie, czy Tecki nie wyjechał jeszcze z H. i czy ona nie będzie musiała znowu jechać do niego na wieś. Może jest jeszcze, skoro tu ma rodzinę, ale kto wie, czy w tej właśnie chwili nie wyjeżdża... I chociaż pióro dependenta szybko biegło po papierze, czas oczekiwania wydał się Helence wiekiem. Opanowała ją gorączka niecierpliwości.

Dependent skończył pisać i wstał.

— Idę z tem teraz do hipoteki; — powiedział — sekretarzowi trzeba będzie za to zapłacić trzydzieści kopiejek.

Helenka wydobyła znowu portmonetkę, której objętość zmniejszała się coraz bardziej. Dependent wyszedł, a w kilka minut powrócił z papierem już podpisanym i podał go panie Oreckiej. Podziękowała mu i przebiegając papier oczyma, spytała od niechcienia:

— Nie wiadomo panu, czy pan Tecki wyjechał już z H.?

— Miał dziś odjechać, ale być może, że jest jeszcze w mieście. Najlepiej mogłaby się pani dowiedzieć u jego siostry, pani Łuckiej.

— Gdzież ona mieszka?

— W swoim domu. Numer ma pani na wyciągu hipotecznym wypisany; ulica Zielona.

— Dziękuję panu bardzo.

Wychodząc z gmachu sądowego nie patrzyła już na liczne grupy osób stojących w sieni i na chodniku; nie widziała, że jej młodość, piękność i malujące się na twarzy wzruszenie zwracały powszechną uwagę. Nie szła, ale biegła na wskazaną ulicę, ściskając mocno w ręku upragniony dokument. Chciała wziąć dorózkę, ale nie spotkała żadnej próżnej; wszystkie były zajęte. Gdy stanęła nareszcie przed domem, noszącym znany jej już numer hipoteczny, nie czuła

prawie tchu w piersiach. W bramie siedział na ławie stróż i sporządzał miotłę; pęk różek leżał koło niego.

— Czy w tym domu mieszka pani Łucka? — spytała.

— Tutaj — była odpowiedź — na pierwszym piętrze, w oficynie.

— Pan Tecki, brat jej, jest w domu?

— Wyjechał.

— Wyjechał?... — powtórzyła, a głos jej uwiązł w gardle.

— Powróci jutro na obiad — mówił dalej stróż, biorąc w zęby koniec sznurka, który rozplątywał — bo pan nie do Komnat pojechał, ino na polowanie do pana barona.

Dziewczę odetchnęło. Wyszła z bramy wolnym krokiem i zwróciła się w stronę hotelu. Nie było jeszcze nic straconego, skoro on miał powrócić jutro. Uczuła głód i przypomniała sobie, że to czas obiadu i że prócz szklanki herbaty nic jeszcze dzisiaj nie miała w ustach. Ale woreczek jej mocno już nadszarpnięty datkiem dla dependenta, nie pozwalał na jedzenie formalnego obiadu w hotelu, bo choć miała jeszcze trochę pieniędzy, roztropność nie kazała ich wydawać do ostatka, nie wiedząc, co się zdarzyć może. Było ich zresztą tak mało, że jeżeli nie zobaczy Teckiego i będzie musiała jechać do Komnat, sprzeda chyba zegarek. Wstąpiła do mleczarni napotkanej po drodze, wypila dwie szklanki mleka, zjadła przytem kawałek chleba i zapłaciła za to tylko piętnaście groszy. Skromny to był posiłek, ale zadowolnił ją w zupełności. Od czasu wyjazdu z Warszawy pierwszy raz dopiero jadła z apetytem, a nie pamiętała, żeby jej co kiedy tak smakowało.

Była dopiero godzina pierwsza popołudniu; miała czasu przed sobą dosyć, więc wolnym krokiem wracała do hotelu. Przechodząc koło antykwarni przystanąła na chwilę i zaczęła czytać tytuły książek, rozłożonych w okiennej wystawie. Pośród tych książek była jedna trochę grubsza od innych,

mająca na grzbiecie napis następujący: »Ustawy sądowe, obowiązujące w guberniach Królestwa Polskiego«. Oczy jej zatrzymały się na tej książce czas dłuższy, a w myśli stanęły jej słowa Teckiego: »Kobiety nie powinny się mieszać do interesów, których nie rozumieją«. Wyjęła z kieszeni portmonetkę, przeliczyła pieniądze i kupiła tę książkę. Kosztowała ją nadspodziewanie tanio, z powodu zniszczonej okładki i braku kilku kartek końcowych. Dziwnym zbiegiem okoliczności, wyczytała na kartce tytułowej nazwisko kolegi swego ojca, którego daremnie szukała; widocznie książka była kiedyś jego własnością. Wydało się to Helence prawdziwym zrzędzeniem Opatrzności i w dobrem, prawie wesołym usposobieniu, wróciła do hotelu.

Całą resztę dnia i połowę nocy spędziła na czytaniu, a choć sucha treść książki zmęczyła ją wkrótce i znudziła, mimo to nie rzuciła jej. Wola panowała już w niej nad chęciami. Czytała i odczytywała po kilka razy ustępy, dotyczące położenia ojca, chociaż pot spływał kroplami z jej czoła, a oczy zamykały się do snu, chociaż z początku nic zrozumieć nie mogła. Powoli na te niezrozumiałe rzeczy padać zaczęły słabe światła i dowiedziała się wszystkiego co chciała, a niektóre artykuły umiała prawie na pamięć. Teraz już nikt nie mógł powiedzieć, że miesza się do tego, czego nie rozumie.

XXVII.

Tecki miał przyjechać około południa dopiero, ale Helena już o dziesiątej rano była na stanowisku. Ten sam stróż, co wczoraj miotłę sporządzał, zamiatał chodnik na ulicy. Powtórzyła się wczorajsza rozmowa.

— Czy pan przyjechał?

— Przyjechał, ale go niema w domu. Wyszedł na miasto.

Helenkę coś w gardle ścisnęło. Przez głowę przebiegła jej myśl, że Tecki dowiedział się, iż ona go śledzi i umyślnie wyjechał, żeby uciec przed nią; ale zobaczyła na dziedzińcu powóz, w którym parę dni temu odbyła podróż ze stacyi kolei do Komnat — i uspokoiła się. Przez chwilę zastanawiała się, co ma z sobą zrobić: oddalać się od tego domu nie mogła, a czekać w mieszkaniu siostry Teckiego nie chciała także, bo mógłby ją zobaczyć z drugiego pokoju i umknąć. Stać, lub przechadzać się po ulicy, nie podobna było, bo to zwróciłoby uwagę ludzi. Gdy tak oglądała się za miejscem, z którego dom ten mogłaby obserwować spokojnie, wzrok jej padł na mały, niepozorny sklepik z wiktuałami, naprzeciwko bramy. Nie namyślając się, weszła do sklepiku. Znajdowały się tam różnego rodzaju przedmioty, stanowiące potrzeby uboższej ludności, a więc różne gatunki mąki i kaszy w woreczkach, śledzie marynowane w słojach szklanych, cytryny, sól, mydło, bułki, chleb różnego kształtu i wielkości; były i wiązki drzewa, jedne na drugich ułożone. Za stołem siedziała niemłoda kobieta w czystym perkalowym czepcu na głowie, z twarzą pulchną, rumianą i pocziwie patrzącą oczyma. Robiła pończochę, a duży kłębek bawełny leżał przed nią na stole.

Helenka kupiła dwie bułki i kilka obwarzanków, a gdy sklepikarka to wszystko zawinęła w czystą szarą bibułę i obwiązała sznurkiem, powiedziała jej otwarcie, że ma interes do kogoś, co mieszka w tym domu naprzeciwko, a teraz wyszedł do miasta i prosiła, żeby jej pozwoliła u siebie zaczekać. Sklepikarka usłyszawszy te słowa, obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem proszącą, ale szlachetną jej postawą i wyraz troski malujący się na twarzy dziewczęcia, chwyciły ją

za serce. Wyniosła z drugiej izby stołek i postawiła tuż przy drzwiach szklanych, wychodzących na ulicę.

— Niech sobie panienka odpocznie, bardzo proszę — mówiła ścierając kurz fartuchem, w duchu zaś dodała: — Smutne jakieś biedactwo, pewnie ją kawaler opuścił i na niego tak oczekuje.

Wzięła się nanowu do swojej pończochy, rzucając od czasu do czasu ciekawe na dziewczę spojrzenia. Z początku milczała przez delikatność, ale po chwili uczuła tak silne świerzbienie na końcu języka, że nie mogła dłużej wytrzymać.

— A na kogo to panienka czeka? — odważyła się narreszcie zapytać, kładąc drut między zęby.

— Na złego dłużnika — odpowiedziała Helenka z prostotą.

— Oho! — rzekła do siebie pocziwa kobieta — zobaczymy, jak ten dłużnik wygląda; pewnie ma dwadzieścia lat i ładne wąsiki.

W tej chwili przez ulicę kroczył poważnie szpakowaty mężczyzna średniego wzrostu, z rękami zanurzonemi w kieszenie paltota. Helence serce mocno bić zaczęło na jego widok. On zniknął w bramie, a ona wybiegła ze sklepiku, zapomniawszy nawet skinąć głową sklepikarce, która jej tak chętnie dała u siebie schronienie — i pośpieszyła za nim do bramy, postępując w odległości kilku kroków.

Tecki minął dziedziniec i zaczął wstępować na piętro po schodach, które były wąskie i ciemne. Helenka szła za nim na palcach, prosząc Boga, żeby jej nie spostrzegł prędeej, aż przestąpi próg swego mieszkania — i tak się też stało. U grzwi przystanął i ona stanęła. Wyjął klucz od zastrzasku z kieszeni, zakręcił, otworzył i wszedł, a ona za nim. Dopiero teraz spostrzegł, że nie jest sam.

W przedpokoju panował zmrok, ale drzwi z niego otwarte były do salonu.

— Kto tu? — zawołał ostro i prawie z gniewem.

Helenka postąpiła ku drzwiom salonu i ukazała mu się w pełnem oświeceniu. Tecki cofnął się o krok, a zdumienie, malujące się na twarzy jego, było tak silne, że graniczyło prawie z przerażeniem.

— Witam pana, panie Tecki, — rzekła ze swobodą, której się sama dziwiła, bo aż do tej chwili serce jej biło z obawy i niepewności — zdajesz się pan być zdziwiony moim widokiem, chociaż zapowiedziałam panu w Komnaty, że zobaczymy się wkrótce.

Słowa te oprzytomniły szlachcica.

— Jak się pani tu dostała? — mruknął.

— Weszłam razem z panem.

— Jeżeli pani przybywa w tym samym, co wówczas interesie, to się pani daremnie fatygowała — rzekł podrażniony tą napaścią. — Mówiłem już, że nie mam pieniędzy.

— Wówczas może pan mówił prawdę, — odpowiedziała — ale odtąd rzeczy się zmieniły. Z dobrego źródła wiem, że pan w dniu wczorajszym otrzymał znaczną sumę pieniędzy.

Tecki aż podskoczył.

— To fałsz! Kto pani to powiedział? Skąd pani to możesz wiedzieć?

— Pozwoli pan, że usiądę — rzekła spokojnie Helenka, a gdy Tecki machinalnie posunął jej krzesło, mówiła dalej: — Pojmuje pan, że spotkanie z panem nie jest dla mnie bynajmniej przyjemnem; nie narażałabym się przeto na tak wielką przykrość, gdybym nie miała czem poprzeć słów moich.

Wyjęła z kieszeni papier złożony we czworo i zaczęła czytać:

»W dniu N. N. między panem Teckim, właścicielem dóbr Komnaty, a siostrą jego panią Łucką, zamieszkałą w mieście H. pod numerem XX., w obecności notaryusza S. zawiązaną została umowa następująca«:

— A pani skąd masz ten papier? — zawołał Tecki, blednąc z gniewu.

— Z sądu. Napisany jest zupełnie formalnie, patrz pan, na stemplu i z podpisem sekretarza hipotecznego. Dowiedziałam się, że ojciec pański umarł i że pan masz po nim dziedziczyć i przyjechałam tu umyślnie, żeby sprawdzić tę wiadomość. Wczoraj byłam w sądzie i oglądałam księgi hipoteczne, a zrobiwszy z nich wyciąg szukałam pana tutaj z tym papierem, ale nie zastałam. Powiedziano mi, żeś pan wyjechał na polowanie. Wróciłam tu dzisiaj i nie zastałam pana znowu, ale czekałam cierpliwie na pański powrót z miasta, postanowiwszy sobie jechać do Komnat, gdyby mi się z panem widzieć tutaj nie udało.

— Szatan nie kobieta! — mruknął przez zęby. Fakt, że był śledzony i ścigany rozgniewał go do najwyższego stopnia.

— Moja pani! — zawołał — dowiedz się, że Tecki nie pozwoli siebie wodzić za nos kobiecie. Żleś pani zrobiła szpiegując moje kroki i polując na mnie jak na lisa w norze! Byłbym zapłacił sam ten dług, żeby was oswobodzić, ale kiedy tak, to nie zapłacę. Będziecie za to dłużej czekali; mam inne, pilniejsze długi!

— Bardzo pan jesteś niedobrym człowiekiem, kiedy się chcesz mścić na ludziach za to, że się bronią od nieszczęścia, w jakie ich wtrącasz swoją niesumiennością. I robak podnosi głowę, kiedy go depczą, a pan chcesz, żeby człowiek dał się dobrowolnie wepchnąć w nędzę! O, panie Tecki — mówiła dalej, przechodząc nagle w ton prośby — pan tego nie możesz żądać... pan nie możesz chcieć, żeby przez pana cierpiał człowiek niewinny, człowiek dobry, którego jedyną winą było to, że nie umiał się oprzeć pańskim prośbom i ratował pana z kłopotów! Nie może być, abys pan go chciał za to rozmyślnie zgubić... Nie, nie wierzę temu, bo choćbyś pan był nawet bardzo złym człowiekiem, człowiekiem jesteś tylko nie kamieniem i masz ludzkie serce, które nie mogłoby znieść

spokojnie takiej niesprawiedliwości... O! gdybyś pan widział mego ojca, jak się zmienił, schudł i postarzał, jakie głębokie ślady wyryła na nim ciągła troska o byt... gdybyś pan widział, jak ten biedny starzec musi sobie odmawiać najniezbędniejszych potrzeb, wzruszyłbyś się i oszczędził mu tej boleści, jaka go ma spotkać i upokorzenia! Pan nie wiesz, ile moi rodzice wycierpieli przez pana... Ale przebaczą panu wszystko, wszystko, jeżeli ich pan wyratujesz... przebaczą i zapomną!

Tecki odwrócił się; wzruszony był, a nie chciał tego pokazać. Helenka przeczuła to raczej niż zobaczyła; nadzieja ożyła nanowo w jej sercu. Pochwyciła go za rękę.

— Błagam pana, ulituj się, jeżeli nie nad moim ojcem to nademną. Ja nie mogę patrzeć na jego boleść... i pan pewnie masz dzieci, które pana kochają! Pomyśl pan, co by się działo w ich sercach, gdybyś pan tak cierpiał... Pan tylko chciałeś mnie zastraszyć, prawda, panie? O, powiedz pan, żeś mnie chciał zastraszyć...

Głos jej drżał powstrzymywanemi łzami. Patrzyła mu w oczy z wyrazem tak błagalnym, że nie mógł znieść jej wzroku. Spuścił głowę.

— Chcesz pani wiedzieć prawdę, — odezwał się po chwili — nie mam już tych pieniędzy, które odebrałem wczoraj. Spóźniła się pani o cały dzień. Zapłaciłem Towarzystwo i jednego dłużnika, który na mnie w sądzie czekał i nie chciał odstąpić. Mogę panią o tem przekonać.

Wyjął z pugilaesu dwa kwity i pokazał jej. Gdy rzuciła na nie okiem, wszystka krew z twarzy jej uciekła. Zachwiała się, a spojrzenie, jakie na Teckiego rzuciła, miało wyraz tak rozdzierającej boleści, że poruszyło go do głębi. Oczy jej podobne były do oczu sarny, która otrzymała postrzał śmiertelny.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Bardzo mi przykro, — zaczął Tecki — że okoliczności...

Przerwał mu łoskot otwierających się drzwi i wbiegł czternastoletni może chłopiec.

— Wuju! — zawołał, nie widząc siedzącej w salonie osoby — przyniesiono zamówiony przez wuja kosz szampana i dwie kopy ostryg. Wino kazałem tymczasem wstawić do lodu, ale mama się pyta, jak prędko przyjdą ci panowie.

— Idź do dyabła! — krzyknął Tecki głosem piorunującym, a chłopiec przełękły, który teraz dopiero zobaczył gościa, uklonił się niezgrabnie i wycofał szybko.

Helenka podniosła się.

— A więc pan masz jednak pieniądze na szampana dla swoich przyjaciół, a nie masz ich na zapłacenie długu — przemówiła z ironią, a głos jej słaby z początku, rósł w siłę i dźwięczność coraz bardziej. — Zajadasz pan ostrygi, wiedząc, że mój ojciec z pańskiej winy nie ma podostatkiem chleba... i śpisz pan przytem spokojnie i masz odwagę patrzeć ludziom w oczy? O, panie Tecki, jakże pan jesteś nikczemnym!

Tecki porwał się jak oparzony.

— Przestań pani, na miłość Boską, bo jestem człowiek gwałtowny i mógłbym popełnić coś takiego, czegobym potem żałował całe życie! Jestem winien, wiem o tem... jestem nawet bardzo winien, ale nie mam teraz pieniędzy. Zapłacę jednak, przysięgam, że zapłacę, jak tylko będę mógł...

— Zapłacisz pan, gdy już będzie zapóźno, a tymczasem zlicytują mego ojca... »Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje«.

Tecki chciał podać jej rękę, ale usunęła swoją i szła ku drzwiom.

— Zaczekaj pani! — zawołał — nie mam wprowadzić teraz pieniędzy, ale za kilka miesięcy siostra moja wypłaci mi pewną sumę, a wtenczas...

— Wiem o tem, ale to już nie uratuje mego ojca. Nie mogę czekać kilku miesięcy, bo po tygodniu już będzie za późno. Żegnam pana. Napróżno po dwakroć kołatałam do pańskiego serca. Niema go w pańskiej piersi, niema!..

Tecki po odejściu Helenki chodził długi czas zamyślony po pokoju i gryzł wąsy. Dziewczyna ta rzuciła mu w twarz ciężką obelgę, a przecież zmuszony ją był podziwiać. Ile ona starań przedsięwzięła, ile trudów poniosła, żeby uratować ojca, i wszystko napróżno!.. A jak gorąco przemawiała, jak go błagała! Nie mógł zapomnieć wyrazu boleści, z jaką na niego spojrzała, gdy jej kwity pokazał. Oczy jej były prawie błędne. Jej młodość, szlachetność i energia wzruszały go. I on miał także córki!..

Zasiadłszy z gośćmi do stołu, nie tknął ani ostryg, ani upolowanych przez siebie jarząbków i słomek, które tak lubił, tylko szampana pił, wychylając kieliszki jeden po drugim, jakby chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia. Niejednego już zarał w swoim życiu, ale nikt jeszcze nie zdołał go tak głęboko poruszyć, jak ta dziewczyna. Marcin może być dumnym z takiej córki!

Helenka miała siły podczas całej swej z Teckim rozmowy; ale gdy zamknęła za sobą drzwi, poza którymi zostały jej nadzieje, siły te tak zestały, że musiała usiąść w bramie, bo nogi się pod nią uginały, a ona sama drżała jak w febrze. Wiedziała już, że licytacya musi się odbyć, i że nic jej nie odwoła, ogarnęło ją więc śmiertelne znużenie i zniechęcenie. Świeże powietrze orzeźwiło ją trochę; wyszła na ulicę, a sklepikarka wyglądająca na nią przez szyby, wybiegła naprzeciw niej i włożyła jej w rękę zapomniany pakiecik z bułkami i obwarzankami. Chciała jej zadać kilka pytań, ale spojrzawszy na twarz dziewczęcia, dała pokój i po kiwawszy tylko głową odeszła.

Helenka szła powoli w stronę hotelu, odpoczywając co chwila, bo się bardzo męczyła.

— Nie wolno mi być słabą, — powtarzała sobie — bo nie mam nikogo, coby mi pomógł lub poradził. Nauczono mnie, że tylko na siebie liczyć mogę... Precz więc z boleścią, która odurza umysł i sercu odbiera męstwo!

Ale człowiek może znieść tylko tyle, ile może. Podczas, gdy usta dziewczęcia to mówiły, strumień łez wytrysnął z jej oczu. Świeże doświadczenie, którem ją życie dziś obdarzyło, wsączyło w jej serce palący jad goryczy. Wszystkie cierpienia jakich doznawała dotąd, wszystkie próby, nie mogły iść w porównanie z tem, co czuła w tej chwili, bo to było poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Zapłakała gorzko. Rozbudzono w jej sercu miłość dla społeczeństwa, a oto przekonała się świeżo, że nie wszyscy są godni tej miłości, że raczej im się należy wzgarda. Nie była jeszcze o tyle dojrzałą, żeby się wznieść do tej wysokości, w której człowiek patrzący uważnie na życie i znający niedoskonałość ludzkiej natury, nie w samym winowajcy szuka źródła winy, ale w warunkach jego wychowania i w społeczeństwie, w jakim żyje; do tej wysokości, w której człowiek staje się surowym dla siebie, ale pobłażliwym dla drugich, i powtarza chętnie wzniosłe słowa Marka Aureliusza: »Wszystko zrozumieć, jest to wszystko przebaczyć!«

Na placu, przy którym stał hotel, był skwer zasadzony drzewami, a pod ich cieniem stało kilkanaście ławek. Tam usiadła i odpoczywała dopóty, dopóki łyzy jej nie przestały płynąć; gdy się jej trochę lżej zrobiło, wielkim wysiłkiem woli otrząsnęła się z ogarniającego ją coraz bardziej zniechęcenia i usiłowała zebrać myśli, żeby coś postanowić. Licytacja musiała być. Nie dało się jej usunąć, więc trzeba się było na nią zgodzić: szło już tylko o to, żeby Niemcowi gruntu nie dać. Ale sprzedaż ruchomości rodziców nie przyniesie więcej nad tysiąc rubli, a Ofmanowi należało się dwa tysiące! Jeżeli Doński odda pieniądze, które winien, będzie brakowało jeszcze tylko pięciuset. Dla tak małej kwoty Nie-

mieć ma zostać panem domu jej ojca! Ale i grosz jest wielką sumą, gdy go niema, a coś dopiero pięćset rubli...

Zaczęła bardzo myśleć, czyby skąd nie można dostać tych pieniędzy i błysnęło jej imię stryja Bartłomieja.

— A gdybym pojechała do niego! — rzekła do siebie — on jest dobry, przywiązany do nas...

Iskierka nadziei wróciła jej siły, a z siłami przyszła myśl o potrzebie posiłku. Zjadła bułki i obwarzanki wsunięte jej w rękę przez sklepikarkę, i obliczyła raz jeszcze swoje pieniądze. Na podróż do stryja było dosyć, a stamtąd wiedziała, że ją odeszłą.

XXVIII.

Stryj ją przyjął z otwartemi rękami.

— Jak się masz robaczku, — mówił ściskając ją z niekłamaną serdecznością — jak się masz! Toś nam niespodziankę zrobiła! Myślałem, że jesteś w Warszawie, a tyś już tu. Stęskniłaś się do rodziców, co? Cóż tam u was słychać? Kiepsko? he?

— Tak stryjasku, źle bardzo słychać... za kilka dni mają nas zlicytować — odpowiedziała smutnie.

— Do dyabła! Patrzaj, co twój ojciec narobił. A mówiłem mu: Marcinku, nie rób głupstw; po co się ty masz szargać dla innych, kiedy jak ty będziesz zaszargany, to cię nikt z błota nie wyciągnie. Znasz przysłowie: »Nie pożyczaj, zły obyczaj; nie oddają, jeszcze łają«.

— Stało się, kochany stryju. Mówmy lepiej o tem, czyby nie można jeszcze jako ojca ratować. Przyjechałam do kochanego stryja po radę.

Opowiedziała mu wszystko, co w ciągu trzech upłynionych dni zrobiła: swoje starania i daremne atakowanie Teckiego.

Ban Bartłomiej ręce roztworzył.

— Co ja ci poradzę robaczku, co ja ci mogę poradzić? Sama powiedz! Rzeczy tak stanęły, że zje dyabła, kto furtkę znajdzie!

— Wiem, że licytacyi nie unikniemy, — mówiła — ale licytacya naszych ruchomości mało co więcej przyniesie nad tysiąc rubli; a że dla zapłacenia długu trzeba dwóch tysięcy, więc Ofman nam dom zabierze. On już proponował ojcu, że weźmie go w długu i dopłaci cztery tysiące rubli gotówką, ale ojciec nie chce oddać Niemcowi domu i ma słuszość. Brakuje nam tysiąca rubli: pięćset ojciec ma u Dońskiego i pewnie je dzisiaj odebrał, ale potrzeba jeszcze pięćset.

— Hm, to się niby ma znaczyć, żebym ja wam dał te pięćset rubli?

— Nie, stryju, — zawołała z żywością Helenka — nie idzie tu o żadną darowiznę; ale jeżeli dom już nie może zostać przy nas, to niech się przynajmniej Ofmanowi nie dostanie. Niech go stryj kupi! Taki duży, piękny kawałek gruntu... prawie włoka.

— Oł, zachciałaś, a co ja bym robił z waszym domem? Mam dosyć kłopotów ze swoim gospodarstwem i z sądem gminnym, bo pewno wiesz, że jestem sędzią.

Machnął ręką.

— Ale co to tobie gadać? Kobiety takich rzeczy nie rozumieją. Powiem ci tylko tyle, że choć mam tego póty, nie zrzucam się, bo nie będę ja, to będzie inny i człowiek przestanie być swobodny u siebie. Zresztą są pewne obowiązki... ale, co tobie o tem gadać! I chcesz, żebym jeszcze dom kupował i trapił się z lokatorami i opędzał komisyi kwaterniczej, jak zając sforze chartów! Nie, nie głupim; niech go kupuje kto inny. Kto ma dom, musi go pilnować, bo znasz

polskie przysłowie: »Pańskie oko konia tuczy«. Ja mego gospodarstwa dla waszego domu nie rzucę, a twego ojca administratorem nie zrobię, bo jest człowiek dobry, ale z przeproszeniem, papierowy.

Helenka westchnęła.

— Moje dziecko, — rzekł po chwili pan Bartłomiej, któremu żal było dziewczęcia — domu waszego nie kupię, jednak dałbym wam pięćset rubli, gdybym je miał, ale nie mam. Pszenicę w tym roku sprzedałem za psie pieniądze i jeszcze z nią miałem ambaras, a gotówki mi taki brak, że kto wie, czy nie będę musiał zadać się ze Żydami.. Ale wystarałbym się dla was o te pieniądze, gdyby wam nie było tak pilno. Postarajcie się odwlec licytację na kilka tygodni, a może się coś zrobi.

— Dziękuję stryjowi za jego dobre chęci, — rzekła całując go w rękę — ale wątpię, czy się to da zrobić. Teraz już muszę jechać. Gdzie jest stryjenka? Chciałam się z nią przywitać i pożegnać!

— Co, pożegnać? Ależ zostań się dziś u nas robaczku i przenocuj; jutro odjedziesz.

— Nie mogę stryju, muszę się spieszyć do rodziców; oni tam sami i bardzo, bardzo znękani.

— No, to chociaż zjedz z nami obiad. Ale co ty wyrabiasz dziewczyno! Dostałaś się podobno za pannę sklepową do jakiegoś kupca, prawda to? Strasznie się emancypujesz.

— Prawda, mój stryju. Nie chciałam dłużej wieść próżniaczego życia w domu i wzięłam się do pracy.

— I cóż tam sprzedajesz? pieprz?

— Nie, mój stryju, ja nic nie sprzedaję, tylko piszę rachunki, a także ważę i pakuję nasiona.

— To wszystko jedno. Dałabyś temu spokój, to nie szlachecka rzecz. Wiesz, co ci powiem? Jesteś ładna dziewczyna i możesz iść dobrze za mąż. Nie jedź już do War-

szawy, a daję słowo honoru, że cię wkrótce wyswatam... i skończą się wszystkie wasze kłopoty.

— Nie jestem towarem do sprzedania mój stryju — odrzekła z mocnym rumieńcem Helenka.

Pan Bartłomiej wpatrzył się bystro w siostrzenicę.

— Hm, hm, »nie miła księdzu ofiara...« Co się z tą dziewczyną zrobiło, co się z nią zrobiło! — powtórzył kilkakrotnie.

Przyszła stryjenka i siostry, chciały Helenkę koniecznie zatrzymać, ale nie dała się uprosić. Kazano więc zaprząć do powozu i odesłano ją.

— Co się z tą dziewczyną zrobiło! — powtórzył raz jeszcze pan Bartłomiej, patrząc za nią przez okno. — Ale podoba mi się: ma charakter, o, ma!

Pierwszym przedmiotem, jaki Helenkę powracającą do domu uderzył, była stojąca na dziedzińcu bryczka, zaprzężona pocztowymi końmi. Pomyślała sobie, że pewnie ojciec powrócił od Dońskiego, ale mimo to ogarnęło ją jakieś niedobre przeczucie. W sypialnym pokoju zastała oboje rodziców. Ojciec nierozebrany z płaszczu podróżnego siedział na krześle, z twarzą znękaną, a matka stała przy nim zapłakana.

— Wystaw sobie Helciu, — rzekła do córki po przywitaniu — że ojciec jeździł do Dońskiego upominać się o te pięćset rubli, co to wiesz. Doński miał gości u siebie siedzieli przy stolikach i grali w karty. Otóż gdy ojciec przyjechał i powiedział mu po co, ten wziął ojca na bok i z najlepszą miną powiada: — »Zminęliśmy się widać z sobą w drodze, kochany panie Marcinie; ja właśnie jeździłem do miasta, żeby panu oddać te pieniądze, ale nie zastawszy pana w domu, oddałem je żonie pańskiej. Siedziała właśnie w ogrodzie i siała jakieś kwiatki«. Tak ojciec się go pyta: — »A jakże się panu ogród podobał, ładny? — »A ładny, bardzo ładny«. Ojciec przyjeżdża i mówi mi to, a ja ani Dońskiego, ani ża

dnych pieniędzy nie widziałam, ani nawet w ogrodzie dziś nie byłam. Jezus Marya, myślę sobie, może on się widział z kim innym i komu innemu zamiast mnie oddał, chociaż to nie powinno się było zdarzyć, bo mnie zna przecież dobrze. Więc mówię do ojca: — Na miłość Boską, Marcinie, wracaj natychmiast do Dońskiego i dowiedz się, co się stało z pieniędzmi! Ojciec też tak zrobił, pojechał i zastał jeszcze tych samych gości przy kartach. Doński jak tylko ojca powracającego zobaczył, tak wstał zaraz, i wyszedł naprzeciw niego do sieni. Ale opowiadaj ty sam, Marcinie!

— Wyszedł naprzeciw mnie trochę zmieszany, zaczął mnie ścisnąć za rękę i pszepraszać, mówiąc: — »Wybacz, kochany panie Marcinie! Nie miałem pieniędzy, a nie wiedziałem już jak się panu wytłomaczyć, więc tak tylko powiedziałem... Wybacz mi pan, wybacz! nie przypuszczałem, że się będziesz drugi raz fatygował«.

Helenka słuchała tego opowiadania z zaciśniętymi ustami: pierś jej wrzała gniewem i oburzeniem.

— Zakpił sobie z ojca, — mówiła z uniesieniem pani Orecka — nietylko że nie oddał pieniędzy, ale ośmieszył go i jeszcze miał czoło prosić ojca, żeby został u niego na kolacyi. A łotr!

Pan Marcin siedział zgnębiony i przybity; biedna jego siwa głowa pochylona była nisko na piersi. Helenka objęła po macierzyńsku tę skołataną głowę, która tak bolesne zniosła upokorzenie i ucałowała gorąco.

— Czy daleko do Maciejowa? — spytała po chwili.

— Będzie z półtorej mili.

XXIX.

Dobrze się bawiono we dworze pana Dońskiego. Przy kolacyi rozmowa była bardzo ożywiona: anegdoty, myśliwskie opowiadania i dowcipy krzyżowały się ponad stołem przerywane toastami. Czasem tylko jak ostry dysonans w tym chórze, dawały się słyszeć narzekania na spadające ciągle ceny zboża, na brak gotówki i trudność w uzyskaniu kredytu. Goście składali się z samych mężczyzn różnego wieku; byli tam starzy i młodzi, a wszyscy amatorowie gry. Na pierwszym miejscu siedział pan sędzia Milewicz, człowiek zacny, rozumny, dobry obywatel i mający wielki mir u ludzi. Jeżeli gdzie były jakie spory, on je zawsze rozstrzygał; jeżeli chodziło o radę, on ją dawał; jeżeli o pomoc pieniężną, on jej nie skąpił. Jego nawet pan naczelnik Sokołów pomiatający wszystkimi, cenił i poważał, chociaż sędzia Milewicz nie wahał się nigdy wypowiedzieć mu swego zdania, ilekroć uważał to za potrzebne. Kochano go, szanowano, bano się nawet trochę, i chętnie przebywano z nim w towarzystwie, bo towarzyski był bardzo, a w preferansa grywał chętnie, w braku innej rozrywki. On to najwięcej wywoływał dysonansów przy stole swemi uwagami o położeniu kraju i potrzebie dokonania zupełnego przewrotu w gospodarstwie wiejskiem.

Po kolacyi panowie przeszli do salonu, gdzie były rozstawione stoliki, i na nowo do kart zasiedli, a zamiast gwarnej rozmowy słychać już tylko było lakoniczne, ale pełne dla grających znaczenia, wyrazy:

— Pas.

— Ręka.

— Siedm bez atu.

Lokaj roznosił herbatę, gospodarz częstował cygarami; wszyscy palili, i wkrótce zrobiło się prawie ciemno od dymu. Pan sędzia grywał tylko w preferansa i nie inaczej

jak po dziesięć punktów za grosz, ale przy innych stolikach grano w wista, dyabełka i inne ryzykowniejsze gry. Do tych ostatnich należał gospodarz, ale karta mu nie szła i już był przegrany na sto rubli — ale posiadał dużo zimnej krwi i nie stracił przez to nic na humorze. Grał z niedbałością człowieka dobrze wychowanego i pana, choć panem nie był wcale.

— Doński znów przegrał — odezwał się radca — nie masz dziś szczęścia Jacku; widzę, że wszyscy, jak tu jesteśmy wejdziemy ci na hipotekę.

— O, nie! — odparł swobodnie gospodarz — nie dopuszczę do tego: długi honorowe płacą się natychmiast.

— Doński jest w miłości szczęśliwy: — szepnął ktoś — panna prezesówna zagięła na niego parol, chociaż jest wdowcem i ma dorosłą córkę.

Wszyscy się rozśmiali, panna prezesówna bowiem miała lat przeszło pięćdziesiąt.

Wszyscy tak byli grą zajęci, że nikt nie słyszał bryczki zajeżdżającej na dziedziniec, i nikt nie spostrzegł, że drobna, wątła postać dziewczęca stała w progu. Gdy śmiech obecnych ucichł, zabrzmiał w salonie głos czysty, dźwięczny i pełen jakiejś uroczystej powagi.

— Który z panów jest gospodarzem tego domu?

Goście zwrócili oczy ku drzwiom, gdzie stała panna Orecka w swej skromnej, ciemnej sukience, a niespodziane jej zjawienie się, jej szlachetna i pełna godności postawa, wprawiła ich w zdziwienie. Wszyscy powstali.

— Który z panów jest gospodarzem? — spytała po wtórnie, spoglądając kolejno po obecnych.

W tem zadrżała i serce jej uderzyło szaloną radością; zobaczyła Stefana! Nie była już sama teraz, miała obrońcę, który niezawodnie stanie przy niej i poprze jej sprawę. Spojrzenia ich skrzyżowały się, ale Helenka nie znalazła w oczach młodzieńca tego, czego szukała; wyrażały zdziwienie i zakłopotanie wobec tego niespodzianego spotkania, i nic więcej...



Wyrządziłeś pan ciężką zniewagę memu ojcu.

Stefan nie biegł ją witać, nie pytał po co tu przyszła sama jedna... Na ustach dziewczęcia osiadł pogardliwy uśmiech. Wiedziała już, że nie może na niego rachować, a ból jakiego doznała, zamiast odebrać jej siły, dodał ich tylko jeszcze. Chciała mu pokazać, że się potrafi obejść bez niego.

— Chcę mówić z panem Dońskim — powtórzyła raz jeszcze.

Gospodarz postąpił ku niej i złożył jej ukłon głęboki.

— To pan? — spytała mierząc go od stóp do głów. Doński skłonił się powtórnie.

— Jestem Doński, do usług. Czy mogę zapytać z kim mam przyjemność, czym mogę pani służyć?

— Jestem córką Marcina Oreckiego — powiedziała, nie spuszczać zeń wzroku.

Doński się zmieszał.

— Niech pani raczy przejść do mego gabinetu — rzekł głosem niższym i wskazał jej drzwi boczne — tam będzie można porozmawiać swobodnie. Tu tyle osób i.. i dymu.

— To co mamy z sobą do mówienia, nie potrzebuje być żadną tajemnicą — odrzekła zimno Helenka — przeciwnie, pragnę, żeby rozmowa nasza miała jak najwięcej świadków.

Doński okazał jeszcze większe pomieszanie; chciał coś przemówić, ale Helenka uprzedziła go.

— Wyrządziłeś pan ciężką zniewagę memu ojcu!..

— Co się stało? o co idzie? — pytano spoglądając po sobie.

— Panowie nie wiedzą, co się stało? Oto ten pan pożyczł przed dwoma laty od mego ojca pięćset rubli na słowo, i ilekroć żądano od niego zwrotu, nigdy nie miał pieniędzy przy sobie, ale obiecywał oddać wkrótce pod słowem honoru.

Ostatnie dwa słowa wymówiła z przyciskiem.

— Przed kilku godzinami ojciec mój, zagnalony gwał-

towną potrzebą, przybył tu, żądając stanowczo zwrotu i otrzymał odpowiedź, że pan Doński tylko co wrócił z miasta, i że wręczył pieniądze mojej matce. Gdy ojciec powrócił do domu pokazało się, że nic podobnego nie było; więc gnany najwyższym niepokojem, przyjechał powtórnie tutaj, pytając co się stało z pieniędzmi, bo matka ich wcale nie widziała. Wówczas ten pan — dodała, wskazując ręką — przyznał się że tylko żartował... bo nic innego naprędce wymyślić nie mógł, a dla złagodzenia przykrości, prosił ojca, żeby został u niego na kolacyi.

Szmer oburzenia rozszedł się między obecnymi. Wszyscy widzieli dwukrotnie przybywającego pana Oreckiego i rozmawiającego z gospodarzem na stronie, choć nie wiedzieli o co idzie. Nie mogli więc wątpić, że córka jego mówi prawdę.

— Mój ojciec jest chory i ma lat sześćdziesiąt — mówiła dalej Helenka, a głos jej brzmiał coraz silniej — pan Doński nie umiał uszanować jego wieku; nie wstydził się dla swej fantazyi narażać znękanego starca na powtórny podróż i dla dopełnienia zniewagi dodał jeszcze szyderstwo... Jak zdaniem panów powinien być nazwanym żart taki?

— Niegodnym! — odezwało się kilka głosów.

— Przybyłam właśnie, żeby mu to powiedzieć... Pan Doński przegrał w karty płaci zaraz i nazywa to długiem honorowym, ale gdy trzeba oddać pieniądze pożyczone od ubogiego człowieka, honor jego jest nieobecny!

Szlachetna odwaga dziewczęcia, oburzenie i boleść dźwięczące w jej głosie, ujęły serca słuchaczy. Wszyscy wzięli gorąco stronę jej ojca.

— Panie Doński — przemówił surowo sędzia — splamiłeś stan szlachecki, żaden też szlachcic nie poda ci ręki, dopóki nie naprawisz złego, któreś wyrządził. Postępek twój ubliża nam wszystkim, którzy żyjemy z tobą i przyjmujemy cię w naszych domach; to też nie ustąpimy, dopóki nie zło-

żysz kwoty, którąś winien, na ręce panny Oreckiej. Prawda panowie?

— Tak jest — powtórzyli wszyscy — niech Doński złoży te pieniądze. Musi je złożyć!

Doński stał czerwony z gniewu, zawstydzony i zły.

— Jak mi Bóg miły! — wykrztusił kładąc rękę na piersi — tak nie mam pięciuset rubli w domu.

— A więc my zapłacimy za ciebie, a ty będziesz naszym dłużnikiem i wystawisz nam rewers. Panowie, musimy złożyć te pieniądze. Co kto ma niech składa w moje ręce.

W jednej chwili zrobił się ścisk dokoła sędziego. Pieniądze się posypały i zebrała ich się spora suma, większa nawet niż było potrzeba. Sędziwy inicjator tej myśli przeliczył je, odsunął resztę i wziąwszy pięćset rubli, chciał je wręczyć Helence.

— Nie — rzekła usuwając rękę. Pan Doński daremnie fatygował mego ojca, niech się teraz pofatyguje do niego, i przeprosi go za żart niestosowny. Żądam tego!

— Masz pani słuszość — rzekł sędzia, spoglądając na nią z podziwieniem. — Panie Doński, każ pan zaprzęgać, musisz przeprosić pana Oreckiego. Jedziemy wszyscy z panem.

Projekt ten przyjęty został z ogólnem uznaniem, a Helenka w gorących słowach dziękowała sędziemu.

— Nie dziękuj pani; — powiedział wzruszony — swojej to szlachetnej odwadze zawdzięczasz to co się stało. Niech przy tej sposobności wolno mi będzie prosić o za szczyt przedstawienia się kobiecie, która tak dzielnie broni honoru i praw swego ojca. Jestem Milewicz z Pokorzyna.

I zacny starzec pochylił nisko przed dziewczęciem swoją siwą głowę.

Za przykładem sędziego wszyscy przedstawiali się Helence, a ona swobodnie i z prostotą przyjmowała te objawy hołdu. Wiedziała, że uczyniła dobrze, więc nie dziwiło jej wrażenie wywołane tym postępkim. Niegdyś, na owym pa

miętym balu, hołdowano jej piękności; dzisiaj uczczono w niej obowiązek wypływający z przywiązania dla ojca. O ileż miłszym jej był ten hołd dzisiejszy!

Gdy z kolei Stefan zbliżył się do niej, zabolało ją serce. Nie stanął przy niej, gdy weszła tu strapiona, trwożna i niepewna, i teraz dopiero, gdy widział jej tryumf, podążył za innymi... Zrozumiała całą nicość moralną człowieka, którego obraz tak długo nosiła w sercu i ubierała we wszystkie przymioty męskiego ideału. I ona mogła porównywać go z Andrzejem? Cóż za przepaść niezmierna pomiędzy tymi ludźmi! Serce ją bolało, nie dlatego, że go utraciła, bo już zrozumiała, jak małą wartość miało to utracone, ale ono płakało, za rozwianemi złudzeniami. Nie dotknęła ręki, którą jej podawał Stefan i rzekła zimno:

— Pan niepotrzebnie się trzodzi, znamy się bowiem dobrze.

Powozy i bryczki zaczęły zajeżdżać przed ganek, i dwór maciejowski opustoszał w jednej chwili. Wszyscy skierowali się ku miastu, tylko Stefana nie było z nimi.

Sędzia ofiarował Helence swój powóz i prosił, żeby go przyjęła za towarzysza, a gdy ruszyli w drogę, zabawiał ją jak mógł rozmową. Był to człowiek wielkiej zacności, i choć ostro powstawał na Dońskiego w jego domu, usiłował teraz u Helenki wyjednać przebaczenie.

— To nie jest zły człowiek — mówił — niech mi pani wierzy; robi dużo dobrego dla swej uboższej rodziny i nie cofa się, gdy idzie o rzecz publiczną, tylko lekkomyślny. Ta nieszczęśliwa lekkomyślność jest naszą narodową wadą; mówi się i robi wiele rzeczy bez zastanowienia, których nie czas potem żałować. Że nie miał pięciuset rubli w domu, w to wierzę, bo wydał w ostatnich czasach sporo pieniędzy na wyprawę dla córki, którą wydaje za męża.

— Za kogo? — spytała machinalnie.

— Za pana Stefana. Małej to wartości człowiek, i idzie

mu pewnie o posag tylko, bo panna brzydka i dosyć ograniczona, ale cóż kiedy się zakochała na zabój.

— A więc to jest łowca posagów — pomyślała Helenka — dzięki Bogu, że nie jestem już panną posażną, bo byłabym popełniła straszną omyłkę!

Państwo Oreccy przepędzający wieczór w smutku i samotności, zostali niepomiernie zdziwieni przyjazdem tylu gości — a gdy się dowiedzieli, co było przyczyną tego zjazdu, smutek zamienił się w radość. Wszyscy znali pana Marcina, lubili go i starali się teraz mu to okazać.

Przeproszenie odbyło się najformalniej, a sędzia żegnając się z panem Oreckim powiedział:

— Panie Marcinie, nie dał ci Pan Bóg syna, ale nie potrzebujesz mieć do Niego o to pretensyi, bo masz dziewczynę, która syna w zupełności zastąpi.

XXX.

Wiadomość o tem zdarzeniu z błyskawiczną szybkością rozeszła się po okolicy, i wielu z tych, którzy dawniej znali pana Marcina, a potem o nim zapomnieli, przypomniało go sobie teraz. Ten i ów nawiedził osamotniały domek, a znaleźli się tacy, co ofiarowali mu się z pożyczką na zapłacenie Ofmana, byle go od smutnej konieczności licytacji ochronić. Pani Orecka nie była od tego, ale pan Marcin zwykle ulegający żonie z bezprzykładną powolnością, teraz stanowczo odrzucił wszystkie propozycye.

— Dziękuję panom serdecznie za wasze serca, — mówił — ale nie mogę przyjąć waszej pomocy. Oddać nie miałbym z czego. Co się ma stać, niech się stanie. Kupcie lepiej ode mnie dom i grunt, żeby się Niemcowi nie dostał.

Ale na kupno domu jakoś nie znaleźli się kandydaci. Już i to było dobre, że kieszonkowe długi w mieście zostały popłacone, i że było pięćset rubli gotówki. »Tonący brzytwy się chwyta« — mówi przysłowie, więc choć ogłoszenia o sprzedaży ruchomości państwa Oreckich były od kilku dni porozlepiane na rogach ulic — oni sami mieli nadzieję do ostatniej chwili, że Ofman nie doprowadzi rzeczy do ostateczności, zaspokoiwszy się tymczasem pięciuset rublami, że zaczeka parę miesięcy, aż Tecki odbierze resztę kapitału od siostry.

Ale żadna z tych nadziei nie ziściła się, chociaż próbowano zawiązać z nim układy.

Taki był stan rzeczy, gdy nadszedł fatalny dzień licytacji. Pani Orecka przepędziła noc na łzach i bezsenności, i żadne krople nie mogły jej uspokoić. Pan Marcin przewracał się z boku na bok i wzdychał ciężko, a Helenka nawet na chwilę nie zmróżyła oka.

Śniadania nikt nie tknął, nawet pies powąchał tylko swój kawałek chleba i ze spuszczoneym ogonem chodził od pana do pani, od pani do panienki i z powrotem, patrząc każdemu w oczy, jakby chciał się dowiedzieć, dlaczego są tacy po martwieni. Poczciwy wyżeł przeczuwał, że się coś dzieje nie tak jak powinno. Wszyscy troje uspokajali się nawzajem głosem cichym, który zdawał się samych mówiących przestraszać, tak nienaturalne miał dźwięki — ale unikali przytem swego wzroku, żeby nie wybuchnąć żalem gwałtem powstrzymanym. Pani Orecka dostając tak często ataków nerwowych, wstrzymywała się dziś wielkim wysiłkiem woli i nie czyniła nawet mężowi wyrzutów, czem pan Marcin jeszcze więcej był przygnębiony. Bębnił on swojego marsza z taką nieśmiałością, jak to jeszcze nigdy nie bywało.

Okropni ludzie w mundurach nie przyszli po meble, bo zgodnie z przepisami ustaw sądowych, dłużnik obowiązany był dostawić je na miejsce licytacji. Ludzie wynajęci do tej czynności, ociągali się i brali do niej niechętnie, ze smutkiem

widocznym, bo pan Marcin był kochanym i cenionym przez wszystkich — i ci nawet, którzy go kradli, żalowali go teraz i uczuwaliby wyrzuty sumienia. Przed domem od ulicy i na dziedzińcu stały gromadki ludzi rozmawiające pocichu, spoglądające z ciekawością i współczuciem na drzwi i okna. Zdało się, że tu ktoś umarł, a zebrani na pogrzeb, szanując ciszę śmierci. Zeszła się garstka przyjaciół, ale ci stali w salonie, nie wiedząc jak pocieszać i nie śmiejąc przestąpić drzwi oddzielających ich od dalszych pokoi. Szanowano boleść i zostawiono ją w spokoju.

Zegar wybił pół do dziesiątej, i jednocześnie z tem uderzeniem zaczęło się wynoszenie mebli. Pani Orecka nie mogła już dłużej zapanować nad sobą: wyszła do drugiego pokoju i zaczęła gwałtownie szlochać, a pan Marcin ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie dniem i nocą paliła się lampka wisząca w brązowej oprawie, i zaczął głośno odmawiać koronkę do Przemienienia Pańskiego. Pani Orecka niewiele przywiązywała wagi do starych mebli i może nawet wołałaby je zastąpić nowymi i modnymi, gdyby jej na to pozwalały środki, tylko o skandal jej chodziło — ale pan Marcin, który od rana spoglądał na nie z tkliwym rozrzewnieniem, nie miał odwagi teraz żegnać się z nimi, i odwracając oczy od tego, co się koło niego działo, w modlitwie szukał ucieczki, a po twarzy jego spływały wielkie, grube łzy.

Helenka stała w środkowym pokoju, między tym w którym znajdowała się matka i tym w którym modlił się ojciec; twarz jej spokojna napozór, była blada bardzo, a usta boleśnie zaciśnięte. Czyniła z sobą obrachunek i pytała się swego sumienia, czy uczyniła wszystko, co mogła i co była powinna, dla uratowania rodziców.

Coś ciepłego dotknęło jej ręki; był to łeb pocziwego wyżła, który z wielkiem zdumieniem patrzył jak obcy ludzie wynosili z domu sprzęty jego państwa, a jemu nawet szcze-

kać na nich nie było wolno. Myślał sobie widać, że świat idzie na opak, a że mu się to nie podobało, więc trącił swoją młodą panią, jakby prosząc, żeby mu to wytłómaczyła. Helenka przesunęła pieszczotliwie rękę po jego miękkim grzbiecie.

— Widzisz, stary przyjacielu, widzisz, czegośmy się doczekali, — przemówiła smutnie — bardzo jesteśmy biedni, bardzo...

Pies szczeknął żałośnie, jak gdyby ją zrozumiał i jednocześnie nadstawił bystro uszy, bo słyszał było głos trąbki pocztowej i jakaś bryczka zajechała na dziedziniec.

— Kto to być może? pewnie ktoś ze znajomych przyjechał, — rzekła do siebie Helenka, ale nie wyszła na powitanie. Taka była strapiona, że nie miała siły przymuszać się do obowiązków gościnności.

Drzwi się otworzyły i wszedł Andrzej. Helenka wydała okrzyk zadziwienia.

— Pan tutaj! — zawołała — tu, w naszym domu? Cóż się to stało? Czy wypadł panu interes w tych stronach?

— Tak, pani, — odpowiedział — interes mi wypadł ważny. Naradziwszy się z ojcem, osądziliśmy, że po obliczeniu pieniędzy osiągniętych z licytacji ruchomości, pani sama możesz sumę brakującą zapłacić.

— Ja?

— Nie inaczej. Nasz zakład otwiera pani kredyt do wysokości pięciuset rubli, które pani następnie pensją swoją spłacisz. Ojciec twierdzi, że charakter pani daje dostateczną gwarancję bezpieczeństwa tej sumy i ja jestem tego samego zdania, dała się już bowiem pani poznać z pracy nieleniwej i wytwałej. List pani, opisujący wszystkie starania i wysiłenia, otrzymaliśmy dopiero wczoraj. Wkrótce po jego odebraniu wyjechałem z domu.

Dziewczyna stała jak wryta.

— Czyż to może być prawdą? — wyszeptała, błędnie

jąc jeszcze bardziej ze wzruszenia. Niespodziana pomoc w chwili, gdy już była bliską rozpaczy, obezwładniła ją prawie. Nie śmiała wierzyć, że to jest rzeczywistość, nie sen i że dom zostanie w rękach rodziców.

— To jest prawdą, panno Heleno — odpowiedział, patrząc ze współczuciem w twarz dziewczęcia, na której tydzień przebyty zostawił swoje ślady.

Helenka jeszcze stała nieruchoma. Ileż szlachetności było w tej propozycji, jaka delikatność w ofiarowaniu pożyczki! Jej samej zostawiono ratowanie rodziców, nie chcąc przyznawać sobie ani odrobiny zasługi... I na to zdobyli się ludzie, którzy wszystko robili po kupiecku, ludzie, których niegdyś posądzała, że w sercu zamiast uczucia mają cyfry!... Bądźcobądź jednak, robili jej łaskę, a łaska zawsze upokarza...

Andrzej musiał te myśli wyczytać w jej twarzy, bo powiedział:

— Nie wyświadczamy pani żadnej łaski, ale robimy prosty interes, tak dobry, jak każdy inny. Sumy, którą przywiozłem, nie damy pani bez procentu. Zapłaci nam pani po cztery od sta na rok.

Helence łązy w oczach stanęły. Nawet tę drażliwość przewidziano, uszanowano i usunięto. Ci szorstcy ludzie znali najsubtelniejsze odcienie uczuć.

— Ach! — szepnęła — jacyż wy dobrzy jesteście! Załedwie wierzyć mogę, że pan, dla którego czas jest bardzo droгим, zwłaszcza teraz, w porze najważniejszej dla czynności handlowych i ogrodniczych, chciałeś to zrobić dla mnie... dla rodziców moich — dodała, poprawiając się.

— Ale pani nie jesteś dobrą, panno Heleno, bo od kilku minut jak tu jestem, nie przywitałaś się jeszcze ze mną.

Helenka podała mu obie ręce, nie mówiąc ani słowa, ale w oczach jej Andrzej musiał wyczytać, co mu powiedzieć

chciała, bo schylił się, i obie ręce, te ręce, które znały już, co jest trud i zarobiły sobie na cześć jego, do ust przycisnęła.

Lekki rumieniec oblał twarz dziewczęcia i ogarnęło ją dziwne wzruszenie, podobne do uczucia nagłego a wielkiego szczęścia. On ją szanował, on ją cenił... Czuła, że posiadała jego przyjaźń wiarę i zaufanie.

— Bądź pan łaskaw usiąść, — przemówiła — dopóki jest jeszcze na czym siedzieć, a ja pójdę zawiadomić rodziców o przybyciu pana.

Pani Orecka obtarła natychmiast oczy, i poprawiwszy czepeczka, poszła przyjąć gościa, ale pan Marcin, choć musiał słyszeć, co w drugim pokoju mówiono, zachował się tak, jakby nic nie słyszał. Nie odwrócił ani na chwilę oczu od obrazu i odmawiał dalej koronkę do Przemienienia Pańskiego tylko w żrenicach zamigotały mu jakieś blaski.

Ludzie tymczasem wynosili ciągle rzeczy na rynek, i pokoje opróżniły się zupełnie. Zostały tylko łóżka, pościel, parę lichych krzeseł, trochę bielizny, i po dwie sztuki wierzchniej garderoby. Ofman, który przyszedł sam sprawdzić, czy wszystkie wartościowe przedmioty zostały zabrane, chciał kazać zabierać pościel i łóżka, ale Helenka pokazała mu książkę z Ustawami sądowymi, kupioną przez siebie w H. u antykwaryusza, a w niej ustęp orzekający, że te przedmioty, jak również i obrazy do nabożeństwa służące, są nietykalne. Gdy Ofman wyszedł, Helenka zbliżyła się do Andrzeja i rzekła tonem prośby gorącej:

— Zrób pan to dla mnie i odkup w mojem imieniu fotel mego ojca i kanapkę matki. Oni się tak do tych sprzętów przyzwyczaili, że nie umieliby się bez nich obejść.

— Dobrze — odrzekł Andrzej i wyszedł zaraz.

Gdy przybył na rynek, licytacya rozpoczynała się właśnie. Przy stole, na którym leżały papiery, pióra i stał kałamarz, zasiadł komisarz sądowy, dawniej komornik, we fraku, ze srebrnym łańcuchem na szyi, ozdobionym dużym medalem.

Obok niego stało dwóch policyantów, a woźny magistratu trzymał papier zawierający spis przedmiotów, z oznaczonemi przy nich cenami. Ofman stał przy komisarzu i coś z nim rozmawiał półgłosem. Grupę tę otaczał liczny tłum osób płci obojej, złożony przeważnie z Żydów. Przypatrywali się oni rozstawionym sprzętom państwa Oreckich, dotykali rękami aksamitów, kiwali głowami, cmokali językami i szeptali między sobą, a robotnicy patrzący z daleka na te oględziny, mówili:

— Patrzcie, jak Żydy ostrzą sobie zęby na te graty. Oni wszystko zakupią!

Najczynniejsza i najruchliwsza była stara Moškowa, ta sama, którą niegdyś pan Marcin przyjął pod swój dach po spaleniu. Handlowała ona zawsze zapalkami, ale od kilku dni bardzo zaniedbała swoich kundmanów, zajęta jakimiś ważnemi sprawami. Biegała ona teraz między swymi współwyznawcami, od jednego do drugiego, szwargotała, machała rękami i była tak czynną, jak jej jeszcze nikt nigdy nie pamiętał: w peruce przekrzywionej na bakier, czerwona, zadyszana, ocierała rękawami pot z czoła.

— Ta żydowica musi mieć pieniądze, i tylko udawała biedną, — mówili dawni robotnicy pana Oreckiego. — Zobaczycie, że sama kupi połowę. Oczy jej się aż świecą z chciwości.

Zegar ratuszowy wydzwonił godzinę dziesiątą, a dźwięk jego poważny i niemal uroczysty, dał hasło rozpoczęcia licytacji. Woźny włożył okulary, rozwinął dużą kolorową chustkę, wytarł nos głośno, odchrząknął i zaczął wywoływać głosem donośnym.

— Toaleta orzechowa rzeźbiona, z lustrem, mało zniszczona, rubli srebrem pięć.

W tłumie dał się słyszeć lekki szum — rzekłbyś, że fala wzburzona zakołysała się i ucichła.

— Rubli srebrem pięć — powtórzył głośniejszym głosem woźny,

zdziwiony nieco tem zachowaniem się licytantów. — Kto da więcej?

Milczenie.

— Rubli srebrem pięć! Wcale nie zniszczona, z blatem marmurowym! — wołał, spoglądając po zgromadzonych.

Nikt się nie odezwał.

— Bierz pan co innego! — krzyknął Ofman — toaletę można później licytować. Weź pan kredens.

Powtórzyła się ta sama formalność. Tłum zaszumiał, poruszył się na prawo i na lewo, niby fala, która chce coś pochłonać i cofa się nagle w biegu — i zamilkł. Namiętności były, ale umiały się powstrzymać.

Stała się rzecz dziwna, niesłychana, rzecz jakiej podobnej nie pamiętano, odkąd miasteczko było miasteczkiem... nikt nie chciał kupować rzeczy pana Oreckiego. Jeden tylko młody Żydziać, któremu na widok szafy staroświeckiej ozdobionej bronzami, zaiskrzyły się oczy, odezwał się półgłosem i nieśmiało, ale Moškowa uderzyła go najprzód w kark z całej siły, a potem w plecy, wołając:

— Ty łajdak, ty gałgan, zamknij gębę! Czyś ty już zapomniał, kto cię schował w swoim domu przed pijanymi chłopami, co ci powybijali szyby w sklepie, wtenczas kiedy to pierze latało w powietrzu jak śnieg, a ulice i dachy były od niego białe? Kto ci jeść dawał przez tydzień i twoim dzieciom, co? Ty gałgan!

I przyłożyła mu jeszcze na plecy parę tak wymownych argumentów, że zamilkł i nie odezwał się więcej.

Licytacja okazała się niemożliwą wobec takiego usposobienia publiczności. Ofman biegał wściekły, pienił się ze złości, krzyczał, ale był bezsilnym. Pozostawało mu tylko otaksowanie rzeczy przez biegłych i zabranie ich do siebie — ale na to nie miał nawet dostatecznego pomieszczenia, i musiał je tymczasem odstawić swoim kosztem napowrót tam, skąd zostały zabrane.

Gdy Andrzej zawiadomił o tem rodzinę Oreckich, pan Marcin odmawiał jeszcze swoją koronkę i nie ruszył się z miejsca, tylko mu na twarz schorzałą wystąpiły rumieńce, a głos nabrał jeszcze większej siły i uroczystości, gdy mówił:

— »Jezu Nazareński, Królu Żydowski, jakoś się przemienił przy chwalebne m zmartwychwstaniu świętego Ciała Twego, gdy pogrążoną w boleściach i smutku Matkę Twoją Przenajświętszą pocieszyłeś, tak przemień wszystkie boleści i utrapienia moje«.

Zaturkotało znowu przed domem, a Helenka spojrzawszy w okno, zawołała:

— Ojczcie, ojczcie! pan Tecki przyjechał...

Pan Marcin kończył teraz swoją koronkę. Pochylił głowę do samej ziemi i chwilę pozostał w tej postawie, potem wstał, wyprostował się, a twarz jego promieniała.

— Marcinie, — przemówił Tecki, wchodząc i wyciągając do niego ręce — Marcinie, przebac i zapomnij! Przyjechałem zapłacić. Pożyczyłem pieniędzy, żeby ci wynagrodzić krzywdę, którą ci wyrządziłem. Twoja córka powiedziała mi, że jestem zbrodniarzem, i nie mogłem tego znieść, bo poruszyła we mnie wszystkie głosy sumienia. Marcinie, gdyby było więcej takich dzielnych kobiet jak ona, byłoby mniej takich mężczyzn jak ja!

Pan Marcin mocno dłoń Teckiego ucisnął i rzekł zwracając się do żony:

— Czy nie mówiłem imości, że pan Bóg nas nie opuści?

NA PROGU NOWEGO ŻYCIA.

NA PROGU NOWEGO ŻYCIA

Andrzej odjechał tego samego dnia, bo nie mógł bawić dłużej; ale Helenka została jeszcze cały tydzień u rodziców, a gdy ten minął, powrót jej do Warszawy nie był w niczem podobny do owego niefortunnego przyjazdu w zimie. Teraz wszyscy ją witali życzliwie i serdecznie, nie wyjmując nawet Franciszka i Kunegundy. Energia jaką rozwinęła dla ratowania ojca i wysilenia, na jakie się zdobywała, zaskarbiły jej do reszty serca tej twardej rodziny. Pan Radlicz powiedział jej, że teraz chętnie nazwałby ją swoją córką, panny nie szczędziły jej objawów życzliwości, pani Radliczowa powiedziała głośno, że panna Orecka stanie się kiedyś dzielną kobietą — a ta pochwała w jej ustach, tak skąpo udzielających pochwał, miała wielkie znaczenie.

W lecie ruch w handlu nasionami ustał, i osoby zajmujące się ekspedycją, musiały sobie aż do jesieni znaleźć gdzieindziej robotę, ale Helenka zajmująca się oprócz ekspedycji rachunkami, miała ciągle zajęcie. Spisywała inwentarz pozostałych nasion, odliczała po kilkadziesiąt ziarn każdego gatunku do wysiewu próbnego, który miał wykazać ich siłę kiełkowania i zdecydować, czy mają pójść jeszcze w handel a więc żyć, czy też zostaną wyrzucone — więc na zagładę skazane. Przygotowywała też nowy katalog i wyręczała w niektórych łatwiejszych czynnościach biurowych i korespondencji, panów Radliczów, ojca i syna, z których pierwszy, jako zamożny przemysławiec i obywatel dobrze rozumiejący po-

trzeby i interesa swego społeczeństwa, brał czynny udział w wielu instytucjach publicznych, a drugi trudnił się ogrodnictwem. Powierzywszy dozór nad cieplarniami swemu pomocnikowi, Andrzej spędzał większą część czasu na wsi u dziadka, gdzie na wielką skalę prowadzono hodowlę nasion. Helenka wiele godzin przepędzała sama jedna w kantorze, ale co niedziela i co święto jeździła z całą rodziną na wieś. Zboża i jarzyn gospodarczych uprawiano tam tylko tyle, ile było potrzeba na użytek miejscowy, a całe pola obrócono pod hodowlę nasion. Piękny był widok tych kwitnących pól, wyglądających jak olbrzymie kobierce utkane z tysiącznych kwiatów — barw o tyle różnych i bogatych, o ile stać na to przyrodę, szczodłą rozdawczynię tych przepychów. Kobierzec ten ulegał czarownym przemianom, bo jak za potrząśnięciem kalejdoskopu, nowe, niewidziane przedtem ukazują się kombinacje, tak tam każdy miesiąc, każdy tydzień, nową zmianę przynosił. Przekwitły jedne kwiaty, na ich miejsce wystąpiły drugie; przemiana odbyła się bez przygotowań żadnych. Rzekłbyś, że wieszczka jakaś dobra potrząsnęła swym niewyczerpanym nigdy rogiem obfitości, i nowe z niego posypały się barwy, nowe kosztowności, nowe kwiaty. Helenka z rozkoszą chodziła między grzędami roznoszącemi dokoła woń upajającą; była to prawdziwa biesiada dla jej wrażliwej, nawskroś poetycznej natury. Tu wabią grzędy aster różno barwnych ubranych w tęcze, tam migocą jak klejnoty Golkondy, świetne zagony mieczyków, wdzięczny a figlarny tłum stroiczek, bratków, polegmatek, stokrotek, lnianek i setek innych kwiateczków, jak fale opalów migocących w południowym słońcu.

W czasie sprzętu, cała rodzina zrobiła sobie dwutygodniowe wakacje, do kórych włączono i Helenkę: pomagano napół żartem, pół seryo zbierać nasiona, łuskać je, suszyć. Co się przytem najeżdżono wozami, ile podwieczorków zjedzono na świeżem powietrzu, a jaki wszyscy mieli dobry

apetyt, trudno wypowiedzieć! Jedna tylko Wanda pracowała naprawdę. Dla niej była to prawdziwa kampania, bo ogień pod kotłami, w których gotowały się soki lub owoce w syropie na konfekty, prawie nie ustawał. Była tak czynną, że literalnie nie miała chwili czasu na wypoczynek.

Życie na wsi bardzo dobrze oddziało na organizm panny Oreckiej: cera się poprawiła, kształty wypełniły, humor był zawsze dobry, a umysł swobodny i wesoły. Zawód doznaný z powodu Stefana nie zostawił wielkiego śladu w jej sercu: ból był chwilowy, rana nie głęboka, więc też zagoiła się prędko. Przekonała się Helenka, że kochała raczej głową niż sercem, człowieka którego wartości wewnętrznej nie знаła, a który ją olśnił powierzchownymi tylko przymiotami — bo nawet dopóki wierzyła, że ją kochał, miłość ta nigdy nie napełniała ją taką dumą i zadowoleniem, jak teraz przyjaźń Andrzeja. Jego wyższość nad sobą czuła na każdym kroku: jego rozum, energię i siłę woli, ciągle zmuszona była podziwiać. Tylko do uczuć tkliwszych, do uczucia miłości naprzykład, ten człowiek nie zdawał się być zdolnym — i Helenka mówiła sobie, że serce jego pewnie nigdy nie uderzy dla kobiety. Zajęty ciągle swoją pracą i myślący o wielkich celach, nie znajdzie czasu ani miejsca na takie uczucie.

Swobodne to i prawie szczęśliwe życie zakłóciła rzecz drobna napozór: Helenka dowiedziała się od Wojciecha, że robotnik wydalony przez Andrzeja za próżniactwo, zjawił się znowu we wsi — a chociaż nie przychodził już dopominać się jałmużny, sam fakt, że tu był znowu, poruszył ją do głębi. Przypomniła sobie jego groźbę, jego wzrok tchnący nienawiścią i ogarnęła ją trwoga. Od dnia, gdy się o tem dowiedziała, nie miała ani chwili spokoju, a każda dłuższa nieobecność Andrzeja nasuwała jej przypuszczenie, że mu się stać musiało coś złego. Serce jej biło z obawy i nie uspokajało się dopóty, dopóki znane kroki nie dały się słyszeć w sieni.

— Jest zacnym, szlachetnym, — mówiła do siebie, tło-

macząc się przed sobą z tego dziwnego usposobienia — więc szkoda by go było, gdyby miał uleść jakiemu wypadkowi z ręki złego człowieka.

Nie opowiadała jednak o swoich obawach nikomu; coś zamykało jej usta.

— Powiedzą, że jestem dziecinna — myślała.

Jednego wieczora robotnicy oddawna już zeszli z pól, cisza zaległa na plantacyach, a Andrzej nie wracał; podano wieczerzę, a Andrzeja nie było. Helenkę w tym dniu gorsze dręczyły przecucia niż kiedykolwiek: wymówiła się bólem głowy i wyszła do ogrodu, żeby odetchnąć świeżem powietrzem.

Bezwiednie niemal skierowała się w stronę skąd można go było widzieć powracającego. Idąc, zrywała rosnące nad brzegiem rabat bratki, kwiaty które on lubił najwięcej, i których wiązki ofiarował jej niedawno, jako symbol łączącego ich oboje braterstwa. Słońce już zaszło, tylko ostatnie jego blaski paliły się jeszcze na widnokręgu; w krzakach i gąszczach drzew zaczynało już być mroczno. Powietrze po dniu upalnym przyjemne było i orzeźwiające; lekki wiatr chłodził gorące czoło dziewczęcia i poruszał gałęziami drzew, które wydawały czasami szmer cichy, podobny do głębokiego, przeciągłego westchnienia.

Stary Wojciech kręcił się jeszcze po ogrodzie ze swoją koneweczką, i gderał pod nosem na teraźniejszych ogrodników, którym się zdaje, że są mądrzy, dlatego że książki czytają, — a nie wiedzieliby jak co zrobić, gdyby on im tego nie powiedział — a gderanie to przerywał sobie pośpiewywaniem swoich starych ulubionych piosneczek. Chwilami staruszek rzucał figlarnem okiem na pannę Orecką z taką miną, jakby chciał mówić:

— Wiem coś, ale nie powiem.

Idąc koło parkanu, Helenka usłyszała szmer ostrożny, jakby się ktoś skradał, i zadrżała. Przyłożyła oko do szpary

w parkanie i zobaczyła twarz widzianą raz tylko, ale niezapomnianą, twarz chudą, bladą, ze złowrogo błyszczącemi oczyma. A więc nie myliły ją przecucia: człowiek ten miał złe zamiary, bo dlaczego tu przyszedł, kiedy wiedział, że jest ścigany przez policję? Dlaczego narażał się na schwytanie? Czemu się skradał tak cicho pod parkanem? Być może, że przyszedł tylko odwiedzić swoją żonę, wyrobnicę mieszkającą niedaleko, ale któż mógł zaręczyć, że nie po co innego przyszedł? Wyobraźnia przedstawiła jej oczom Andrzeja leżącego we krwi i bez życia, a widok ten obudził w jej sercu taką boleść, taką rozpacz niemal, że zdumiona tem zjawiskiem, z trwogą zadała sobie pytanie co to znaczy, i dlaczego ten człowiek tak bardzo ją obchodzi? Nie znalazła odpowiedzi ani w milczących niebiosach, ani w cichym szumie drzew, tylko serce jej rzucało się w piersiach gwałtownie. Krwawy rumieniec oblał jej czoło, twarz i szyję. Po boleści poznała, że go kocha, a odkrycie to uczyniło ją bardzo nieszczęśliwą — bo on jej nie kochał. Był jej przyjacielem i bratem, ale nigdy nie okazywał jej nic więcej prócz przyjaźni; był dla niej dobrym, to prawda, znalazł się przy niej w chwili najcięższej dla niej i gdy ją wszyscy opuścili, ale to było przez przyjaźń także. Nie kocha jej i nie pokocha nigdy, bo czyż kilka miesięcy temu nie mówił do swojej siostry, że nie takiej jak ona potrzeba mu towarzyszki? Wyrzucała sobie, że wiedząc o tem pokochała go jednak. Gdzie była wtedy jej duma, gdy pozwoliła wkraść się do swego serca tej nieszczęsnej miłości, i dlaczego pokochała tego właśnie człowieka, który był tak dalekim od ideału jaki sobie niegdyś wytworzyła — bo ani piękny, ani salonowy, ani gładki...? Dłuższe pozostawanie w tym domu, wobec takiego stanu rzeczy, było niemożliwem; po co miała narażać się na codzienne tortury widywania go, i na uczucie upokorzenia przed sobą? Raczej oddalić się stąd co prędzej, i nie widzieć go więcej, zapomnieć o nim! Czuła

że tamto uczucie dla Stefana było niczem wobec tego, że teraz dopiero kocha całą potęgą duszy.

Ale jakże oddalić się teraz, gdy mu grozi takie niebezpieczeństwo! Czy nie lepiej poczekać jeszcze parę dni? Opuszczenie tego domu, w którym nauczyła się myśleć porządnie, rozumieć cele życia i obowiązki swoje, było dla niej bardzo przykrem — ale czyż mogła uczynić inaczej?

Usłyszała na ścieżce kroki dobrze sobie znane i chciała odejść. Teraz właśnie, gdy nie odzyskała jeszcze zwykłego spokoju, wołała go nie widzieć; ale on się zbliżał tak szybko, że mógłby dostrzedz uciekającą, a to byłoby jeszcze gorzej. Przycisnęła obiema rękami serce rzucające się w piersiach gwałtownie, i kazała mu być cicho; ale serce nie było posłuszne, wyrывało się ku temu, który nadchodził.

Andrzej szedł oglądając się na wszystkie strony, a ujrawszy Helenkę z daleka, przyspieszył kroku.

— Szukam pani po całym ogrodzie — rzekł uchyliwszy słomianego kapelusza. — Elżunia powiedziała mi, że pani jest cierpiącą. Czy to prawda?

W głosie jego była troskliwość i serdeczność. Helenka wsłuchiwała się uważnie w te dźwięki.

— Nie, — myślała — nie kocha mnie, to jasne. Obchodzi się ze mną jak brat lub ojciec. Jakiż on dobry, że nie kochając troszczy się jednak o mnie! — Istotnie — głowa mnie boli, — odpowiedziała — ale to nic nie szkodzi, a nawet — dodała przymuszając się do wesołości — wedle teorii pańskiej, ból ten, jak każdy inny zahartuje mnie.

— Porzuć pani te żarty, — dodał porywczo trochę — masz pani dosyć hartu, dowiodłaś już tego. Nie trap pani dłużej swego przyjaciela i powiedz co ci jest. Wyglądasz tak, jakbyś nietylko fizycznie, ale i moralnie ci coś dolegało.

Helenka czuła, że nogi pod nią drżą i usiadła na ławce stojącej opodal. Andrzej usiadł przy niej.

— Precz z tą słabością, — rzekła do siebie — skończmy

lepiej odrazu. — Zgadłeś pan, jest coś co mi dolega i w czem właśnie pragnę zasięgnąć pańskiej rady i pomocy. Nie odmówisz mi jej pan, wszakże prawda?

— Czy pani potrzebujesz pytać o to? — zapytał z lekkim wyrzutem — mów pani!

— Czy pan uważasz mnie za dość już biegłą w pisaniu rachunków?

— Tak jest. Skorzystałaś pani bardzo wiele i mogłabyś już sama książki prowadzić.

— Czy pan przypuszcza, że z tą moją znajomością mogłabym dostać miejsce gdzieindziej?

— Tak sądzę, — odrzekł dziwiąc się temu co słyszał — ale dlaczego pani o to pyta?

— A więc, zrób pan to dla mnie i zarekomenduj mnie domowi handlowemu w H., z którym ciągle macie stosunki. Muszę opuścić dom państwa...

— Co to znaczy! — zawołał głosem lekko zmienionym — chcesz nas pani opuścić tak nagle, gdy wczoraj jeszcze mowy o tem nie było? Co się takiego stało? Czy panią kto obraził?

— Nie, panie Andrzeju, wszyscy są dla mnie dobrzy. I mnie będzie bardzo przykro rozstawać się z państwem, ale... ale muszę. Chcę być bliżej rodziców.

Andrzej wpatrzył się w twarz dziewczęcia swoim bystrym, przenikającym wzrokiem, i patrzył tak długo, jakby ją chciał nawskróś przeniknąć. Ona wytrzymała spokojnie to badanie, tylko trochę więcej pobladła — i była między nimi chwila milczenia, podczas której nie było słychać nic, prócz szmeru gałęzi poruszanych wiatrem.

— Panno Heleno, — rzekł poważnie, biorąc jej rękę zimną jak lód — pani nie mówisz prawdy swojemu przyjacielowi. Tu jest jakaś inna przyczyna, którą pani widocznie ukrywasz przede mną. Czy sądzisz, że nam tak łatwo przyjdzie obejść się bez pani? Porzuć pani, proszę, ten zamiar.

Będę się starał wyjednać u ojca częstsze urlopy dla pani, a zostań z nami. Wzięłaś mnie pani sobie za brata i chcesz się mnie teraz pozbyć?

Gdy to mówił, stary Wojciech przeszedł koło nich z grabiami w jednej ręce, a koneweczką w drugiej, śpiewając:

»Z wysokich parnasów
niezbyt dawnych czasów,
pompatyczne nasze intenta —
którym serce płonie
ku twojej personie,
najszcześliwsze dla mnie momenta.
Wasindzkaś okrutna
srodze bałamutna;
prędzejby się skały
ubłagać mi dały.
A pfe, mościa panno, być taką!«

Helenka wysunęła łagodnie rękę z jego dłoni.

— Chodźmy stąd, — rzekła wstając — bo czuję chłód.
Andrzej wstał także.

— Nie odpowiedziałaś mi pani — szepnął.

— Panie Andrzeju, — rzekła zatrzymując się — nie pytaj mnie pan o nic, ale chciej wierzyć, że czynię to tylko co powinnam. Ja ufałam panu zawsze... zaufaj mi pan choć raz. Za brata uważać pana nie przestanę, jak również nie zapomnę nigdy ile panu jestem winna. Pan rozbudziłeś moją duszę, pan wskazałeś mi prawdziwe cele życia, pan nakoniec wpłynąłeś na to, że stałam się tem, czem jestem...

— I nie chcesz pani, żebym się dłużej cieszył widokiem mego dzieła, żebym dalej patrzył na rozwój pięknej duszy? O panno Heleno, twój przyjaciel musi ci być bardzo obojętny, kiedy go tak zasmucasz!

Helenka milczała.

— Ale pani tego nie zrobisz, nie puścimy pani! Ja sam będę się temu opierał wszelkimi siłami.

Helenkę ogarnął przestrah.

— Jeżeli pan jesteś moim prawdziwym przyjacielem, jeżeli drogim jest panu mój spokój, nie będziesz się temu sprzeciwiał...

— Więc postanowienie pani jest nieodwołalne? — zapytał.

— Nieodwołalne — rzekła głucho.

— A zatem — przemówił po chwili milczenia — pozostaje mi tylko schylić głowę przed wolą pani, i dopomóż do wykonania zamiaru o ile to będzie w mej mocy. Czy pan nie zechce oprzeć się na mojem ramieniu?

Chciała dać odpowiedź odmowną, ale obawiała się, aby to unikanie bliższego z nim zetknięcia, nie wprowadziło go na jakie domysły, więc przyjęła jego ramię w milczeniu. Czas jakiś szli rozmawiając o rzeczach obojętnych, ale rozmowa urywała się co chwila. Słychać było tylko śpiew Wojciecha:

»Nawet i cyprysy
mają swe kaprysy,
że się przed zefirem nie ugną.
Lecz przyjdą te chwile,
że się ugną mile
i wzajem na siebie mrugną.
Wasińdźkaś okrutna,
srodze bałamutna;
z wierzchu kondemnaty,
w sercu alternaty.
A pfe, mościa panno, być taką!»

Helenka posłyszała szelest za parkanem, i niepokój, o którym była zapomniała na chwilę, ogarnął ją nanowo. Nie wiedziała jak postąpić — bo jeżeli mu powie o swoich obawach, to on zamiast stąd odeść, zostanie właśnie i narazi się na niebezpieczeństwo. Odpowiadała na jego słowa z roztargnieniem, nareszcie nie mogąc dłużej znieść tej męczarni, rzekła:

— Panie Andrzeju, ten człowiek, któregoś pan wypędził, ten robotnik, może tu przyjść jeszcze kiedy. Widziano go podobno we wsi... Zdaje mi się, że on ma złe zamiary względem pana. Otóż... chciałam pana o tem ostrzedz i prosić... żeby pan na jakiś czas przynajmniej zaniechał swoich samotnych wycieczek i nie wychodził z domu bez broni. Czy dobrze?

Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Andrzej przystanął. Nadzieja, którą już utracił, ożyła w nim na nowo. Powziął postanowienie zatrzymania dziewczęcia bądźcobądź.

— Czyż życie moje ma jakąkolwiek dla pani wartość, że żądasz tego ode mnie? — zapytał z cicha.

— Ależ naturalnie, — odparła z przymuszoną swobodą — czyż pan nie jesteś moim przyjacielem, moim dobrym bratem?

— Nie! — zawołał ze zwykłą sobie gwałtowną szorstkością — nie jestem bratem pani i nie chcę nim być. Mam już trzy siostry i nie pragnę czwartej! Bądź pani towarzyszką mojego życia, bądź moją żoną, albo mnie odepchnij! Jestem nieprzyjacielem półśrodków. Wszystko, albo nic!

Ale ona go nie odepchnęła, choć ujawszy jej ręce, gorąco je do ust przyciskał, tylko wyraz zdziwienia przemknął po jej bladej twarzy. Byłaż to rzeczywistość czy złudzenie? Czyż podobna, żeby on ją kochał, on który jej tego nigdy niczem nie dał poznać?

Podniosła ku niemu oczy.

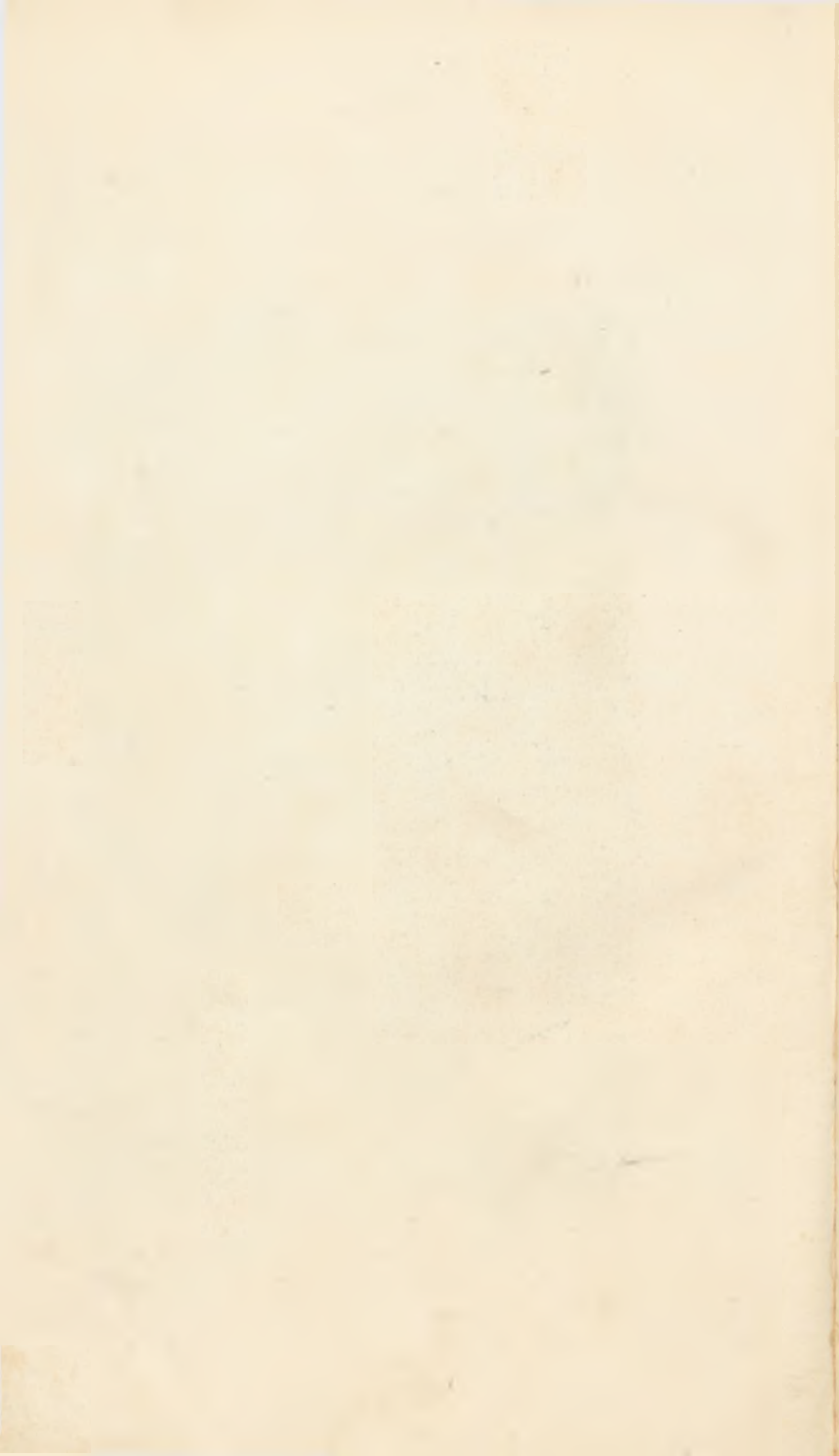
— Ależ ja jestem tylko »ślabeni, wątłem dzieckiem«, — szepnęła — panu trzeba innej towarzyszki... sam pan to powiedziałeś...

— Nie karz mnie pani za słowa nieopatrznie wypowiedziane i które odnosiły się do pani ówczesnej, — mówił ze wzruszeniem — dzisiejsza, widzę to jasno, będziesz mi towarzyszką o jakiej zawsze marzyłem...

— Daj mi pan czas umocnić się w tem wszystkim,



Ale ona go nie odepchnęła, choć ujął jej ręce.



czegoście mnie nauczyli — odparła z uśmiechem. — Jeżeli mam być towarzyszką pańskiego życia, panie Andrzeju, to chcę być towarzyszką dzielną, abyś nie żałował nigdy kroku, który czynisz. Trzeba mi jeszcze zmęźnieć duchem...

Obok nich przesunął się znowu Wojciech pchający przed sobą wózek i śpiewając:

»Po wierzchu marmury,
a w sercu turtury,
a w sercu tur-tur-tur-tur-tury.
Daj mi pani rączkę,
daj proszę obrączkę.
niech tych tur-tur-tur nie znoszę,
Wasłińdźkaś okrutna,
srodze bałamutna,
nawet i turkawki
mają swe zabawki.
A pfe, mościa panno, być taką!«

Andrzej właśnie o czemś przekonywał Helenkę, coś jej mówił po cichu, o coś prosił, gdy stanęła przed nimi pani Radliczowa.

— Nareszcie cię znajduję, moje dziecię, — rzekła zwracając się do panny Oreckiej z serdeczną w głosie troskliwością. — Od godziny szukamy cię wszyscy i niepokoiimy się o ciebie! Nie piłaś herbaty, skarżyłaś się na ból głowy, wyszłaś do ogrodu na chwilę tylko, a nie wracałaś do nas długo... Wysłaliśmy po ciebie Andrzeja, ale ten niedobry chłopak i zguby nie znalazł i sam przepadł, i jeszcze trzyma cię tu na rozmowie wśród chłodu i wilgoci. O nierozważny chłopcze, czyż nie wiesz, że to jest organizm wątki i delikatny, i że co tobie nie szkodzi, ją może o chorobę przyprowadzić?

Helenka słuchała jej z radosnem wzruszeniem. Musiała jednak mieć dla niej trochę serca ta kobieta nie lubiąca próżnych słów i używająca ich nadzwyczaj oszczędnie, prawie

skąpo, skoro się tak o nią troszczyła... Ale jak też ona przyjmie wiadomość o postanowieniu syna?

— Mateczko, — rzekł, uniewinniając się Andrzej — prawda, że wysyłałaś mnie po pannę Helenę dawno, ale gdy się idzie szukać żony, nie wraca się tak prędko, jak z pierwszą lepszą zgubą... Przedstawiam mamie moją narzeczoną.

Sędziwa kobieta stanęła zdumiona.

— Jakto mój synu, — przemówiła spoglądając kolejno na oboje — i tyżto, ty pokochałeś tę... księżniczkę?

— Księżniczka dawno już zdjęła z głowy koronę i umie pracować jak prosta robotnica. Pokochaj ją mateczko!

— Nie potrzebujesz mnie o to prosić, mój chłopcze. Dawno już ona zyskała moje serce... Chciałam wprowadzić dla ciebie innej żony, nie tak delikatnej, ale skoro ją pokochałeś, to szczęść wam Boże! Twoja księżniczka jest warta miłości. Helenko, — dodała głosem, w którym czuć było wzruszenie — przebac mi wszystkie ostre wyrazy, którymi cię nieraz zraniłam; czyniłam to tylko dla twego dobra, wierz mi... Uściskaj mnie, moja córko!

Wyciągnęła do niej ramiona i dwie kobiety, które z początku patrzyły na siebie tak niechętnie, złączyły się w długim serdecznym uścisku.

Gdy wrócili do pokoju i Andrzej oświadczył siostrze, że będą miały bratową, nastąpiła ogólna radość. Jednocześnie prawie dało się słyszeć w sieni ciężkie, niepewne stąpanie, stuk kija, macanie rękami po ścianie i około klamki.

— Dziadek idzie — rzekła Wanda i pośpieszyła drzwi otworzyć.

— Czekam, czekam — mówił starzec wchodząc — i nikt mi nie przychodzi powiedzieć, czy już wróciło to dziecko. Zapomnieliście o starym! No, jakże, czy jeszcze ją głowa boli? Gdzież ona jest, ta mała?

— Już wyzdrowiała — odrzekła Wanda wesóło. — Zbliź się do dziadka Helenko, żeby się mógł przekonać żeś

zdrowa i cała. Ale nasz Andrzej zachorował na serce, kochany dziadku: żeni się.

— Z nią? Wojciech to już dawno przepowiedział. Niech wam Bóg błogosławi, moje dzieci. Nie mówię: bądźcie szczęśliwi, bo szczęście wasze od was samych zależy, ale wam życzę, żebyście nie zapominali ani na chwilę, że jest dokoła was pełno takich, którzy cierpią... Żebyście zakładając rodzinę, pamiętali, że ona jest tylko częścią większej rodziny, której sprawy mają wam być droższe, niż wasze własne — i abyście kiedyś, jak ja, zstępowali w grób z wiarą w swoje ideały.

Młodzież słuchała tych słów ze czią i wzruszeniem, a po jego odejściu spędziła jeszcze parę godzin na rozmowie, której przedmiotem było układanie planów na przyszłość. Wszyscy byli ożywieni; jedna tylko Wanda, tak pogodna zawsze, zamyślała się częściej i wyglądała na bardzo znużoną.

— Czy ona nie chora? — spytała Helenka Andrzeja, zwróciwszy na to jego uwagę.

— Nie, — odrzekł, potrząsając głową — tylko jutro przypada rocznica śmierci jej narzeczonego. My zapomnieliśmy o tem, ale ona pamięta...

Helence łzy w oczach stanęły. Dzień jej szczęścia był dniem bolesnych wspomnień dla Wandy. Wyrzucała sobie prawie, że się czuła szczęśliwą.

Gdy wszyscy powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się na spoczynek, Helenka, która już pacierz mówiła i zaczęła się rozbierać, przypomniała sobie, że zostawiła w jadalnym pokoju swoje bratki, zapomniawszy je w wodę włożyć. Chcąc tam się jednak dostać, trzeba było przechodzić przez pokój Wandy. Zarzuciła na siebie okrycie i poszła do niej, wiedząc że jeszcze nie śpi, bo nie miała zwyczaju kłaść się bardzo wcześnie; czytywała codziennie do późna. Przed drzwiami pokoju jednak Helenka zatrzymała się. Usłyszała gwałtowne

łkania, a wśród tych łkań wymawiane imię Jerzego, z rozpaczłą, namiętną tęsknotą.

— Ach, — szepnęła — więc ta spokojna, pogodna zawsze kobieta, cierpi jednak czasami jak prosta śmiertelniczka! Byłam pewna, że czas złagodził jej boleść, a ona nosi ciągle w sercu krwawiącą się ranę i żyje z nią, chodzi, pracuje... Jutro, choć to dzień jeszcze boleśnieszyszy dla niej, pokaze wszystkim twarz spokojną i nikt nie domysli się nawet, co się z nią działo w tej chwili... Jakaż olbrzymia siła mieszka w jej piersi!

Oddaliła się na palcach i wróciła do siebie, ale zaledwie otworzyła drzwi, ujrzała na ścianie odbłask łuny. Spojrzała w okno i zobaczyła, że płomienie wydobywały się z dużego drewnianego budynku, w którym był skład nasion. Rozległy się okrzyki: Gore! gore! i w jednej chwili cały dom zerwał się do ratowania, a po dziedzińcu ludzie zaczęli biegać w tę i ową stronę. Wkrótce znalazły się drabiny, sznury, sikawki, bo wieś była dobrze zaopatrzona pod tym względem i strumienie wody trysnęły w górę, ale już było zapóźno. Płomienie z początku wydobywające się pojedynczo z pod dachu, zwały się w jedną wielką pochodnię, bo materiał złożony tam wysuszony był doskonale i palił się jak słoma. Nie było już nawet mowy o uratowaniu go. Cała energia ratujących pod przewodnictwem Andrzeja, zwróciła się teraz na obronę sąsiednich budynków, żeby ognia do nich nie dopuścić. Cały tegoroczny zbiór nasion, przedstawiających wartość kilkuset tysięcy rubli, spłonął ze szczeniem. Była to znaczna klęska! Nikt nie spał tej nocy.

Pana Radlicza nie było na wsi, przyjechał dopiero nad ranem, gdy już ogień zupełnie ugaszony został. Dowiedziawszy się o wszystkim, nie okazał ani zdziwienia ani gniewu; potrząsł tylko głową. Pokazano mu też paczkę zapalek i duży zwitek pakuł znalezione nieopodal miejsca pożaru; były to dowody, że pożar powstał z podpalenia, nie z przypadku.

Kto się tego dopuścił, nietrudno było zgadnąć, bo byli tacy, co go widzieli wieczorem kręcącego się koło budynków i tacy, co słyszeli jak się odgrażał w karczmie, że puści z dymem Radliczów.

— Nie tyle mnie boli strata materyalna, ile nędza moralna tego człowieka, — rzekł posępnie pan Radlicz — ile niedola tych ciemnych biednych mas... Światła brak, światła! Ale światła rozpalone w różnych punktach, gasi jakby nau myślnie wiatr nieprzyjazny i zasypuje popiołem... Nie jest to jednak powód do opuszczenia rąk, przeciwnie, należy światła nieustannie rozpalać, chociażby ciągle gasnąć miały; nawet owe krótkie błyski między rozpalaniem a zgaśnięciem zdadzą się na coś. Do ciebie to mówię, Wandziu. Mam i ja dla was niewesołą nowinę. Dom handlowy S...ling i Spółka, w którym mieliśmy ulokowane nasze kapitały, zbankrutował! Jesteśmy prawie zrujnowani.

Wiadomość ta sprawiła silne na wszystkich wrażenie: syn milcząc patrzył w ziemię; Andzia i Elżunia zalały się łzami — jedna tylko Wanda wysłuchiwała nowiny tak spokojnie, jak gdyby jej nie dotyczyła wcale. Wzięła ze stołu słomiany kapelusz i wyszła.

— Mój Boże, — pomyślała sobie Helenka, patrząc na panią Radliczową, której ręce trzymające jakieś klucze drgnęły i zacisnęły się kurczowo — co to za cios dla tej kobiety tak oszczędnej i tak dumnej ze swego bogactwa zdobytego w pocie czoła; ona pewnie wybuchnie teraz namiętą boleścią...

Ale pani Radliczowa zapanowała nad sobą, patrzyła ona na swoje dzieci, a czoło jej pomarszczyło się w ostre fałdy.

— Nie wstyďte wam tak upadać na duchu? — przemówiła surowo. — Strata majątku jest rzeczą przykrą, ale nie jest przecież nieszczęściem! Zanim doszliśmy do zamożności, byliśmy ubodzy i wiemy, że ubóstwo nie jest niczem strasznem: znamy się z niem dobrze — i choćbyśmy nawet

wszystko stracili, powitamy je tylko jako dawnego dobrego znajomego. Nie mieliśmy nic i dorobiliśmy się; dorobimy się i teraz. Wówczas mieliśmy tylko dwie głowy i dwie pary rąk, a teraz mamy siedm głów i siedm par rąk, dom w Warszawie, grunta na wsi, mamy dobre imię u ludzi, i doświadczenie, którego nie mieliśmy wówczas, a które uchroni nas od błędów i omyłek. Wytrzymaliśmy dużo, wytrzymamy i więcej jeszcze. Czyż nie hartowałam was? czyż nie przyzwyczajałam do trudów i niewygód? Podnieście głowy, bo pomyślę, że wychowałam umysły tchórzliwe!

Helenka słuchała, nie wierząc własnym uszom. I to mówiła ta sama kobieta, która cerowała pończochy, zbierała skrzętnie sznurki, papiery, kawałki chleba i strofowała służbę o drobne uchybienia? Postać jej niewielka choć barczysta, zdawała się rosnać coraz wyżej, wyżej i wyżej, w miarę jak mówiła, a twarz zawsze surowa, piękną była wyrazem siły i męstwa. Helenka nie przypuszczała, że w tej oszczędnej gospodyni bije serce tak bohaterskie, tak dzielne i umiejące dźwigać zesłańców.

Pan Radlicz wstał i przycisnął żonę do piersi.

— Elżbieto, — rzekł, — powiedziałaś to samo, co ja chciałem powiedzieć. Dzięki ci. Nosisz męską głowę na barkach kobiety!

— Mateczko, mateczko! — wołały dzieci otaczając ją — my nie lękamy się widma niedostatku. To była tylko chwilowa słabość, chwilowy przystęp żalu, bo ponieść tyle trudów i stracić ich owoc w jednym dniu, to trochę boli... Nie gniewaj się na nas, mateczko!

— Mateczko, — mówił syn, obejmując ją tkliwie — ja kocham bardzo moją przyszłą żonę, ale ty mateczko jesteś i będziesz zawsze moim ideałem!

— I moim — dodała Helenka, całując jej ręce. — Czy wasza matka płakała kiedy? — spytała po chwili półgłosem narzeczonego.

— O, i nieraz — odpowiedział, zamyślając się. — Płakała, gdy nasz dziadek wróciwszy z dalekiego kraju, macał rękami ściany swojego starego domu, którego już nie mógł widzieć; płakała, gdy Jerzy umarł; płakała, gdy blizki jej krewny, człowiek pięćdziesięcioletni, który w jednej parafii przez trzydzieści lat pełnił obowiązki kapłańskie, musiał iść na tułaczkę z żoną i dziećmi; płakała, gdy dwunastoletni synek naszej ciotki kołatał do wszystkich z kolei gimnazyów w Warszawie nie mogąc się dostać do żadnego dla braku miejsca, bo na piętnaście miejsc próżnych bywało po pięćdziesięciu i więcej kandydatów — i płakała, gdy garstki pijanych włóczęgów i obalamuconych dzieci, rozbijały bezkarne po ulicach Warszawy sklepy żydowskie i niszczyły ich mienie...

Wanda nieobecna przy tej rozmowie weszła teraz do pokoju, prowadząc za rękę dwoje dzieci z konopiastymi włosami.

— Ojczy, — rzekła zwracając się do pana Radlicza — to są dzieci tego, który podpalił. Po tem, co dzisiaj zrobił, zostanie niezawodnie schwytany i nie będzie mógł troszczyć się o swoją rodzinę. Jego żona jest chora i nie może pracować; dzieci nędzne i wygłodniałe. Zabrałam ich wszystkich tutaj: gdy wyleczę kobietę, dam jej sposób do pracy, a dzieci wychowam na porządnych ludzi. Starczy mi na to czasu. Powiedziałeś ojczy, że trzeba rozpalać światła; sądzę, że dobrze zrobię, dając trochę światła i trochę ciepła tym biedakom...

Chłopczyk mógł mieć najwyżej lat pięć. Ubrany był w duży podarty spencerek, włożony wprost na koszulę i sięgający mu aż do pięt; trzymał się sukni Wandy i chował za nią, rzucając dokoła siebie przestraszone spojrzenia. Dziewczynka dwuletnia, nie miała innego ubrania prócz koszulki i kołysała się na krótkich chorobą angielską wykrzywionych nóżkach. Trzymając palec w buzi patrzyła jasnymi jak bławatki oczyma na panią Radliczową, która musiała ją bardzo

zaciekawiać. I ta twarda kobieta, która nie uroniła jednej łzy nad stratą swego majątku, nie mogła teraz znieść niewinnego wzroku dzieci zbrodniarza. Cała jej natura kobieca poruszyła się w niej i łzy stoczyły się po twarzy.

— Patrz pani, — szepnął Andrzej do Helenki — patrz, matka płacze!

— Dobrze zrobiłaś moje dziecko, — rzekł pan Radlicz do Wandy — niech ci Bóg błogosławi.

— Błogosławieństwem twojem, mój ojczy, podzielę się z Jerzym, którego testament wykonywam — odrzekła głosem lekko drżącym.

Rodzina taka jak rodzina Radliczów, nie mogła długo być zrujnowaną; wszyscy jej członkowie mieli w sobie takie zasoby sił i takie uznanie ludzi, że otworzono im kredyt i z jego pomocą zaczęli szybko dźwigać się z ruiny. Za parę lat niezawodnie odzyskają wszystko, co stracili.

Obywatele z okolicy M. mają zamiar założyć między sobą spółkę ziemiańską, wzorem spółek powstałych w różnych okolicach kraju; ale nauczeni smutnem doświadczeniem Domu handlowo-komisowego, postanowili wezwać na zarządzającego, człowieka fachowego, dobrze obeznanego z handlem — i zaproponowali przewodnictwo Andrzejowi, który je przyjął; ma bowiem zamiar założyć filię swego zakładu w M. na gruntach pana Marcina. Ten ostatni zostanie kasyerem nowej spółki, ale pieniędzy nie będzie mógł wydawać inaczej, jak za asygnacyami Andrzeja. Od czasu, gdy mu o tem powiedziano, pan Marcin odmłodził o lat dziesięć i cieszy się, że znowu będzie mógł wpływać na losy kraju. Choć spółka nie została jeszcze zawiązaną, nadstawia pilnie uszu w stronę rzeki, bo zdaje mu się, że słyszy znowu przy-

bijanie do brzegu statków zarzucających kotwice w jego przystani.

Dziedziniec inaczej teraz wygląda: w parkanie niema otworów wentylacyjnych. Został starannie wyreperowany a na deskach jego, czerwienią się i złocą porozpinane brzoskwinie morele i winogrona. Znać, że w tym domu przebywa ogrodnik specjalista, zamiłowany w swoim zawodzie. Przy domu są przepyszne klomby krzewów ozdobnych i róż, a wśród nich, na małej wygodnej ławeczce, w miejscu osłoniętym od słońca, przesiaduje często z książką pani Marcinowa. Spokój moralny, zadowolenie i widok szczęścia córki przywróciły jej uśmiech i pomogły zdrowiu więcej, niż krople i ekstrakty, bez których dawniej obejść się nie mogła, a których teraz wcale nie używa.



